

**Anna Rice**

**Godzina Czarownic**

**The witching hour**

**Tom 3**

**Przełożyła: Hanna Pustula**

**Wydanie polskie: 1995**

**TMN**

## RAPORT O CZAROWNICACH MAYFAIR

### CZEŚĆ VIII

*Rodzina – lata 1929-1956*

#### PO ŚMIERCI STELLI

W październiku i listopadzie 1929 załamała się giełda i świat poznał Wielki Kryzys. Skończyły się szalone lata dwudzieste. Bogaci stracili fortuny. Multimilionerzy wyskakiwali z okien. Nadeszła nowa, niemile widziana surowość i prostota, a wraz z nią nieunikniona reakcja kultury na wybryki lat dwudziestych. Wyszły z mody krótkie spódnice, spotkania towarzyskie w oparach alkoholu, wyrafinowane erotycznie filmy i książki.

Po śmierci Stelli w domu rodziny Mayfairów, znajdującym się na rogu Pierwszej i Kasztanowej w Nowym Orleanie, przygaszono światła i od tamtej pory nigdy ich nie zapalono jak kiedyś. W czasie ceremonii pogrzebowej odbywającej się w salonie, setki świec oświetlały otwartą trumnę Stelli. Wkrótce potem pochowano jej brata Lionela, który zastrzelił siostrę dwiema kulami na oczach tłumu świadków. Jednak zwłoki Lionela wyprowadzano nie z domu rodzinnego, ale ze sterylne go zakładu pogrzebowego znajdującego się przy ulicy Sklepowej kilka przecznic dalej.

W ciągu sześciu miesięcy po śmierci Lionela, należące do Stelli meble art deco, obrazy współczesnych malarzy, niezliczone płyty z nagraniami jazzu, ragtime'u i bluesa zniknęły z pokoi przy ulicy Pierwszej. To, co nie znalazło

miejsca na rozległym strychu, wystawiono na ulicę.

Przedmioty z epoki wiktoriańskiej wyciągnięto z przechowalni, gdzie były składowane od momentu utraty Riverbend, by wstawić je do pustych pokoi. Zaryglowano okiennice okien wychodzących na ulicę Kasztanową, aby ich nigdy więcej nie otworzyć.

Te zmiany nie miały wiele wspólnego z końcem szalonych lat dwudziestych, załamaniem giełdy czy Wielkim Kryzysem.

Firma Mayfair & Mayfair należąca do rodziny już wcześniej wycofała swe znaczące udziały z kolei żelaznych i zagrożonej inflacją giełdy. Jeszcze w 1924 sprzedała rozległe posiadłości ziemskie na Florydzie, czerpiąc ogromne zyski pomnożone przez lokalny rozkwit. Zachowała natomiast grunty w Kalifornii, by skorzystać z rozwoju Zachodu, który miał dopiero nadejść. Miliony zainwestowane w złoto, franki szwajcarskie, kopalnie diamentów w Afryce Południowej oraz niezliczone zyskowe przedsięwzięcia pozwoliły Mayfairom ponownie znaleźć się w takim położeniu, że mogli wspomagać finansowo przyjaciół i dalekich krewnych, którzy utracili wszystko, co posiadali.

Rodzina pożyczala na prawo i lewo, tworząc niewyobrażalnie rozległą strukturę kontaktów politycznych i towarzyskich, zapewniającą ochronę przed interwencją z zewnątrz.

Nigdy żaden oficer policji nie zapytał Lionela Mayfaira, dlaczego zastrzelił Stellę. W dwie godziny po jej śmierci przyjęto go do prywatnej kliniki. Tam znużeni lekarze potakiwali głowami wysłuchując gniewnych okrzyków Lionela wrzeszczącego o diabła spacerującym po korytarzach domu przy ulicy Pierwszej, czy Ancie zapraszającej szatana do łóżka.

– Odwiedzał Anchę, a ja o tym wiedziałem. Powtarzało się wszystko od początku. Matki nie było, nikogo nie było. Tylko Carlotta kłóciła się bez przerwy ze Stellą. Och, nie potraficie wyobrazić sobie, co się wtedy działo, trzaskanie drzwiami, krzyki... Dom pełen dzieci bez matki. Moja wielka siostra Belle tuliła się do swojej lalki i płakała. A Millie Dear, biedna Millie Dear, na

werandzie odmawiała różaniec po ciemku, trzęsąc głową. Carlotta próbowała zająć miejsce matki, ale nie potrafiła. Stella rzucała w nią w złości różnymi przedmiotami. – Wydaje ci się, że mnie zamkniesz! – krzyczała histerycznie.

– Byliśmy po prostu dziećmi, ot co. Zapukałem do drzwi Stelli, a z nią był Pierce! Wiedziałem o tym. Wszystko działo się w środku dnia. Okłamywała mnie. *On* był z Anthą. Widziałem go! Cały czas go widziałem! Widziałem go! Zobaczyłem ich razem w ogrodzie. Ale ona wiedziała, wiedziała od początku, że on jest z Anthą. Pozwoliła, by do tego doszło.

– Dopuszczisz do tego, by ją sobie wziął? – tak spytała Carlotta. – Jak mogłem temu zapobiec? Ona nie mogła. Antha siedziała pod drzewem, śpiewała razem z nim, rzucała kwiaty w powietrze, a on sprawiał, że unosiły się nad ziemią. Widziałem to! Wiele razy! Słyszałam jej śmiech. Tak kiedyś śmiała się Stella! Co matka robiła, na miłość boską? Mój Boże, niczego nie rozumiecie! Dom pełen dzieci. Dlaczego byliśmy dziećmi? Bo nie znaleźliśmy zła. Czy matka je знаła? Czy Julien znał?

– Wiecie, dlaczego Belle jest niedorozwinięta? Przez kazirodztwo! A Millie Dear? Dobry Boże, ona jest córką Julienu! Och tak, naprawdę! Bóg mi świadkiem, że jest. Widzi go i kłamie na ten temat! Wiem, że go widzi.

– Zostaw ją w spokoju – mówiła Stella do mnie. – To zupełnie bez znaczenia. – Wiem, że Millie Dear może go zobaczyć. Wiem, że tak. Nosili skrzynki szampana na przyjęcie. Wiele skrzynek, a tam na górze Stella tańczyła przy akompaniamencie swoich płyt. – Spróbuj być miły na przyjęciu, dobrze, Lionel? – Na miłość boską! Czy nikt nie wiedział, na co się zanosilo?

– A Carla opowiadała, że wysła Stellę do Europy! Jakby ktoś potrafił zmusić ją do czegoś! Jakie to zresztą miało znaczenie, że Stella pojedzie do Europy? Próbowałem powiedzieć o wszystkim Pierce'owi. Złapałem tego młodego człowieka za gardło i powiedziałem mu: „Zmuszę cię do słuchania”. Powinienem być też i jego zastrzelić, gdyby mi się udało. Zrobiłbym to, jak Bóg na niebie, dlaczego mnie powstrzymali? „Nie widzisz, że on teraz ma Anthę?

Czy jesteś ślepy?” – Tak mu powiedziałem! Czy oni wszyscy są ślepi?

Jak nam przekazano, trwało tak bez przerwy, pod koniec całymi dniami. Jednak powyższy fragment jest jedynym zanotowanym dosłownie i przechowanym w dokumentach chorego. Dalej zamieszczono informację, że „pacjent nadal opowiada o niej, o nim, a jedna z tych osób ma być diabłem”. Albo: „Bredzi bez związku, twierdząc, że ktoś go do wszystkiego zmusił, ale nie jest jasne kto”.

W przeddzień pogrzebu Stelli, trzy dni po morderstwie, Lionel próbował uciec. Potem już na stałe założono mu kaftan bezpieczeństwa.

– Nigdy się nie dowiemy, jak poskładali Stellę – stwierdził jeden z dalszych kuzynów w wiele lat po pogrzebie – ale wyglądała prześlicznie.

– Było to ostatnie przyjęcie Stelli. Zostawiła bardzo szczegółowy opis własnej ceremonii pogrzebowej. A wiesz, czego dowiedziałem się później? Napisała go, kiedy miała trzynaście lat! Możesz to sobie wyobrazić?

Prawnicy twierdzili coś wręcz przeciwnego. Wskazówki co do organizacji pogrzebu Stelli (które nie były obowiązujące pod względem prawnym) zostały włączone do jej ostatniej woli w 1925, po śmierci Mary Beth. Choć dały romantyczny efekt, były bardzo proste. Zwłoki miały zostać wyprowadzone z domu. Należało poinformować kwiaciarzy, że „preferowanym kwiatem” jest kalia lub inna biała lilia. Do oświetlenia należało użyć wyłącznie świec. Trzeba podać wino. Czuwanie miało trwać od momentu wystawienia trumny do chwili przeniesienia ciała do kościoła na egzekwie.

Pogrzeb był niewątpliwie romantyczny, według oceny wszystkich. Stella ubrana na białą leżała w otwartej trumnie ustawionej przy końcu długiego salonu, a dziesiątki woskowych świec oświetlały ją niezwykłym blaskiem.

– Powiem ci, co mi to przypominało – po latach powiedział jeden z kuzynów. – Majowe procesje! Dokładnie tak! Te białe lilie, ich zapach i Stella jak majowa królowa cała w bieli.

Cortland, Barclay i Garland witali krewnych, którzy licznie przybyli na

uroczystość. Pozwolono Pierce'owi złożyć kondolencje, a w chwilę później odesłano go do rodziny jego matki w Nowym Jorku. Jak kaže stara irlandzka tradycja, zasłonięte lustra, choć wyglądało na to, że nikt nie wie z czyjego polecenia.

Na mszy za duszę zmarłej zjawili się nawet ci, których Stella za życia nigdy nie zapraszała na ulicę Pierwszą. Przyszli bezpośrednio do kościoła. Ścisk na cmentarzu był tak wielki jak na pogrzebie Mary Beth.

– Musisz zrozumieć, jaki to był skandal! – stwierdził Irwin Dandrich. – Popelniono morderstwo roku! A Stella to Stella, sam wiesz. Dla pewnych typów nie ma nic bardziej interesującego. Czy wiedziałeś, że owej nocy, której rozegrała się tragedia, dwóch młodych ludzi zakochało się w niej? Potrafisz to sobie wyobrazić?

Żaden z nich nigdy jej wcześniej nie widział. Pokłócili się o nią, żądali, by jeden ustąpił drugiemu, a tamten twierdził, że mówił z nią pierwszy. Moi drodzy, przyjęcie zaczęło się dopiero o siódmej. A o pół do dziewiątej ona już nie żyła!

W noc po pogrzebie Stelli Lionel obudził się z krzykiem w klinice.

– On tu jest, nie zostawi mnie w spokoju!

Do końca tygodnia musieli go trzymać w kaftanie bezpieczeństwa, a czwartego listopada umieszczono w separacie wyłożonej korkiem. Lekarze zastanawiali się, czy wystarczą silne środki uspokajające, a Lionel siedział skulony w kącie. Nie mógł uwolnić związanych ramion. Piszczął i próbował odwrócić głowę od niewidzialnego prześladowcy.

Pielęgniarki powiedziały Irwinowi Dandrichowi, że Lionel wzywał Stellę na pomoc.

– Doprowadza mnie do obłądu. Dlaczego, na miłość boską, mnie nie zabije? Stello, pomóż mi! Stello, każ mu mnie zabić!

Jego krzyki rozbrzmiewały na korytarzach kliniki.

– Nie chciałam dawać mu więcej zastrzyków – powiedziała Dandrichowi

jedna z pielęgniarek. – Nigdy nie spał. Mocował się ze swymi demonami, mamrotał i przeklinał. Chyba tak było dla niego gorzej.

„Uznano go za obłąkanego bez szansy na wyleczenie”, napisał jeden z naszych informatorów. Oczywiście, gdyby go wyleczono, musiałby stanąć przed sądem za morderstwo. Bóg jeden wie, co Carlotta powiedziała władzom. Prawdopodobnie nic. A zresztą, pewnie nikt nie pytał.

Szóstego listopada pozostawiony bez opieki Lionel najwyraźniej dostał konwulsji i udusił się połknąwszy język.

Nie czuwano przy zwłokach w zakładzie pogrzebowym przy ulicy Sklepowej. Rankiem w dniu pogrzebu odprawiono przybyłą rodzinę. Wszyscy mieli się udać bezpośrednio na mszę do kościoła świętego Alfonsa. Tam wynajęci żałobnicy powiedzieli kuzynom, żeby nie kierowali się na cmentarz, gdyż panna Carlotta życzy sobie, aby uroczystość była cicha.

Zebrawali się jednak przy bramie Lafayette’a od ulicy Prytania i z oddali patrzyli, jak ustawiano trumnę Lionela obok Stelli.

Później przekazywano sobie opowieść z tamtych czasów:

„Wszystko się skończyło. Wiedzieliśmy o tym. Biednemu Pierce’owi udało się w końcu pozbierać. Przez jakiś czas studiował na uniwersytecie Columbia, a następnego roku wstąpił na Harvard. Aż do dnia jego śmierci nikt przy nim nawet nie wspominał imienia Stelli. A jak nienawidził Carlotty! Jedyny raz, gdy słyszałem, jak o niej mówi, stwierdził, że to ona ponosi całą odpowiedzialność. Powinna sama pociągnąć za cyngiel”.

Pierce nie tylko wyzdrowiał. Został wybitnym prawnikiem. Przez dziesiątki lat to on zajmował się zarządzaniem dóbr i powiększaniem majątku rodziny Mayfairów. Umarł w 1986. Jego syn, Ryan Mayfair urodził się w 1936 i obecnie jest podporą firmy Mayfair & Mayfair. Młody Pierce, syn Ryana należy do jej najbardziej obiecujących pracowników.

Ale mieli rację kuzyni twierdząc, że „wszystko się skończyło”.

Wraz ze śmiercią Stelli moc czarownic Mayfair została skutecznie

przewyciężona. Stella była pierwszym z obdarowanych nadprzyrodzoną siłą potomków Debory, który zmarł młodo. Pierwszą, która zmarła gwałtowną śmiercią. Już nigdy potem wiedźma Mayfair nie „rządziła” przy ulicy Pierwszej ani nie objęła w posiadanie dziedzictwa. Obecna spadkobierczyni to niemowa – katatoniczka, a jej córka Rowan Mayfair jest młodą lekarką, neurochirurgiem, mieszka ponad trzy tysiące kilometrów od ulicy Pierwszej i nic nie wie ani o swojej matce, ani o dziedzictwie czy domu.

Jak do tego doszło? Czy ktoś jest temu winien? Oto pytania, nad którymi można zastanawiać się bez końca. Ale zanim rozpatrzemy je bardziej szczegółowo, powróćmy na krótko w przeszłość i przedstawmy położenie zakonu Talamasca po śmierci Arthura Langtry’ego:

\* \* \*

#### POSTĘPY W ŚLEDZTWIE W 1929

Nigdy nie przeprowadzono sekcji zwłok Arthura Langtry’ego. Jego szczątki pochowano w Anglii na cmentarzu zakonu Talamasca zgodnie z jego wskazówkami. Nie ma dowodów, że zmarł nagle, choć w jego ostatnim liście opisującym śmierć Stelli można znaleźć zdania wskazujące na to, że ma kłopoty z sercem. Jednak trzeba stwierdzić, że przyczyną jego zgonu było to, co zobaczył w Nowym Orleanie. Arthur pewnie żyłby dłużej, gdyby tam nie pojechał. Z drugiej strony nie przeszedł jeszcze na emeryturę, mógł więc spotkać swą śmierć pracując nad inną sprawą.

Jednak dla rady kierującej Talamascą Arthur Langtry był jeszcze jedną ofiarą czarownic Mayfair. Fakt, iż Arthur zobaczył ducha Stuarta w domu rodziny Mayfairów, doświadczeni historycy uznali za dowód, że poprzednik zmarł właśnie w tym miejscu.

Ale Talamasca chciała dokładnie wiedzieć, jak zmarł Stuart. Czy do jego śmierci przyczyniła się Carlotta? Jeśli tak, to dlaczego?



Zasadniczy argument przeciwko uznaniu Carlotty za morderczynię jest już prawdopodobnie oczywisty dla czytelnika, a stanie się bardziej oczywisty w dalszym ciągu opowiadania. Carlotta przez całe życie była praktykującą katoliczką. Jako prawniczka trzymała się ściśle wszelkich reguł. Jako obywatelka przestrzegała prawa. Jej żarliwa krytyka postępowania Stelli opierała się najwyraźniej na surowych zasadach moralnych, tak przynajmniej zakładała rodzina, przyjaciele, a nawet przygodni obserwatorzy. Z drugiej strony dziesiątki osób uważają, że to Carlotta doprowadziła Lionela do zastrzelenia Stelli, bo zrobiła wszystko w tym celu poza nabiciem pistoletu.

Nawet gdyby Carlotta podała broń Lionelowi, to takie otwarte działanie pod wpływem emocji zupełnie różni się od zabicia z zimną krwią obcego człowieka, którego prawie nikt nie zna.

A może to Lionel zamordował Stuarta Townsenda? Czy Stella? Czy można wykluczyć Lashera? Jeśli założy się, że ta istota ma osobowość i swoją historię, czyż zabicie Townsenda nie pasuje bardziej do modus operandi ducha niż do innych mieszkańców tego domu?

Niestety, żadna z podanych teorii nie wystarczy do wytłumaczenia, dlaczego zatuszowano tę sprawę. Z całą pewnością dano łapówkę w hotelu świętego Karola, by pracownicy stwierdzili, że Stuart Townsend nigdy tam nie mieszkał.

Prawdopodobny scenariusz śmierci Stuarta pasuje do wszystkich podejrzanych. Na przykład, być może Stella zaprosiła Townsenda na ulicę Pierwszą, gdzie zmarł na skutek jakiegoś gwałtownego działania Lashera. Być może ogarnięta paniką Stella zwróciła się do Carlotty, Lionela, czy nawet do Pierce'a, by pomogli jej ukryć ciało i zapobiegli, aby ktoś w hotelu pisnął słowo?

Niestety, i ta wersja, tak jak inne, pozostawia zbyt wiele pytań bez odpowiedzi. Dlaczego Carlotta miałaby brać udział w takim przestępstwie? Czy nie mogłaby wykorzystać śmierci Townsenda, by już na dobre pozbyć się siostry? Jest zupełnie nieprawdopodobne, aby Pierce – niewinny młody

człowiek mógł wmieszać się w coś podobnego. (Pierce potem prowadził bardzo nobliwy tryb życia). Gdy zaś weźmiemy pod uwagę osobę Lionela, to musimy zapytać: jeśli rzeczywiście coś wiedział o śmierci lub zniknięciu Stuarta, to co go powstrzymywało, by o tym nie wspomnieć, gdy ogarniało go szaleństwo? Niewątpliwie powiedział dość o wszystkich innych zdarzeniach w domu przy ulicy Pierwszej, przynajmniej tak dowodzą dokumenty.

W końcu powinniśmy zapytać, jeśli rzeczywiście jedna z wymienionych osób pomogła (co mało prawdopodobne) Stelli pogrzebać ciało w ogrodzie, to po co trzymała się jeszcze, by usunąć rzeczy Townsenda z hotelu i przekupywała personel, aby zeznawał, że nigdy go tam nie było?

Może Talamasca popełniła w przeszłości błąd, że nie zażądała szczegółowego śledztwa, nie zmusiła policji do dalszego działania. Naciskaliśmy. Podobnie postępowała rodzina Stuarta, gdy tylko poinformowano ją o jego zaginięciu. Ale znana, solidna kancelaria prawnicza z Nowego Orleanu powiadomiła doktora Townsenda: „Nie mamy żadnych podstaw do prowadzenia śledztwa. Nie może Pan nawet dowieść, że młody człowiek kiedykolwiek był tutaj”.

Po śmierci Stelli nikt nie zdradzał chęci „nękania” rodziny Mayfairów dalszymi pytaniami o tajemniczego Teksączyka. A nasi detektywi (wśród nich byli najlepsi zawodowcy) nie potrafili przełamać zmowy milczenia personelu z hotelu ani nawet zdobyć wskazówki, kto im zapłacił za ukrywanie faktów. Byłoby głupotą sądzić, że policja mogła osiągnąć lepsze rezultaty.

Istnieje jednak interesująca współczesna „opinia”, nad którą warto się zastanowić, zanim pozostawimy tę zbrodnię nie wyjaśnioną. Ostatnie słowo w tej sprawie wypowiedział Irwin Dandrich w rozmowie z naszym prywatnym detektywem w barze w Dzielnicy Francuskiej w czasie świąt Bożego Narodzenia 1929.

– Pokażę panu klucz do zrozumienia tej rodziny – stwierdził Dandrich. – Obserwowałem ich całe lata. Nie dla tych pańskich dziwacznych ptaszków z

Londynu, niech weźmie pan to pod uwagę. Obserwowałem ich tak jak inni, zastanawiając się, co dzieje się za zamkniętymi drzwiami. Wystarczy sobie uświadomić, że Carlotta Mayfair nie jest taką porządną, moralną, uczciwą katoliczką, jaką zawsze udawała. W tej kobiecie tkwi coś tajemniczego i groźnego. Jest niszczyielska i mściwa. Wolą zobaczyć, jak mała Antha wariuje, niż miałyby dorosnąć i stać taką jak Stella. Wolą widzieć dom opuszczony i ciemny niż kogoś w nim szczęśliwego.

Z pozoru uwagi wydają się prymitywne, ale być może kryje się w nich więcej prawdy, niż sobie wtedy uświadamiano. Dla świata Carlotta Mayfair reprezentowała uczciwość, solidność, moralność i zdrowie. Od 1929 codziennie uczestniczyła we mszy w kaplicy pod wezwaniem Naszej Matki Nieustającej Pomocy przy ulicy Prytania. Przekazywała hojne datki kościołowi i wszystkim związanym z nim organizacjom. Prowadziła prywatną wojnę z firmą Mayfair & Mayfair o rozporządzanie pieniędzmi Anthy, choć swoje rozdawała niezwykle szczodroliwie. Pożyczała pieniądze każdemu z rodziny Mayfairów, ktokolwiek ich potrzebował, posyłała eleganckie, drogie prezenty na urodziny, śluby, chrzciny i z okazji ukończenia szkoły lub studiów. Brała udział w pogrzebach i od czasu do czasu spotykała się poza domem z kuzynami na obiedzie lub herbacie.

Dla tych, których Stella obraziła, Carlotta była dobrą kobietą, podporą domu przy ulicy Pierwszej, bez końca poświęcającą się opiekunką szalonej córki Stelli i innych zależnych od niej: Millie Dear, Nancy i Belle.

Nigdy nie krytykowano jej za zamknięcie domu przed rodziną czy za odmowę wznowienia organizowania wszelkiego rodzaju rodzinnych spotkań. Przeciwnie, uważano, że „Carlotta ma pełne ręce roboty”. Nikt nie chciał stawiać nowych żądań. W rzeczywistości w miarę upływu lat stała się kimś w rodzaju świętej.

Moim zdaniem, o ile jest coś warte, po czterdziestu latach obserwowania tej rodziny – w ocenie Carlotty wygłoszonej przez Irwina Dandricha kryje się dużo

prawdy. Jestem przekonany, że Carlotta stanowi taką samą tajemnicę jak Mary Beth czy Julien. A my ledwo musnęliśmy powierzchnię wydarzeń, które dzieją się w tym domu.

\* \* \*

#### STANOWISKO ZAKONU TALAMASCA DALSZE WYJAŚNIENIA

Ze względu na przyszłość, zakon Talamasca w 1929 postanowił, że nie będą już podejmowane próby nawiązania osobistego kontaktu z rodziną Mayfairów.

Nasz dyrektor, Evan Neville, uważał, że po pierwsze: powinniśmy dostosować się do rady Arthura Langtry'ego; a po drugie, że ostrzeżenie ducha Townsenda należy potraktować poważnie. Powinniśmy przez jakiś czas trzymać się z daleka od rodziny Mayfairów. Jednak kilkunastu młodszych członków rady uważało, że należy spróbować nawiązać korespondencję z Carlottą Mayfair. Argumentowali, że nie przyniesie to szkody. Poza tym, jakie *mamy prawo, by ukrywać przed nią nasze informacje?* Po co je zbieraliśmy? Musimy przygotować jakiś odpowiedni wybór z zebranych przez nas danych. Z całą pewnością nasze najwcześniejsze raporty – listy Petyra van Abla – powinny zostać jej udostępnione wraz z opracowanymi przez nas tablicami genealogicznymi.

Ta propozycja wywołała zażartą dyskusję. Starsi członkowie zakonu przypomnieli młodszym, że to Carlotta Mayfair najprawdopodobniej jest odpowiedzialna za śmierć Stuarta Townsenda, a także za śmierć siostry, Stelli. Jakie możemy mieć wobec takiej osoby zobowiązania? To Ancie powinniśmy odkryć wszystko, ale nie możemy brać takiej możliwości pod uwagę, dopóki nie skończy dwudziestu jeden lat.

Poza tym jak mamy przekazać informacje Carlocie Mayfair i co mamy jej wysłać, jeśli nie nawiązaliśmy do tej pory z nią kontaktu?

Historia rodziny Mayfairów w brzmieniu z 1929 nie nadawała się dla „oczu

z zewnątrz”. Powinniśmy przygotować stosowny skrót, z którego trzeba usunąć nazwiska świadków i informatorów. Ponownie trzeba zadać pytanie, jaki byłby cel w przekazywaniu raportu Carlotcie? Co by z nim zrobiła? Jak mogła go wykorzystać dla dobra Anthy? Jaka byłaby jej reakcja? A jeśli zamierzaliśmy oddać tę historię Carlotcie, dlaczego nie udostępnić jej również Cortlandowi i jego braciom? Dlaczego nie przekazać kopii każdemu członkowi rodziny Mayfairów? Gdybyśmy to zrobili, jaki wpływ miałyby te informacje na tych ludzi? Czy mieliśmy w ogóle prawo rozważać tak szczególne wtrącanie się w ich życie?

Rzeczywiście, charakter naszej historii jest tak niezwykle, zawiera tak dziwny i tajemniczy materiał, że odkrycie jej w całości i wszystkim w żadnym wypadku nie może być brane pod uwagę. I tak dalej trwała zażarta dyskusja.

Jak zawsze w takich przypadkach, zasady, cel istnienia i etyka działania zakonu Talamasca zostały gruntownie sprawdzone. Musieliśmy utwierdzić się w przekonaniu, że historia rodziny Mayfairów, ze względu na początki w odległej przeszłości i szczególność dla nas, badaczy czarnej magii, jest bezcenna, a także że nadal zamierzamy zbierać informacje o rodzinie Mayfairów, bez względu na to, co młodszy członkowie rady zakonu powiedzą o etyce. Nasza próba nawiązania „kontaktu” okazała się ogromną porażką. Mieliśmy poczekać, aż Antha Mayfair ukończy dwadzieścia jeden lat, a wtedy rozważyć ewentualne ostrożne zbliżenie do niej. Kontakt miał być uzależniony od tego, czy wśród członków zakonu znajdzie się w owym czasie przygotowany do tego zadania.

Gdy rada przeprowadziła rozmowy, okazało się, że prawie nikt – nawet Evan Neville – nie zna naprawdę w całości historii czarownic Mayfair. W rzeczywistości długo kłócono się nie tylko, co zrobić i jakim sposobem, ale również polemizowano na temat wydarzeń w rodzinie Mayfairów. Raport po prostu stał się zbyt obszerny i zbyt skomplikowany, by jedna osoba dostatecznie go poznała w krótkim czasie.

Ustalono, że Talamasca musi znaleźć członka gotowego przyjąć sprawę rodziny Mayfairów jako jedyne zadanie – kogoś przygotowanego do dokładnego przestudiowania raportu, zdolnego do podejmowania inteligentnych i odpowiedzialnych decyzji. Biorąc pod uwagę tragiczną śmierć Stuarta Townsenda, było absolutnie konieczne, aby wybrana osoba miała pierwszorzędne przygotowanie naukowe oraz duże doświadczenie; musi dowieść swojej znajomości raportu oraz ułożyć go w spójną i nadającą się do czytania opowieść. Wtedy i tylko wtedy będzie wolno tej osobie rozszerzyć badania czarownic Mayfair i poprowadzić bezpośrednio śledztwo, a także ewentualnie nawiązać kontakt. Uznano za konieczne, aby przed przystąpieniem do działania, najpierw przygotowano nową wersję raportu. Była to niewątpliwie mądra decyzja. Jedynym mankamentem tego planu okazał się fakt, że zakon nie znalazł odpowiedniej osoby aż do roku 1953.

W tym czasie dobiegło końca tragiczne życie Anthy Mayfair. Kandydatką do objęcia dziedzictwa została dwunastolatka o buzi jak łyżeczka, którą już wyrzucono ze szkoły za „rozmowy z niewidzialnym przyjacielem”, umiejętność zawieszania kwiatów w powietrzu, znajdowania zagubionych przedmiotów i czytania myśli.

– Nazywa się Deirdre Mayfair – powiedział Evan Neville marszcząc brwi ze zmartwienia. – Dorasta w tym ponurym, starym domu tak jak jej matka, sama ze starymi kobietami. Bóg jeden wie, w co one wierzą, co wiedzą o historii swojej rodziny, o mocy, o tym duchu, którego już dostrzeżono u boku dziecka.

Młody członek zakonu, bardzo rozentuzjasmowany słowami Neville’a oraz chaotyczną lekturą dokumentów dotyczących rodziny Mayfairów, postanowił działać szybko.

Zanim opiszę krótką i smutną historię życia Anthy Mayfair, przerwę na chwilę opowieść, aby się przedstawić.

\* \* \*

AUTOR TYCH SŁÓW, AARON LIGHTNER

WKRACZA DO AKCJI

Moja szczegółowa biografia jest dostępna pod nagłówkiem *Aaron Lightner*. Dla tej opowieści zupełnie wystarczy kilka poniższych zdań.

Urodziłem się w Londynie w 1921 roku. Pełnoprawnym członkiem zakonu zostałem w 1943 po ukończeniu studiów w Oksfordzie, ale dla Talamaski pracowałem od siódmego roku życia. W konwencie zamieszkałem, gdy osiągnąłem wiek piętnastu lat.

Już w 1928, gdy miałem sześć lat, mój ojciec – Anglik (tłumacz i badacz łaciny) oraz moja matka – Amerykanka (nauczycielka muzyki) zwrócili na mnie uwagę zakonu. Do szukania u nich pomocy zmusiły rodziców moje „przerażające” zdolności telekinetyczne. Potrafiłem przesunąć przedmiot skupiając na nim uwagę lub mówiąc głośno, żeby się poruszył.

A chociaż ta moc nie jest zbyt silna, to niepokoiła wszystkich, którzy obserwowali jej przykłady.

Moi zatroskani rodzice podejrzewali, że posiadam inne parapsychiczne zdolności, o których istnieniu przekonywali się od czasu do czasu. Zabrano mnie do psychiatrów ze względu na moje dziwne zdolności i w końcu jeden z nich zaproponował: „Zaprowadźcie go do zakonu Talamasca. Jego moc jest prawdziwa, a tylko oni potrafią poradzić sobie z kimś takim”.

Talamasca była gotowa omówić tę sprawę z matką i ojcem, którzy odczuli ogromną ulgę.

– Jeśli spróbujecie zdusić tę moc w waszym dziecku – powiedział im Evan Neville – niczego nie osiągniecie. Raczej narazicie jego zdrowie psychiczne na niebezpieczeństwo. Pozwólcie nam popracować z nim. Nauczymy go, jak kontrolować i używać tych parapsychicznych zdolności.

Moi rodzice niechętnie, ale wyrazili zgodę. Zacząłem przyjeżdżać w soboty do konwentu pod Londynem, a gdy skończyłem dziesięć lat, spędzałem tam

weekendy i letnie wakacje. Rodzice też byli częstymi gośćmi. W 1935 ojciec mój zaczął tłumaczyć dla Talamaski stare łacińskie raporty. Pracował dla zakonu aż do swej śmierci w 1972. Wtedy był już wdowcem i mieszkał w konwencie na stałe. Oboje uwielbiali tamtejszą bibliotekę podręczną, a chociaż nigdy nie zabiegali o członkostwo zakonu, to przez całe swoje życie faktycznie do niego należeli. Nie sprzeciwiali się niczemu widząc, jak jestem pochłonięty pracą dla Talamaski, nalegali tylko, bym dopełnił edukacji i nie pozwolił, aby moje „szczególne moce” oderwały mnie zbyt wcześnie od „normalnego świata”.

Moje zdolności telekinetyczne nigdy nie były zbyt silne, ale dzięki pomocy przyjaciół z zakonu uświadomiłem sobie, że w pewnych warunkach mogę czytać cudze myśli. Nauczyłem się również ukrywać własne, a pokazywać swe zdolności innym tylko wtedy, gdy pora i miejsce były odpowiednie.

Te ograniczone zdolności parapsychiczne najlepiej służyły mi w pracy detektywa, zwłaszcza w sytuacjach niebezpiecznych. Umiejętność telekinezy rzadko przydaje się na co dzień.

Gdy skończyłem osiemnaście lat, fascynowało mnie życie zakonu i cele jego istnienia. Nie potrafiłbym wyobrazić sobie świata bez Talamaski. Interesowałem się tylko tym, co było ważne dla zakonu. Odpowiadał mi 1 duch tego zgromadzenia. Bez względu na to, gdzie chodziłem do szkoły, jak daleko podróżowałem z rodzicami czy kolegami, konwent Talamaski uważałem za swój jedyny prawdziwy dom.

Po ukończeniu studiów w Oksfordzie zostałem pełnoprawnym członkiem zakonu, choć naprawdę byłem nim dużo wcześniej. Jako swoją dziedzinę wybrałem wielkie rodziny czarownic. Zaczytywałem się historią prześladowań. Fascynowały mnie wszystkie osoby odpowiadające naszej szczegółowej definicji „wiedźmy”.

Moje pierwsze „bojowe” zadanie łączyło się z rodziną czarownic z Włoch. Wykonywałem je pod kierunkiem Elaine Barrett, która w owym czasie i przez wiele lat później była w zakonie najzdolniejszą osobą interesującą się



wiedźmami.

Ona właśnie jako pierwsza zapoznała mnie z rodziną czarownic Mayfair w czasie zwykłej rozmowy przy obiedzie. Opowiedziała mi, co przydarzyło się Petyrowi van Ablowi, Stuartowi Townsendowi i Arthurowi Langtry'emu, i namówiła na przeczytanie w wolnej chwili materiałów o rodzinie Mayfairów. Latem i zimą 1945 wielokrotnie zasypiałem bardzo późną nocą, a dokumenty o Mayfairach walały się po podłodze mojego pokoju. Już w 1946 bazgrałem notatki do tej opowieści.

Jednak rok 1947 spędziłem daleko od londyńskiego konwentu i materiałów o czarownicach Mayfair, pracując razem z Elaine. Dopiero później uświadomiłem sobie, że przez ten czas nabywałem niezbędnego doświadczenia, jakiego miałem potrzebować w przyszłości do „romansu” z czarownicami Mayfair. Ta sprawa wkrótce stała się zadaniem mojego życia.

Formalnie zlecono mi je w 1953. „Przygotuj opracowanie dokumentów, a kiedy skończysz, rozważymy wysłanie cię do Nowego Orleanu, żebyś na własne oczy zobaczył mieszkańców domu przy ulicy Pierwszej”.

Wielokrotnie przypominano mi, abym bez względu na ambicje postępował z najwyższą ostrożnością. Antha Mayfair zmarła tragicznie. Tak jak i ojciec jej córki, Deirdre oraz kuzyn Mayfair z Nowego Jorku, doktor Cornell Mayfair, który w 1945 przyjechał do Nowego Orleanu, aby zobaczyć ośmioletnią Deirdre i sprawdzić twierdzenia Carlotty, że Antha jest szalona od urodzenia.

Zaakceptowałem warunki zadania. Przystąpiłem do tłumaczenia pamiętnika Petyra van Abła. Tymczasem przyznano mi nieograniczony budżet na rozszerzenie śledztwa we wszystkich możliwych kierunkach. Tak rozpocząłem działanie „na odległość” w celu poznania sytuacji dwunastoletniej Deirdre Mayfair – jedyne dziecko Anthy.

Kończąc powinienem wspomnieć, że dwa czynniki grają dużą rolę w każdym zadaniu, którego się podejmuję. Pierwszy to moje zachowanie i wygląd, które sprawiają, że ludzie, z którymi przebywam, czują się swobodnie i nie

kontrolują się wcale. Rozmawiają bardziej otwarcie, niż robiliby to z kimś innym. Trudno ustalić, do jakiego stopnia sterują nimi używając swego rodzaju „telepatycznej perswazji”. Oceniając ich zachowanie z perspektywy lat, powiedziałbym, że są bardziej szczerzy, bo wydają się im „dżentelmenem ze Starego Świata” i zakładają, że jestem dobry. Poza tym słucham ich ze zrozumieniem i sympatią, nie wywołuję agresji.

Mam nadzieję i modłę się o to, że pomimo używania fałszywych nazwisk, przebrań i drobnych kłamstw, nigdy nie zawiodłem niczyjego zaufania. Postępować dobrze, oto imperatyw mojego życia.

Zdolność czytania cudzych myśli jest drugim czynnikiem, który ma wpływ na pracę, którą wykonuję. Często wychwytyuję nazwiska i jakieś szczegóły. Zazwyczaj nie włączam tych danych do raportów. Są mało wiarygodne. Ale z pewnością przez te wszystkie lata moje zdolności dostarczyły mi wielu istotnych śladów. Poza tym mam lepiej od innych wykształconą umiejętność wyczuwania niebezpieczeństwa, która wielokrotnie mi się przydała, jak dowiedzie ta opowieść.

Nadszedł czas, by do niej powrócić i zrekonstruować tragiczną historię życia Anthy i narodzin Deirdre.

\* \* \*

## HISTORIA CZAROWNIC MAYFAIR OD 1929 DO DZIŚ

### Antha Mayfair

Wraz ze śmiercią Stelli dla rodziny Mayfairów zakończyła się pewna era. Tragiczne życie córki Stelli, Anthy i jej jedyne dziecko, Deirdre – pozostają okryte tajemnicą do dnia dzisiejszego.

Z upływem lat służba domowa przy ulicy Pierwszej zmniejszyła się do pary cichych, niedostępnych dla obcych i absolutnie lojalnych służących. Budynki, kiedyś przeznaczone na mieszkania dla służby, popadły w ruinę, bo już dłużej

nie potrzebowano pokojówek, stangretów i stajennych.

Kobiety z domu przy ulicy Pierwszej nadal prowadziły życie w odosobnieniu. Belle i Millie Dear stały się „słodkimi starymi damami” z Dzielnicy Ogrodów. Codziennie rano szły na mszę do kaplicy przy ulicy Prytania. Czasem przerywały nużące i nieefektywne prace w ogrodzie, aby pogawędzić z sąsiadkami przechodzącymi za żelaznym ogrodzeniem.

W sześć miesięcy po śmierci matki Anthę wyrzucono z kanadyjskiej szkoły z internatem. Była to ostatnia szkoła, do której miała kiedykolwiek uczęszczać. Prywatny detektyw z zadziwiającą łatwością dowiedział się od nauczycieli, że Antha przerażała umiejętnością czytania myśli, rozmowami z niewidzialnym przyjacielem i groźbami wobec tych, którzy ją wyśmiewali lub gadali za jej plecami. Opisywano ją jako nerwową dziewczynkę, płaczącą bez przerwy, narzekającą na zimno o każdej porze roku, często cierpiącą na długotrwałe gorączki i przeziębienia.

Carlotta Mayfair zabrała Anthę z Kanady do domu pociągiem. Według naszej wiedzy, Antha nie spędziła ani jednej nocy poza ulicą Pierwszą aż do ukończenia siedemnastego roku życia.

Nancy, ponura, mrukliwa, przysadzista młoda kobieta, starsza od Anthy o dwa lata, uczęszczała do szkoły codziennie aż do ukończenia osiemnastu lat. Wtedy została zatrudniona jako archiwistka w kancelarii adwokackiej Carlotty, gdzie pracowała przez cztery lata. Każdego ranka o tej samej porze jak w zegarku maszerowała z Carlottą z ulicy Pierwszej, Kasztanową do alei Świętego Karola, gdzie wsiadały w tramwaj jadący do śródmieścia.

W tym czasie w domu przy ulicy Pierwszej już na stałe zapanowała ponura atmosfera. Nigdy nie otwierano okiennic. Szarofioletowa farba zaczęła się łuszczyć. Ogród za żelaznym ogrodzeniem zarastał chwastami, które kiełkowały między kameliami i gardeniami, którymi tyle lat troskliwie się opiekowano. Kiedy w 1938 wypaliła się do fundamentów stara, pusta stajnia, chwasty szybko wypełniły otwartą przestrzeń z tyłu posiadłości. Wkrótce potem ogień pochłonął

następny zrujnowany budynek, z którego pozostała tylko stara weranda i piękny, rozrośnięty dąb. Jego gałęzie wyciągały się nad zdziczałą trawą w stronę odległego domu.

W 1934 otrzymaliśmy pierwsze informacje od robotników, którzy twierdzili, że nie są w stanie skończyć remontu w tym domu. Bracia Molloy opowiadali wszystkim w barze Korona przy Sklepowej, że nie mogli tam nic pomalować. Za każdym razem, gdy przychodzili, przewracali się drabiny, wylewała farba, a pędzle same się brudziły.

– Było tak chyba ze sześć razy – opowiadał Davey Molloy. – Kubel z farbą zleciał z drabiny i wszystko wylało się na ziemię. Nigdy nie zrzuciłem pełnego kubła! A tak powiedziała panna Carlotta. Mówi do mnie: „Sam to zrobiłeś!” Kiedy przewróciła się drabina, na której właśnie stałem, to wystarczyło. Odszedłem.

Brat Daveya, Thompson Molloy, miał swoją teorię, kto jest za wszystko odpowiedzialny.

– To ten rudowłosy facet. Ten sam, który ciągle na nas patrzył. Spytałem pannę Carlottę, czy nie sądzi, że to on tak robi? Ten facet, co zawsze stoi pod drzewem? Zachowała się tak, jakby nie wiedziała, o czym mówię. A przecież on zawsze na nas patrzył. Próbowaliśmy otynkować ścianę od strony Kasztanowej. Zobaczyłem go, jak zerka na nas przez okiennicę biblioteki. Dostałem gęziej skórki. Kim on jest? Czy to jeden z kuzynów? Już tam nie pracuję. Nie dbam o to, że przyszły na nas ciężkie czasy. Moja noga nigdy więcej nie postanie w tamtym domu.

Następny robotnik, wynajęty tylko do pomalowania czarnych, kutych w żelazie poręczy, opisał takie same „wydarzenia”. Zrezygnował po paru godzinach, w czasie których z dachu bezustannie leciał na niego pył, kurz i zmurszałe dachówki, a do farby wpadały liście.

Do 1935 już wszyscy w dzielnicy irlandzkiej wiedzieli, że nic „w tym starym domu” nie można zrobić. Kiedy w tym roku dwóch młodych ludzi wynajęto do

oczyszczenia basenu, jeden z nich został popchnięty, wpadł do stojącej wody i niemal utonął. Drugi wyciągnął kolegę z najwyższym trudem.

– Prawie nic nie widziałem. Trzymałem go i wrzeszczałem, żeby ktoś mi pomógł. Zanurzaliśmy się coraz bardziej w tym bagnie, a wtedy, dzięki Bogu, złapał się czegoś z boku i uratował mnie. Ta stara kolorowa kobieta, ciotka Easter, wyszła do nas z ręcznikami i krzyczała: „Odejdźcie od basenu. Dajcie sobie spokój z czyszczeniem. Odejdźcie!”

Plotki dotarły nawet do Irwina Dandricha.

– Uważają, że to dom nawiedzony i duch Stelli nie pozwoli nikomu czegokolwiek dotknąć. Tak ma być, jakby cały dom nosił żałobę po Stelli. – Czy Dandrich słyszał o tajemniczym rudowłosym mężczyźnie? – Ja o wszystkim słyszę. Niektórzy twierdzą, że to duch Julienu pilnujący Anthy. Jeśli rzeczywiście jej pilnuje, nie robi tego zbyt dobrze.

Wkrótce potem w *Times Picayune* opublikowano lakoniczną notatkę, opisującą tajemniczą posiadłość, w której nie można przeprowadzić remontu.

Dandrich wyciął z gazety tę informację i przesłał do Londynu. Na marginesie dopisał „jestem gadułą”.

Jeden z naszych detektywów zaprosił reporterkę na lunch. Mówienie o przedmiocie notatki sprawiało jej przyjemność. Przyznała, że chodziło o dom rodziny Mayfairów. Wszyscy o tym wiedzieli. Hydraulik twierdził, że został uwięziony na kilka godzin w piwnicy domu, gdy próbował naprawić rurę. Stracił przytomność. Kiedy ją odzyskał i wy dostał się na zewnątrz, zabrano go do szpitala. Konserwator wezwany do reperacji telefonu w bibliotece zapowiedział, że nigdy więcej jego noga nie stanie w tamtym domu. Utrzymywał, że patrzył na niego jeden z portretów wiszących na ścianie. Poza tym wydawało mu się, że widział w tym pokoju ducha.

– Mogłabym napisać o wiele więcej – stwierdziła młoda kobieta. – Ale właściciele gazety nie chcą zadzierać z Carlottą Mayfair. Czy mówiłam już panu o ogrodniku? Przychodzi tam regularnie kosić trawę. Kiedy do niego

zadzwoiłam, powiedział mi coś niesamowitego: „Och, on nigdy mnie nie zaczepia. Nie wchodzimy sobie w drogę. Przyjaźnimy się ze sobą”. Jak pan sądzi, o kogo mu chodziło? Gdy o to spytałam, odpowiedział mi tak: „Niech tam pani idzie. Zobaczy go pani. Był tam od zawsze. Mój dziadek go widywał. Jest w porządku. Nie może ani chodzić, ani się odzywać. Stoi tylko i patrzy. W jednej chwili go widzisz i nagle znika. Nie zaczepia mnie. Dla mnie jest w porządku. Dostaję mnóstwo pieniędzy za pracę. Zawsze tam pracowałem. Mnie nie przeraża”.

Rodzina w tym czasie lekceważyła „historie o duchach”. Podobnie postępowali wszyscy znajomi. Tak twierdził Dandrich, chociaż sugerował, że ci ludzie są naiwni.

– Sądzę, że to Carlotta rozpuszczała te głupie opowiadki o duchach – powiedział po latach jeden z kuzynów. – Chciała trzymać wszystkich z daleka. Kiedy je słyszeliśmy, śmieliśmy się do rozpuku.

– Duchy przy ulicy Pierwszej? To Carlotta ponosiła odpowiedzialność za ruinę domu. Zawsze skąpiła pieniędzy. Na tym polegała różnica między nią a jej matką.

Bez względu na opinię krewnych i znajomych, księża w parafii redemptorystów wysłuchali niezliczonych opowieści o duchach i tajemniczych szykanach w domu przy ulicy Pierwszej. Ojciec Lafferty odwiedzał ten dom regularnie. Powszechnie uważano, że nie pozwoliliby, aby go odprawiono z kwitkiem.

Jego siostra powiedziała jednemu z naszych detektywów:

– Mój brat wiele wiedział o tym, co tam się działo, ale nigdy nie plotkował na ten temat. Pytałam, jak się czuje Antha, ale mi nie odpowiadał. Byłam pewna jednak, że ją widuje. Wchodził do domu. Gdy Antha umarła, przyszedł w niedzielę, usiadł przy kuchennym stole, położył głowę na rękach i rozplakał się. Ten jeden, jedyny raz widziałam mojego brata, ojca Thomasa Lafferty’ego załamanego i płaczącego.

Rodzina martwiła się o Anthę. Oficjalnie uważano, że jest „szalona”, a Carlotta ciągle zabiera ją do psychiatrów, ale to nic nie daje. Dziecko było w stanie nieodwracalnego szoku spowodowanego zastrzeleniem matki. Żyła w świecie urojeń, pełnym duchów i niewidzialnych towarzyszy zabaw. Ciągle musiała być pod opieką, nie mogła sama wyjść z domu.

Otrzymaliśmy informacje, że kuzyni często dzwonili do Cortlanda Mayfaira z prośbą, aby sprawdził, co się dzieje z Anthą, ale ten nie był już mile widzianym gościem przy ulicy Pierwszej. Sąsiedzi twierdzili, że kilkakrotnie nie wpuszczono go do domu.

– Zwykle pojawiał się w Wigilię Bożego Narodzenia – w wiele lat później opowiadał jeden z sąsiadów. – Podjeżdżał samochodem do frontowej bramy. Jego kierowca wysiadał i otwierał drzwi, a potem wyjmował prezenty z bagażnika. Całą górę prezentów. Carlotta wychodziła na schody i na schodach podawała mu rękę. Nigdy nie wchodził do środka.

Talamasca nigdy nie odnalazła żadnego dokumentu napisanego przez lekarza opiekującego się Anthą. Należy wątpić, czy kiedyś zabrano Anthę gdziekolwiek indziej niż na mszę w niedzielę. Sąsiedzi często widywali ją w ogrodzie przy Pierwszej.

Czytała książki pod wielkim dębem z tyłu posiadłości. Godzinami siedziała na bocznej werandzie z łokciami opartymi na kolanach.

Pokojówka pracująca po drugiej stronie ulicy opowiadała, że widywała ją, jak rozmawiała z tym mężczyzną, wie pan, z tym rudowłosym. Zawsze tam przy niej jest, opiekuje się nią, to chyba jeden z kuzynów; i tak ładnie się ubiera.

Gdy Antha skończyła piętnaście lat, czasami wychodziła poza furtkę. Listonosz wspominał, że widywał ją często – chudą dziewczynkę o rozmarzonym wyrazie twarzy – spacerującą samotnie ulicami. Czasem towarzyszył jej „przystojny gość”. Miał rude włosy i brązowe oczy, zawsze był ubrany w długą marynarkę i krawat.

– Lubili mnie straszyć – mówił mleczarz. – Pewnego razu wychodziłem z

domu doktora Milтона przy ulicy Drugiej i gwizdałem sobie, gdy nagle zjawili się przede mną, tuż pod magnolią; stali w cieniu, ona zupełnie nieruchoma, a on obok niej. Prawie na nich wpadłem. Chyba coś do siebie szeptali. Może ją tak samo wystraszyłem jak ona mnie.

W naszych archiwach nie ma zdjęć z tego okresu, ale wszyscy świadkowie twierdzą, że Antha była bardzo ładna.

– Miała takie nieobecne spojrzenie – twierdziła kobieta, która widywała Anthę w kaplicy. – Brakowało jej energii Stelli, wydawała się zawsze pogrążona w marzeniach i, mówiąc szczerze, było mi jej żal, że żyje tak całkiem sama w tamtym domu z tymi okropnymi kobietami. Proszę nigdzie nie cytować moich słów, ale ta Carlotta to podła osoba. Naprawdę. Moja pokojówka i kucharka wszystko o niej wiedziały. Mówiły mi, że potrafiła złapać dziewczynkę za rękę wbijając jej w skórę paznokcie.

Irwin Dandrich informował, że starzy przyjaciele Stelli próbowali od czasu do czasu odwiedzić Anthę. Odprawiano ich od drzwi.

„Nancy i ta kolorowa kobieta, ciotka Easter nie wpuszczają nikogo do środka”, napisał do Londynu Dandrich. „Mówi się, że Antha jest w rzeczywistości więźniem w tym domu”.

Praktycznie nie mamy żadnych informacji o życiu Anthy w latach 1930-1938. Wygląda na to, że rodzina też niewiele o niej wiedziała. Ale możemy z całym przekonaniem twierdzić, że wzmianki o „rudowłosym mężczyźnie” dotyczą Lashera. Jeśli są one prawdziwe, to w tym okresie widywano go o wiele częściej niż przez wszystkie poprzednie dziesięciolecia.

Rzeczywiście Lashera widuje się teraz tak często, że nasi detektywi przyzwyczaili się do bazgrania notatek takich jak: „Pokojówka pracująca przy Trzeciej mówi, że widziała spacerujących razem Anthę i tego mężczyznę” lub „Kobieta zobaczyła na rogu Pierwszej i Prytania Anthę. Stała pod dębem i rozmawiała z mężczyzną...”

W domu przy Pierwszej zapanowała atmosfera mrocznej tajemnicy nawet



dla potomków Remy Mayfaira, sióstr i braci Suzette, którzy kiedyś byli ze sobą bardzo zżyci.

W kwietniu 1938 sąsiedzi byli świadkami burzliwej kłótni rodzinnej przy ulicy Pierwszej. Słyszano brzęk wybijanych szyb i krzyki. Zobaczono zdenerwowaną młodą kobietę, która ściskając torebkę wybiegła przez frontową bramę w stronę alei Świętego Karola. Bez najmniejszej wątpliwości była to Antha. Nawet sąsiedzi to wiedzieli. Przyglądali się temu zza koronkowych firanek. Niedługo potem podjechał wóz policyjny. Carlotta podeszła do krawężnika, aby pogawędzić z policjantami. Odjechali natychmiast z włączoną syreną, najwyraźniej rzucili się w pogoń za uciekinierką.

Tej nocy Carlotta zadzwoniła do Mayfairów z Nowego Jorku. Poinformowała ich, że Antha uciekła z domu i wyruszyła na Manhattan. Zapytała, czy pomogą w poszukiwaniach? Kuzyni z Nowego Jorku powiadomili dalszą rodzinę z Nowego Orleanu. Krewni dzwonili do krewnych. Po kilku dniach Irwin Dandrich napisał do Londynu, że „biedna mała Antha” wyrwała się na wolność. Uciekła do Nowego Jorku. Jak daleko dotrze?

Jak się okazało, Antha dotarła dość daleko.

Przez wiele miesięcy nikt nie wiedział, gdzie obraca się Antha Mayfair. Ani policji, ani prywatnym detektywom, ani członkom rodziny nie udało się znaleźć jej śladu. Carlotta trzykrotnie przyjeżdżała do Nowego Jorku. Proponowała wysoką nagrodę każdemu w komendzie głównej nowojorskiej policji, kto mógłby pomóc w poszukiwaniach. Zadzwoniła do Amandy Grady Mayfair, która właśnie opuściła męża, Cortlanda. Carlotta groziła Amandzie.

Później Amanda opowiedziała naszemu informatorowi, że „było to naprawdę okropne. Zażądała, żebym zjadła z nią lunch w hotelu Waldorf. Oczywiście, nie chciałam. Wolałabym raczej wejść do klatki w zoo i zjeść obiad z lwem. Ale wiedziałam, że martwi się o Anchę, a ja chciałam jej powiedzieć, że to ona zmusiła Anchę do ucieczki i nie powinna izolować biednej dziewczyny od jej wujów, ciotek i kuzynów, którzy ją kochają. Jednak gdy tylko usiadłam przy

stole, zaczęła mi grozić. «Powiem ci jedno, Amando. Jeśli pomagasz Ancie, mogę ci narobić niewiarygodnych kłopotów». Chciałam chlusnąć jej winem w twarz. Byłam wściekła. Odpowiedziałam jej: «Carlotto Mayfair, nigdy więcej nie odzywaj się do mnie. Nie dzwoń, nie pisz ani nie odwiedzaj w domu. Miałam ciebie dość w Nowym Orleanie. Miałam dość po tym, jak postąpiliście z Piercem i Cortlandem. Nie zbliżaj się do mnie nigdy więcej». Mówię panu, gdy wychodziłam z hotelu, dymiło mi z uszu. Wie pan, to zwykły sposób postępowania Carlotty. Jak tylko cię zobaczy, natychmiast oskarża. Robi to od lat. W ten sposób nikt nie ma szans oskarżyć jej o cokolwiek”.

Zimą 1939 nasi detektywi bez trudu zlokalizowali Anchę. Elaine Barrett, prowadząca badania nad czarownicami, w trakcie rutynowego spotkania z Evanem Nevillem stwierdziła, że Antha musi finansować ucieczkę słynnymi klejnotami i złotymi monetami rodziny Mayfairów. Może by tak poszukać jej przez antykwariaty w Nowym Jorku, gdzie takie rzeczy łatwo sprzedać? Odnaleźliśmy Anchę w miesiąc.

Od przyjazdu sprzedawała rzadkie złote monety. Każdy numizmatyk w Nowym Jorku znał tę piękną młodą kobietę o wytwornych manierach i radosnym uśmiechu. Zawsze przynosiła najrzadsze egzemplarze, jak twierdziła, należące do rodzinnej kolekcji z Wirginii.

– Z początku myślałem, że to kradzione – przyznał antykwariusz. – Były to trzy francuskie monety w świetnym stanie. Nigdy takich nie widziałem. Zapłaciłem jej niewielką część ich prawdziwej wartości i czekałem. Nic się nie wydarzyło... Jak tylko odsprzedałem monety, zachowałem dla niej procent. Kiedy przyniosła mi przecudne rzymskie monety, dałem jej tyle, ile rzeczywiście były warte. Teraz pojawia się u mnie regularnie. Prawdę mówiąc, wolę robić interesy z nią niż z innymi, co tu przychodzą.

Detektywi poszli więc za Anchę z jednego z antykwariatów do wygodnego apartamentu przy ulicy Krzysztofa w Greenwich Village. Mieszkała tam z Seanem Lacym, przystojnym młodym malarzem irlandzkiego pochodzenia.

Dobrze się zapowiadał i wystawiał swoje prace przy życzliwych opiniach krytyki. Antha została pisarką. Wszyscy w tym budynku i okolicy znali tę parę. Nasi detektywi zebrali w krótkim czasie całą masę informacji.

Przyjaciele twierdzili otwarcie, że to Antha utrzymuje Seana. Kupuje mu wszystko, czego zapragnie, a on traktuje ją jak królową.

– Nazywa ją pięknnością z Południa. Zrobiłby dla niej wszystko. Zresztą dlaczego miałoby być inaczej?

Apartament był „cudowny”. Półki z książkami sięgające sufitu i wielkie, wygodne fotele.

– Sean nigdy nie malował tak dobrze. Zrobił jej trzy portrety, wszystkie bardzo interesujące. Maszyna do pisania Anthy stuka bez przerwy. Słyszałem, że sprzedała opowiadanie jakiemuś małemu literackiemu magazynowi w Ohio. Wydali z tej okazji przyjęcie. Była taka szczęśliwa. To trochę naiwny, ale miły dzieciak.

– Jej teksty byłyby całkiem dobre, gdyby pisała o tym, co dobrze zna – powiedziała w barze młoda kobieta, która twierdziła, że była kiedyś kochanką Seana. – Ale ona snuje te ponure fantazje o starym domu w Nowym Orleanie, gdzie wszystko jest w kolorze fioleto i mieszka tam duch. Bardzo wyrafinowane i trudne do sprzedania. Powinna odejść od tych niemodnych opowieści i pisać o swoich doświadczeniach z życia w Nowym Jorku.

Sąsiedzi lubili młodą parę.

– Ona nie umie gotować ani nic zrobić w domu – opowiadała malarka mieszkająca nad nimi. – Ale czy musi? Płaci wszystkie rachunki bez targowania. Kiedyś spytałam Seana, skąd Antha bierze pieniądze. Powiedział, że ona ma niewyczerpane źródło. Wystarczy tylko sięgnąć. A potem się roześmiał.

Zimą 1940 Elaine Barrett napisała z Londynu list ponaglący naszego najlepszego detektywa, aby spróbował porozmawiać z Anthą. Elaine chciała osobiście udać się do Nowego Jorku, ale jej wyjazd nie wchodził w rachubę. Dlatego rozmawiała przez telefon z Allanem Carverem, łagodnym i

wykształconym człowiekiem, który pracował dla nas od wielu lat. Carver ubierał się elegancko i miał dobre maniery. Skończył właśnie pięćdziesiąt lat. Z łatwością nawiązał kontakt z Anthą. Stwierdził, że była to przyjemność.

„Poszedłem za Anthą do Muzeum Sztuki Metropolitan. Natknąłem się na nią, gdy usiadła przed obrazem Rembrandta. Patrzyła na dzieło, zatopiona w myślach. Jest ładna, bardzo ładna, ale ubiera się niekonwencjonalnie. Tego dnia rozpuściła włosy i miała na sobie wyłącznie wełniane ubranie. Usiadłem obok niej. Mignąłem przed oczami tomem opowiadań Hemingwaya i wciągnąłem dziewczynę w rozmowę na jego temat. Czytała Hemingwaya i wręcz przepadała za nim. Czy podoba jej się Rembrandt? O tak, bardzo. A Nowy Jork? Uwielbia tu mieszkać. Nie chciałaby mieszkać gdzie indziej. To miasto ma, jej zdaniem, osobowość. Nigdy nie była tak szczęśliwa jak teraz.

Nie miałem żadnej szansy zaproszenia jej dokądkolwiek. Cały czas pilnowała się, zachowywała dystans. Dlatego próbowałem jak najszybciej się czegoś dowiedzieć.

Skłoniłem ją do mówienia o sobie, o jej życiu, mężu i pisaniu. Zawsze chciała zostać pisarką. Sean też chce, by tworzyła, ponieważ Sean dopiero wtedy będzie w pełni szczęśliwy, gdy i ona odniesie sukces. «Wie pan, mogę zostać tylko pisarką. W ogóle nie jestem przygotowana do robienia czegokolwiek innego. Gdyby prowadził pan takie życie jak ja kiedyś, też by pan się do niczego nie nadawał. Tylko pisanie może mnie ocalić». Mówiła w sposób naprawdę wzruszający. Wydawała się bezradna i absolutnie szczerą. Gdybym był o trzydzieści lat młodszy, natychmiast bym ją pokochał.

– A jakie prowadziła pani życie? – naciskałem. – Nie mogę rozpoznać akcentu, chociaż jestem pewien, że nie pochodzi pani z Nowego Jorku.

– Pochodzę z Południa – odparła. – To inny świat. – Nagle posmutniała. Jakby coś ją rozdrażniło. – Chcę o tym wszystkim zapomnieć. Proszę mi wybaczyć, mam zasadę pisać o mojej przeszłości, ale nic o niej nie mówić. Nie pozwolę jej tutaj ożyć, poza sztuką, jeśli rozumie pan, o co mi chodzi...

Wydawała mi się mądra i ciekawa. Polubiłem ją. Nie potrafię nawet powiedzieć jak bardzo. A wiecie przecież, że w moim zawodzie bardzo łatwo przyzwyczaić się do bezdusznego wykorzystywania ludzi.

– Och, niech mi pani opowie, o czym pani pisze – poprosiłem. – Po prostu niech mi pani streści swoje opowiadanie albo wyrecytuje wiersz.

– Jeśli są dobre, to pewnego dnia pan je przeczyta – odpowiedziała uśmiechając się na pożegnanie i odeszła. Sądzę, że stała się podejrzliwa. Przez cały czas naszej rozmowy rozglądała się nerwowo. W pewnej chwili zapytałem, czy na kogoś czeka. Powiedziała, że nie, «ale nigdy nie wiadomo». Zachowywała się tak, jakby czuła, że ktoś ją obserwuje. Oczywiście, przez cały czas patrzyli na nią nasi ludzie. Zrobiło mi się nieprzyjemnie”.

Przez kilka następnych miesięcy nadchodziły raporty, że Sean i Antha są szczęśliwi. Sean, wysoki, mocno zbudowany mężczyzna z rozczulającym poczuciem humoru, miał indywidualną wystawę w Village i odniósł znaczący sukces. *The New Yorker* wydrukował krótki wiersz Anthy (siedem linijek). Młodzi byli niewypowiedzianie szczęśliwi. Dopiero w kwietniu 1941 zmienił się ton informacji.

– Jest w ciąży – powiedziała malarka z góry. – W przeciwieństwie do Seana, ona pragnie tego dziecka. Bóg jeden wie, co się stanie. Sean zna lekarza, który może się wszystkim zająć, ale Antha nie chce o tym słyszeć. Nie mogę patrzeć, przez co Antha przechodzi. Jest zbyt delikatna. Słyszę, jak płacze nocami.

Pierwszego lipca Sean Lacy zginął w wypadku samochodowym (z powodu mechanicznej usterki), gdy wracał z odwiedzin u niedomagającej matki. Anthę w szoku musiano przewieźć do szpitala Bellevue.

– Nie wiedzieliśmy, co zrobić – mówiła malarka. – Płakała bez przerwy osiem godzin. W końcu zadzwoniliśmy do Bellevue. Nigdy się nie dowiem, czy postąpiliśmy słusznie.

Dokumenty z Bellevue wskazują, że Antha natychmiast po przywiezieniu przestała płakać, mówić, poruszać się. Przez tydzień pozostawała w

kompletnym bezruchu. Potem napisała na skrawku papieru imię i nazwisko „Cortland Mayfair” oraz „adwokat, Nowy Orlean”. Skontaktowano się z firmą Cortlanda o dziesiątej trzydzieści następnego dnia, a ten natychmiast zadzwonił do swojej żony, z którą pozostawał w separacji, Amandy Grady Mayfair i ubłagał ją, by pojechała do Bellevue i zaopiekowała się Anthą do jego przyjazdu.

Wtedy rozpoczęła się okrutna batalia między Cortlandem a Carlottą. Cortland twierdził, że to on właśnie powinien zaopiekować się Anthą, bo posłała po niego. Podobno Carlotta i Cortland wsiedli razem do pociągu do Nowego Jorku, by zabrać Anthę i przywieźć do domu.

Przy obiedzie z dużą ilością alkoholu i zwierzeń, Amanda Grady Mayfair podzieliła się całą historią ze swoim przyjacielem (a naszym informatorem) Allanem Carverem, który postarał się dowiedzieć jak najwięcej o starej rodzinie Amandy z Południa i jej niesamowitym postępowaniu.

– To było po prostu okropne. Antha nie mogła mówić. Próbowала coś powiedzieć, lecz tylko mamrotała. Była taka delikatna. Śmierć Seana kompletnie ją załamała. Po dwudziestu czterech godzinach napisała adres w Greenwich Village. Natychmiast pojechałam po rzeczy Anthy z Olliem Mayfairem. Znasz go, to jeden z wnuków Remy’ego. Co za przykra sytuacja. Sądziłam, że skoro Antha była żoną Seana, to wszystkie jego obrazy należą do niej. Ale przyszli sąsiedzi i powiedzieli nam, że oni nigdy się nie pobrali. Matka Seana i jego brat już tam byli. Sprowadzili ciężarówkę, aby wszystko zabrać. Wydaje mi się, że matka Seana nienawidziła Anthy, bo wierzyła, że to ona wprowadziła jej syna w artystyczne kręgi Greenwich Village.

Powiedziałam, że mogą wziąć wszystko, ale nie zabiorą portretów Anthy. Spakowaliśmy obrazy, jej ubrania, drobiazgi i starą aksamitną sakiewkę ze złotymi monetami. Nie mów mi, że nigdy o niej nie słyszałeś, przecież znasz rodzinę Mayfairów. Zabraliśmy też wszystkie jej maszynopisy – opowiadania, rozdziały powieści, kilka wierszy. Wiesz, dopiero później dowiedziałam się, że

opublikowała wiersz w *The New Yorker*. Pierce poszedł do biblioteki i sprawdził. Utwór był bardzo krótki. Coś o padającym śniegu i o muzeum w parku. Prawdę mówiąc, nie nazwałabym tych kilku linijek wierszem. Raczej mały kawałek życia. Ale wydrukowała go w *The New Yorkerze*. Zabieranie rzeczy z mieszkania było takie przykre. Wiesz, niszczenie życia.

Kiedy wróciłam do szpitala, Carlotta i Cortland już tam byli. Kłócili się ze sobą na korytarzu. Musiałbyś zobaczyć i usłyszeć tę kłótnię między Carlą i Cortem, żeby w nią uwierzyć. Nic tylko szept, nieznaczne gesty i zaciśnięte wargi. To było naprawdę coś. Stali tam rozmawiając ze sobą w ten sposób, a ja wiedziałam, że są gotowi się pozabijać.

– Wiecie, że ona jest w ciąży? – zapytałam. – Czy lekarze wam powiedzieli?

– Powinna się tego pozbyć – stwierdziła Carla. Myślałam, że Cortland padnie trupem. Byłam tak wstrząśnięta, że nie wiedziałam, co powiedzieć. Nienawidzę Carlotty. Nie dbam o opinię innych. Nienawidzę jej. Nienawidziłam jej całe życie. Na myśl o tym, że Antha jest z nią teraz sama, ogarnia mnie przerażenie. Ta dziewczyna potrzebuje opieki, powiedziałam do Cortlanda, nie zwracając uwagi na Carlę.

Cortland od samego początku próbował uzyskać prawną opiekę nad Anthą. Carlotta zagroziła mu, że wystąpi przeciw niemu i wyjawি wszystkie najbardziej ohydne informacje o nas. Och, jest straszna. Cortland zrezygnował. Chyba wiedział, że nie będzie miał szansy opiekowania się Anthą.

– Antha jest już dorosłą kobietą – wtrąciłam się. – Zapytajcie jej samej, dokąd chce jechać. Jeśli pragnie zostać w Nowym Jorku, może zamieszkać ze mną. Albo u Olliego. – Bez szans!

Carlotta przystąpiła do rozmów z lekarzami. Rutynowe działania. Jakoś się jej udało zorganizować oficjalne przeniesienie Anthy do szpitala psychiatrycznego w Nowym Orleanie. Ignorowała Cortlanda, jakby go tam w ogóle nie było. Zaczęłam telefonować do wszystkich kuzynów w Nowym Orleanie. Skontaktowałam się nawet z młodą Beatrice Mayfair – wnuczką

Remy'ego. Powiedziałam, że to dziecko jest chore i potrzebuje troskliwej opieki.

Wtedy stała się najsmutniejsza rzecz w tej historii. Gdy zabierali Anthę na stację kolejową, gestem przywołała mnie do siebie. Wyszepiała mi do ucha: „Ocal moje rzeczy dla mnie, proszę, ciociu Mandy. Jeśli tego nie zrobisz, ona wszystko wyrzuci”.

I pomyśleć, że już wysłałam cały dobytek Anthy z powrotem do Nowego Orleanu. Zadzwoiłam do mojego syna, Sheffielda i opowiedziałam mu o tym. Poprosiłam Sheffa, żeby zrobił co może dla Anthy, gdy tylko wróci.

Antha podróżowała do Luizjany pociągiem w towarzystwie wuja i ciotki. Po przyjeździe została natychmiast przyjęta do kliniki psychiatrycznej świętej Anny, gdzie przebywała sześć tygodni. Odwiedzali ją licznie kuzyni. Z krążących plotek wiadomo było, że Antha jest blada i czasami trochę nieobecna, ale czuje się nieźle.

W Nowym Jorku nasz detektyw Allan Carver zorganizował następne spotkanie z Amandą Grady Mayfair.

– Jak się miewa siostrzeniczka?

– Och, mogłabym opowiedzieć ci straszną historię! – zaczęła Amandą Grady Mayfair. – Nie potrafisz sobie nawet tego wyobrazić. Czy wiesz, że ciotka tej dziewczyny powiedziała lekarzom, że żąda, aby usunęli dziecko Anthy, bo przyszła matka jest nieuleczalnie chora umysłowo i nie wolno jej urodzić dziecka? Czy słyszałeś o czymś potworniejszym? Kiedy mój mąż mi o tym opowiedział, zagroziłam mu, że jeśli teraz czegoś nie zrobi, to nigdy mu tego nie wybaczę. Odrzekł, że nikt nie ma zamiaru skrzywdzić tego dziecka. Lekarze nie zechcą zrobić nic takiego ani dla Carlotty, ani dla nikogo innego. Kiedy więc zadzwoniłam do Beatrice Mayfair i opowiedziałam jej o wszystkim, Cortland był wściekły.

– Nie wzywaj wszystkich na pomoc! – wrzeszczał do mnie. Ale miałam właśnie taki zamiar. Powiedziałam do Bei:



– Odwiedź ją. Nie pozwól nikomu, aby cię powstrzymał.

Talamasce nigdy nie udało się sprawdzić tej historii o proponowanej aborcji. Ale pielęgniarki z kliniki świętej Anny mówiły później naszym detektywom, że dziesiątki kuzynów Mayfair przychodziły odwiedzić Anthę.

„Nie uznają odpowiedzi odmownej”, pisał Irwin Dandrich. „Upierają się, że chcą ją zobaczyć”. Informacje są zgodne, że Antha czuje się dobrze. Cieszy się z dziecka. Oczywiście, rodzina obrzuciła ją prezentami. Jej kuzynka, Beatrice przyniosła koronkowe ubranka, które kiedyś należały do czyjejś praciotki – Suzette. Naturalnie wszyscy wiedzieli, że Antha nigdy nie poślubiła tego artysty z Nowego Jorku, ale co to miało za znaczenie, jeśli nosisz nazwisko Mayfair, zawsze będziesz się nazywać Mayfair.

Kuzyni dowiedli, że potrafią być równie natarczywi, gdy Anthę wypuszczono z kliniki świętej Anny i wróciła do domu przy ulicy Pierwszej na rekonwalescencję. Ulokowano ją w dawnej sypialni Stelli w północnym skrzydle budynku. Przez całą dobę otaczały ją pielęgniarki. Nasi detektywi nie mieli żadnych trudności z wydobyciem od nich informacji.

Dom opisywano jako „niewiarygodnie okropny”. Ale Millie Dear i Belle wspaniale opiekowały się Anthą. Właściwie nie zostawiały pielęgniarkom zbyt wiele do roboty. Millie siedziała z nią przez cały czas na małym ganeczku znajdującym się przy sypialni, a Belle dziergała na drutach śliczne ubranka dla dziecka.

Cortland przyjeżdżał co wieczór po pracy.

– Pani domu niechętnie go tam widziała, jestem tego pewna – mówiła pielęgniarka. – Ale przychodził. Niezawodnie. On i jeszcze jeden młody dżentelmen. Chyba nazywał się Sheffield. Siedzieli z pacjentką wieczorem i rozmawiali.

Dowiedzieliśmy się od rodziny, że Sheffield przeczytał maszynopisy Anthy i uznał jej prace za „bardzo dobre”. Pielęgniarki opowiadały o pudłach z książkami i papierami. Antha je przejrzała, ale była zbyt słaba, by wszystko

rozpakować.

– Doprawdy nie wiem, co jest z nią nie w porządku – stwierdziła jedna z pielęgniarek. – Pani Carlotta wyciąga nas na korytarz i zadaje dziwne pytania. Sugeruje, że Antha jest obłąkana, że komuś może zrobić krzywdę. Ale nam lekarze nic o tym nie mówili. To spokojna, łagodna dziewczyna. Wygląda i zachowuje się jak ktoś znacznie młodszy. Ale nie mogę powiedzieć, że jest szalona.

Deirdre Mayfair urodziła się czwartego października 1941 roku w starym szpitalu Miłosierdzia nad rzeką, który później zburzono. Poród nie był zbyt trudny, ale Anthę poddano narkozie, zgodnie ze sztuką lekarską tamtych czasów. Przedstawiciele rodziny Mayfairów tłoczyli się na korytarzach szpitala w godzinach odwiedzin przez całe pięć dni, które Antha tam spędziła. Jej pokój wypełniały kwiaty. Urodziła śliczną, zdrową dziewczynkę.

Niestety, przepływ informacji, których ilość niezwykle wzrosła po zaangażowaniu się Amandy Grady Mayfair, został raptownie zahamowany po dwóch tygodniach od powrotu Anthy do domu.

Gdy kuzyni przyszli, aby po raz drugi czy trzeci odwiedzić Anthę, odprawiała ich od drzwi Nancy lub czarna pokojówka, ciotka Easter. Nancy porzuciła pracę archiwistki, aby zająć się dzieckiem („Lub nas do niego nie dopuścić” – powiedziała Beatrice Amandzie w trakcie międzymiastowej rozmowy). Była nieugięta. Twierdziła, że nie wolno zakłócać spokoju matce i dziecku.

Kiedy Beatrice zadzwoniła, aby dowiedzieć się o chrzest maleństwa, poinformowano ją, że już się odbył w kościele świętego Alfonsa. Oburzona zatelefonowała do Nowego Jorku. Ze dwudziestu kuzynów „wdarło się” do domu w niedzielne popołudnie.

– Antha była szczęśliwa, że ich widzi! – powiedziała Amanda Allanowi Craverowi. – Po prostu zachwycona. Nie miała pojęcia, że dzwonili i przychodzili z odwiedzinami. Nikt jej nic nie powiedział. Nie zdawała sobie

sprawy, że z okazji chrzcin wydaje się przyjęcie. Carlotta wszystko zorganizowała. Antha poczuła się urażona, gdy zrozumiała, co zaszło. Wszyscy natychmiast zmienili temat. Beatrice była wściekła na Nancy, ale ona robi to, co każe jej Carlotta.

Trzydziestego października tego roku Antha została oficjalnie uznana za prawną spadkobierczynię i zarządzającą majątkiem rodziny Mayfairów. Podpisała upoważnienie wskazując Cortlanda i Sheffielda Mayfairów jako jej prawnych przedstawicieli we wszystkich kwestiach finansowych. Zażądała, aby natychmiast ustanowili fundusz na odnowienie domu przy ulicy Pierwszej. Wyraziła zaniepokojenie stanem całej posiadłości.

Otrzymaliśmy informację, iż Anthę oszołomiło odkrycie, że jest właścicielką domu. Nie miała o tym pojęcia. Chciała wszystko pomalować, przemeblować, zmienić.

Carlotta nie uczestniczyła w spotkaniu Anthy z wujami. W imieniu podopiecznej zażądała od kancelarii Mayfair & Mayfair dostarczenia jej pełnego sprawozdania ze wszystkiego, co zostało zrobione od dnia śmierci Stelli. Stwierdziła, że ostatnie raporty są niepełne. Odmówiła wzięcia udziału w jakiegokolwiek prawnej dyskusji do chwili otrzymania sprawozdania „do przejrzania”.

Później Sheffield powiedział swojej matce, Amandzie, że Anthę celowo wprowadzono w błąd w kwestii spadku. Wydawała się urażona i nawet trochę oburzona, gdy jej wszystko wytłumaczono.

Carlotta wyrządziła jej krzywdę. Antha powiedziała tylko, że prawdopodobnie ciotka miała na uwadze jej dobro.

By uczcić chrzciny dziecka, wszyscy wybrali się na późny lunch do restauracji Galatoire's. Antha była niespokojna, że zostawia dziecko w domu, ale chyba dobrze się bawiła. Gdy wychodzili, Sheffield usłyszał, jak Antha pyta jego ojca:

– Czy to znaczy, że nie mogła wyrzucić mnie z domu, nawet gdyby chciała?

Nie mogła wyrzucić mnie na ulicę?

– To twój dom, *ma cherie* – odparł Cortland. – Carlotta ma pozwolenie na mieszkanie tutaj, ale ta kwestia zależy wyłącznie od ciebie.

Antha miała smutną minę.

– Kiedyś często mi groziła – powiedziała cicho. – Mówiła, że mnie wypędzi, jeśli nie będę robiła tego, co mi każe.

Cortland zabrał Anthę z przyjęcia i odwiózł do domu.

Kilka dni później Antha wzięła dziecko ze sobą na lunch z Beatrice Mayfair. Poszły do modnej restauracji w Dzielnicy Francuskiej. Pielęgniarka zabrała dziewczynkę na spacer w ślicznym wózku z białej wikliny, gdy tymczasem Antha z Beatrice z przyjemnością jadły rybę popijając winem. Później Beatrice opisała wszystko Amandzie. Stwierdziła, że Antha stała się kobietą, znowu zaczęła pisać. Pracowała nad powieścią i miała zamiar całkowicie zmodernizować dom przy ulicy Pierwszej.

Chciała wyremontować basen. Czasami wspominała Stellę. Mówiła, jak bardzo jej matka lubiła huczne przyjęcia. Wydawała się pełna życia.

Zwrócono się do kilku firm, aby przygotowały kosztorys „remontu generalnego, wliczając w to malowanie, prace stolarskie i murarskie”. Sąsiedzi byli zachwyceni, gdy usłyszeli tę wiadomość od służby. Dandrich napisał, że nawiązano kontakt ze znanym biurem projektów w sprawie przebudowy po wozowni.

W połowie listopada Antha napisała krótki list do Amandy Grady Mayfair z podziękowaniem za pomoc w Nowym Jorku. Wyraziła wdzięczność za przekazywanie poczty z Greenwich Village. Dodała, że pisze teraz opowiadania i znowu pracuje nad powieścią.

Gdy dziesiątego grudnia o dziewiętej rano listonosz Bordreaux w trakcie zwykłego obchodu mijał jej dom, Antha czekała na niego przy furtce. Miała przy sobie kilka dużych żółtych kopert do wysłania do Nowego Jorku. Chciała od niego kupić znaczki. Powiedziała, że nie może zostawić dziecka, aby pójść

na pocztę. Spróbowali ustalić wagę przesyłek. Listonosz zabrał je ze sobą. Antha dała mu kilka zwykłych listów z różnymi adresami w Nowym Jorku.

– Była bardzo podekscytowana – mówił. – Chciała zostać wielką pisarką. Taka słodka dziewczyna! Nigdy jej nie zapomnę. Powiedziałem, że w końcu mamy wojnę. Wspomniałem też o zbombardowaniu Pearl Harbor i moim synu, który poprzedniego dnia zaciągnął się do wojska. I wiesz co? Nic o tym nie słyszała. Nie wiedziała o bombardowaniu ani o wojnie. Jakby żyła we śnie.

Ta „słodka dziewczyna” umarła tego samego popołudnia. Kiedy listonosz roznosił popołudniową prasę o trzeciej trzydzieści, nad Dzielnicę Ogrodów nadciągnęły chmury. Lało jak z cebra. Ale w ogrodzie Mayfairów zgromadził się tłum ludzi, a na środku ulicy stał samochód przedsiębiorcy pogrzebowego. Wiał ostry, przenikliwy wiatr. Listonosz Bordreaux kręcił się w pobliżu mimo brzydkiej pogody.

– Panna Belle łkała na werandzie. A panna Millie próbowała mi opowiedzieć, co się stało, ale nie mogła wymówić słowa. Wtedy panna Nancy podeszła do ogrodzenia i nakrzyczała na mnie. „Niech pan stąd idzie, Bordreaux. Mamy śmierć w domu. Niech pan stąd idzie i schroni się przed deszczem”.

Bordreaux przeszedł przez ulicę i znalazł schronienie pod daszkiem sąsiedniego domu. Gospodyni powiedziała mu przez drzwi, że to Antha Mayfair nie żyje. Spadła z trzeciego piętra z daszku nad werandą.

– Zerwała się straszna burza – mówił listonosz – „prawdziwy huragan”. – A jednak został pod daszkiem i patrzył, jak zaniecono ciało do wozu firmy pogrzebowej. Był tam Red Lonigan i jego kuzyn, Leroy Lonigan. Samochód odjechał. W końcu Bordreaux wrócił do roznoszenia poczty. Gdy tylko doszedł do ulicy Prytania, pogoda się poprawiła. Gdy następnego dnia znów pojawił się w okolicy Pierwszej, chodniki pokrywała warstwa liści. Bordreaux był ostatnim człowiekiem, który widział Anthę i rozmawiał z nią.

Przez lata Talamsca zebrała wiele opowieści opisujących śmierć Anthy, ale

nigdy nie dowiemy się, co naprawdę zaszło po południu dziesiątego października 1941 w domu przy ulicy Pierwszej.

Pielęgniarka opiekująca się dzieckiem, starsza kobieta – Alice Flanagan – zadzwoniła rano, że nie przyjdzie, bo jest chora.

Z raportów policyjnych, lakonicznych wypowiedzi rodziny Lonigan oraz księży z parafii wiadomo, że przed trzecią Antha wyskoczyła albo spadła z daszku przy oknie dawnego pokoju Julienu.

Wersja Carlotty uzyskana z tych samych źródeł była następująca:

Kłóciła się z Anthą o dziecko, bo Antha zaniedbała je do tego stopnia, że przestała je karmić.

– Nie była przygotowana do macierzyństwa – przyznała panna Carlotta oficerowi policji. Antha godzinami pisała na maszynie listy, opowiadania i wiersze. Nancy i pozostali musieli dobijać się do drzwi jej pokoju, aby sobie uświadomiła, że Deirdre płacze w kołysce i trzeba ją nakarmić albo przewinąć.

W czasie ostatniej kłótni Anthę opanowała histeria. Przeskakując po dwa stopnie wbiegła na strych krzycząc, aby zostawiono ją w spokoju. Carlotta obawiając się, że Antha się okaleczy – co jej zdaniem, często robiła – podążyła za nią do dawnego pokoju Julienu. Tam Carlotta odkryła, że Antha próbowała wydrapać sobie oczy. Z pewnością udało jej się zranić.

Kiedy Carlotta próbowała złapać oszalałą dziewczynę, ta wyrwała się i tyłem wypadła przez okno na daszek werandy. Doczołgała się do krawędzi, wtedy straciła równowagę lub skoczyła. Zginęła na miejscu, gdy jej głowa uderzyła o kamienne płyty trzy piętra niżej.

Cortland niemal oszalał, gdy usłyszał o śmierci siostrzenicy. Natychmiast pojechał na ulicę Pierwszą. Powiedział potem żonie, dzwoniąc do Nowego Jorku, że Carlotta była zrozpaczona. Towarzyszył jej ksiądz, ojciec Kevin z parafii redemptorystów. Carlotta powtarzała bez przerwy, że nikt nie rozumiał, jak wrażliwą osobą była Antha.

– Próbowałam ją powstrzymać! – krzyczała Carlotta. – Co miałam zrobić, na

miłość boską?!

Millie Dear i Belle były zbyt załamane, by z kimkolwiek rozmawiać. Belle myliło się wszystko ze śmiercią Stelli. Tyko Nancy miała do powiedzenia same nieprzyjemne rzeczy. Narzekała, że Antha całe życie była zepsuta i skryta, a głowę wypełniały jej głupiutkie marzenia.

Kiedy Cortland skontaktował się z pielęgniarką, Alice Flanagan, odniósł wrażenie, że ona się czegoś boi. Była starszą, słabo widzącą kobietą. Przyznała, że nic nie wie o tym, jakoby Antha kiedykolwiek wcześniej się zraniła, czy dostawała ataku hysterii. Pielęgniarka otrzymywała polecenia od panny Carlotty, która była dobra dla jej rodziny, a Alice Flanagan nie chciała stracić pracy.

– Chcę tylko opiekować się dzieciną – powiedziała policji. – Dziecina teraz mnie potrzebuje.

Zajmowała się Deirdre Mayfair, aż dziewczynka skończyła pięć lat.

W końcu Cortland polecił Beatrice i Amandzie, aby zostawiły Carlottę w spokoju. Carlotta była przecież tylko świadkiem śmierci Anthy. Cokolwiek zdarzyło się tamtego popołudnia, ta śmierć to jedynie tragiczny wypadek. Czy ktoś mógł mu zapobiec?

Po śmierci Anthy nie przeprowadzono żadnego śledztwa. Kiedy przedsiębiorca pogrzebowy nabrał podejrzeń po obejrzeniu ciała” i uznał, że rany na twarzy nie mogły być samookaleczeniem, skontaktował się z lekarzem rodziny. Poradzono mu, aby z nikim nie poruszał tej kwestii. Antha była obłąkana, tak przynajmniej brzmiało nieoficjalne orzeczenie. Przez całe życie zdradzała chwiejność charakteru. Leczone ją w Bellevue i klinice psychiatrycznej świętej Anny. Była zależna od innych. Musiano opiekować się nią i jej dzieckiem.

Po śmierci Stelli nigdy nie wspomniano o szmaragdzie Mayfairów. Żaden krewny ani przyjaciel nigdy go nie widział u Anthy. Sean Lacy nigdy nie namalował Anthy z tym drogocennym kamieniem na szyi. Nikt w Nowym Jorku nie słyszał o podobnym klejnocie.

Ale kiedy Antha umarła, miała naszyjnik ze szmaragdem.

Pytanie nasuwa się samo. Dlaczego Antha założyła szmaragd właśnie tego dnia? Czy to właśnie założenie szmaragdu wywołało fatalną w skutkach kłótnię? A jeśli rany na twarzy Anthy nie były zadane jej ręką, to może Carlotta próbowała wydrapać dziewczynie oczy? Jeśli tak, to dlaczego?

Dom przy ulicy Pierwszej znowu otoczyła tajemnica. Nigdy nie zrealizowano planów remontowych Anthy. Po burzliwych kłótniach w siedzibie kancelarii Mayfair & Mayfair – raz Carlotta wypadła stamtąd wybijając szybę w drzwiach – Cortland posunął się do tego, że wystąpił do sądu o przyznanie mu opieki nad małą Deirdre. Wnuk Claya Mayfaira – Aleksander również zwrócił się z tą samą prośbą. Mieli, wspólnie z żoną Eileen, piękną posiadłość w Metairie. Mogliby zaadoptować Deirdre formalnie lub choćby tylko zaopiekować się nią. Na co tylko Carlotta pozwoli.

Amanda Grady Mayfair powiedziała naszemu informatorowi, Allanowi Carverowi, że „Cortland chce, abym przyjechała do domu i zajęła się dzieckiem. Przyznaję, bardzo mi żal tej małej, ale nie mogę wrócić do Nowego Orleanu po tylu latach”.

Carlotta śmiała się prosto w twarz wszystkim „dobroczyńcom”, jak ich nazywała. Oświadczyła sędziemu i prawie całej rodzinie, każdemu, kto ją o to zapytał, że Antha była ciężko chora. Cierpiała niewątpliwie na obłąd wrodzony, który może pojawić się u córki Anthy. Carlotta nie miała zamiaru pozwolić na zabranie Deirdre z domu jej matki, daleko od drogiej panny Flanagan, słodkiej Belle czy kochanej Millie. Wszystkie uwielbiają dziecko, a mają tyle czasu do dyspozycji, że mogą, jak nikt inny, opiekować się dziewczynką bez przerwy.

Kiedy Cortland odmówił wycofania wniosku z sądu, Carlotta otwarcie mu zagroziła. Zostawiła go żona, prawda? Czy rodzina nie zechce dowiedzieć się po tylu latach, kim naprawdę jest Cortland? Kuzyni traktowali poważnie jej insynuacje i kalumnie. Sędzia prowadzący sprawę „niecierpliwił się”. Jego



zdaniem Carlotta Mayfair była kobietą o nieposzlakowanej czci i świetnej znajomości prawa. Nie rozumiał, dlaczego jej rodzina nie może zaakceptować tej sytuacji? Dobry Boże, gdyby każda sierota miała ciotki tak czule jak Millie, Belle i Carlotta, świat stałby się lepszy.

Zarządzenie majątkiem pozostawiono firmie Mayfair & Mayfair, a dziecko w rękach Carlotty. Sprawa została błyskawicznie zamknięta.

Jeszcze tylko raz próbowano podważyć autorytet Carlotty. Było to w roku 1945.

Cornell Mayfair, jeden z kuzynów z Nowego Jorku, potomek Lestana, właśnie ukończył staż w szpitalu Massachusetts. Chciał zostać psychiatrą. Nieraz słyszał „niewiarygodne historie” o domu przy ulicy Pierwszej od swojej powinowatej (przez małżeństwo) Amandy Grady Mayfair. A także od Louisy Ann Mayfair, najstarszej wnuczki Garlanda, która dostała się do Radcliffe i kiedy tam studiowała, miała romans z Cornellem. Opowieści o wrodzonym obłędzie zafascynowały Cornella. Wciąż jeszcze kochał Louise Ann, która wolała wrócić do Nowego Orleanu, niż wyjść za niego za mąż i zamieszkać w Massachusetts. Nie potrafił zrozumieć takiego przywiązania dziewczyny do domu. Chciał odwiedzić Nowy Orlean i rodzinę przy ulicy Pierwszej, a kuzyni z Nowego Jorku uznali, że to dobry pomysł.

– Kto wie? – powiedział Amandzie przy lunchu w hotelu Waldorf. – Może polubię tamto miasto i uda się nam dogadać z Louisą Ann?

Jedenastego lutego Cornell przyjechał do Nowego Orleanu. Zatrzymał się w hotelu w śródmieściu. Uprosił Carlottę, by z nim porozmawiała i pozwoliła mu przyjechać do siebie.

Jak później opowiadał Amandzie w rozmowie międzymiastowej, przebywał w tamtym domu około dwóch godzin. Jakiś czas spędził sam z czteroletnią Deirdre.

– Nie mogę ci powiedzieć, co odkryłem – zaczął. – Ale trzeba koniecznie zabrać stamtąd dziecko. Prawdę mówiąc, nie chcę, żeby Louisa Ann była w to

zamieszana. Opowiem ci wszystko po powrocie do Nowego Jorku.

Amanda nalegała, żeby zadzwonił do Cortlanda i podzielił się z nim swymi obserwacjami. Cornell przyznał, że Louisa Ann radziła mu to samo.

– Nie zrobię tego teraz – odparł Cornell. – Mam Carlotty powyżej uszu. Nie chcę dzisiejszego popołudnia widzieć nikogo z tej rodziny.

Ufając, że Cortland mógłby jakoś pomóc, Amanda zadzwoniła do niego i opowiedziała, co się dzieje. Cortland docenił zainteresowanie doktora Mayfaira. Później zatelefonował do Amandy, by jej powiedzieć, że umówił się z Cornellem na kolację w restauracji Kolba. Miał się z nią skontaktować po spotkaniu. Polubił młodego lekarza. Niecierpliwie czekał na jego opowieść.

Cornell nigdy nie stawiał się na spotkanie. Cortland czekał przez godzinę w restauracji, a potem zadzwonił do hotelu. Bez odpowiedzi. Następnego ranka pokojówka znalazła zwłoki Cornella.

Leżał ubrany na zgniecionej pościeli, z półotwartymi oczami. Na stoliczku stała szklanka napełniona do połowy bourbonem. W pierwszej chwili nie znaleziono przyczyny śmierci.

Kiedy na życzenie matki Cornella i koronera z Nowego Orleanu przeprowadzono sekcję zwłok, stwierdzono we krwi niewielką dawkę bardzo silnego narkotyku wymieszanego z alkoholem. Uznano, że przyczyną śmierci było przypadkowe przedawkowanie i zamknięto śledztwo. Amanda Grady Mayfair nie mogła wybaczyć sobie wysłania młodego doktora Mayfaira do Nowego Orleanu.

Louisa Ann „nigdy się nie pozbierała” i pozostała niezamężna do dziś. Zrozpaczony Cortland towarzyszył Cornellowi w jego ostatniej w drodze aż do Nowego Jorku.

Czy Cornell stał się kolejną ofiarą czarownic Mayfair? Raz jeszcze jesteśmy zmuszeni przyznać się do niewiedzy. Jednak jeden niewielki szczegół wskazuje nam, że Cornell nie umarł od małej dawki narkotyku wymieszanej z alkoholem. Koroner, który obejrzał zwłoki, zanim zabrano je z pokoju hotelowego,

zauważył, że denat miał czerwone oczy od popękanych naczynek krwionośnych. Wiemy obecnie, że jest to symptom asfiksji, czyli zaduszenia. Prawdopodobnie ktoś uspił Cornella wsypując mu do szklanki narkotyk, a potem bezbronno go udusił poduszką.

Wtedy gdy Talamsca próbowała przeprowadzić śledztwo w tej sprawie (korzystając z pomocy szanowanego prywatnego detektywa), trop już dawno ostygł. Nikt w hotelu nie potrafił sobie przypomnieć, czy tamtego popołudnia ktoś Cornella odwiedził. Czy zamówił bourbona do pokoju? Nikt przedtem nie zadawał tych pytań. Odciski palców? Nie zostały zebrane. W końcu nie było to przecież morderstwo...

Przyszła teraz pora na opowieść o Deirdre Mayfair, obecnej dziedziczką fortuny rodziny Mayfairów, osieroconą, gdy miała dwa miesiące, pozostawioną pod opieką starzejących się ciotek.

\* \* \*

### Deirdre Mayfair

Po śmierci Anthy dom przy ulicy Pierwszej popadał w coraz większą ruinę. Basen zamienił się w cuchnący, bagnisty staw zarośnięty dzikimi irysami i pokryty rzęsą. Zardzewiała fontanna wypluwała zieloną wodę w błoto. W oknach sypialni w północnym skrzydle ponownie zatrzaśnięto okiennice. Farba nadal łuszczyła się z fioletowoszarego tynku ścian.

Starzejąca się panna Flanagan, która w ciągu ostatniego roku pracy prawie oślepla, dbała o małą Deirdre aż do jej piątych urodzin.

Od czasu do czasu zabierała dziecko w wiklinowym wózku na spacer dookoła domu, ale nigdy nie przeszła przez ulicę.

Cortland przyjechał na święta Bożego Narodzenia. Wypił sherry w salonie z Millie Dear, Belle i Nancy.

– Powiedziałem im, że tym razem nie dam się odprawić z kwitkiem –

wyjaśnił synowi, Pierce'owi, który opowiedział o tym matce. – Miałem zamiar zobaczyć to dziecko na własne oczy w dniu urodzin i w święta. Chciałem ją do siebie przytulić. – Oświadczenie podobnej treści wygłosił do swoich sekretarek w kancelarii Mayfair & Mayfair. To one często kupowały prezenty, które Cortland zabierał ze sobą, gdy jechał na ulicę Pierwszą.

W wiele lat później wnuk Cortlanda, Ryan Mayfair opowiadał o dziadku sympatycznym „znajomym” na weselu:

– Nie cierpiał tam chodzić. Nasz dom w Metairie zawsze był taki wesoły. Ojciec mówił mi, że dziadek płakał wracając z odwiedzin. Kiedy Deirdre skończyła trzy lata, dziadek zmusił ciotki, żeby kupiły pierwszą od lat choinkę. Zawiózł im pudełko ozdób i lampki od Katza i Bestoffa. Sam je założył. Trudno sobie wyobrazić ludzi żyjących w tak ponurym otoczeniu. Żałuję, że nie poznałem dobrze mojego dziadka. Urodził się w tamtym domu. Niech pan tylko pomyśli. A jego ojciec, Julien, przyszedł na świat jeszcze przed wojną secesyjną.

Cortland w owym czasie był lustrzanym odbiciem swego ojca. Jego zdjęcia z lat pięćdziesiątych pokazują wysokiego, szczupłego mężczyznę o czarnych włosach, lekko posiwiałych jedynie na skroniach. Pomarszczona twarz do złudzenia przypominała rysy ojca. Tylko oczy miał większe, jak Stella. Uśmiechał się promiennym uśmiechem Julienu.

We wszystkich raportach zgodnie stwierdzano, że rodzina kochała Cortlanda. Pracownicy kancelarii go uwielbiali; a chociaż Amanda Grady Mayfair opuściła męża bardzo dawno temu, to wydawało się, że jej miłość do niego jest nieprzerwana. Tak przynajmniej powiedziała Allanowi Carverowi w roku swej śmierci w Nowym Jorku. Amanda płakała przytulona do ramienia Allana. Wyznała, że jej synowie nigdy nie zrozumieli, dlaczego zostawiła ich ojca, nie miała jednak zamiaru wyjawić im powodu rozstania.

Ryan Mayfair, który znał dziadka Cortlanda bardzo krótko, był do niego niezwykle przywiązany. Wraz ze swoim ojcem uznawali Cortlanda za bohatera.

Ryan nie potrafił pojąć, jak babka mogła uciec do Nowego Jorku.

Co się owym czasie działo z Deirdre? Nie udało nam się zdobyć ani jednej informacji o jej pierwszych pięciu latach życia; poza ustaloną w rodzinie Cortlanda opinią, że była śliczna. Czarne lśniące włosy falowały się jak u Stelli. Miała ogromne, intensywnie niebieskie oczy.

Dom przy ulicy Pierwszej raz jeszcze zamknął się przed światem zewnętrznym. Przechodnie przyzwyczaili się do odpychającej, zaniedbanej fasady. Robotnicy nadal nie mogli nic wyremontować na terenie posiadłości. Dekarz dwukrotnie spadł z drabiny i odmówił powrotu do pracy. Tylko stary ogrodnik i jego syn z chęcią przychodzili co jakiś czas do strzyżenia zachwaszczonych trawy.

Umierali kolejni mieszkańcy parafii, a wraz z nimi odchodziły w zapomnienie legendy o Mayfairach. Niektóre opowieści czas tak zniekształcił, że ich związek z Mayfairami stał się nie do rozpoznania. Nowi detektywi zastąpili dawnych. Wkrótce mieszkańcy Dzielnicy Ogrodów wypytywani o sąsiadów nie wspominali już Julienu, Katherine, Remy'ego czy Suzette.

Syn Julienu, Barclay zmarł w 1949, a jego brat Garland dwa lata później. Syn Cortlanda, Grady zmarł w tym samym roku co Garland po upadku z konia w parku Audubon. Jego matka Amanda Grady Mayfair zmarła wkrótce potem, jakby śmierć jej ukochanego Grady'ego była dla niej nie do zniesienia. Z dwóch synów Pierce'a tylko Ryan Mayfair „zna historię rodziny” i raczej dziwacznymi historiami młodszych kuzynów, z których wielu o niczym nie wie.

Irwin Dandrich zmarł w 1952. Jego zadanie zostało przejęte przez następnego informatora, tym razem kobietę, Juliette Milton, która przez wiele lat zbierała plotki od Beatrice Mayfair i innych krewnych z przedmieścia. Regularnie jadali z nią obiady i nie mieli nic przeciw temu, że jest plotkarką i powtarza wszystkim zasłyszane opowieści. Podobnie jak Dandrich, Juliette nie była szczególnie przebiegłą osobą. Nawet nie wydawała się nieczuła. Uwielbiała melodramaty i pisywała niewiarygodnie długie listy do naszych prawników w

Londynie, którzy płacili jej rocznie sumę równą rencie, która przedtem była jedynym źródłem jej utrzymania.

Tak jak w przypadku Dandricha Juliette nigdy nie dowiedziała się, komu dostarcza informacji o rodzinie Mayfair. Chociaż poruszała ten temat przynajmniej raz w roku, nigdy nie domagała się podobnych wyjaśnień.

W 1953, gdy zacząłem tłumaczenie listów Petyra van Abla, czytałem jednocześnie raporty dotyczące dwunastoletniej Deirdre w miarę ich napływania. Wysyłałem detektywów po każdą informację.

– Kopcie! – mówiłem. – Opowiedzcie mi o niej wszystko od samego początku. Niczego nie pomińcie.

Dzwoniłem osobiście do Juliette Milton. Obiecałem, że dobrze zapłacę za każdą dodatkową wiadomość.

We wczesnych latach swojego życia Deirdre szła śladami matki. Wyrzucano ją z kolejnych szkół za błazeństwa i „dziwaczne zachowanie”, zakłócanie porządku w klasie i niezrozumiałe ataki płaczu, na które nic nie można było poradzić.

Raz jeszcze siostra Bridget Marie, mająca wówczas sześćdziesiąt lat, zobaczyła „niewidzialnego przyjaciela” w działaniu na podwórku szkoły świętego Alfonsa. Odnajdywał różne drobiazgi dla małej Deirdre i sprawiał, że kwiaty unosiły się w powietrzu. Dziewczynka chodziła do szkół Bolesnego Serca, urszulanek, świętego Józefa, Naszej Pani od Aniołów – z wszystkich została usunięta po kilku tygodniach. Co jakiś czas dziecko przez kilka miesięcy zostawało w domu. Sąsiedzi widywali ją biegającą „jak szalona” po ogrodzie lub wspinającą się na wielki dąb z tyłu posiadłości.

W domu przy ulicy Pierwszej już nie było prawdziwej służby. Córka ciotki Easter – Irena gotowała i sprzątała powoli, ale dokładnie. Każdego ranka zamiatła dróżki. O trzeciej po południu widywano ją, jak przesuwa mokrą ścierką po kłamce bocznej furtki w ogrodzie.

Nancy Mayfair była gospodynią. Zarządzała wszystkim w sposób szorstki i

agresywny, tak przynajmniej twierdzili dostawcy i księża, którzy od czasu do czasu zjawiali się tam z wizytą.

Millie Dear i Belle, obie malownicze, jeśli nie piękne, stare kobiety, troszczyły się o kilka krzaków róż rosnących przy bocznej werandzie, które ocalały przed chwastami zarastającymi teraz całą posiadłość.

W niedzielę rodzina w komplecie pojawiała się w kaplicy na mszy o dziewiątej. Mała Deirdre jak z obrazka w granatowej sukience z marynarskim kołnierzykiem i w słomkowym kapelusiku ze wstążkami. Carlotta w ciemnym kostiumie i bluzce ze stójką. Starsze panie – Millie Dear i Belle, niezwykle wytwornie ubrane w sukienki z gabardyny przybrane koronkami, ciemne rękawiczki i czarne, wysokie, sznurowane trzewiki.

Panna Millie i panna Belle często wyruszały po zakupy w poniedziałki. Wsiadały do taksówki i jechały z ulicy Pierwszej do Gusa Mayera lub do Godchauxa – najelegantszych magazynów w Nowym Orleanie. Tam kupowały perłowszare sukienki, kapelusze z woalką przybrane kwiatami oraz inne wytworne dodatki. Obsługa w dziale kosmetycznym знаła je z imienia. Sprzedawano im puder, róż w kremie i perfumy Christmas Night. Dwie starsze panie zjadały lunch u O.H. Holmesa i wracały taksówką do domu. I tylko one reprezentowały rodzinę z ulicy Pierwszej na pogrzebach, od czasu do czasu na chrzcinach, a nawet na weselach, chociaż rzadko brały udział w przyjęciu po mszy.

Zdarzało się, że Millie i Belle uczestniczyły nawet w pogrzebach innych mieszkańców parafii, a nawet czuwały przy zwłokach, jeśli wystawiano je w pobliżu, w zakładzie pogrzebowym Lonigana i Synów. Chodziły co wtorek na nowennę do kaplicy. Czasami w letni wieczór zabierały ze sobą małą Deirdre. Z dumą ścisnęły ją za rękę i w czasie mszy karmiły kawałkami czekolady, żeby siedziała spokojnie.

Nikt już nie pamiętał, że coś było „nie w porządku” z uroczą panną Belle.

Dwie starsze damy z łatwością zyskały szacunek i sympatię dzielnicy,

zwłaszcza w rodzinach, które nic nie wiedziały o tragediach czy sekretach Mayfairów. Dom przy ulicy Pierwszej nie był jedynym zaniedbanym budynkiem stojącym za zardzewiałym ogrodzeniem.

Natomiast Nancy Mayfair sprawiała wrażenie, jakby urodziła się i wychowała w zupełnie innej klasie społecznej. Zawsze nosiła niegustowne ubrania. Brązowe, nie myte włosy przyczesywała tylko z wierzchu. Z łatwością można było popełnić omyłkę i wziąć ją za służącą. Ale nikt nigdy nie kwestionował twierdzenia, że jest siostrą Stelli, choć oczywiście nią nie była. Zaczęła nosić czarne sznurowane trzewiki, gdy tylko ukończyła trzydziestkę. Niechętnie sięgała do swojej starej portmonetki, aby zapłacić dostawcom. Wołała z górnej galeryjki, aby ktoś powiedział domokrażcy przy furtce, że ma sobie iść.

Właśnie z tymi kobietami mała Deirdre spędzała czas, kiedy nie walczyła o zwrócenie na siebie uwagi w przepelnionej klasie, co zawsze kończyło się porażką i popadnięciem w niełaskę.

Plotkarze w parafii nieustannie porównywali ją z matką. Kuzyni mówili, że być może to „wrodzony obłęd”, chociaż tak naprawdę to nikt nic nie wiedział. Ale dla tych, którzy obserwowali uważniej tę rodzinę – nawet z odległości wielu kilometrów – pewne różnice między matką i córką były oczywiste od samego początku.

Antha była zawsze cicha i skromna, a Deirdre od dzieciństwa uważano za naturę buntowniczą i zmysłową. Sąsiedzi często widzieli, jak biega niczym „łobuziak” w ogrodzie. Kiedy była pięcioletnią dziewczynką, potrafiła wspiąć się na sam czubek ogromnego dębu. Czasami z zarośli przy ogrodzeniu straszyla przechodniów.

Po raz pierwszy uciekła, gdy miała dziesięć lat. Carlotta ogarnięta paniką zadzwoniła do Cortlanda. Potem zawiadomiono policję. W końcu znaleziono drżącą z zimna Deirdre przed frontowym wejściem sierocińca świętej Elżbiety przy alei Napoleona. Powiedziała siostrze, że jest „przeklęta” i „opanowana



przez diabła”. Musiały wezwać do niej księdza. Cortland przyjechał z Carlottą zabrać Deirdre do domu.

– Wybujala wyobraźnia – orzekła Carlotta. Wkrótce zaczęto nadużywać tego określenia.

Rok później policja znalazła Deirdre blakającą się w czasie ulewy wzdłuż bulwaru Świętego Jana. Trzęsąc się z zimna, płakała i powtarzała, że boi się wracać do domu. Przez dwie godziny okłamywała policję. Podała fałszywe nazwisko i inne dane. Mówiła, że jest Cyganką, która przyjechała do miasta z cyrkiem. Jej matkę zamordował treser. Próbowala „popęlnić samobójstwo zażywając rzadką truciznę”, ale przewieziono ją do szpitala w Europie, gdzie wyciągnięto całą krew z żył.

– Było w tym dziecku coś szalonego i smutnego – powiedział później oficer policji naszemu detektywowi. – Mówiła bardzo szczerze. Jej oczy nabierały dziwnego wyrazu. Kiedy przyjechali po nią wujek z ciotką, nawet nie podniosła wzroku. Udawała, że ich nie zna. A potem powiedziała, że trzymają ją na strychu zakutą w kajdany.

Gdy miała dziesięć lat, została wysłana do Irlandii, do szkoły z internatem polecanej przez księdza z katedry świętego Patryka, ojca Jasona Powera. Rodzina twierdziła, że był to pomysł Cortlanda.

– Dziadek chciał ją stamtąd wyrwać – stwierdził później Ryan Mayfair.

Ale siostry z hrabstwa Cork odesłały Deirdre do domu już po miesiącu.

Przez dwa lata Deirdre uczyła się pod kierunkiem guwernantki – panny Lampton – dawnej przyjaciółki Carlotty. Panna Lampton powiedziała Beatrice Mayfair, że Deirdre jest czarującą dziewczynką i doprawdy bardzo bystrą.

– Ma z pewnością zbyt wiele wyobraźni i to jedyna jej wada. I za dużo czasu spędza sama.

Kiedy panna Lampton wyjechała na północ, aby poślubić wdowca poznanego w czasie letnich wakacji, Deirdre płakała przez kilka dni.

Jednak nawet za czasu pobytu nauczycielki przy ulicy Pierwszej kłócono się

zażarcie. Sąsiedzi słyszeli krzyki. Deirdre często wybiegała z płaczem z domu. Wspinała się na dąb tak wysoko, aż znalazła się poza zasięgiem Ireny czy panny Lampton. Czasami siedziała tam aż do zmroku.

Deirdre dorastała i zachodziły w niej zmiany. Stała się skryta, milcząca, gdzieś zniknął tkwiący w niej łobuziak. Gdy skończyła trzynaście lat, była bardziej zmysłowa niż Antha jako dorosła kobieta. Deirdre miała długie, czarne falujące włosy z przedziałkiem pośrodku, ściągnięte z tyłu lawendową wstążką. Jej wielkich błękitnych oczu nie opuszczał wyraz podejrzliwości i zgorzknienia. Parafianie, patrząc na nią na niedzielnej mszy, mówili do siebie, że to dziecko wygląda, jakby ktoś je skrzywdził.

– Wyrosła na piękną kobietę – stwierdziła jedna ze starszych pań uczęszczających regularnie do kaplicy. – A te damy nic o tym nie wiedziały. Ubierały ją tak, jakby wciąż była dzieckiem.

Informacje z kancelarii ujawniały istnienie i innych problemów. Pewnego popołudnia Deirdre wpadła do poczekalni przy gabinecie Cortlanda.

– Opanowała ją histeria – opowiadała później sekretarka. – Przez godzinę krzyczała i płakała w gabinecie wuja. Powiem panu coś jeszcze, czego nie zauważyłam aż do jej wyjścia. Miała na nogach dwa różne buty. Brązowy kapeć na jednej, a czarny trzewik na płaskim obcasie na drugiej. Nie sądzę, żeby to sobie uświadamiała. Cortland zabrał ją do domu. Chyba też tego nie zauważył. Nigdy więcej jej nie widziałam.

Latem, przed jej czternastymi urodzinami, odwieziono Deirdre na sygnale do nowego szpitala Miłosierdzia. Próbowwała podciąć sobie żyły. Beatrice poszła ją odwiedzić.

– Ta dziewczyna ma charakter, którego Ancie po prostu brakowało – powiedziała Beatrice do Juliette Milton. – Ale potrzebuje kobiecej rady w różnych sprawach. Chciała, żebym kupiła jej kosmetyki. Powiedziała, że tylko raz w życiu była w drogerii.

Beatrice zaniósła kosmetyki do szpitala. Tam się dowiedziała, że Carlotta

zakazała wszelkich wizyt. Kiedy Beatrice zadzwoniła do Cortlanda, zwierzył się jej, że nie rozumie, dlaczego Deirdre otworzyła sobie żyły.

– Może po prostu chciała wydostać się z tego domu.

W tym samym tygodniu Cortland zorganizował wyjazd Deirdre do Kalifornii. Poleciała do Los Angeles. Miała zamieszkać z córką Garlanda, która poślubiła lekarza z polikliniki Cedry Libanu. Przed upływem dwóch tygodni Deirdre znalazła się z powrotem w domu.

Mayfairowie z Los Angeles nigdy nikomu nie zdradzili, co się stało. Wiele lat później ich jedyny syn, Elton, powiedział detektywom, że biedna kuzynka z Nowego Orleanu była wariatką. Wierzyła, że ciąży na niej dziedziczne przekleństwo. Rozmawiała z nim o samobójstwie, przerażając tym jego rodziców. Zaprowadzili ją do lekarza, który stwierdził, że nigdy nie będzie normalna.

– Moi rodzice chcieli jej pomóc, zwłaszcza matka. Deidre zburzyła spokój całej rodziny. Sądzę, że decyzję o odesłaniu jej do domu przyspieszyło spotkanie, jakie miała z jakimś mężczyzną nocą na podwórku. Rodzice ją zobaczyli, a ona nie chciała się przyznać. Bez przerwy zaprzeczała. Obawiali się, że coś się stanie. Miała wtedy chyba trzynaście lat i była bardzo ładna.

Beatrice przekazała Juliette Milton podobną historię.

– Sądzę, że Deirdre wygląda zbyt dojrzałe – stwierdziła. Nie mogła uwierzyć, że Deidre kłamała i naprawdę nie spotkała się z żadnym mężczyzną. – Jest zdezorientowana. – Beatrice absolutnie wykluczyła teorię o wrodzonym obłądnie. To tylko wymyślona przez Carlottę rodzinna opowieść, którą trzeba jak najszybciej wyjaśnić.

Beatrice wybrała się na ulicę Pierwszą z odwiedzinami do Deirdre. Kupiła jej kilka prezentów. Nancy nie wpuściła Beatrice do środka.

Ten sam tajemniczy mężczyzna był powodem najbardziej dramatycznego wyrzucenia Deirdre ze szkoły z internatem – świętej Róży z Limy. Miała wtedy szesnaście lat. Uczęszczała bez problemów na zajęcia przez cały semestr.

Dopiero w połowie semestru letniego zdarzył się ów niesamowity incydent. Rodzina wiedziała, że Deirdre jest szczęśliwa w szkole, ponieważ dziewczyna powiedziała Cortlandowi, że nie chce wracać do domu. Nawet na czas świąt Bożego Narodzenia Deirdre pozostała w internacie. Tylko w Wigilię poszła z Cortlandem na wczesną kolację.

Uwielbiała huśtawki na rozległym placu zabaw. Były tak szerokie, że mogły unieść nawet starsze dzieci. Tam o zmroku śpiewała piosenki razem z inną dziewczyną – Ritą Mae Dwyer (po mężu Lonigan), która zapamiętała Deirdre jako osobę niezwykłą, elegancką, niewinną, romantyczną i uroczą.

Dopiero w 1988 otrzymaliśmy więcej danych o usunięciu Deirdre ze szkoły. Stało się to dzięki bezpośredniej rozmowie Rity Mae Dwyer Lonigan z naszym detektywem.

„Tajemniczy przyjaciel” Deirdre spotkał się z nią przy świetle księżyca w ogrodzie sióstr. Mówił do niej cicho, ale na tyle wyraźnie, że Rita Mae go usłyszała.

– Szeptał „moja ukochana” – powiedziała mi Rita Mae. Nigdy nie słyszała takich romantycznych wyznań, chyba że w kinie.

Bezbronna i gorzko łkająca Deirdre nie wymówiła ani słowa, gdy zakonnice oskarżały ją o „sprowadzenie mężczyzny na teren szkoły”. Szpiegowały Deirdre i jej towarzysza, wyglądając z kuchni zakonnej przez kraty okna wychodzącego do ogrodu, gdzie spotkało się tych dwoje.

– To nie był chłopiec! – wykrzyknęła w gniewie jedna z sióstr do zebranych uczennic. – To był mężczyzna! Dorosły mężczyzna!

Dokumenty z tego okresu są pełne oskarżeń i złośliwości. „Dziewczyna jest fałszywa. Pozwoliła, by ten mężczyzna ją dotykał. Jej niewinność to wyłącznie fasada”.

Nie możemy mieć żadnych wątpliwości, że tajemniczym towarzyszem Deirdre był Lasher. Opisały go zakonnice i później pani Lonigan. Miał według nich rude włosy, brązowe oczy i wytworne, staroświeckie ubranie.

Niezwykłe jest to, że pani Lonigan, o ile nie zmyśla, słyszała głos Lashera.

Pani Rita Mae udzieliła nam jeszcze jednej zadziwiającej informacji. Deirdre miała przy sobie w internacie szmaragd Mayfairów. Pokazała Ricie Mae słowo „Lasher” wygrawerowane z tyłu. Jeśli opowieść ta jest prawdziwa, to Deirdre niewiele wiedziała o swojej matce lub babce. Rozumiała, że odziedziczyła po nich klejnot, ale nie znała prawdy jak Stella czy Antha.

Cała rodzina zdawała sobie sprawę, że wyrzucenie ze szkoły świętej Róży z Limy w 1956 roku kompletnie załamało Deirdre. Spędziła sześć tygodni w klinice psychiatrycznej świętej Anny. Chociaż okazało się, że nie można zdobyć dokumentów szpitalnych, to udało się nam dowiedzieć od plotkujących pielęgniarek, że Deirdre błagała o kurację elektrowstrząsami i taką zaordynowano. Dziewczyna miała wtedy prawie siedemnaście lat.

W praktyce medycznej w owym czasie taka terapia wiązała się ze stosowaniem wyższego napięcia niż obecnie, była znacznie bardziej niebezpieczna i kończyła się utratą pamięci na wiele godzin, czasami dni.

Nie wiemy, dlaczego cała ta sprawa nie została dokładnie udokumentowana i sprawdzona, jak to było w zwyczaju. Cortland kategorycznie sprzeciwiał się kuracji elektrowstrząsami, przynajmniej tak powiedział Beatrice Mayfair. Nie wierzył w skuteczność stosowania tak drastycznych metod u kogoś młodego.

– Co dolega tej dziewczynie? – Juliette spytała w końcu Beatrice.

– Nikt nie wie, moja droga. Nikt nie wie.

Carlotta zabrała Deirdre ze szpitala do domu, skąd wciąż słaba rekonwalescentka nie wychodziła przez miesiąc.

Dzięki niezmordowanemu zbieraniu najdrobniejszych cząstek informacji przez naszych detektywów wiedzieliśmy, że w ogrodzie często widywano u boku Deirdre ciemną, tajemniczą postać. Posłaniec ze sklepu spożywczego Solari's prawie „oszał ze strachu”, gdy wychodząc z terenu posiadłości zobaczył „dziewczynę o dzikich oczach i tamtego mężczyznę” stojących przy wysokich bambusowych zaroślach obok sadzawki.

Stara panna mieszkająca przy ulicy Prytania zobaczyła tę parę o zmroku w kaplicy.

– Następnego dnia zatrzymałam pannę Bellę przy furtce i powiedziałam jej o tym. Uważam, że coś podobnego jest niewłaściwe. Zdarzyło się to wieczorem, tuż po zapadnięciu zmroku. Poszłam jak zwykle do kaplicy zapalić świecę i zmówić różaniec. Deirdre siedziała w tylnym rzędzie z jakimś mężczyzną. Ledwo ich widziałam. Trochę się przestraszyłam. Wtedy ona wstała i wybiegła na zewnątrz. Zobaczyłam ją wyraźnie w świetle latarni. Tak, to była Deirdre Mayfair. Nie wiem, co się stało z młodym człowiekiem.

Kilka innych osób informowało o podobnych spotkaniach. Widziano zawsze to samo – Deirdre i tajemniczego mężczyznę kryjącego się w cieniu. Para uciekała ze swego miejsca albo spoglądała na intruza w bardzo niepokojący sposób. Otrzymaliśmy piętnaście wariantów tych dwóch sytuacji.

Niektóre z opowieści dotarły do Beatrice.

– Nie wiem, czy ktoś ją pilnuje... Ona jest tak... tak dobrze rozwinięta fizycznie – powiedziała Beatrice.

Juliette wybrała się z Beatrice na ulicę Pierwszą.

– Dziewczyna wałęsała się po ogrodzie. Beatrice podeszła do ogrodzenia i ją zawołała. Przez kilka chwil Deirdre sprawiała wrażenie, że nie wie, kim jest Bea. Potem poszła po klucz do furtki. Oczywiście, to Bea cały czas mówiła. Ta dziewczyna jest niesamowicie piękna. Musi to mieć jakiś związek z jej dziwną osobowością. Wydaje się dzika i podejrzliwa wobec ludzi, a jednocześnie zainteresowana wszystkim, co się wokół niej dzieje. Zachwyła się kameą, którą miałam na sobie. Dałam ją jej, a ona niemal skakała ze szczęścia jak mała dziewczynka. Muszę dodać, że była boso i ubrana w brudną bawełnianą sukienkę.

Gdy nadeszła jesień, otrzymaliśmy kolejne raporty o kłótniach i krzykach. Sąsiedzi nawet dwukrotnie zmuszeni byli donieść o tym na policję. O pierwszym wezwaniu we wrześniu uzyskałem osobiście w dwa lata później

pełną informację.

– Nie podobało mi się, że muszę tam jechać – przyznał oficer, z którym rozmawiałem. – Wie pan, wtrącanie się w rodzinne sprawy ludzi z Dzielnicy Ogrodów nie leży mi. Kobieta, która nam otworzyła, mało nas nie wykopała przez frontowe drzwi. Była to Carlotta Mayfair, nazywana panną Carlą. Pracuje dla sędziego.

– Kto was tu wezwał? Czego chcecie? Kim jesteście? Pokażcie mi swoje legitymacje! Muszę porozmawiać o was z sędzią Byrnesem, jeśli jeszcze raz się tu zjawicie! – wrzeszczała.

W końcu mój partner CJ powiedział, że sąsiedzi słyszeli krzyzącą w tym domu młodą kobietę. – Chcielibyśmy z nią porozmawiać i upewnić się, że wszystko w porządku. – Myślałem, że panna Carla zabije go na miejscu. Ale poszła i przyprowadziła dziewczynę, Deirdre Mayfair, tę, o której nam mówiono. Płakała i cała aż się trzęsła. Powiedziała do mojego kolegi:

– Zmus ją, żeby oddała mi rzeczy mojej matki. Ona zabrała rzeczy mojej matki.

Panna Carla stwierdziła, że ma dość tego „najścia”, to sprawa rodzinna i policja nie jest tu potrzebna. Jeśli natychmiast nie wyjdziemy, zadzwoni do sędziego Byrnesa. Wtedy ta dziewczyna, Deirdre, wybiegła z domu w stronę wozu policyjnego. „Zabierzcie mnie stąd”, krzyczała.

Wtedy coś się stało panie Carli. Popatrzyła na dziewczynę stojącą na krawężniku przy naszym samochodzie i zaczęła płakać. Próbowwała ukryć łzy. Wyjęła chusteczkę i zasłoniła twarz, ale widzieliśmy, że płacze. Dziewczyna doprowadziła tę panią do łez.

CJ spytał:

– Panno Carlo, co mamy zrobić? Niech pani nam powie. Wyminęła go, podeszła do krawężnika, położyła rękę na ramieniu dziewczyny i zapytała ją:

– Deirdre, chcesz wrócić do szpitala? Proszę, Deirdre, proszę... – załamała się wtedy. Nie mogła mówić. Dziewczyna patrzyła na nią bez słowa, obłąkana, z

szalonymi oczami. Nagle wybuchnęła łkaniem. Panna Carla otoczyła ją ramieniem i zaprowadziła z powrotem po schodach do środka.

– Jest pan pewien, że to była Carla? – spytałem oficera.

– O tak. Wszyscy ją znają. Stary, nigdy jej nie zapomnę. Następnego dnia zadzwoniła do kapitana i zażądała wyrzucenia CJ i mnie z pracy.

W tydzień później inny radiowóz przyjechał na wezwanie sąsiadów. Wiemy tylko, że i tym razem Deirdre próbowała opuścić dom, kiedy nadjechała policja. Namówili ją, żeby usiadła na schodkach ganku i poczekała na przyjazd wuja Cortlanda.

Deirdre uciekła następnego dnia. Dotarły do nas informacje o niezliczonych telefonach, o Cortlandzie spieszącym na ulicę Pierwszą, o firmie Mayfair & Mayfair wydzwanającej do kuzynów w Nowym Jorku w poszukiwaniu Deirdre, tak jak wtedy, gdy przed laty zniknęła Antha.

Amanda Grady Mayfair nie żyła. Matka doktora Cornella Mayfaira, Rosalinda Mayfair nie chciała mieć nic wspólnego z „motłochem z ulicy Pierwszej”, jak się wyraziła. A jednak zadzwoniła do innych krewnych z Nowego Jorku. Wtedy policja skontaktowała się z Cortlandem w Nowym Orleanie. W końcu trafiono na Deirdre. Oszołomiona błąkała się boso po Greenwich Village. Znalezione ślady, że została zgwałcona. Tej nocy Cortland poleciał do Nowego Jorku. Następnego ranka przywiózł ze sobą dziewczynę z powrotem.

Historia zatoczyła pełne koło. Deirdre znowu przyjęto do kliniki świętej Anny. W tydzień później z niej wyszła i zamieszkała u Cortlanda w Metairie, w domu od dawna należącym do rodziny.

Plotkowano, że Carlotta została pokonana i poddała się. Powiedziała sędziemu Byrnesowi i jego żonie, że przegrała walkę ze swoją siostrzenicą. Stwierdziła, że dziewczyna „nigdy nie będzie normalna”.

Pewnej soboty Beatrice Mayfair poszła odwiedzić Carlottę. Znalazła ją siedzącą samotnie w salonie. Zasłony były zasunięte. Carlotta nie chciała



rozmawiać.

– Uświadomiłam sobie później, że patrzyła dokładnie w miejsce, na którym kiedyś stawiano trumny, gdy uroczystości pogrzebowe organizowano w domu. Odpowiadała mi „tak” i „nie” albo „mhm”. W końcu przyszła ta okropna Nancy i zaproponowała mi mrożoną herbatę. Kiedy powiedziałam, że wezmę sobie sama, odparła, że ciocia Carla nigdy by się na to nie zgodziła.

Beatrice wyszła, gdy już przebrała się miara smutku i niechęci. Pojechała do Metairie z odwiedzinami do Deirdre.

Ten dom należał do rodziny Mayfairów od czasu, gdy Cortland wybudował go jako młody człowiek. Był obszerny, z cegły, z białymi kolumnami, francuskimi oknami i wszystkimi „nowoczesnymi udogodnieniami”. Ostatnio przeszedł w ręce Ryana Mayfaira, syna Pierce’a, który teraz tam zamieszkał. Całe lata Sheffield i Eugenie mieszkali tam z Cortlandem. Ich jedyne dziecko – Ellie Mayfair, kobieta, która później adoptowała córkę Deirdre, Rowan – urodziła się w tym domu.

W owym czasie Sheffield Mayfair właśnie umarł na atak serca, a Eugenie od dawna nie żyła. Ellie mieszkała w Kalifornii, gdzie wyszła za mąż za prawnika – Grahama Franklina. Cortland mieszkał w Metairie sam.

Zgodnie z wszystkimi relacjami był to niezwykle radosny dom, pełen książek, jasnych kolorów, wesołych tapet, tradycyjnych mebli. Szerokie drzwi otwierały się na ogród, basen i trawnik przed domem.

Cała rodzina zgodnie twierdzi, że było to najlepsze miejsce dla Deirdre. Metairie nie miało w sobie nic z przygnębiającej atmosfery Dzielnicy Ogrodów. Cortland zapewnił Beatrice, że Deirdre odpoczywa, a problemy dziewczyny były wywołane tajemniczością i złą oceną ze strony Carloty.

– Ale on mi nigdy nie mówi, co się dzieje – poskarżyła się Beatrice Juliette.  
– O co mu chodzi z tą „tajemniczością”?

Beatrice wypytywała pokojówkę telefonicznie, kiedy tylko mogła. „Deirdre czuje się dobrze”, odpowiadała pokojówka. „Nabrała kolorów. Miała nawet

gościa, bardzo miłego młodego człowieka”. Służąca widziała go tylko przez chwilę – on i Deirdre stali razem w ogrodzie. Mężczyzna był przystojny, prawdziwy dżentelmen.

– Kto to taki? – zastanawiała się Beatrice w czasie lunchu z Juliette Milton. – Oby nie był to ten sam drań, który wkradł się do ogrodu sióstr, by ją niepokoić w szkole!

„Chyba”, pisała Juliette do Londynu, „nikt z rodziny nie uświadamia sobie, że ta dziewczyna ma przyjaciela. Chodzi mi o kochanka – jednego bardzo dystyngowanego, z łatwością rozpoznawalnego mężczyznę, którego widuje się bez przerwy w jej towarzystwie. Wszystkie opisy tego młodego człowieka są takie same!”

Znaczący w tej historii jest fakt, że Juliette Milton nigdy nie słyszała żadnych pogłosek o duchach, czarownicach, przekleństwach czy czymś podobnym związanym z rodziną Mayfairów. Ona i Beatrice naprawdę wierzyły, że ta tajemnicza osoba to ludzka istota.

Jednocześnie w Dzielnicy Irlandzkiej starzy ludzie rozmawiali przy kuchennych słowach o „Deirdre i tym mężczyźnie”. A mówiąc „ten mężczyzna” nie mieli na myśli ludzkiej istoty. Starzejąca się siostra ojca Lafferty’ego dużo wiedziała o nim. Próbowала rozmawiać na ten temat z bratem, ale on nie chciał się jej zwierzyć. Debatowała więc ze starym przyjacielem, Davem Collinsem, naszym detektywem, który odprowadzał ją do domu ulicą Konstancji po niedzielnej mszy.

Panna Rosie, która pracowała w zakrystii, zmieniała obrusy na ołtarzu i pilnowała mszalnego wina, również znała wstrząsające fakty o rodzinie Mayfairów i „tym mężczyźnie”.

– Najpierw była Stella, potem Antha, a teraz Deirdre – powiedziała siostrzeńcowi, studentowi uniwersytetu Loyoli, który uważał Rosie za przesadną idiotkę.

Stara czarna pokojówka, mieszkająca przy tej samej ulicy, wiedziała

wszystko o „tym mężczyźnie”. Rodzinny duch, oto kim był. Jedyne duch, którego widziała w jasnym świetle dnia, gdy siedział z Deirdre w ogrodzie z tyłu posiadłości. Dziewczyna pójdzie do piekła po śmierci.

Latem 1958 przygotowywałem się do podróży do Nowego Orleanu.

Skończyłem właśnie pierwszą wersję historii rodziny Mayfairów, którą teraz poznaje czytelnik. Bezustannie martwiłem się o Deirdre Mayfair.

Czułem, że jej zdolności parapsychiczne, a zwłaszcza moc widzenia i porozumiewania się z duchami, doprowadza tę biedną dziewczynę do obłądzenia.

Po licznych dyskusjach ze Scottem Reynoldsem, naszym nowym dyrektorem, a także po kilku spotkaniach z całą radą, zdecydowano, że powinienem wyruszyć w podróż, aby ocenić, czy Deirdre Mayfair jest na tyle dojrzała, by nawiązać z nią kontakt.

Elaine Barrett, jedna z najstarszych i najbardziej doświadczonych członków Talamaski, umarła w zeszłym roku. Obecnie mnie uważano (całkowicie niezasłużenie) za najlepszego w zgromadzeniu eksperta od rodzin czarownic. Nigdy nie sprawdzano moich kwalifikacji. A ci, których najbardziej przerażała śmierć Stuarta Townsenda i Arthura Langtry’ego, a także ci, którzy najprawdopodobniej zabroniliby mi podróży do Nowego Orleanu – już nie żyli.

## RAPORT O CZAROWNICACH MAYFAIR

## CZĘŚĆ IX

*Historia Deirdre Mayfair**uzupełniona i poprawiona w roku 1989*

Przyjechałem do Nowego Orleanu w lipcu 1958 i od razu zameldowałem się w małym, skromnym hotelu w Dzielnicy Francuskiej. Natychmiast zorganizowałem spotkanie z naszymi najzdolniejszymi detektywami. Chciałem też sprawdzić pewne ogólnie dostępne dokumenty, by zaspokoić swoją ciekawość w różnych kwestiach.

Przez lata uzyskaliśmy nazwiska kilku osób zbliżonych do rodziny Mayfairów. Zaryzykowałem nawiązanie z nimi kontaktu. Odniosłem sukces w przypadku Richarda Llewellyna. Jego raport na wiele dni całkowicie mnie zaabsorbował.

Udało mi się również wpaść na trop młodej nauczycielki ze szkoły świętej Róży z Limy. Nie była zakonnicą. Znała Deirdre z okresu, który dziewczyna tam spędziła. Wyjaśniła powody jej wyrzucenia. Niestety, ta młoda kobieta wierzyła, że Deirdre miała romans ze „starszym mężczyzną”. Jej zdaniem Deirdre była niegodziwą, fałszywą osobą. Uczennice wiedziały o szmaragdzie Mayfairów. Uważano, że Deirdre ukradła go swojej ciotce. Jak bowiem inaczej można było wytłumaczyć fakt posiadania przez dziecko takiego cennego przedmiotu?

Im dłużej rozmawiałem z tą nauczycielką, tym bardziej uświadamiałem sobie, jak wielkie wrażenie wywierała na otoczeniu zmysłowość Deirdre.

– Ona była taka... dojrzała, wie pan. Młoda dziewczyna nie powinna doprawdy mieć takich dużych piersi w wieku szesnastu lat.

Biedna Deirdre. Miałem ochotę zapytać, czy w takiej sytuacji nie powinno się obciąć jej piersi. Zakończyłem rozmowę. Wróciłem do hotelu, wypłem szklanekę mocnej whisky i sam sobie wygłosiłem wykład o niebezpieczeństwach emocjonalnego angażowania się w prowadzoną sprawę.

Niestety, nie ochłonąłem nawet następnego dnia, gdy poszedłem do Dzielnicy Ogrodów, ani następnego. Godzinami błąkałem się po cichych uliczkach i z wszystkich stron oglądałem dom przy ulicy Pierwszej. Po latach czytania o tym miejscu i jego mieszkańcach zrozumiałem, jak bardzo fascynuje mnie ten dom, mimo iż otaczała go atmosfera zła.

Zadawałem sobie pytanie: „Dlaczego?” W owym czasie budynek był już bardzo zaniedbany. Spłowiała fioletowoszara barwa tynku. Chwasty i maleńkie paprocie rosły w pęknięciach parapetów. Kwitnące pnącza zakrywały boczne galeryjki, tak że ozdobne żelazne balustrady stały się niewidoczne. Zdziczały żywopłot ukrywał ogród przed oczami ciekawskich.

Widok powinien być romantyczny. Jednak w ciężkim, letnim upale, gdy rozpalone słońce świeciło leniwie i niechętnie rzucając blask przez drzewa, posiadłość wydawała się wilgotna, ciemna i zdecydowanie nieprzyjemna. W czasie długich godzin, gdy stałem przyglądając się domowi, zauważyłem, że każda osoba, bez wyjątku, zbliżając się do tego miejsca, przechodziła na drugą stronę ulicy. A chociaż chodnik był śliski od mchu, popękany przez wyrastające korzenie dębów tak jak gdzie indziej, to tylko tę okolicę omijali.

Coś złego żyło w tym domu, żyło i oddychało, wyczekiwało. A może cierpiało?

Oskarżałem się znowu i nie bez przyczyny, że za bardzo poddaję się emocjom, ale wreszcie wszystko zrozumiałem. To „coś” było złe, bo niszczyło.

„Żyło i oddychało” w tym znaczeniu, że wpływało na otoczenie i wyczuwało się jego obecność. Abym utwierdził się w przekonaniu, że to „coś” było w żałobie, wystarczyło, że przypominałem sobie, iż żaden robotnik nie dokończył tam prac remontowych od śmierci Stelli. Właśnie od owego tragicznego dnia cały czas postępował rozpad. Czy to „coś” pragnęło, by dom zgnił tak jak ciało Stelli w grobie?

Ach, tyle pytań pozostawało bez odpowiedzi. Poszedłem na cmentarz Lafayette i odszukałem grób rodziny Mayfairów. Uprzejmy grabarz chętnie podzielił się ze mną informacją, że przed kryptą w kamiennych wazonach zawsze stoją świeże kwiaty, chociaż nikt nie widział osoby, która je przynosi.

– Jak pan sądzi, może to jakiś dawny kochanek Stelli Mayfair? – spytałem.

– Och, nie – zaprzeczył stary człowiek śmiejąc się ochryple. – Dobry Boże, nie. To on, kimkolwiek jest, duch Mayfairów. To on przynosi kwiaty. A wie pan co? Czasami zabiera je z ołtarza w kaplicy. Zna pan tę kaplicę na rogu Prytania i Trzeciej? Ojciec Morgan przyszedł tu pewnego popołudnia gotując się po prostu ze złości. Zdaje się, że to on postawił mieczyki na ołtarzu, a odnalazł je w wazonach przed grobowcem Mayfairów. Poszedł stąd prosto na ulicę Pierwszą i zadzwonił do drzwi. Słyszałem, że panna Carla kazała mu iść do diabła.

Grabarz śmiał się do rozpuku z tego pomysłu... Ktoś kazał księdzu iść do diabła.

Wynająłem samochód i pojechałem drogą nad rzeką do Riverbend. Obejrzałem pozostałości plantacji. Potem zadzwoniłem do naszej tajnej współpracownicy, Juliette Milton i zaprosiłem ją na lunch. Była szczęśliwa, że może mnie przedstawić Beatrice Mayfair. Beatrice wyraziła zgodę na zjedzenie ze mną obiadu, przyjmując bez najmniejszych podejrzeń lakoniczne wyjaśnienie, że interesuję się historią rodziny Mayfairów.

Beatrice Mayfair ukończyła trzydzieści pięć lat. Atrakcyjna, dobrze ubrana, ciemnowłosa, o czarującym akcencie – mieszance z Południa i Nowego Jorku (Brooklynu, Bostonu). Była „buntowniczką” w rodzinie.

Siedzieliśmy w restauracji Galatoire's. Przez trzy godziny bez przerwy opowiadała mi różne historyjki o rodzinie, przekonując o tym, co już podejrzewałem, że prawie nic lub niewiele wiedziano o dawnej historii rodu, która stała się ogólnikową opowieścią. Mylono imiona, a skandal wydawał się czymś niedorzecznym.

Beatrice nie wiedziała, ani kto, ani kiedy wybudował Riverbend. Nie pamiętała nawet, kto postawił dom przy ulicy Pierwszej. Sądziła, że zrobił to Julien. Kiedy była dzieckiem, wierzyła we wszystkie historie o duchach i bajki o sakiewkach pełnych złotych monet. Ale to dawne czasy. Jej matka urodziła się przy ulicy Pierwszej (Alice Mayfair była przedostatnią córką Remy'ego Mayfaira; Millie Dear, znana jako panna Millie, była najmłodszym dzieckiem Remy'ego, a ciotką Beatrice) i opowiadała o nim dziwne rzeczy. Ale opuściła go, kiedy miała zaledwie siedemnaście lat, aby poślubić Aldricha Mayfaira – prawnuka Maurice'a Mayfaira, a Aldrich nie lubił, gdy matka mówiła o tym Beatrice.

– Moi rodzice są bardzo skryci – stwierdziła Beatrice. – Nie sądzę, aby tata naprawdę jeszcze coś pamiętał. Ma ponad osiemdziesiąt lat, a moja matka nic mi nie mówi. Ja sama nie wyszłam za Mayfaira, wie pan. Mój mąż nic nie wie o rodzinie. (Uwaga: mąż Beatrice zmarł na raka gardła w latach siedemdziesiątych). Nie pamiętam Mary Beth. Skończyłam zaledwie dwa lata, jak umarła. Mam gdzieś kilka swoich zdjęć, jak siedzę u jej stóp na jednym z rodzinnych zjazdów, z innymi dziećmi Mayfairów. Ale pamiętam Stellę. Och, kochałam ją. I to bardzo.

Dobija mnie, że nie mogę tam wejść. Całe lata minęły, jak przestałam odwiedzać ciocię Millie Dear. Jest słodka, ale już nie wie, kim jestem. Za każdym razem musiałam mówić, że jestem córką Alice, wnuczką Remy'ego. Pamięta krótką chwilę, a potem zapomina. A Carlotta mnie tam nie chce. Zresztą każdego wygania. To po prostu okropna kobieta. Zabiła ten dom! Wydarła z niego całe życie! Nie dbam o to, co mówią inni. Ona jest winna!

– Czy wierzy pani, że dom jest nawiedzony i kryje się w nim zło?

– Och, to Carlotta. Ona jest zła! Ale jeśli szuka pan tego typu informacji, to wielka szkoda, że nie może pan porozmawiać z Amandą Grady Mayfair. Była żoną Cortlanda. Nie żyje od lat. Wierzyła w niesamowite rzeczy! To dopiero było interesujące. W pewien sposób. Mówiono, że to dlatego zostawiła Cortlanda. Twierdziła, że mąż potrafi się porozumieć z duchami i je widzi, a poza tym wie, że dom jest nawiedzony. Zawsze mnie szokowało, że dorosła kobieta wierzy w takie rzeczy! Była zupełnie przekonana o istnieniu jakiegoś satanicznego spisku. Sądzę, że to Stella wywołała. Nie mam wątpliwości. Byłam za mała, by coś wiedzieć na pewno. Ale Stella nie była zła! Nie była królową voodoo! Owszem, chodziła do łóżka z każdym, a jeśli to dowód, że uprawiała czarną magię połowa Nowego Orleanu powinna zostać natychmiast spalona na stosie!

...I tak dalej... tak to szło... Informacje stawały się coraz bardziej intymne i coraz bardziej bezmyślne. Beatrice bezustannie mówiła, próbując jedzenia i paląc pallmalle.

– Deirdre ma w głowie tylko seks – stwierdziła. – Na tym polega jej problem. Cały czas ją ukrywano, nic więc dziwnego, że zadaje się z mężczyznami. Polegam na Cortlandzie, że zaopiekuje się Deirdre. Cortland stał się w rodzinie szanowanym seniorem. A z pewnością jest jedyną osobą, która potrafi sprzeciwić się Carlocie. Tak, to ona jest wiedźmą, moim zdaniem. Dostaję przy niej dreszczy. Powinni zabrać Deirdre jak najdalej od niej.

Rozważano nawet wysłanie dziewczyny do szkoły w Teksasie. Mały uniwersytet, dokąd Deirdre mogłaby pójść jesienią. Rhonda Mayfair, prawnuczka siostry Suzette, Marianne (a więc ciotki Cortlanda) wyszła za mąż w Teksasie za młodego człowieka, który uczył w tej szkole. Była to niewielka stanowa uczelnia dla kobiet o wysokich dochodach, z wieloma tradycjami drogiej, ekskluzywnej szkoły prywatnej. Wszystko zależało od tego, czy ta okropna Carlotta pozwoli Deirdre wyjechać.



– Tak, to Carlotta. Carlotta jest wiedźmą!

Raz jeszcze Beatrice szczegółowo omówiła temat Carlotty. Krytyka dotyczyła jej stylu ubierania się (kostiumy przypominające męskie garnitury), sposobu mówienia (jakby załatwiała interesy). Nagle Beatrice pochyliła się nad stołem w moją stronę i spytała:

– Czy pan wie, że ta wiedźma zabiła Irwina Dandricha?

Nie tylko nic o tym nie wiedziałem, ale nigdy nie dotarła do mnie nawet najbliższa pogłoska. Otrzymaliśmy raport w 1952, że Dandrich zmarł w swoim mieszkaniu na zawał około czwartej po południu. Powszechnie było wiadomo, że miał słabe serce.

– Rozmawiałam z nim – zaczęła Beatrice tonem podkreślającym wagę jej osoby i dramatyzm sytuacji. – W dniu swojej śmierci powiedział mi, że dzwoniła do niego Carlotta. Oskarżyła go o szpiegowanie rodziny i zaproponowała, że „jeśli naprawdę chce się czegoś o nas dowiedzieć, to niech przyjdzie na ulicę Pierwszą. Powie mu więcej, niż chce usłyszeć”. Radziłam mu, żeby nie szedł. „Poda cię do sądu. Zrobi coś strasznego. Ona zwariowała”. Ale nie chciał mnie słuchać. Stwierdził tylko: „Mam zamiar zobaczyć ten dom. Nikt, kogo znam, nie był w środku od śmierci Stelli”. Obiecał mi pod przymusem, że zadzwoni do mnie natychmiast po powrocie. Nigdy nie zadzwonił. Umarł tego popołudnia. Otruła go. Wiem, że to zrobiła. Otruła go. A kiedy znaleźli ciało, powiedzieli, że umarł na atak serca. Otruła go tak, że wrócił na własnych nogach do domu i zakończył żywot we własnym łóżku.

– Skąd ta pewność? – spytałem.

– Bo to nie jest pierwszy raz, gdy coś takiego się zdarzyło. Deirdre powiedziała Cortlandowi, że na strychu domu przy ulicy Pierwszej leżą zwłoki. Tak, tak, zwłoki...

– Cortland to pani powiedział?

Pokiwała zdecydowanie głową.

– Biedna Deirdre. Mówi lekarzom coś w tym rodzaju, a oni ordynują jej

terapię elektrowstrząsami! Cortland uważa, że ona ma zwidy! – Beatrice pokręciła głową. – Cały Cortland. Sądzi, że dom jest nawiedzony i mieszkają tam duchy, z którymi można rozmawiać! Ale zwłoki na strychu? O nie! W to on nie uwierzy! – Roześmiała się cicho, potem spoważniała. – A założę się, że to prawda. Przypominam sobie coś o jakimś młodzieńcu, który zniknął tuż przed śmiercią Stelli. Usłyszałam tę historię wiele lat później. Ciocia Millie Dear wspomniała coś mojej kuzynce Angeli. Potem Dandrich mi o wszystkim opowiedział. Owego człowieka poszukiwała policja i prywatni detektywi. Irwin twierdził, że był to Teksaszczyk, który przyjechał z Anglii. Po spędzeniu nocy ze Stellą zniknął.

Powiem panu, kto jeszcze o tym wiedział. Amanda. Ostatnim razem, gdy widziałam ją w Nowym Jorku, rozmawiałyśmy na ten temat. Zapytała mnie wtedy: „A co z tym mężczyzną, który zaginął?” Naturalnie to zniknięcie łączyła z Cornellem, wie pan, tym, który umarł w hotelu na przedmieściu po wizycie u Carlotty. Mówię panu, ona ich truje. Wracają do domu i umierają. Stosuje jeden ze środków chemicznych o opóźnionym działaniu. Ten Teksaszczyk to był jakiś historyk. Wiedział coś o przeszłości naszej rodziny.

Nagle coś skojarzyła. Ja też byłem historykiem i przyjechałem z Anglii. Beatrice roześmiała się głośno.

– Panie Lightner, niech pan lepiej na siebie uważa!

Odchyliła się na oparcie, uśmiechając się lekko.

– Chyba ma pani rację, ale tak naprawdę to pani nie wierzy w te opowieści, prawda, panno Mayfair?

Zamyśliła się na chwilę.

– Cóż, i tak, i nie – odparła ze śmiechem. – Nie oskarżyłabym Carlotty w sądzie. Prawdę mówiąc, to ta kobieta jest za leniwa, aby kogoś otruć, ale zastanawiałam się na tym! Zwłaszcza po śmierci Irwina Dandricha. Kochałam go. A on umarł wkrótce po wizycie u Carlotty. Mam nadzieję, że Deirdre pojedzie do szkoły do Teksasu. Proszę, niech pan nie idzie, jeśli Carlotta zaprosi

pana na herbatę!

– A ten duch, to szczególnie... – zacząłem. (Przez całą rozmowę rzadko kiedy musiałem kończyć zdanie.)

– Ale który? Bo jest duch Julienu – wszyscy go widzieli. Ja też go chyba raz widziałam. No i jest jeszcze ten upiór, który zrzuca robotników z drabin. Prawdziwy niewidzialny człowiek.

– To o nim mówią „ten mężczyzna?”

Nigdy nie słyszała tego wyrażenia. Powinienem porozmawiać z Cortlandem. O ile zechce. Nigdy nie lubił obcych skorych do i zadawania pytań. Żył w świecie rodziny.

Rozstaliśmy się z Beatrice na rogu. Pomogłem jej wsiąść do taksówki.

– Jeśli będzie pan rozmawiał z Cortlandem, proszę mu nie mówić, że widział się pan ze mną. Uważa mnie za okropną plotkarkę. Ale proszę go zapytać o Teksańczyka. Nie wiadomo, może coś powie.

Gdy tylko taksówka odjechała, zadzwoniłem do Juliette Milton naszego społecznego detektywa.

– Niech pani nigdy, pod żadnym pozorem, nie zbliża się do tamtego domu – zażądałem. – Niech pani nigdy nie próbuje nawiązać kontaktu z Carlottą Mayfair. Niech pani nigdy więcej nie idzie na lunch z Beatrice. Dostanie pani od nas solidne wynagrodzenie, ale proszę się wycofać.

– Co ja takiego zrobiłam? Co powiedziałam? Beatrice jest niemożliwą gadułą. Każdemu opowiada te historie. Nie powtarzam niczego, o czym by wszyscy nie wiedzieli.

– Wykonała pani kawał dobrej roboty, ale istnieje niebezpieczeństwo. Konkretne niebezpieczeństwo. Proszę zrobić to, co pani mówię.

– Och, opowiedziała panu, że Carlotta, ta stara baba zabija ludzi. To nonsens. Beatrice mówi, że Carlotta pojechała do Nowego Jorku i zabiła ojca Deirdre, Seana Lacy. Nie, to zupełna bzdura!

Powtórzyłem ostrzeżenia, czy raczej rozkazy.

\* \* \*

Następnego dnia pojechałem do Metairie. Zaparkowałem samochód i wyruszyłem na spacer cichymi uliczkami prowadzącym; do domu Cortlanda. Poza wysokimi dębami i miękkim aksamitem zielonej trawy okolica swą atmosferą w niczym nie przypominała Nowego Orleanu. Mogłoby to być bogate przedmieście Houston w Teksasie lub Oklahoma City. Bardzo piękne, spokojne i prawdopodobnie bezpieczne. Nie dostrzegłem Deirdre. Miałem nadzieję, że jest szczęśliwa w takim miejscu.

Byłem przekonany, że najpierw muszę zobaczyć ją z daleka, zanim spróbuję nawiązać rozmowę. Tymczasem starałem się skontaktować z Cortlandem, ale nie odpowiadał na moje telefony. W końcu jego sekretarka powiedziała mi, że Cortland nie chce ze mną rozmawiać, bo słyszał, iż spotykałem się z jego kuzynami, a życzy sobie, abym zostawił jego rodzinę w spokoju.

Nie byłem zdecydowany, czy mam naciskać Cortlanda. Te same, odwieczne pytania nękają nas na rozstajach: jakie mamy zobowiązania, jakie cele? Zostawiłem wiadomość, że mam o rodzinie Mayfairów wiele informacji sięgających aż roku 1600 i chciałbym przeprowadzić z nim wywiad. Nie otrzymałem jakiegokolwiek odpowiedzi.

W następnym tygodniu dowiedziałem się od Juliette Milton, że Deirdre wyjechała na Uniwersytet dla Kobiet w Dentonie, w stanie Teksas, gdzie mąż Rhody Mayfair, Ellis Clement uczył angielskiego. Carlotta sprzeciwiała się wyjazdowi, więc Deirdre pojechała bez jej pozwolenia. Carlotta przestała rozmawiać z Cortlandem.

Cortland odwiózł Deirdre do Teksasu i został tam na tyle długo, aby upewnić się, że rozgościła się w domu Rhody Mayfair i Ellisa Clementa. Potem wrócił do domu.

Bez trudu sprawdziliśmy, że Deirdre została przyjęta jako „studentka

specjalna” z wykształceniem domowym. Przyznano jej samodzielny pokój w akademiku dla pierwszego roku. Została zapisana na pełny kurs zajęć.

Dotarłem do Denton dwa dni później. Teksański Uniwersytet dla Kobiet był sympatyczną, niewielką szkołą, mieszczącą się w kilku budynkach z cegły w barwie czerwonego wina. Stały na starannie przystrzyżonych trawnikach rozciągających się na niskich, łagodnych wzgórzach. Nie mogłem wprost uwierzyć, że to instytucja państwowa. Z łatwością poruszałem się po kampusie, jako że miałem trzydzieści sześć lat, przedwcześnie posiwiałe włosy i dobrze skrojone lniane garnitury. Każdy, kto zwrócił na mnie uwagę, prawdopodobnie brał mnie za członka ciała pedagogicznego. Przesiadywałem na ławce i pisałem w notatniku. Dużo czasu spędzałem w dostępnej dla wszystkich bibliotece. Wałęsałem się po korytarzach historycznych budynków, wymieniając uprzejmości ze starzejącymi się nauczycielkami i młodymi kobietami o świeżych twarzach, w jasnych bluzkach i plisowanych spódnicach.

Drugiego dnia po przyjeździe nieoczekiwanie dostrzegłem Deirdre Mayfair. Wyszła z akademika pierwszego roku – skromnego budynku w stylu z czasów króla Jerzego. Przez godzinę spacerowała po kampusie – urocza kobieta o długich, rozpuszczonych czarnych włosach. Przemierzała leniwie wąskie ścieżki pod starymi drzewami, ubrana w obowiązkową bawełnianą bluzkę i spódnicę.

Zmieszałem się na jej widok. Patrzyłem na kogoś dla mnie ważnego, cierpiałem nieoczekiwane katusze. „Co ja tu robię? Może powinienem zostawić tę kobietę w spokoju? Czy mam jej powiedzieć, co wiem o jej wcześniejszym życiu? Jakie mam prawo tu być?”

W milczeniu patrzyłem, jak wraca do akademika. Następnego ranka poszedłem za nią na pierwszy wykład, a potem do stołówki w podziemiach. Wypiła tam kawę, siedząc samotnie przy małym stoliku. Wrzucała dziesiątki do grającej szafy. Wybierała ciągle ten sam utwór – żalobną piosenkę Gershwina śpiewaną przez Ninę Simone.

Pomyślałem, że cieszy się wolnością. Przez jakiś czas czytała, potem

siedziała rozglądając się dookoła. Stwierdziłem, że nie jestem w stanie podnieść się z krzesła i podejść do niej. Nie chciałem jej przestraszyć. Przecież to okropnie dowiedzieć się, że nas śledzą. Wszedłem ze stołówki przed nią i wróciłem do swojego hoteliku na przedmieściu.

Tego popołudnia znowu wędrowałem po kampusie. Deirdre pojawiła się, gdy doszedłem do akademika. Tym razem była ubrana w białą bawełnianą sukienkę z krótkimi rękawami z dopasowaną górą i luźną, falującą spódnicą.

Sprawiała wrażenie, że spaceruje bez celu, jednak tym razem nieoczekiwanie skręciła w stronę tylnego ogrodzenia terenu uniwersyteckiego, daleko od przystrzyżonych trawników i tłumu. Wkrótce stwierdziłem, że podążam za nią wprost do rozległego, zaniedbanego ogrodu botanicznego – miejsca ciemnego, dziczającego i zarośniętego. Zacząłem się o nią martwić, gdy szła nierówną ścieżką znacznie mnie wyprzedzając.

W końcu wysokie zarośla bambusów stłumiły wszystkie dźwięki z odległych akademików i hałas z dalszych ulic. Powietrze tutaj wydawało się ciężkie jak w Nowym Orleanie, może było tylko mniej wilgotne.

Podążyłem w ślad za nią wąską ścieżką biegnącą przez mały mostek. Gdy podniosłem wzrok, zobaczyłem, że Deirdre stoi pod wysokim kwitnącym drzewem i patrzy wprost na mnie. Wyciągnęła przed siebie rękę i przywołała gestem. Czy to złudzenie? Nie. Patrzyła na mnie.

– Pan Lightner? – spytała. – Czego pan chce? – Miała niski głos. Lekko drżał. Nie wydawała się ani przestraszona, ani rozgniewana. Nie potrafiłem jej odpowiedzieć. Nagle dostrzegłem na jej szyi szmaragd Mayfairów. Musiała go schować pod sukienką, gdy wychodziła z akademika. Teraz widziałem go w całej okazałości.

Usłyszałem w głowie dzwonek alarmowy. Chciałem powiedzieć coś prostego, uczciwego i przemyślanego, a stwierdziłem tylko:

– Śledziłem cię, Deirdre.

– Tak – przytaknęła. – Wiem.

Odwróciła się do mnie plecami. Gestem wskazała, bym poszedł za nią. Zeszła po wąskich, zarośniętych schodkach do pobliskiej altany. Tam cementowe ławki tworzyły krąg niewidoczny z głównej ścieżki. Bambus lekko skrzypiał na wietrze. Nad pobliską sadzawką unosił się ohydny odór, ale miejsce miało w sobie niezaprzeczalny urok.

Usiadła na ławce. Jej sukienka lśniła bielą w mrocznym cieniu, a szmaragd błyszczał na piersi.

„Niebezpieczeństwo, Lightner”, mówiłem sobie. „Jesteś w niebezpieczeństwie”.

– Panie Lightner – zaczęła podnosząc na mnie wzrok, gdy usiadłem naprzeciw. – Niech mi pan powie, czego pan chce!

– Deirdre, bardzo dużo wiem o tobie, twojej matce, matce twojej matki, a także o jej matce. Fakty, sekrety, plotki... wszelkie informacje. W pewnym domu w Amsterdamie wisi portret kobiety, twojej praprapraprababki. Miała na imię Debora. To ona kupiła ten szmaragd u złotnika w Holandii, setki lat temu.

Nic jej nie zaskoczyło. Patrzyła na mnie badawczo, szukając najwyraźniej kłamstwa i podłych intencji. Byłem do głębi wstrząśnięty. Rozmawiałem z Deirdre Mayfair.

– Deirdre – zacząłem. – Powiedz mi, czy pragniesz wiedzieć to co ja. Czy chcesz zobaczyć listy mężczyzny, który kochał twoją praprapraprababkę Deborę? Usłyszeć, jak umarła we Francji, a jej córka przemierzyła morze, by osiąść na Santo Domingo? W dniu jej śmierci Lasher sprowadził burzę na wioskę...

Przerwałem. Słowa zamarły mi na wargach. Twarz Deirdre nagle się przeobraziła. Przez chwilę myślałem, że ogarnęła ją wściekłość, ale zaraz potem uświadomiłem sobie, że miota nią jakaś wyczerpująca wewnętrzna walka.

– Panie Lightner – wyszeptała. – Niczego nie chcę wiedzieć. Pragnę o wszystkim zapomnieć. Przyjechałam tu, aby się wyrwać.

Przez chwilę nic nie mówiłem. Poczułem, że Deirdre się uspokaja. To ja

byłem zagubiony, zupełnie zdezorientowany. Wtedy odezwała się równym, pełnym uczucia głosem:

– Panie Lightner. Moja ciotka twierdzi, że nas śledzicie, bo uważacie nas za ludzi szczególnych. Jednak w ten sposób, z ciekawości pomaga pan tkwiącemu w nas „złu”. Proszę mnie źle nie zrozumieć. Chodzi jej o to, że mówiąc o „złym”, pan go „karmi”. Badając jego istnienie, dodaje mu pan życia – jej łagodne niebieskie oczy błagały o zrozumienie. Jednocześnie wydawała się niezwykle opanowana, zadziwiająco spokojna.

– Rozumiem punkt widzenia twojej ciotki – stwierdziłem. Byłem jednak zaskoczony, że Carlotta Mayfair wie, kim jesteśmy, a nawet pojmuje nasz cel. Wtedy pomyślałem o Stuarcie. Musiał z nią rozmawiać. Był to dowód. Ta i tysiące innych myśli kłębiło mi się w głowie.

– To jak ze spirytualistami, panie Lightner – ciągnęła Deirdre tym samym uprzejmym, sympatycznym tonem. – Chcą rozmawiać z duchami zmarłych przodków, a mimo swych dobrych intencji jedynie wzmacniają demony, o których nic nie wiedzą...

– Tak, wiem, o czym mówisz. Uwierz mi. Chciałem tylko przekazać ci informacje, dać ci znać, że jeśli...

– Niech pan zrozumie, nie chcę wiedzieć. Ponad wszystko pragnę zostawić przeszłość za sobą – głos jej lekko zadrżał. – Nie chcę już nigdy wrócić do domu.

– Doskonale. Świetnie to pojmuję. Ale czy zrobisz coś dla mnie? Zapamiętaj moje nazwisko. Weź ode mnie tę wizytówkę. Zapamiętaj wydrukowane na niej numery telefonów. Zadzwoń do mnie, jeśli będziesz mnie potrzebowała.

Wzięła ode mnie kartkę. Przyglądała się jej badawczo przez dłuższy czas, a potem wsunęła do kieszeni.

Nagle zrozumiałem, że patrzę na nią przenikliwym wzrokiem, co i raz spoglądając w wielkie, niewinne błękitne oczy. Próbowiałem nie zwracać uwagi na piękno młodego ciała, fantastycznie kształtne piersi pod bawełnianą



sukienką. Jej twarz kryjąca się w cieniu wydawała się pełna smutku.

– On jest diabłem, panie Lightner – wyszeptała. – Naprawdę nim jest.

– To dlaczego nosisz ten szmaragd, moja droga? – spytałem impulsywnie.

Na jej twarzy pojawił się uśmiech. Sięgnęła po klejnot, zacisnęła na nim prawą dłoń i pociągnęła tak mocno, aż pękł łańcuszek.

– Z bardzo określonego powodu, panie Lightner. Był to najprostszy sposób, by go tu przynieść. Mam zamiar go panu oddać. – Wyciągnęła rękę i upuściła klejnot w moją dłoń.

Spojrzałam w dół. Nie mogłem uwierzyć, że trzymam tę rzecz. Bezwiednie powiedziałem:

– On mnie zabije. Wiesz, zabije mnie i zabierze naszyjnik.

– Nie, on nie może tego zrobić! – zawołała. Wstrząśnięta patrzyła na mnie z przerażeniem.

– Mylisz się – odparłem, ale ogarnął mnie wstyd, że wygłosiłem to zdanie. – Deirdre, pozwól mi powiedzieć sobie, co wiem o tym duchu. Pozwól mi opowiedzieć sobie o innych, którzy widzą. Nie jesteś jedyna. Nie musisz walczyć z tym sama.

– Och, Boże – wyszeptała. Na ułamek sekundy zamknęła oczy. – Nie może tego zrobić – powtórzyła, ale bez przekonania. – Nie wierzę.

– Zaryzykuję – zdecydowałem. – Wezmę szmaragd. Niektórzy mają własną broń. Mogę pomóc ci zrozumieć, jaką moc posiadasz. Czy robi to twoja ciotka? Powiedz, co mogę dla ciebie zrobić?

– Niech pan wyjedzie – poprosiła żałośnie. – Niech pan... niech pan... nigdy więcej ze mną na ten temat nie rozmawia.

– Deirdre, czy on jest w stanie cię zmusić, żebyś go widziała, gdy ty tego nie chcesz?

– Proszę przestać, panie Lightner. Jeśli o nim nie będę myślała, jeśli nie będę mówiła... – podniosła dłonie do skroni. – Jeśli odmówię mu spojrzenia, to może...

– Czego chcesz? Dla siebie.

– Życia, panie Lightner. Normalnego życia. Nie potrafi pan sobie nawet wyobrazić, co te słowa dla mnie znaczą! Normalne życie. Takie jakie prowadzą dziewczyny z akademika. Pluszowe misie, chłopcy i pocałunki na tylnym siedzeniu samochodu. Takiego życia chcę!

Była tak zmartwiona, że i ja od razu zacząłem się martwić. Wszystko stawało się bardzo niebezpieczne. A ona włożyła mi do ręki tę rzecz! Czulem szmaragd, potarłem go kciukiem. Był taki zimny, taki twardy!

– Przepraszam, Deirdre. Tak mi przykro, że cię niepokoiłem. Tak mi przykro...

– Panie Lightner, czy nie może pan zmusić go do ucieczki? Czy pana ludzie nie potrafią tego zrobić? Moja ciotka mówi, że nie. Tylko ksiądz mógłby tego dokonać, ale ksiądz w niego nie wierzy, panie Lightner. A nie można egzorcyzmować demona, jeśli brak ci wiary.

– Nie ukazuje się księdzu, prawda, Deirdre?

– Nie – odparła gorzko z bladym uśmiechem. – Co by to dało, gdyby się ukazał? Nie jest niższym duchem, którego można wygonić święconą wodą i zdrowaškami. Robi z duchownych głupców.

Zaczęła płakać. Sięgnęła po szmaragd i ciągnąc za łańcuszek i wyjęła go z moich palców. Rzuciła go przez zarośla jak najdalej od siebie. Usłyszałem krótki, głuchy odgłos uderzenia o wodę. Deirdre drżała na całym ciele.

– Wróci! – krzyknęła. – Wróci! Zawsze wraca!

– Może tylko ty jesteś w stanie go egzorcyzmować! – zawołałem. – Ty i tylko ty!

– Och, tak. Tak właśnie mówi ciotka Carla. Zawsze powtarza. „Nie patrz na niego! Nie rozmawiaj! Nie pozwól mu się dotykać!” Ale on zawsze wraca! Nie pyta mnie o pozwolenie! I...

– Tak...

– Kiedy jestem samotna, w rozpacz...

– Przychodzi.

– Mhmm.

Ta dziewczyna niewiarygodnie cierpiała. Coś trzeba zrobić!

– A jeśli on się zjawi, a ty nie zaczniesz z nim walczyć, pozwolisz mu się pokazać? Co wtedy?

Spojrzała na mnie z urazą i przerażeniem.

– Pan nie zdaje sobie sprawy z tego, co mówię.

– Wiem, że walka z nim przyprawia cię o szaleństwo. Co się stanie, jeśli nie będziesz z nim walczyć?

– Umieram – odparła. – Świat dookoła mnie umiera. Zostaje tylko on.

Otarła usta wierzchem dłoni.

„Od jak dawna żyje w takiej męce?” pomyślałem. „Jaka jest silna, a jednocześnie bezradna i przerażona”.

– Tak, panie Lightner, to prawda – powiedziała. – Boję się. Ale nie mam zamiaru umierać. Będę z nim walczyć. I wygram. A pan wyjedzie i nigdy więcej nie zbliży się do mnie. Nigdy więcej nie wypowiem jego imienia, nie spojrzę na niego, nie poproszę, by przyszedł. On mnie opuści. Odejdzie. Znajdzie sobie kogoś innego, kto go będzie widział. Kogoś... do kochania.

– Czy on cię kocha, Deirdre?

– Tak – wyszeptała.

Nadciągał zmierzch. Nie widziałem zbyt wyraźnie jej twarzy.

– Czego on chce, Deirdre? – spytałem.

– Nie wie pan? – odpowiedziała pytaniem. – Mnie, panie Lightner. Pan chce tego samego! Bo dzięki mnie on przychodzi!

Wyjęła z kieszeni chusteczkę zwiniętą w małą kulkę i wytarła nos.

– Uprzedził mnie, że pan przyjeżdża. Powiedział coś dziwnego, czego nie mogę sobie dokładnie przypomnieć. Brzmiało to jak przekleństwo: „Będę jadł mięso i pił wino. Posiadę kobietę, gdy on zgnije w grobie”.

– Już kiedyś słyszałem te słowa – odparłem.

– Niech pan wyjedzie – poleciła mi. – Jest pan miłym człowiekiem. Lubię pana. Nie chce, żeby pana skrzywdził. Powiem, że mu nie wolno... – przerwała zmieszana.

– Deirdre, wierzę, że mogę ci pomóc...

– Nie!

– Mogę ci pomóc w walce z nim, jeśli podejmiesz taką decyzję. Znam ludzi w Anglii, którzy...

– Nie!

Czekałem jeszcze chwilę i poprosiłem cicho:

– Zadzwoń do mnie, jeśli kiedyś będziesz potrzebowała pomocy.

Nie odpowiedziała. Czulem, że jest krańcowo wyczerpana, zrozpaczona. Powiadomiłem ją, gdzie zatrzymałem się w Dentonie, że zostanę do jutra, a jeśli nie będę miał od niej wieści, wyjadę. Wiedziałem, że poniosłem całkowitą kieskę, ale nie potrafiłem jej dłużej ranić! Wpatrywałem się w szeleszczące łodygi bambusów. Zapadał coraz głębszy mrok. W zdziczałym ogrodzie nie było światła.

– Twoja ciotka mylnie nas ocenia – mówiłem dalej, niepewny, czy mnie słucha. Wpatrywałem się w skrawek nieba nad nami, który zupełnie zbiełał. – Chcemy ci powiedzieć, co wiemy. To prawda, że jako ktoś szczególny jesteś dla nas ważna, ale o wiele bardziej zależy nam na tobie niż na nim. Mogłabyś pojechać do naszego domu w Londynie. Zostać tak długo, jak tylko byś chciała. Poznamy cię z innymi, którzy widzieli podobne rzeczy i pokonali je. Pomożemy ci. A kto wie, może jakoś udałoby się go odpędzić. – Nie odpowiadała. – Wiesz, że mówię prawdę.

Spojrzałem na nią z obawą, że dostrzegę ból w jej twarzy. Patrzyła na mnie dokładnie tak jak przedtem. Oczami pełnymi smutku, błyszczącymi od łez. Ręce zaciśnięte w pięści. Tuż za nią stał on. Dzielił ich zaledwie centymetr. Patrzył na mnie brązowymi oczami. Jego postać była bardzo wyraźna.

Krzyknąłem, nie potrafiłem się powstrzymać. Jak głupiec skoczyłem na

równe nogi.

– Co to? – zawołała z przerażeniem. Zerwała się z ławki i rzuciła w moje ramiona. – Powiedz mi! Co to?!

Zniknął. Podmuch cieplejszego wiatru poruszył rosnącymi nie opodal bambusami. Nic. Tylko cienie. Tylko bliskość dziczającego, ohydneho ogrodu. Stopniowy spadek temperatury. Jakby powoli zamykano drzwi do pieca.

Zamknąłem oczy. Trzymałem ją mocno w ramionach, próbując nie zepchnąć ze swoich stóp. Staralem się zapamiętać to, co zobaczyłem. Złośliwy młody mężczyzna z chłodnym uśmiechem stał tuż za nią. Ubranie wymuskane, ciemne, ale bez widocznych szczegółów, jakby cała energia tej istoty została wykorzystana na błyszczące oczy, białe zęby i gładką skórę. Z pewnością był to mężczyzna wielokrotnie opisywany przez innych.

Deirdre opanowała histeria. Dłonią zakryła usta i tłumila łkanie. Nagle odepchnęła mnie mocno. Wbiegła na wąskie, zarośnięte schodki prowadzące do ścieżki.

– Deirdre! – zawołałem, ale już zniknęła mi z oczu w mroku. Dostrzegłem jeszcze błysk bieli na tle odległych drzew, lecz nie słyszałem już odgłosu jej kroków.

Zostałem sam w starym ogrodzie botanicznym, w ciemnościach. Po raz pierwszy w życiu byłem śmiertelnie przerażony. Tak bardzo się bałem, aż ogarnęła mnie złość. Ruszyłem za nią, to znaczy ścieżką, którą wybrała. Zmuszałem się do powolnego, równomiernego kroku. Nie pozwalałem sobie na bieg. Wreszcie dostrzegłem dalekie światła akademików, wewnętrzną drogę za nimi i usłyszałem odgłosy ruchu ulicznego. Poczulem, że jestem bezpieczny.

Wszedłem do akademika pierwszego roku. Spytałem siwowłosą kobietę w recepcji, czy przyszła już Deirdre Mayfair. Przyszła.

„Jest bezpieczna”, pomyślałem.

– Teraz podano kolację, proszę pana. Może pan zostawić dla niej wiadomość.

– Tak, oczywiście. Odwiedzę ją później.

Wyjąłem małą, zwykłą kopertę. Napisałem na niej nazwisko Deirdre, a na wizytówce kilka słów wyjaśnienia, że jestem w hotelu, gdyby chciała się ze mną skontaktować. Włożyłem karteczkę do koperty, którą zakleiliśmy i oddałem kobiecie, aby przekazała ją Deirdre. Wyszedłem.

Bez kłopotów dotarłem do hotelu i do swojego pokoju. Zamówiłem rozmowę z Londynem. Upłynęła godzina, zanim zdołano mnie połączyć. Spędziłem ją w łóżku, leżąc z telefonem pod ręką. Mogłem myśleć tylko o tym, że go widziałem. Widziałem go.

Widziałem na własne oczy. Zobaczyłem to, co Petyr i Arthur. Widziałem na własne oczy Lashera.

Scott Reynolds, nasz dyrektor, był spokojny, ale nieustępliwy, kiedy w końcu się dodzwoniłem.

– Uciekaj stamtąd jak najszybciej. Wracaj do domu.

– Weź głęboki oddech, Scott. Nie pojechałem tak daleko, żeby mnie wystraszył duch, nad którym pracujemy od trzystu lat.

– To tak używasz swojego rozumu, Aaronie? Ty, który znasz historię czarownic Mayfair od początku do końca? To coś nie próbuje cię wystraszyć, lecz zwabić. Chce, abyś dręczył dziewczynę pytaniami. Traci Deirdre, a ty jesteś jego nadzieją, że ją odzyska. Ciotka, kimkolwiek jest, stoi po stronie prawdy. Zmusisz dziewczynę do rozmowy o jej przeżyciach i dasz duchowi energię, której pragnie.

– Nie mam zamiaru jej do niczego zmuszać, Scott. Ale nie sądzę, by Deirdre wygrywała batalię. Wracam do Nowego Orleanu. Chcę być blisko w razie potrzeby.

Scott już miał mi wydać rozkaz powrotu, ale zrezygnował. Byłem od niego starszy. Odmówiłem przyjęcia stanowiska dyrektora. Dlatego on je otrzymał. Nie miałem zamiaru dopuścić, by odebrał mi tę sprawę.

– Przypomina to proponowanie środka na uspokojenie komuś, kto ma

śmiertelną gorączkę. Pamiętaj, nie wracaj do Nowego Orleanu samochodem. Jedź pociągiem.

Przyjąłem tę radę z wdzięcznością. Żadnych ciemnych, posępnych dróg bez poboczy, biegnących przez bagniska Luizjany. Za to miły, wesoły, zatłoczony pociąg.

Następnego dnia zostawiłem Deirdre wiadomość, że znajdzie mnie w hotelu Królewskim w Nowym Orleanie. Wynajętym samochodem dojechałem do Dallas i tam wsiadłem w pociąg do Nowego Orleanu. Podróż miała potrwać tylko osiem godzin. Przez całą drogę pisałem notatki w dzienniku.

Spokojnie rozważałem wydarzenia. Dziewczyna wyrzekła się swej historii i parapsychicznych zdolności. Jej ciotka wychowała ją tak, aby odrzucała ducha – Lashera. Ale od lat najwyraźniej przegrywała w tej walce. A gdybyśmy udzielili jej wsparcia? Może łańcuch dziedzictwa zostałby zerwany? Duch opuściłby rodzinę, jak upiór uciekający z płonącego domu, w którym straszył od lat.

Wystarczyło, że zacząłem spisywać swoje rozważania, a przygnębiło mnie wspomnienie jego widoku. To coś było tak potężne! Bardziej cielesne i mocne niż wszystkie duchy, o jakich słyszałem. A jednak Lasher stwarzał tylko częściowy obraz.

Zgodnie z moim doświadczeniem tylko duchy osób, które właśnie zmarły, pojawiają się z tak wyraźną cielesnością. Na przykład, duch pilota zabitego w akcji może zjawić się w salonie siostry w dniu swojej śmierci, a ona potem powie:

– Ach, był taki rzeczywisty. Widziałam błoto na jego butach!

Duchy osób, które odeszły dawno, prawie nigdy nie miewają podobnej „gęstości” ani żywotności.

A te, co były bezcielesne? Mogą posiąść ciała żywych i umarłych, ale żeby pojawiały się tak intensywnie i sprawiały wrażenie takich „solidnych”?

To coś lubiło się pokazywać, prawda? Naturalnie, dlatego tak wiele osób je widziało. Lubiło mieć ciało, choćby na ułamek sekundy. Nie tylko mówiło

bezdźwięcznym głosem do czarownicy, czy tworzyło obraz, który istniał wyłącznie w jej głowie. Nie. W jakiś sposób stawało się materialne, tak że widzieli, a nawet słyszeli je inni. Z ogromnym wysiłkiem, prawdopodobnie bardzo wielkim – mogło ukazać się płacząc lub śmiejąc.

Jaki więc był plan tej istoty? Zdobyć moc, aby pokazywać się dłużej i w coraz to doskonalszej formie? Przede wszystkim jednak, jakie miało znaczenie przekleństwo, które przeczytałem w liście Petyra? „Będę jadł mięso, pił wino i poznam ciepło kobiety, gdy z ciebie nie zostaną nawet kości”?

Dlaczego to coś mnie nie wabiło ani nie niepokoiło? Czy wykorzystało energię Deirdre, czy moją, aby się pokazać? (W życiu nie widziałem zbyt wiele duchów. Nie jestem dobrym medium. Prawdę mówiąc, do tej pory nie widziałem niczego, czego nie dałoby się wytłumaczyć złudzeniem optycznym czy zbyt wybujałą wyobraźnią.)

Być może naiwnie sądziłem, że ta istota mnie nie skrzywdzi, dopóki przebywam z dala od Deirdre. Wszystko, co przydarzyło się Petyrowi van Ablowi, musiało mieć związek z jego zdolnościami parapsychoicznymi i działaniem Lashera. Ja tych zdolności nie miałem zbyt wiele.

Jednak poważnym błędem byłoby niedoceniecie tej istoty. Musiałem teraz strzec się cały czas.

Do Nowego Orleanu dotarłem o ósmej wieczór. Natychmiast zaczęły się wydarzać dziwne, nieprzyjemne rzeczy. Przed dworcem omal mnie nie przejechał samochód. Taksówka, którą jechałem do hotelu, prawie zderzyła się z jakimś pojazdem, gdy dojeżdżała do krawężnika.

W ciasnym holu hotelu Królewskiego pijany turysta wpadł na mnie i próbował wszcząć bójkę. Na szczęście, odciągnęła go żona. Przepraszała mnie bez przerwy, gdy tymczasem boy hotelowy pomagał jej zaprowadzić męża na górę. Po tym incydencie miałem posiniaczone ramię, a bliskość wypadku w taksówce sprawiła, że czułem się wstrząśnięty.

„Wyobraźnia”, pomyślałem. Jednak kiedy wchodziłem po schodach do



mojego pokoju na pierwszym piętrze, spróchniała część starej drewnianej balustrady pękła mi pod ręką. Godzinę później, gdy opisywałem te wydarzenia w dzienniku, na trzecim piętrze hotelu wybuchł pożar.

Prawie godzinę stałem na zatłoczonej ulicy z innymi niezadowolonymi gośćmi, zanim stwierdzono, że ugaszono niewielki płomień, nie zalewając wodą pozostałych pokoi.

– Jaka była przyczyna pożaru? – wypytywałem obsługę. Zażenowany pracownik wymruczał coś o śmieciach w pakamerze i zapewnił, że wszystko jest już w porządku.

Długo rozważałem sytuację. Wszystko mogło być tylko zbiegiem okoliczności. Tak jak inni wplątani w te drobne incydenty wyszedłem z nich bez szwanku. Teraz powinienem zachować spokój. Postanowiłem poruszać się po świecie trochę wolniej, rozglądać wokół siebie uważniej, kontrolować sytuację.

Noc minęła bez dalszych kłopotów, chociaż spałem niespokojnie i często się budziłem. Następnego dnia po śniadaniu zadzwoniłem do naszych detektywów w Londynie i poprosiłem o wynajęcie kogoś w Teksasie. Miał dowiedzieć się wszystkiego o Deirdre Mayfair przy zachowaniu najwyższej dyskrecji.

Potem usiadłem do pisania długiego listu adresowanego do Cortlanda. Wyjaśniłem mu, kim jestem, czym jest Talamasca. Wykazałem, że poznajemy historię rodziny Mayfairów od siedemnastego wieku, kiedy to jeden z naszych przedstawicieli ocalił Deborę Mayfair z poważnego niebezpieczeństwa w jej rodzinnym Donnelaith. Opowiedziałem o portrecie Debory pędzla Rembrandta wiszącym w Amsterdamie. Tłumaczyłem, że interesują nas osoby z rodziny Mayfairów, gdyż wydają się posiadać prawdziwe, wrodzone zdolności parapsychiczne, objawiające się w każdym pokoleniu, a my pragniemy nawiązać kontakt z potomkami Debory, aby podzielić się z nimi zbiorami dokumentów oraz przekazać te informacje Deirdre Mayfair, gdyż wydaje się osobą głęboko cierpiącą z powodu swej zdolności widzenia ducha, który w innych czasach nosił imię Lashera i być może do dziś dnia tak się nazywa.

„Nasz przedstawiciel Petyr van Abel jako pierwszy zobaczył tego ducha w Donnelaith w siedemnastym wieku. Duch był wielokrotnie widywany w pobliżu pańskiego rodzinnego domu przy ulicy Pierwszej. Niedawno oglądałem go na własne oczy w innym mieście”.

Przepisałem list i zaadresowałem do Carlotty Mayfair. Po dłuższym zastanowieniu podałem adres i numer telefonu mojego hotelu. Jaki miało sens ukrywanie się za skrytką pocztową?

Pojechałem na ulicę Pierwszą. Wrzuciłem list do skrzynki na furcie. Następnie ruszyłem do Metairie. Wsunąłem przez otwór w drzwiach kopertę do Cortlanda. Nagle poczułem, że ogarniają mnie złe przeczucia. Chociaż wróciłem do hotelu, nie poszedłem do swojego pokoju. Uprzedziłem recepcję, że będzie mnie można znaleźć w barze na parterze. Przesiedziałem tam cały wieczór, smakując powoli bardzo dobrą whisky z Kentucky i opisując w dzienniku wszystkie wydarzenia.

Bar był niewielki i cichy. Wychodził na urocze patio, do którego siedziałem tyłem. Wpatrywałem się w drzwi do holu, z powodów, których nie potrafię wyjaśnić. Przebywanie w tym miejscu sprawiało mi przyjemność. Powoli zacząłem zapominać o złych przeczuciach.

Około ósmej podniosłem wzrok znad dziennika i uświadomiłem sobie, że ktoś stoi obok mojego stolika. Był to Cortland.

Jak pisałem wcześniej, niedawno ukończyłem swoją opowieść na podstawie dokumentów o Mayfairach. Oglądałem wówczas niezliczone fotografie Cortlanda. Ale nie jego zdjęcie przyszło mi na myśl, gdy spotkały się nasze oczy.

Wysoki, ciemnowłosy mężczyzna patrzący na mnie z uśmiechem stanowił żywy portret Juliena Mayfaira zmarłego w 1914 roku. Różnice wydawały się nieistotne. Był to Julien o większych oczach, ciemniejszych włosach i pełniejszych wargach. Ale bez wątplenia Julien. Nagle jego uśmiech wydał mi się groteskowy, sztuczny.

Postanowiłem zapamiętać te dziwaczne myśli i poprosiłem go, aby usiadł.

Miał na sobie lniany garnitur, skrojony podobnie do mojego, bladocytrynową koszulę i jasny krawat.

„Dzięki Bogu, że to nie Carlotta”, pomyślałem, gdy się odezwał:

– Nie sądzę, aby moja kuzynka Carlotta skontaktowała się z panem. Uważam natomiast, że pan i ja powinniśmy porozmawiać.

Bardzo sympatyczny i całkowicie nieszczerzy głos. Południowy akcent z charakterystyczną nowoorleańską intonacją. Błysk w ciemnych oczach czarujący i trochę nieprzyjemny.

Ten człowiek mnie nienawidził albo uważał za cholernego natręta. Odwrócił się i dał znak barmanowi.

– Proszę jeszcze raz to samo dla pana Lightnera, a dla mnie sherry.

Usiadł vis-a-vis mnie przy małym marmurowym stoliku. Skrzyżował długie nogi.

– Nie będzie miał pan nic przeciw temu, żebym zapalił, prawda, panie Lightner? Dziękuję.

Wyciągnął z kieszeni piękną złotą papierośnicę, zaproponował mi papierosa, a gdy odmówiłem, zapalił sam. Znowu uderzyło mnie jego pogodne usposobienie. Uznałem, że udaje. Zastanawiałem się, jakie wrażenie wywiera na zwykłych ludziach.

– Cieszę się, że pan przyszedł, panie Mayfair – zacząłem.

– Och, proszę, aby pan mówił do mnie po imieniu – Cortland – odparł. – W końcu jest tylu „panów Mayfairów”.

Nagle poczułem grożące mi z jego strony niebezpieczeństwo. Spróbowałem ukryć przed nim swoje myśli.

– Oczywiście, jeśli pan będzie do mnie mówił Aaron, wtedy i ja z przyjemnością będę zwracał się do pana po imieniu.

Skinął lekko głową. Rzucił niedbały uśmiech młodej kobiecie, która przyniosła nam napoje, i natychmiast upił łyk sherry.

Był nieodparcie pociągający. Czarne błyszczące włosy, wąska smużka wąsów z odcieniem szarości tuż nad wargą. Wydawało się, że zmarszczki dodają mu urody. Przypomniał mi się Llewellyn i jego opis Julienu, którego niedawno wysłuchałem. Ale musiałem przestać o tym myśleć. Groziło mi niebezpieczeństwo. Wiedziałem o tym dzięki doskonałej intuicji. Działał na nią urok tego mężczyzny. Uważał siebie za bardzo atrakcyjnego i sprytnego. Był taki.

Patrzyłem na nową szklankę z bourbonem i wodą. Nagle uderzyło mnie, że ręka Cortlanda leży na złotej papierośnicy. Tylko o centymetr od szklanki. Wiedziałem z całkowitą pewnością, że ten człowiek zamierza uczynić mi krzywdę. Zupełnie nieoczekiwany wniosek. Przez cały czas myślałem, że to Carlotta stanowi zagrożenie.

– Och, przepraszam – powiedział nagle ze zdziwionym wyrazem twarzy, jakby sobie coś przypomniał. – Muszę wziąć lekarstwo, jeśli je znajdę. – Poklepał się po kieszeniach, potem wyciągnął coś z płaszcza. Małą buteleczkę tabletek. – Co za niewygodna – stwierdził potrząsając głową. – Spędził pan przyjemnie czas w Nowym Orleanie? – odwrócił się i poprosił o szklankę wody. – Naturalnie, pojechał pan do Teksasu zobaczyć się z moją siostrzenicą. Wiem o tym. Ale zwiedzał pan też i miasto, bez wątpienia. Co pan sądzi o tym ogrodzie? – Wskazał na rozciągające się za mną patio. – Ma swoją historię. Opowiedzieli ją już panu?

Odwróciłem się w krześle i rzuciłem spojrzenie nad ramieniem w głąb ogrodu. Zobaczyłem nierówne kamienie, zaniedbaną fontannę, a za nią stojącego w cieniu pod łukowatymi drzwiami człowieka. Wysoki, chudy, oświetlony z tyłu. Bez twarzy. Nieruchomy. Dreszcz, który przebiegł mi po plecach, był prawie podniecający. Nie odrywałem wzroku od mężczyzny. Powoli jego postać zupełnie się rozplynęła.

Czekałem na podmuch ciepłego powietrza, ale go nie poczułem. Prawdopodobnie znajdowałem się za daleko od tej istoty. Zresztą może

całkowicie się myliłem co do jej charakteru.

Miałem wrażenie, że minął wiek. Gdy odwróciłem się do Cortlanda, powiedział:

– Jakaś kobieta popełniła w tym ogrodzie samobójstwo. Mówią, że woda w fontannie raz do roku przybiera barwę krwi.

– Fascynujące – odparłem cicho.

Obserwowałem, jak Cortland podnosi szklanę z wodą i wypija połowę zawartości. Czy połknął swoje tabletki? Mała buteleczka zniknęła. Zerknąłem na bourbona. Nie tknąłbym go za żadne skarby świata. Popatrzyłem z roztargnieniem na pióro leżące obok dziennika i schowałem je do kieszeni. Byłem tak pochłonięty wszystkim, co zobaczyłem i usłyszałem, że nie czułem najmniejszej potrzeby wymówienia choćby słowa.

– Zatem, panie Lightner, wróćmy do tematu – znowu ten uśmiech, ten olśniewający uśmiech.

– Oczywiście – odparłem. Co czułem? Byłem zadziwiająco podniecony. Siedziałem przy stole z synem Julienu, Cortlandem, który właśnie wrzucił narkotyk, niewątpliwie śmiercionośny, do mojej whisky. Uważał, że ujdzie mu to bezkarnie. Cała mroczna historia nagle rozbłysła w mojej głowie. Znalazłem się w jej środku. Nie czytałem o niej w Anglii. Byłem tu.

Może uśmiechnąłem się do niego. Wiedziałem, że po zadziwiającym skoku emocji nadejdzie miazdzące cierpienie. Ten cholerny skurwysyn próbował mnie zabić.

– Rozważyłem sobie tę sprawę, Talamascę i tak dalej – powiedział niedbałym, nonszalanckim tonem. – Nic nie możemy na was poradzić. Nie jesteśmy w stanie zmusić was do udostępnienia informacji o naszej rodzinie, gdyż są one całkowicie prywatne, nie przeznaczone do publikacji ani niegodnego wykorzystania. Nie potrafimy też pohamować was w zbieraniu informacji tak długo, dopóki nie łamiecie prawa.

– Tak. Zgadza się.

– Jednak możemy sprawić kłopoty panu lub waszym przedstawicielom. Duże kłopoty. Możemy też załatwić prawnie, że nie będzie wam wolno zbliżyć się do nas i do naszych posiadłości na wiele metrów. Byłoby to dla nas dość kosztowne, a i tak pewnie nie powstrzymałoby was, jeśli rzeczywiście jesteście tymi, za kogo się podajecie.

Przerwał, zaciągnął się cienkim, ciemnym papierosem i zerknął na moją szklankę z bourbonem i wodą.

– Czy zamówiłem dla pana nieodpowiedniego drinka, panie Lightner?

– Nie zamawiał pan drinka – odpowiedziałem. – Kelner przyniósł to, co piłem przez całe popołudnie. Powinienem pana powstrzymać. Wypiłem już dość.

Popatrzył na mnie, a jego spojrzenie na chwilę stwardniało. Zniknęła maska uśmiechu. Gdy czuł się zakłopotany i przestawał grać, wyglądał całkiem młodo.

– Nie powinien pan jechać do Teksasu, panie Lightner – stwierdził chłodno.

– Nie powinien pan nigdy niepokoić mojej siostrzenicy.

– Zgadzam się z panem. Nie powinienem jej niepokoić. Jednak martwiłem się o nią. Chciałem zaoferować pomoc.

– To tylko dowód arogancji, pańskiej i pana londyńskich przyjaciół – w głosie Cortlanda pojawił się gniew. Lub tylko złość, że nie chcę wypić bourbona. Dłuższą chwilę patrzyłem na niego. Mój umysł się oczyszczał, aż nie było w nim żadnego natrętnego dźwięku, ruchu, koloru – tylko jego twarz i cichy głos mówiący mi, to co mam powiedzieć.

– Tak, to aroganckie, prawda? – odparłem. – Ale widzi pan, to nasz przedstawiciel Petyr van Abel był ojcem Charlotty Mayfair, urodzonej we Francji w roku 1664. Kiedy potem wyruszył na Santo Domingo, by odwiedzić swoją córkę, uwięziła go. Zanim wasz duch Lasher doprowadził go do śmierci na samotnej drodze pod Port-au-Prince, Petyr złączył się z własną córką Charlottą i tak stał się ojcem Jeanne Louise. To oznacza, że był dziadkiem Angeliqve i pradiadkiem Marie Claudette, która zbudowała Riverbend i

stworzyła dziedzictwo, którym teraz pan zarządza w imieniu Deirdre. Czy nadaża pan za moją opowieścią?

Najwyraźniej nie był w stanie udzielić odpowiedzi. Siedział nieruchomo patrząc na mnie, a papieros palił mu się w palcach. Nie uchwyciłem żadnego śladu złości czy gniewu. Obserwowałem go uważnie i mówiłem dalej:

– Pańscy przodkowie są potomkami naszego przedstawiciela Petyra van Abla. Jesteśmy związani za sobą – czarownice Mayfair i Talamasca. Poza tym istnieją inne kwestie, które po tych wszystkich latach zbliżają nas do siebie. Nasz delegat, Stuart Townsend, przepadł w Nowym Orleanie po odwiedzinach u Stelli w roku 1929. Pamięta pan Stuarta Townsenda? Tajemnica jego zniknięcia nigdy nie została rozwiązana.

– Pan oszalał, Lightner – powiedział bez żadnej zmiany wyrazu twarzy. Zaciągnął się papierosem i zgniótł go w popielniczce, choć wypalił tylko do połowy.

– Ten wasz duch zabił Petyra van Abla – ciągnąłem spokojnie. – Czy to Lashera widziałem przed chwilą? Tam? – wskazałem gestem odległy ogród. – On doprowadza pańską siostrzenicę do obłędu, prawda? – spytałem.

Teraz spojrzenie Cortlanda zupełnie się zmieniło. Jego twarz pięknie okolona ciemnymi włosami wydawała się absolutnie niewinna w swym zdumieniu.

– Mówi pan poważnie, prawda? – Były to pierwsze uczciwe słowa wypowiedziane przez niego od chwili wejścia do baru.

– Oczywiście, jak najpoważniej – odparłem. – Po co miałbym oszukiwać ludzi, którzy potrafią czytać myśli? Byłaby to głupota z mojej strony, czyż nie tak? – Zerknąłem na szklankę. – Tak jak z pańskiej strony przypuszczenie, że wypiję tego bourbona i ulegnę narkotykowi, który pan tam wsypał. W ten sposób pozbyłby się pan mnie jak Stuarta Townsenda czy Cornella Mayfaira.

Próbował ukryć szok za nonszalanckim, lekceważącym spojrzeniem.

– To bardzo poważne oskarżenie – stwierdził cicho.

– Cały czas myślałem, że to Carlotta. Ale to nie ona, prawda? To pan.

– Kogo obchodzi, co pan myśli? – wyszeptał. – Jak pan śmie wmawiać mi coś podobnego? – Opanował gniew. Uniósł się nieznacznie. Nie odrywał ode mnie wzroku. Otworzył papierośnicę i wyjął następnego papierosa. Jego zachowanie zmieniło się nagle i jak ktoś naprawdę uczciwy zapytał ścisząc głos:

– Czego, u diabła, pan chce, Lightner?

Zamyśliłem się na chwilę. Od tygodni zadawałem sobie dokładnie to samo pytanie. Do czego dążę? Po co przyjechałem do Nowego Orleanu? Czego my, czego ja naprawdę chcę?

– Pragniemy was poznać! – zawołałem zaskoczony brzmieniem własnego głosu i tym, co mówię. – Tak wiele o was wiemy, a jednak nie znamy was wcale. Naszym celem jest przedstawienie wam tego, co wiemy – wszystkie najdrobniejsze nawet informacje, które od dawna zbieraliśmy. Tylko Talamasca zgłębiła waszą najdawniejszą historię! Znamy waszą tajemnicę: kim jesteście i czym on jest. Chodzi nam o to, żebyście zaufali Talamasce i wpuścili ją do środka! Wreszcie chcemy dotrzeć do Deirdre Mayfair i powiedzieć: „Istnieją inni tacy jak ty. Inni, którzy też widzą duchy. Wiemy, że cierpisz, ale możemy ci pomóc. Nie jesteś sama”.

Cortland patrzył na mnie badawczo, szeroko otwartymi oczami. Twarz w końcu pozbawiona obłudy. Odsunął się, odwrócił wzrok, strząsnął popiół z papierosa i gestem poprosił o następny kieliszek sherry.

– Dlaczego nie wypije pan bourbona? – spytałem. – Nie tknąłem go. – Znowu sam siebie zaskoczyłem. Ale pozwoliłem, aby padło pytanie.

Spojrzał na mnie.

– Nie lubię bourbona – odparł. – Dziękuję.

– Co pan wrzucił do szklanki?

Powrócił do własnych myśli. Wydawał mi się trochę żaloszny. Patrzył, jak kelner stawia przed nim kryształowy kieliszek. Sherry jak przedtem.



– Czy to prawda – zapytał podnosząc wzrok – co napisał pan w liście o portrecie Debory Mayfair w Amsterdamie?

Skinąłem głową.

– Mamy portrety Charlotty, Jeanne Louise, Angelique, Marie Claudette, Marguerite, Katherine, Mary Beth, Juliena, Stelli, Anthy i Deirdre.

Cortland przerwał mi raptownym, niecierpliwym gestem.

– Niech pan zrozumie. Przybyłem tu z powodu Deirdre – zacząłem. – Przyjechałem, bo ją ogarnia obłąd. Dziewczyna, z którą rozmawiałem w Teksasie, jest na skraju załamania nerwowego.

– Jak pan sądzi, pomógł jej pan?

– Nie, i głęboko tego żałuję. Jeśli nie zechce pan nawiązać z nami kontaktu, zrozumieć. Dlaczego, u diabła, miałby pan chcieć? Ale możemy pomóc Deirdre. Naprawdę.

Żadnej odpowiedzi. Wypił sherry. Próbowałem spojrzeć na siebie jego oczami. Nie potrafiłem. Nigdy nie chciałem nikogo otruć. Nie miałem zielonego pojęcia, kim on naprawdę jest. Na pewno nie był takim człowiekiem, jakiego poznałem z relacji.

– Czy pański ojciec, Julien, rozmawiałby ze mną?

– W żadnym wypadku – odparł. Wyprostował się, jakby ocknął z zamyślenia. Przez chwilę sprawiał wrażenie głęboko zatroskanego. – Nie wiecie z tych waszych obserwacji – zapytał – że on był *jednym z nich* – Wydawał się mówić zupełnie szczerze. Patrzył na mnie uważnie, jakby chciał upewnić się, że też mu szczerze odpowiem.

– A pan do nich nie należy? – spytałem.

– Nie – zaprzeczył z naciskiem, powoli kręcąc głową. – Naprawdę nie! Nigdy! – Nagle posmutniał. Wyglądał teraz staro. – Szpiegujcie nas, jak chcecie. Traktujcie jak rodzinę królewską...

– Dokładnie.

– Jesteście historykami. Potwierdzili to moi znajomi z Londynu. Historycy,

naukowcy, absolutnie niegroźni, całkowicie godni szacunku...

– Jestem zaszczycony.

– Ale zostawcie moją siostrzenicę w spokoju. Ma teraz szansę na szczęście. Dlatego „ta sprawa” musi się zakończyć, rozumie pan? Musi. Być może ona dopilnuje, że się zakończy.

– Czy Deirdre jest jedną z nich? – zapytałem powtarzając jego wcześniejsze wyrażenie i ton.

– Oczywiście, że nie! – zaprzeczył. – Właśnie o to chodzi! Nie ma nikogo z nich! Nie widzicie tego? Jaki więc był przedmiot badań nad nami? Nie dostrzeżliście rozproszenia mocy? Stella też do nich nie należała! Ostatnia była Mary Beth. Julien – mój ojciec, tak, a potem Mary Beth.

– Zauważyłem to. A co z waszym widmowym przyjacielem? Czy on pozwoli na koniec?

– Wierzy pan w niego? – Wyprostował głowę. Na jego twarzy widniał blady uśmiezek. Ciemne oczy otoczyła siateczka zmarszczek, gdy bezgłośnie chichotał. – Doprawdy, panie Lightner? Wierzy pan w Lashera?

– Widziałem go – stwierdziłem krótko.

– Wyobraźnia, proszę pana. Moja siostrzenica mówiła mi, że zdarzyło się to w bardzo ciemnym ogrodzie.

– Och, proszę. Czy naprawdę doszliśmy do tego, by wmawiać sobie takie rzeczy? Widziałem go, Cortland. Uśmiechał się, kiedy go zobaczyłem. Stał się bardzo cielesny i żywotny.

Uśmiech Mayfaira trochę zbladł. Było w nim teraz więcej ironii. Cortland uniósł brwi i cicho westchnął.

– Och, podobałyby mu się pańskie słowa, panie Lightner.

– Czy Deirdre potrafi zmusić go do odejścia i zostawienia jej w spokoju?

– Oczywiście, że nie, ale może go ignorować. Życ własnym życiem, jakby go nie było. Antha nie potrafiła. Stella nie chciała. Ale Deirdre jest silniejsza od Anthy, a nawet od Stelli. Deirdre ma w sobie wiele z Mary Beth. Inni często

sobie tego nie uświadamiają...

Nagle wydało mi się, że sam siebie złapał na mówieniu czegoś, czego nie miał zamiaru powiedzieć.

Wpatrywał się we mnie dłuższą chwilę, potem wziął papierośnicę i zapalniczkę, i powoli wstał.

– Proszę jeszcze zostać – powiedziałem cicho.

– Niech mi pan prześle te dokumenty. Chętnie przeczytam. Potem, być może, znowu porozmawiamy. Ale nigdy więcej niech się pan nie zbliża do mojej siostrzenicy, panie Lightner. Proszę zrozumieć, że zrobię wszystko, aby ochronić ją przed każdym, kto ma zamiar ją wykorzystać lub skrzywdzić. Wszystko!

Odwrócił się, by odejść.

– Co z moim bourbonem? – zapytałem wstając. Gestem wskazałem szklankę. – Założmy, że wezwę policję i przekażę zatrutą whisky jako dowód.

– Panie Lightner, to Nowy Orlean! – uśmiechnął się czarująco i mrugnął do mnie. – A teraz proszę wrócić do domu, do swego obserwatorium, do teleskopu i niech się pana na nas gapi z daleka!

Patrzyłem, jak odchodzi. Szedł z wdziękiem długim, swobodnym krokiem. Doszedłszy do drzwi obejrzał się i machnął mi szybko, serdecznie ręką.

Usiadłem i opisałem w dzienniku dokładnie przebieg całego wieczoru. Wyjąłem z kieszeni małą buteleczkę aspiryny, wysypałem tabletki i wlałem do niej whisky z narkotykiem. Zakręciłem i schowałem.

Miałem już wziąć dziennik i pióro, i skierować się w stronę schodów, gdy zobaczyłem recepcjonistę stojącego tuż za drzwiami do baru. Podszedł do mnie.

– Pańskie bagaże są gotowe, panie Lightner. Samochód już czeka.

Miał czarną sympatyczną twarz. Nikt go nie uprzedził, że osobiście wyrzuci mnie z miasta.

– Ach tak? – zdziwiłem się. – Czy wszystko spakowałeś? – Zerknąłem na dwie walizki. Dziennik miałem, oczywiście, przy sobie. Wyszedłem do holu.

Zobaczyłem długą, staroświecką limuzynę blokującą jak gigantyczny korek wąską uliczkę Dzielnicy Francuskiej. – Czy to samochód po mnie?

– Tak, proszę pana. Pan Cortland polecił mi, żebym dopilnował, aby pan zdążył na samolot do Nowego Jorku odlatujący o dziesiątej. Powiedział, że ktoś będzie czekał na pana na lotnisku z biletem. Ma pan jeszcze trochę czasu.

– Jak to ładnie z jego strony! – sięgnąłem do kieszeni po banknoty, ale chłopiec odmówił ich przyjęcia.

– Pan Cortland wszystko załatwił, proszę pana. Proszę się pospieszyć. Chyba nie chce pan spóźnić się na samolot?

– To prawda. Ale jestem uprzedzony do wielkich czarnych samochodów. Sprowadź mi taksówkę i weź te pieniądze, proszę.

Taksówka nie zawiozła mnie na lotnisko, lecz na dworzec. Udało mi się złapać pociąg do St. Louis, a stamtąd do Nowego Jorku. Kiedy rozmawiałem ze Scottem, był stanowczy. „Dane wymagają ponownej oceny. Nie prowadź już żadnych poszukiwań w Nowym Jorku. Wracaj do domu”.

Zachorowałem w połowie drogi przez Atlantyk. Wysoka gorączka powaliła mnie, zanim dotarłem do Londynu. Tam czekała już karetka, aby przewieźć mnie do szpitala. Był też Scott, żeby towarzyszyć mi w drodze. Odzyskiwałem i traciłem przytomność.

– Szukajcie trucizny – wyszeptałem.

Przez osiem godzin nie wymówiłem słowa. Kiedy wreszcie się ocknąłem, miałem jeszcze trochę gorączki i było mi niedobrze, ale czułem, że przeżyję. Zobaczyłem, że Scott i dwóch innych dobrych przyjaciół są ze mną w pokoju.

– Próbowano cię otruć, ale najgorsze masz za sobą. Czy pamiętasz, co jadłeś, zanim wsiadłeś do samolotu?

– To ta kobieta – stwierdziłem.

– Opowiedz mi.

– Siedziałem w barze na lotnisku w Nowym Jorku. Piłem szkocką z wodą sodową. Uginała się pod niemożliwej wielkości torbą. Poprosiła mnie o

przyrowadzenie wózka. Kasłała, jakby chorowała na gruźlicę. Miała bardzo niezdrowy wygląd. Usiadła przy moim stoliku, gdy poszedłem po wózek. Prawdopodobnie; wynajęli ją na ulicy.

– Dolała ci trucizny produkowanej z rącznika pospolitego. Bardzo silna i niezwykle rozpowszechniona. To samo Cortland dodał do twojego bourbona. Nic ci już nie grozi, ale będziesz chory jeszcze przez dwa dni.

– Dobry Boże – znowu poczułem skurcz żołądka.

– Nie będą już z nami rozmawiać, Aaronie – stwierdził Scott. – Jak mogliby? Zabijają ludzi. Wszystko się skończyło. Przynajmniej na razie.

– Zawsze to robili, Scott – wtrąciłem słabo. – Ale Deirdre nikogo nie zabija. Dajcie mi mój dziennik. – Skurcze stały się nie do zniesienia. Wszedł lekarz i zaczął przygotowywać dla mnie zastrzyk. Zaprotestowałem.

– Aaronie, ten lekarz jest szefem oddziału toksykologii, ma nieskazitelną reputację. Sprawdziliśmy pielęgniarki. Nasi ludzie są w pobliżu i w tym pokoju.

Upłynął tydzień, zanim mogłem wrócić do domu. Nie byłem w stanie zmusić się do zjedzenia czegokolwiek. Nie opuszczało mnie przeświadczenie, że nawet w konwencie mogę zostać zatruty. Cóż powstrzymałoby ich od zatrucia naszej żywności pospolitymi toksynami, zanim dotrze do naszej kuchni?

Chociaż nic takiego się nie zdarzyło, przez rok nie byłem w stanie uwolnić się od podobnych myśli, tak wstrząsnęły mną te wydarzenia.

Coraz bardziej wstrząsające wiadomości docierały do nas z Nowego Orleanu. W czasie mojej rekonwalescencji przejrzałem ponownie historię rodziny Mayfairów. Część poprawiłem; dołączyłem świadectwo Richarda Llewellyna i kilku innych osób, z którymi spotkałem się przed wyjazdem do Teksasu do Deirdre.

Doszedłem do wniosku, że to Cortland usunął Stuarta i prawdopodobnie Cornella. Przypuszczenie miało sens. Jednak pozostawało tyle nie wyjaśnionych tajemnic. Co ukrywał Cortland, gdy popełniał te zbrodnie? Dlaczego bez przerwy prowadził wojnę z Carlottą?

Carlotta Mayfair dała o sobie znać, zalewając nas powodzią listów z pogrózkami wystosowanymi przez jej kancelarię adwokacką. Żądała, abyśmy „zaprzestali naruszania jej prywatności”, dokonali „przekazania” wszystkich informacji, które zebraliśmy o niej i pozostałych Mayfairach, a także „nie przekroczyli odległości stu metrów od każdego członka rodziny czy choćby części własności należącej do rodziny, nie nawiązali żadnego kontaktu z Deirdre Mayfair” i tak dalej, i tak dalej, ad nauseam. Żadne z tych żądań czy gróźb nie było ważne w sensie prawnym.

Poinstruowaliśmy naszych adwokatów, aby nie udzielali odpowiedzi.

Przedyskutowaliśmy tę kwestię z całą radą. Raz jeszcze próbowaliśmy nawiązać kontakt i zostaliśmy odepchnięci. Będziemy dalej prowadzić śledztwo. Dano mi wolną rękę; ale nikt nie miał zbliżyć się do rodziny przed wcześniej ustalonym terminem, „jeśli w ogóle kiedykolwiek taki nastąpi”, dodał Reynolds z naciskiem.

Nie protestowałem. Wtedy nie potrafiłem wypić szklanki mleka nie zastanawiając się, czy zaraz potem nie umrę. Nie umiałem wymazać z pamięci fałszywego uśmiechu Cortlanda.

Podwoiłem liczbę detektywów w Nowym Orleanie i w Teksasie. Jednocześnie ostrzegłem tych ludzi osobiście przez telefon, że obserwowane osoby są wrogo nastawione i bardzo niebezpieczne. Dałem wszystkim możliwość odmówienia podjęcia pracy.

Jak się okazało, nie straciłem ani jednego detektywa. Kilku podniosło cenę.

Juliette Milton – nasza plotkarka, tajna agentka pomimo protestów została posłana na nieoficjalną emeryturę. Zrobiliśmy wszystko, by jej uświadomić, że niektórzy z członków rodziny Mayfair są zdolni do przemocy. Niechętnie przestała do nas pisać. W liście z dziesiątego grudnia 1958 błagała o wyjaśnienie, co zrobiła złego. Przez lata, od czasu do czasu otrzymywaliśmy od niej wiadomości. Żyje jeszcze w ekskluzywnym domu opieki w Mobile, w stanie Alabama.

\* \* \*

## DALSZY CIĄG HISTORII DEIRDRE

W Teksasie działało z mojego polecenia trzech detektywów – najwyższej klasy profesjonalistów. Dwóch z nich pracowało kiedyś dla rządu Stanów Zjednoczonych. Wszystkich ostrzegłem, że nie wolno im pod żadnym pozorem niepokoić czy straszyć Deirdre.

– Zależy mi na szczęściu tej dziewczyny, na jej spokoju ducha. Ale zrozumcie, ona ma zdolności telepatyczne. Jeśli zbliżycie się do niej na piętnaście metrów, będzie wiedziała, że jest śledzona. Bądźcie ostrożni.

Czy uwierzyli mi, czy nie, postępowali zgodnie z moimi instrukcjami. Zachowywali bezpieczną odległość, zbierali informacje o niej przez biura szkoły, od plotkujących studentek, od starszych kobiet pracujących w recepcji jej akademika, od nauczycieli, którzy rozprawiali o Deirdre przy kawie. Nie mamy dowodów, czy dziewczyna wiedziała, że jest śledzona.

W semestrze jesiennym Deirdre całkiem nieźle dawała sobie radę. Dostawała doskonałe stopnie. Koleżanki ją polubiły, podobnie zresztą nauczyciele. Co sześć tygodni zwalniała się z akademika na kolację z kuzynką Rhondą Mayfair i jej mężem, profesorem Ellisem Clementem, który wtedy uczył Deirdre angielskiego. Otrzymaliśmy też informację o randce dziesiątego grudnia z chłopcem – Joeyem Dawsonem. Spotkanie jednak potrwało tylko godzinę, jeśli wierzyć rejestrowi wyjść.

W tym samym rejestrze zaznaczono, że Cortland często odwiedzał Deirdre. Regularnie zwalniał ją na piątkowy lub sobotni wieczór w Dallas, skąd wracała tuż przed „ostatnią kontrolą” o pierwszej w nocy.

Wiemy, że na gwiazdkę pojechała do Metairie, do domu Cortlanda. Rodzinna plotka głosiła, że nawet nie chciała widzieć Carlotty, gdy ta przyszła z wizytą.

\* \* \*

Doniesiono nam również, że Carlotta i Cortland nadal ze sobą nie rozmawiali. Carlotta nie odpowiadała na rutynowe telefony Cortlanda związane z interesami. Zjadliwe listy wędrowały w tę i z powrotem nawet w najdrobniejszych kwestiach finansowych dotyczących Deirdre.

– On dla jej dobra próbuje uzyskać pełną kontrolę – zwierzyła się sekretarka przyjaciółce. – Ale ta stara kobieta nie pozwoli na to. Grozi mu oddaniem sprawy do sądu.

Szczegóły tej wojny nie mają znaczenia. Wiemy, że w semestrze letnim zaczęły się pogarszać wyniki Deirdre. Opuszczała zajęcia. Koleżanki z akademika mówiły, że płacze całymi nocami, ale nie odpowiadała na pukanie do drzwi. Pewnego wieczora znalazła ją policja w małym parku w centrum miasta. Najwyraźniej nie orientowała się, gdzie jest.

W końcu wezwał Deirdre dziekan, aby ją zdyscyplinować, gdyż opuściła zbyt wiele zajęć. Została na uczelni warunkowo i chociaż udawało się jej pojawiać w sali wykładowej, nauczyciele informowali, że nie uważa i prawdopodobnie jest chora.

W kwietniu Deirdre zaczęła miewać co rano nudności. Dziewczęta wzdłuż całego korytarza słyszały, jak walczy ze swoją dolegliwością we wspólnej łazience. Poszły do kierowniczkii akademika.

– Nikt nie chciał na nią skarżyć. Bałyśmy się o nią. A jeśli spróbuje zrobić sobie krzywdę?

Kiedy kierowniczka zapytała w rozmowie, czy Deirdre jest w ciąży, dziewczyna wybuchnęła płaczem. Trzeba było umieścić ją w szpitalu do przyjazdu Cortlanda. Zabrał ją do domu pierwszego maja.

Co zdarzyło się potem, pozostało tajemnicą do dziś dnia. Dokumenty z nowego szpitala Miłosierdzia w Nowym Orleanie wskazują, że Deirdre znalazła



się tam bezpośrednio po przyjeździe z Teksasu. Przydzielono jej separatkę. Dzięki informacjom od pracujących tam starych sióstr, z których wiele było emerytowanymi nauczycielkami ze szkoły świętego Alfonsa i pamiętało Deirdre, szybko sprawdziliśmy, że to lekarz Carlotty, doktor Callagher, odwiedzał dziewczynę i potwierdził, że spodziewa się dziecka.

– Tak, ta panna Mayfair wychodzi za mąż – powiedział pielęgniarce. – Nie chcę, żeby mówiono o niej coś przykrego. Ojciec dziecka to profesor z college’u w Denton w Teksasie i jest już w drodze do Nowego Orleanu.

Do czasu gdy trzy tygodnie później przewieziono Deirdre na ulicę Pierwszą na silnych środkach uspokajających i z dyplomowaną pielęgniarce u boku, w całej parafii redemptorystów plotkowano, że jest w ciąży i wkrótce wyjdzie za mąż, a jej narzeczony, profesor z college’u, jest żonaty.

Dla obserwujących tę rodzinę od dawna był to skandal. Starsze panie szeptały o nich na schodach kościoła. Deirdre Mayfair i „żonaty mężczyzna”! Gniewnie przyglądano się przechodzącym obok pannom Millie i Belle. Niektórzy twierdzili, że Carlotta nie da się we wszystko wmieszać. Jednak panna Belle i panna Millie zabrały Deirdre ze sobą do Gusa Mayera. Kupiły jej na ślub prześliczną błękitną sukienkę, tegoż koloru aksamitne pantofelki, nową białą sakiewkę i kapelusz.

– Była tak nafaszerowana lekami, że nie sądzę, aby wiedziała, gdzie jest – powiedziała nam jedna z ekspedientek. – Tylko siedziała, biała jak płótno i odpowiadała przytłumionym głosem „Tak, ciociu Millie”.

Juliette Milton nie mogła się powstrzymać, aby nie napisać do nas listu. Otrzymaliśmy długą i szczegółową relację z tego, jak Beatrice Mayfair poszła na ulicę Pierwszą z odwiedzinami do Deirdre i zaniósła jej całą torbę prezentów. „Po co ona w ogóle pojechała do tamtego domu zamiast do Cortlanda!?” – dziwiła się Juliette.

Istnieją pewne wskazówki, że Deirdre w tej sprawie nie miała żadnego wyboru. Zgodnie z ówczesną wiedzą medyczną wierzono, że łożysko chroni

dziecko przed wszelkimi lekami podawanymi matce. Pielęgniarki twierdziły, że Deirdre była na tak silnych środkach uspokajających, gdy opuszczała szpital, że nawet nie wiedziała, co się z nią dzieje. Carlotta pojawiła się tam wczesnym popołudniem w dzień powszedni i uzyskała jej wypisanie.

– A Cortland Mayfair przybył po Deirdre tego samego wieczora – powiedziała mi później siostra Bridget Marie w najwyższym zaufaniu. – Kiedy dowiedział się o zniknięciu tej dziewczyny, prawie oszalał z furii!

Relacje detektywów tylko pogłębiały tajemnicę. Cortland i Carlotta wrzeszczeli na siebie przez telefon za drzwiami gabinetów. Rozwścieczony Cortland powiedział sekretarce, że Carlotta chyba zwariowała, jeśli sądzi, iż może zamknąć przed nim dom, w którym się urodził!

Wiele lat później mówił o tym Ryan Mayfair.

– Podobno dziadka po prostu nie wpuszczono za drzwi. Pojechał na ulicę Pierwszą, a Carlotta czekała na niego przy furtce i zagroziła mu: „Jeśli wejdiesz, to natychmiast wzywam policję!”

Pierwszego lipca kolejne informacje wzburzyły plotkarzy z parafii. Przyszły mąż Deirdre, „profesor z college’u”, który miał zostawić żonę, aby poślubić pannę Mayfair, w drodze do Nowego Orleanu zginął w wypadku na drodze biegnącej nad rzeką. W jego samochodzie pękła oś. Pojazd z wielką prędkością obrócił się w prawo, uderzył w dąb i wybuchł. Ogarnęły go płomienie. Niezameżna siedemnastoletnia Deirdre Mayfair miała oddać swoje dziecko do adopcji rodzinie. Carlotta wszystko już zorganizowała.

– Mój dziadek był wściekły, gdy usłyszał o adopcji – przypomniał sobie w wiele lat później Ryan Mayfair. – Chciał porozmawiać z Deirdre, usłyszeć z jej własnych ust, że chce oddać córeczkę. Jednak nadal nie mógł dostać się do domu przy ulicy Pierwszej. W końcu poszedł do ojca Lafferty’ego, proboszcza w ich parafii, ale Carlotta miała go u siebie w kieszeni. Ksiądz zdecydowanie trzymał jej stronę.

Wszystko brzmi niezwykle tragicznie. Deidre uciekłaby przed

przekleństwem ulicy Pierwszej, gdyby tylko nie zginął ojciec jej dziecka spieszący z Teksasu, aby ją poślubić. Przez lata powtarzano w parafii redemptorystów tę smutną historię. Jako ostatnia opowiedziała mi ją Rita Mae Lonigan w 1988. Istnieje też wiele przesłanek, że ojciec Lafferty wierzył w opowieść o teksaskim ojcu dziecka. Niezliczone relacje dowodzą, że kuzyni Mayfair też w nią wierzyli. Beatrice Mayfair wierzyła... Pierce Mayfair. Nawet Rhonda Mayfair i jej mąż, Ellis Clement z Denton w Teksasie. Przynajmniej w tę lakoniczną wersję, którą w końcu mi opowiedziano.

Jednak ta opowieść nie była prawdziwa.

Prawie od samego początku nasi detektywi kręcili ze zdumieniem głową. Profesor ze szkoły z Deirdre Mayfair? Kto? Stale ją śledzono. Wykluczono możliwość, że był to mąż Rhondy Mayfair, Ellis Clement. Ledwie znał Deirdre.

W rzeczywistości nigdy nie istniał taki mężczyzna w Denton, w stanie Teksas, który umawiałby się z Deirdre Mayfair, czy choćby był widziany w jej towarzystwie. Nie było też żadnego profesora zatrudnionego przez ten uniwersytet ani inną szkołę w pobliżu, który zginąłby w wypadku samochodowym na szosie w Luizjanie. O ile wiemy, nikt nie zginął w wypadku na drodze przy rzece w 1959.

Czy za tą mistyfikacją nie kryje się tragiczniejsza i bardziej tajemnicza historia? Długo łączyliśmy poszczególne elementy łamigłówek. W czasie gdy dowiedzieliśmy się o wypadku, formalnie załatwiono adopcję dziecka Deirdre. Gdy okazało się, że nie było żadnego wypadku, adopcja stała się faktem.

Późniejsze akta sądowe wskazują, że w sierpniu przyleciała do Nowego Orleanu Ellie Mayfair, aby podpisać w kancelarii adwokackiej Carlotty papiery adopcyjne. Jednak nikt z rodziny wydaje się nie wiedzieć, że Ellie w ogóle wtedy była w mieście.

Graham Franklin, mąż Ellie, wiele lat później powiedział jednemu ze swych partnerów w interesach, że ta adopcja pociągnęła za sobą same kłopoty.

– Moja żona przestała rozmawiać ze swoim dziadkiem. Nie chciał, żebyśmy

adoptowali Rowan. Na szczęście stary drań umarł przed narodzinami dziecka.

Ojciec Lafferty wyznał swej starzejącej się siostrze, że cała sprawa była prawdziwym koszmarem, ale ta Ellie Mayfair to dobra kobieta i zabierze dziecko do Kalifornii, gdzie zdobędzie szansę rozpoczęcia nowego życia. Wszystkie wnuki Cortlanda zaakceptowały tę decyzję. Sprzeciwiał się tylko sam Cortland.

– Dziewczyna nie może zatrzymać dziecka. To wariatka – powiedział stary ksiądz. Siedział przy stole w kuchni siostry, jadł czerwoną fasolę i popijał piwem. – Wiem, co mówię. Psychiczenie chora. Tak należało postąpić.

– To i tak na nic – przyznała później stara kobieta naszemu przedstawicielowi. – Nie można uciec przed rodzinnym przekleństwem wyprowadzając się z domu.

Panna Millie i panna Belle kupiły u Gusa Mayera dla Deirdre piękne lizeski i koszule nocne. Ekspedientki pytały o „biedną Deirdre”.

– Och, jak może się czuć? – odpowiadała panna Millie. – To było okropne, straszne.

Panna Belle zwierzyła się znajomej w kaplicy, że Deirdre znowu miała zły okres.

– Większość czasu nie wie nawet, gdzie się znajduje – powiedziała ponura Nancy zamiatając chodnik do przechodzącej przed furtką starszej mieszkanki Dzielnicy Ogrodów.

Co się działo przy ulicy Pierwszej przez te wszystkie miesiące? Naciskaliśmy naszych detektywów, żeby dowiedzieli się wszystkiego. Z jedyną osobą, o której wiedzieliśmy, że widziała Deirdre w ciągu ostatnich miesięcy jej „odosobnienia”, jeśli można użyć tego staromodnego określenia, mogliśmy porozmawiać dopiero w roku 1988.

W owym czasie lekarz przychodził i wychodził bez słowa. Tak jak pielęgniarka, która towarzyszyła Deirdre przez osiem godzin dziennie.

Ojciec Lafferty twierdził, że dziewczyna zrezygnowała z dziecka. Kiedy

Beatrice Mayfair przyszła z wizytą, oznajmiono jej, że nie może zobaczyć się z Deirdre. Wypiła kieliszek wina z Millie Dear, która stwierdziła, że dziewczynie po prostu pęka serce.

Do pierwszego października pełen rozpaczy Cortland martwił się sytuacją. Jego sekretarki twierdziły, że dzwonił bez przerwy do Carlotty. Wsiadał do taksówki i jeździł na ulicę Pierwszą, ale tam ciągle odmawiano mu prawa wstępu. Wreszcie po południu dwudziestego października powiedział sekretarce, że ma zamiar dostać się do domu i zobaczyć z siostrzenicą, choćby musiał się włamać.

O piątej tego popołudnia sąsiad zauważył Cortlanda. Siedział na chodniku na rogu ulicy Pierwszej i Kasztanowej. Miał zniszczone ubranie. Krew płynęła z rozcięcia na głowie.

– Proszę wezwać karetkę – wyszeptał. – Zepchnął mnie ze schodów!

Kobieta z sąsiedztwa siedziała przy nim do przyjazdu karetki, ale już więcej się nie odezwał. Pospiesznie przewieziono go z ulicy Pierwszej do pobliskiej kliniki. Dyżurny lekarz szybko sprawdził stan chorego. Cortland miał rozległe stłuczenia, złamaną rękę, krew płynęła mu z ust. Stwierdzono wiele obrażeń wewnętrznych, po czym natychmiast wezwano pomoc.

Cortland nagle pochwycił lekarza za rękę i kazał mu słuchać, bo to bardzo ważne. Trzeba pomóc Deirdre Mayfair, którą trzymają zamkniętą we własnym domu.

– Chcą jej zabrać dziecko! Wbrew jej woli! Pomóż jej! – mówiąc to umarł.

Powierzchnowa sekcja zwłok wykazała rozległy krwotok wewnętrzny i głębokie ślady po uderzeniach w głowę. Kiedy młody internista nalegał na wszczęcie śledztwa, synowie Cortlanda natychmiast go uspokoili. Rozmawiali z kuzynką, Carlottą Mayfair. Ich ojciec spadł ze schodów i odmówił przyjęcia pomocy, gdy chciano go opatrzyć. Opuścił dom o własnych siłach. Carlocie nie przyszło do głowy, że jest tak ciężko ranny. Nie wiedziała, że siedział na chodniku. Była głęboko wstrząśnięta i zrozpaczona. Sąsiad powinien zadzwonić

do drzwi domu.

Na pogrzebie Cortlanda, wielkiej uroczystości w Metairie, rodzinie powtórzono tę samą historię. Kiedy panna Belle i panna Millie siedziały spokojnie z tyłu, syn Cortlanda – Pierce opowiadał wszystkim, że ojciec był w szoku, gdy wspomniał sąsiadowi o mężczyźnie, który zepchnął go ze schodów. W rzeczywistości nie mieszkał w domu przy ulicy Pierwszej żaden mężczyzna, który byłby zdolny do popełnienia takiego czynu. Carlotta widziała jego upadek. Tak jak Nancy, która rzuciła się, aby go złapać, ale nie zdążyła dobiec.

Pierce zdecydowanie popierał adopcję. Jego siostrzenica Ellie stworzy dziecku takie środowisko, jakiego potrzebuje. To tragiczne, że Cortland sprzeciwiał się adopcji, ale miał osiemdziesiąt lat. Od pewnego czasu pogarszała się jego ocena sytuacji.

\* \* \*

Uroczystości pogrzebowe przeszły gładko i bez przeszkód, chociaż grabarz przypomniał sobie po latach, że kilku kuzynów, starszych mężczyzn, stojących z tyłu, w czasie „mówki” Pierce’a żartowało gorzko i sarkastycznie między sobą.

– Tak, tak, nie ma w tamtym domu żadnego mężczyzny – wymruczał jeden z nich. – Neeee, wcale, nikogo. Tylko te miłe starsze panie.

– Nigdy nie widziałem tam żadnego mężczyzny, a ty? Powtarzali to do siebie.

– Absolutnie, żadnego mężczyzny przy ulicy Pierwszej, nigdy, nie, mój panie!

Kiedy kuzyni przyszli z wizytą do Deirdre, opowiedziano im mniej więcej tę samą historyjkę, jaką wygłosił na pogrzebie Pierce. Deirdre była zbyt chora, aby ich przyjąć. Nie wiedziała i nie musiała wiedzieć, że Cortland nie żyje.

– Spójrz na te ciemne schody – powiedziała Millie Dear do Beatrice. – Cortland powinien był wsiąść do windy. Ale on nigdy nie chciał z niej

korzystać. Gdyby posłuchał się nas, nie spadłby. Według rodzinnej opowieści, wszyscy wtedy zgodzili się, że adopcja jest najlepszym rozwiązaniem. Cortland nie powinien był się wtrącać. A Ryan Mayfair, wnuk Cortlanda, twierdził, że „biedna Deirdre” równie nadawała się na matkę jak wariatka z Chaillot. Sądzę, że dziadek czuł się odpowiedzialny. Zawiózł Deirdre do Teksasu. Chyba obwinił się o wszystko. Chciał tylko się upewnić, że postanowiła oddać dziecko. Może zresztą to, czego pragnęła Deirdre, nie miało znaczenia.

W owym czasie lękałem się każdej nowej wieści z Luizjany. Leżałem nocami w łóżku w konwencji. Myślałem bez przerwy o Deirdre. Chciałem znaleźć sposób, aby dowiedzieć się, czego ona naprawdę chce, co czuje. Scott Reynolds bardziej stanowczo niż kiedykolwiek sprzeciwiał się dalszej interwencji. Deirdre wiedziała, jak do nas dotrzeć. Tak jak Cortland. I Carlotta Mayfair, jeśli to miało jakieś znaczenie. Nic więcej nie mogliśmy zrobić.

Dopiero w styczniu 1988, prawie trzydzieści lat później dowiedziałem się w trakcie rozmowy z dawną koleżanką Deirdre, Ritą Mae Dwyer Lonigan, że dziewczyna rozpaczliwie i bezskutecznie próbowała skontaktować się ze mną.

W 1959 Rita Mae właśnie wyszła za mąż za Jerry’ego Lonigana z firmy „Dom Pogrzebowy Lonigan i Synowie”, kiedy usłyszała, że Deirdre wróciła do domu, jest w ciąży i niedawno zginął ojciec jej dziecka. Rita Mae opanowała lęk i poszła z wizytą. Jak innych przedtem, tak i ją odprawiono z kwitkiem, ale nim wyszła, zobaczyła Deirdre na szczycie schodów.

– Rito Mae, zabiorą mi moje dziecko! Rito Mae, pomóż mi! – gdy panna Nancy usiłowała zaciągnąć Deirdre z powrotem na piętro, ta rzuciła Ricie Mae małą białą karteczkę. – Odszukaj tego człowieka! Niech mi pomoże! Powiedz mu, że zabiorą mi moje dziecko!

Ritę Mae natychmiast zaatakowała Carlotta Mayfair próbując wyrwać jej kartkę z ręki, ale Rita, choć ciągnięta za włosy i drapana po twarzy, trzymała ją mocno. Uciekła po zgarniętych uschłych liściach do furtki.

Gdy dotarła do domu, zobaczyła, że wizytówka jest nie do rozszyfrowania.

Carlotta urwała kawałek papieru, a pozostałą część Rita ścisnęła mocno w wilgotnej dłoni. Można było odczytać tylko jedno słowo „Talamasca” i moje nazwisko napisane odręcznie na odwrocie.

Dopiero w 1988, gdy spotkałem Ritę Mae na pogrzebie Nancy Mayfair i wręczyłem jej wizytówkę, identyczną z tą zniszczoną w 1959, rozpoznała nazwisko i zadzwoniła do mnie do hotelu, aby opowiedzieć, co przypomniła sobie z odległej przeszłości.

Nie mogłem ścierpieć myśli o daremnym błaganiu Deirdre o pomoc. Pękało serce, gdy przypominałem sobie te noce sprzed trzydziestu lat, gdy leżałem w łóżku w Londynie rozmyślając: „Nie mogę jej pomóc, ale muszę chociaż spróbować. Ale jak się ośmielę to zrobić? Jak mogłoby mi się udać?”

Prawdopodobnie nic nie mogłem zrobić, żeby pomóc Deirdre, bez względu na to, jak bardzo bym się starał. Jeśli Cortland nie zdołał przeciwdziałać adopcji, należy założyć, że też nic bym nie zdołał. Jednak w marzeniach widzę, jak zabieram Deirdre z domu przy ulicy Pierwszej do Londynu. Widzę zdrową, normalną kobietę.

Rzeczywistość jest zupełnie inna.

Siódmego listopada 1959 roku o piątej nad ranem Deirdre urodziła Rowan Mayfair ważącą cztery i pół kilograma, zdrową, jasnowłosą dziewczynkę. Kilka godzin później, gdy Deirdre obudziła się z narkozy, przy jej łóżku stali: Ellie Mayfair, ojciec Lafferty, Carlotta Mayfair i dwie siostry miłosierdzia, które później szczegółowo opisały tę scenę siostrze Bridget Marie.

Ojciec Lafferty trzymał dziecko w ramionach. Wyjaśnił, że właśnie je ochrzcił w kaplicy szpitala Miłosierdzia i nadał imię Rowan. Pokazał Deirdre podpisaną metrykę chrztu.

– Pocałuj swoje dziecko, Deirdre – polecił ojciec Lafferty. – Oddaj je Ellie. Ellie jest gotowa do drogi.

Plotkowano w parafii, że Deirdre zrobiła, co jej kazano. Nalegała, aby dziecko nosiło nazwisko Mayfair, a kiedy ten warunek został spełniony,



pozwoili ją zabrać. Prawie oślepiiona łzami, pocałowała dziecko i nie protestowała, gdy Ellie wzięła ją z objęć Deirdre. Odwróciła głowę i łkała w poduszkę.

– Lepiej zostawmy ją w spokoju – powiedział ojciec Lafferty. Prawie dziesięć lat później siostra Bridget Marie wyjaśniła znaczenie imienia Rowan.

Carlotta była matką chrzestną dziecka. Chyba ściągnęli jakiegoś lekarza z oddziału na ojca chrzestnego, gdyż bardzo chcieli odprawić chrzest jak najszybciej. Carlotta powiedziała ojcu Lafferty'emu, że dziecko ma nosić imię Rowan, na co ksiądz odparł:

– Pani wie, że to nie jest imię świętej. Mnie wydaje się pogańskie.

A ona, pan wie, jaka była, odpowiedziała mu tym swoim tonem tak:

– Ojczy, to ojciec nie wie, że jarzębina to od wieków znany środek odpędzający czarownice i złego? Nie ma takiej chaty w Irlandii, gdzie gospodyni nie zawiesiłaby gałęzi jarzębiny nad drzwiami, aby chronić jej rodzinę przed wiedźmami, czarami i urokami. Tak postępowano w czasach chrześcijańskich. To dziecko będzie nosiło imię Rowan!

A Ellie Mayfair, drobna, mała, małomówna, zawsze taka była, tylko skinęła głową.

– Czy to prawda? – spytałem. – Czy w Irlandii wieszali gałązkę jarzębiny nad drzwiami?

– Uczyniło to dużo dobrego – odparła siostra Bridget Marie, poważnie kiwając głową.

Kto był ojcem Rowan Mayfair?

Rutynowe badanie krwi przeprowadzone w szpitalu wykazało, że grupa krwi dziecka odpowiada grupie krwi Cortlanda Mayfaira, który zmarł niecały miesiąc wcześniej. Powtórzmy tutaj, że Cortland mógł być ojcem Stelli Mayfair, a ostatnie informacje otrzymane ze szpitala Bellevue potwierdziły, że i Antha Mayfair mogła być jego córką.

\* \* \*

Deirdre „zwariowała”, zanim opuściła szpital Miłosierdzia po urodzeniu Rowan. Pielęgniarki opowiadały, że przez godzinę płakała, potem krzyczała w pustym pokoju: „Zabiłeś go!” Wtargnęła w czasie mszy do szpitalnej kaplicy. Raz jeszcze krzyknęła: „Zabiłeś go! Zostawiłeś mnie samą wśród wrogów. Zdradziłeś mnie!” Musiano ją wyprowadzić siłą i szybko przewieziono do szpitala psychiatrycznego świętej Anny, gdzie przed upływem miesiąca popadła w stan katatonii.

– Był to niewidzialny kochanek – wierzy do dziś siostra Bridget Marie. – Krzyczała na niego, przeklinała go, bo diabeł chciał ją zatrzymać dla siebie. Kochanek – demon. Właśnie tym był w samym środku Nowego Orleanu. Spacerował nocą ulicami Dzielnicy Ogrodów.

Wspaniała, wymowna opinia. Skoro jednak jest bardziej prawdopodobne, że profesor z college’u nigdy nie istniał, jakie znaczenie mogą mieć słowa Deirdre? Czy Lasher zepchnął ze schodów Cortlanda albo przeraził go tak bardzo, że spadł? Jeśli rzeczywiście to zrobił, to dlaczego?

Tak zakończyło się życie Deirdre Mayfair. Przez siedemnaście lat zostawała zamykana w różnych klinikach psychiatrycznych. Ordynowano jej gigantyczne dawki środków uspokajających i poddawano seriom okrutnych terapii elektrowstrząsami. Miewała krótkie chwile odpoczynku, gdy wracała do domu – cień dziewczyny, jaką była niegdyś.

W 1976 przywieziono ją na stałe na ulicę Pierwszą. Niema kaleka o wybałuszonych oczach, ciągle rozdrażniona, bez zdolności zapamiętania czegokolwiek.

Boczny ganek ocieniono dla niej daszkiem. Przez lata codziennie ją tam wyprowadzano, bez względu na pogodę – deszcz czy słońce. Siedziała bez ruchu w bujanym fotelu. Twarz zwracała zawsze lekko w stronę odległej ulicy.

– Nie jest w stanie zapamiętać, co się stało przed chwilą – stwierdził lekarz.

– Żyje całkowicie w terażniejszości, w sposób, którego nie potrafimy sobie wyobrazić. Można powiedzieć, że jej umysł nie istnieje.

Takie zachowanie obserwowano u bardzo starych ludzi, którzy osiągnęli ostatni etap starczej demencji i znajdują się w szpitalach geriatrycznych na całym świecie. Bez względu na swój stan otrzymuje silne dawki środków uspokajających. Nie można dopuścić do ataków „rozdrażnienia”, tak mówiono jej różnym lekarzom i pielęgniarkom.

Jak do tego doszło, że Deirdre Mayfair stała się „bezrozumną wariatką”, jak ją nazywano w Dzielnicy Irlandzkiej, „miłym warzywem” siedzącym w fotelu? Z pewnością terapia elektrowstrząsami miała wpływ na jej stan, gdyż często ją ordynowano przez lata we wszystkich klinikach, w których umieszczano Deirdre od 1959. Były też leki – gigantyczne dawki prawie paraliżujących środków uspokajających – podawane w zadziwiających zestawieniach, przynajmniej tak wskazują dokumenty szpitalne, gdy udaje się nam zdobyć do nich dostęp.

Czy można usprawiedliwić takie metody leczenia? Deirdre Mayfair przestała mówić zrozumiale dość wcześnie, bo w 1962. Kiedy nie była pod wpływem środków uspokajających, krzyczała lub płakała bez przerwy. Od czasu do czasu tłukła przedmioty lub leżała, przewracała oczami i wyla.

Lata mijają, a my wciąż zbieramy informacje o Deirdre Mayfair. Raz na miesiąc udaje nam się przeprowadzić „wywiad” z lekarzem, pielęgniarką czy jakąś inną osobą, która bywa w domu przy ulicy Pierwszej. Ale nasze raporty o tym, co naprawdę tam się dzieje, pozostają niepełne. Dokumenty szpitalne są, naturalnie, poufne i niezwykle trudno je zdobyć. Wiemy przy tym, że w dwóch szpitalach psychiatrycznych, w których leczono Deirdre, nie istnieją karty informacyjne o przebiegu terapii.

Jeden z jej lekarzy przyznał się z własnej woli zaciekawionemu nieznanemu, że zniszczył dokumentację choroby Deirdre. Inny lekarz przeszedł na emeryturę wkrótce po leczeniu Deirdre, zostawiając tylko kilka

tajemniczych notatek i krótki raport. „Nieuleczalne. Tragiczne. Ciotka żąda ciągłego podawania leków, jednak jej opis zachowania pacjentki nie jest wiarygodny”.

Nadal, ze zrozumiałych powodów, oceniając życie Deirdre polegamy na przypadkowych relacjach. Chociaż całe dorosłe życie Deirdre ogarnął mrok spowodowany oddziaływaniem leków, to wielokrotnie widziano u jej boku „tajemniczego rudowłosego mężczyznę”. Pielęgniarki w klinice psychiatrycznej świętej Anny twierdziły, że zauważyły, jak „jakiś mężczyzna wchodził do jej pokoju! Teraz wiem, że go widziałam!” W szpitalu w Teksasie, gdzie Deirdre krótko przebywała, lekarz opowiadał, że dostrzegł „tajemniczego odwiedzającego, który zaczął jakoś znikać właśnie wtedy, gdy chciałem go wypytać, dowiedzieć się, co tu robi”.

Jakaś pielęgniarka w klinice psychiatrycznej w północnej Luizjanie usiłowała przekonać przełożonych, że zobaczyła ducha. Czarne salowe w różnych szpitalach widziały „tego mężczyznę cały czas”. Jedna z nich powiedziała nam:

– To nie jest człowiek. Poznaję go, gdy go widzę. Widzę duchy. Wzywam. Znam go i on mnie zna. Nigdy się do mnie nie zbliża.

Robotnicy nadal nie mogą pracować w domu przy ulicy Pierwszej jak wtedy, gdy Deirdre była małą dziewczynką. Dzieją się takie same historie. Wciąż jeszcze opowiadają o „mężczyźnie, który się tam kręci” i nie chce, żeby cokolwiek było zrobione.

Jednak pewne prace remontowe zostały ukończone. W niektórych pokojach zainstalowano klimatyzację oraz ulepszono instalację elektryczną – zadania te wykonywano pod ścisłym nadzorem i w obecności Carlotty Mayfair.

Wciąż przychodzi stary ogrodnik strzyc trawę, a co jakiś czas maluje zardzewiałe ogrodzenie.

Ulica Pierwsza kryje się pod gałęziami dębów. Żaby rechoczą nocami w sadzawce, zarośniętej liliami i dzikimi irysami. Już dawno temu spadła z gałęzi

dębu rosnącego w odległym kącie posiadłości drewniana huśtawka Deirdre.

Wielu przechodniów zatrzymujących się, żeby zerknąć na Deirdre siedzącą w bujanym fotelu na ganku, dostrzegło „przystojnego kuzyna” u jej boku. Czasami pielęgniarki porzucały pracę przez „tego mężczyznę, który zjawia się i znika, jak jakiś upiór”. Wydawało im się, że dostrzegają coś kątem oka, albo czuły, iż są obserwowane.

– Jakiś duch krąży blisko niej – oznajmiła młoda, rozsądna pielęgniarka, która zapowiedziała swojej agencji, że nigdy, za żadne skarby nie wróci do tamtego domu. – Raz go zobaczyłam, w biały dzień. W życiu nie widziałam nic straszniejszego.

Kiedy wypytywałem tę kobietę w czasie lunchu, miała jeszcze kilka szczegółów do dodania.

– Po prostu mężczyzna. Mężczyzna z rudymi włosami i brązowymi oczami. W elegancko skrojonej marynarce i białej koszuli. Ale dobry Boże, był to najstraszniejszy widok w moim życiu! Stał tam tuż za nią i patrzył na mnie. Upuściłam tacę i tylko krzyczałam, krzyczałam.

Często personel medyczny nagle opuszczał rodzinę. Pewnego lekarza zwolniono w 1976 roku. Staramy się odszukać tych ludzi i spisać ich relacje. Próbujemy zdradzić im jak najmniej powodów, dlaczego chcemy wiedzieć.

Wniosek, jaki nasuwa się po zebraniu danych, jest przerażający. Umysł Deirdre został zniszczony do tego stopnia, że nie może opanować wywoływania Lashera. Podświadomie daje mu moc, dzięki której pojawia się przy niej w bardzo cielesnym kształcie. Co gorsze, nie jest na tyle przytomna, aby go kontrolować, odpędzić, zmusić do odejścia, nawet wtedy gdy nie pragnie jego obecności.

\* \* \*

Jest zatem bezrozumnym medium, czarownicą zmuszoną do bezczynności,

na łasce swojego „przyjaciela”, który zawsze jest pod ręką.

Istnieje jeszcze inne prawdopodobieństwo. Być może Lasher przychodzi, żeby ją pocieszyć, dbać o nią i uszczęśliwiać w sposób, którego nie rozumiemy.

W 1980, ponad osiem lat temu, udało mi się zdobyć stary płaszcz Deirdre, wyrzucony na śmietnik z tyłu domu. Zabrałem go ze sobą do Anglii i włożyłem w dłonie Laureen Grant, najzdolniejszej, najwybitniejszej psychometryczki w naszej organizacji.

Laureen nic nie wiedziała o czarownicach Mayfair, ale w takich sytuacjach nie można wyeliminować telepatii. Staralem się więc w ogóle o nich nie myśleć.

– Widzę szczęście – zaczęła. – To ubranie należy do bezgranicznie szczęśliwej osoby, która żyje w marzeniach o zielonych ogrodach, niebie o zmierzchu, czarownych zachodach słońca. Nisko rosną gałęzie drzew. Z pięknego dębu zwisa huśtawka. Czy to dziecko? Nie, kobieta. Wieje ciepły wiatr. – Laureen ścisnęła w palcach materiał, przytuliła do policzka, pogłaskała. – Och, ma najpiękniejszego kochanka. Och, co to za kochanek! Jak z obrazu! Steerforth z *Davidą Copperfeldą*. To taki typ mężczyzny. Jest bardzo łagodny. Kiedy jej dotyka, ona całym ciałem przytula się do niego. Kim jest ta kobieta? Cały świat chciałby nią być. Przynajmniej na krótką chwilę.

Czy takie jest podświadome życie Deirdre Mayfair? Sama Deirdre nigdy nam tego nie powie.

Na zakończenie chciałbym dodać jeszcze tylko kilka szczegółów. Od 1976 Deirdre Mayfair bez względu na to, czy jest ubrana w białą flanelową koszulę nocną czy bawełniany szlafrok, na szyi zawsze ma szmaragd Mayfairów.

Od 1976 parę razy widziałem Deirdre Mayfair z daleka. Do tego czasu trzykrotnie odwiedzałem Nowy Orlean dla zebrania informacji. Potem często tam wracałem.

Po przyjeździe zawsze spaceruję uliczkami Dzielnicy Ogrodów. Brałem udział w pogrzebie panny Belle, panny Millie, panny Nancy oraz Pierce’a – ostatniego z synów Cortlanda. Pierce zmarł w 1984 na atak serca.

Na wszystkich pogrzebach widziałem Carlottę Mayfair. Spotykały się nasze oczy. Trzykrotnie w ciągu dziesięciolecia przechodząc obok wkładałem jej w rękę swoją wizytówkę. Nigdy nie skontaktowała się ze mną. Nie ponowiły się też żadne groźby.

Jest już bardzo stara, siwowłosa i nieprawdopodobnie chuda. Jednak nadal codziennie chodzi do pracy. Nie może pokonać tramwajowych schodków, więc jeździ taksówką. W domu na stałe pracuje tylko jedna czarna służąca, poza oddaną pielęgniarzką Deirdre.

Przy każdej wizycie w Nowym Orleanie spotykamy kilkoro nowych „świadków”, którzy opowiadają o „rudowłosym mężczyźnie” i o tajemnicach kryjących się w domu przy ulicy Pierwszej. Treść tych opowieści jest podobna. Dotarliśmy jednak do końca historii Deirdre, choć ona sama jeszcze nie umarła.

Nadszedł czas, żeby szczegółowo opisać jej jedyne dziecko i spadkobierczynię – Rowan Mayfair, która nie była w rodzinnym mieście od dnia, gdy w sześć godzin po urodzeniu zabrano ją stamtąd prosto do samolotu odrzutowego lecącego przez kontynent.

Co prawda, jest jeszcze za wcześnie, aby ułożyć informacje o Rowan w spójną opowieść, ale sporządziliśmy notatki o niezwyklej znaczeniu z niepełnego i ograniczonego materiału, jakim dysponowaliśmy. Istnieje istotna przesłanka, aby sądzić, że Rowan Mayfair, która nic nie wie o swojej rodzinie, jej historii czy dziedzictwie – może być czarownicą o największej, niespotykanej dotąd w rodzinie Mayfairów mocy.

Wejście z rozpalonej słońcem ulicy do klimatyzowanego wnętrza sprawiało przyjemność. Gdy przez chwilę stała spokojnie w holu domu pogrzebowego firmy Lonigan i Synowie, jako anonimowa osoba, na którą nikt nie patrzył, uświadomiła sobie, że z gorąca zrobiło jej się niedobrze. Teraz lodowaty strumień powietrza wywoływał dreszcze. Poczwała ten rodzaj chłodu, jaki towarzyszy wysokiej gorączce. Gęsty tłum przesuający się zaledwie o kilka metrów od niej nabrał dziwnego, sennego wyglądu.

Kiedy po raz pierwszy wyszła z hotelu, letnie popołudnie wydawało się całkiem znośne. Zanim jednak dotarła do ciemnego domu stojącego na rogu Kasztanowej i Pierwszej, czwała się słaba i ogarnął ją chłód, chociaż powietrze było wilgotne, ciepłe i oblepiające, przesycone świeżym zapachem ziemi i roślin.

Tak, wszystko jak ze snu – ten pokój ze ścianami obitymi białym adamaszkiem, nowe kryształowe świeczniki, ci hałaśliwi, dobrze ubrani ludzie w ciągle mieszających się grupkach. Jak ze snu – pełen cieni świat starych domów i żelaznych ogrodzeń, przez które właśnie weszła.

Z miejsca, w którym stała, nie widziała trumny. Ustawiono ją przy odległej ścianie w innej sali. Gdy tłum przenosił się z miejsca na miejsce, co jakiś czas dostrzegwała lśniące lakierowane drewno, srebrne uchwyty, atlasowe falbanki przy otwartym wieku.

Poczwała mimowolny skurcz mięśni twarzy. „W tej trumnie”, pomyślała.



„Musisz przejść tę salę i następną. Spojrzeć”. Czuła, że jej twarz jest nienaturalnie sztywna. Jak jej ciało. Tylko podejść do trumny. Czyż nie robili tego wszyscy?

Widziała, jak to robią. Widziała, jak podchodzą do trumny i spoglądają na kobietę leżącą wewnątrz.

Wcześniej czy później ktoś ją zauważy, być może zapyta, kim jest.

– Proszę mi powiedzieć, kim są ci wszyscy ludzie?

W tej chwili pozostawała niewidzialna. Przyglądała się mężczyznom w jasnych garniturach, kobietom w eleganckich sukniach, wiele z nich nosiło kapelusze, a nawet rękawiczki. Od lat nie widziała kobiety w jasnej sukience z paseczkiem w talii i miękko opadającej sutej spódnicy. Tłoczyło się tam chyba ze dwieście osób w każdym wieku.

Dostrzegła łysawych staruszków z laskami, w białych lnianych garniturach, młodzieńców czujących się nieswojo w ciasnym kołnierzyku i krawacie. Karki starych mężczyzn i młodych chłopców wydawały się tak samo obnażone i bezbronne. Były tam nawet małe dzieci bawiące się przy dorosłych, niemowlęta w białych koronkach, podskakujące na kolanach czy raczkujące na ciemnoczerwonym dywanie.

Była też dziewczynka ze wstążką na rudych włosach, pewnie miała dwanaście lat. Nigdy w ciągu całego życia w Kalifornii nie widziała dziewczynki w tym czy innym wieku, z prawdziwą wstążką we włosach, z ogromną kokardą z atłasu w kolorze brzoskwini.

„Wszyscy w niedzielnych ubraniach”, pomyślała. Czy to odpowiednie wyrażenie? Ton rozmów był prawie radosny. Jak wesele, przyszło jej nagle do głowy, choć musiała przyznać, że nigdy nie brała udziału w takiej uroczystości. Białe atłasowe draperie wisiały dokładnie w miejscu, gdzie powinny być okna.

Tłum znowu się przesunął. Teraz zobaczyła prawie całą trumnę. Kruchy, drobny, stary człowiek w szarym garniturze w prążki stał samotnie spoglądając na umarłą kobietę. Z ogromnym wysiłkiem osunął się na aksamitny klęcznik.

Ellie zawsze mówiła: *Chcę, aby przy mojej trumnie stał klęcznik*. Rowan po raz pierwszy w życiu zobaczyła garnitur w prążki. Wiedziała, że to właśnie to, gdyż widziała takie ubranie w kinie, w starych czarno-białych filmach, gdzie szumiały wachlarze, papuga skrzeczała na drążku, a Sidney Greenstreet mówił coś obrzydliwego do Humphreya Bogarta.

Właśnie tak było. Może bez obrzydliwości, ale pozostawała podobna rama czasowa. Zsunęła się w przeszłość, świat w Kalifornii został gdzieś głęboko pogrzebany pod ziemią. Może dlatego okazało się, że przynosi pociechę, jak w odcinku „Strefy mroku”, gdzie zabiegany biznesmen wysiada z pociągu, którym codziennie dojeżdża do pracy, w mieście tkwiącym szczęśliwie w spokojnym, leniwym dziewiętnastym wieku.

*Nasze pogrzeby w Nowym Orleanie zawsze przeprowadzano w taki sposób, jak należy. Powiedz moim przyjaciółom, żeby przyjechali.* Ale smutna uroczystość Ellie w niczym nie przypominała obecnej. Jej chudzi, opaleni znajomi, zażenowani śmiercią, z niechęcią siedzieli na brzeżku składanych krzesełek. Czy naprawdę chciała, żebyśmy przysłali kwiaty? Wtedy Rowan powiedziała:

– Bez kwiatów byłoby chyba okropnie?

Krzyż z nierdzewnej stali, słowa bez znaczenia, wypowiedane przez zupełnie obcego człowieka.

Och, spójrzcie na te kwiaty! Jest ich pełno! Są wszędzie! Gdzie rzuciła okiem, widziała wielkie, zachwycające kaskady róż, lilii, mieczyków. Nie znała nazw niektórych kwiatów. Między krzesełkami i za nimi ustawiono wielkie wieńce na rusztowaniach z drutu, a w rogi wepchnięto także na szerokość ponad półtora metra. Spryskane błyszczącymi kropelkami wody, drżały w chłodnym powietrzu, oślepiały bielą wstążek i kokard. Na niektórych z nich srebrem wydrukowano imię Deirdre. Deirdre.

Nagle widziała to imię wszędzie, gdzie spojrzała. Deirdre, Deirdre, Deirdre. Wstęgi krzyczały bezgłośnie imię jej matki. Panie w eleganckich sukniach

popijały białe wino z oszronionych kieliszków, a w nią wpatrywała się mała dziewczynka z wstążką we włosach. Zakonnica, była nawet zakonnica w granatowym habicie, białym welonie i czarnych pończochach. Siedziała na brzegu krzesła wspierając się na lasce. U jej boku widziała mężczyznę szepczącego coś do ucha. Trzymała uniesioną głowę. Łuk jej wąskiego nosa błyszczał w świetle. Wokół niej zebrały się małe dziewczynki.

Wnosili jeszcze więcej kwiatów. Drzewka na drucianej konstrukcji obsypane były różowymi i czerwonymi różami drżącymi między mchem. Jakie piękne! Wysoki, jasnowłosy, muskularny mężczyzna o gładko wygolonych policzkach postawił wspaniały bukiet tuż przy trumnie.

W powietrzu unosił się wspaniały zapach. Ellie zwykła mówić, że kwiaty w Kalifornii nie pachną. A tu roznosiła się przyjemna, słodka woń. Teraz Rowan zrozumiała. Ten zapach był słodki, jak ciepłe powietrze na zewnątrz było ciepłe, a wilgotna bryza była wilgotna. Wydawało się jej, że kolory dookoła nagle stały się żywsze.

Rowan znowu ogarnęły mdłości, a mocny zapach jeszcze je potęgował. Trumna stała tak daleko, teraz już zupełnie zasłonięta przez tłum. Pomyślała o tamtym domu, wysokim i ciemnym, na „rogu przy rzece”, jak go opisał recepcjonista w hotelu. Dokładnie taki budynek, który widywał Michael. Jeśli nie były ich tysiące, z wzorem róży na kutym żelaznym ogrodzeniu, z ogromnym ciemnym wodospadem bungenwili spływającym po zszarzałej ścianie. Ostatni piękny dom.

Dom mojej matki. Mój dom? Gdzie jest Michael? Nagle tłum się przerzedził i znowu dostrzegła długi bok trumny. Czy ze swojego miejsca zobaczyła profil kobiety na tle atlasowej poduszki? Trumna Ellie była zamknięta. Graham w ogóle nie miał pogrzebu. Jego przyjaciele zbrali się w barze na przedmieściu.

Będziesz musiała tam podejść, zajrzeć do środka. Wtedy na własne oczy zobaczysz twarz matki. Po to przyjechałaś, po to złamałaś przysięgę złożoną Ellie. Czy to dzieje się naprawdę, czy ja śnię? Spójrz na tę młodą pannę,

obejmującą ramieniem plecy starej kobiety. Przy białej sukience dziewczyny jest szarfa! Na nogach ma białe pończochy.

Gdyby tylko był tu Michael. To jego świat. Gdyby tylko zdjął rękawiczkę i położył dłoń na ręce umarłej. Co by zobaczył? Przedsiębiorcę pogrzebowego wstrzykującego płyn do balsamowania? Czy krew spływającą do kanału z białego stołu balsamisty? Deirdre. To imię napisano srebrnymi literami na białej wstędze zwisającej ze stojącego w pobliżu wieńca chryzantem. Deirdre na szarfie owiniętej wokół wielkiego bukietu róż...

Na co czekasz? Dlaczego nie podchodzisz? Rowan cofnęła się, oparła o framugę drzwi. Zobaczyła kobietę w podeszłym wieku, o jasnoblond włosach, wyciągającą ramiona do trójki małych dzieci. Jedno po drugim całowały obwisłe policzki staruszki. Kiwała głową. Czy ci wszyscy ludzie należą do rodziny mojej matki?

Znowu wyobraziła sobie tamten dom, bez ozdób, ciemny, fantastycznie obszerny. Rozumiała, dlaczego Michael kochał to miejsce. Nie wiedział, że patrzył na dom jej matki. Nie orientował się, o co chodzi. Michael odszedł. Może tak właśnie miało być. Jeden weekend i na zawsze uczucie niespełnienia...

*Powiniennem pojechać do domu, nie chodzi tylko o wizję, ja już tutaj nie przynależę... Zrozumiałem to w dniu, w którym zanurzyłem się w oceanie...*

Otworzyły się drzwi. Bez słowa odsunęła się na bok. Para w starszym wieku minęła ją, jakby jej tam nie było. Dobrze zbudowana kobieta o pięknych stalowoszarych włosach, ściągniętych na karku w węzeł; w nieskazitelnej jedwabnej szmizjerce, i mężczyzna w pogniecionym białym garniturze, o grubym karku i łagodnym głosie. Mówił coś do kobiety.

– Witaj, Beatrice! – Rowan usłyszała pozdrowienie. Przystojny młody człowiek podszedł, by pocałować tę przystojną damę.

– Wejdz, kochanie – odezwał się kobiecy głos. – Nie, nikt jej nie widział. Może przyjechać w każdej chwili. – Głosy przypominały tembr Michaela, były jednak trochę inne. Dwóch szepczących ze sobą mężczyzn z kieliszkami w

dłoniach oddzieliło ją od rozmawiającej pary, która przeszła do drugiej sali. Raz jeszcze otworzyły się frontowe drzwi. Tchnienie gorąca, odgłosy ruchu ulicznego.

Schowała się w odległym kącie. Dopiero teraz mogła zobaczyć całą trumnę. Dostrzegła, że połowa wieka przykrywa dolną część ciała kobiety. Nie wiedziała, dlaczego wydaje się jej to groteskowe. Krucyfiks położono na jedwabnej poduszce nad głową kobiety, i choć nie mogła go zobaczyć, wiedziała, że tam jest. Dostrzegała plamę koloru ciała na lśniącej bieli. Dalej, Rowan, idź.

Podjedź do trumny. Czy jest to trudniejsze niż wejście na salę operacyjną? Oczywiście, wszyscy cię zobaczą, ale nie będą wiedzieli, kim jesteś. Znowu przyszedł skurcz, ściągnięcie mięśni twarzy i krtani. Nie mogła się ruszyć.

Wtem ktoś zaczął do niej mówić. Wiedziała, że powinna odwrócić głowę i odpowiedzieć, ale nic nie zrobiła. Mała dziewczynka ze wstążką we włosach wciąż na nią patrzyła. „Dlaczego nie odpowiada?”, pomyślało dziecko.

– Jerry Lonigan, w czym mogę pomóc? Pani nie jest doktor Mayfair, prawda?

Patrzyła na niego, niczego nie rozumiejąc. Muskularny mężczyzna, z mocno zarysowaną szczęką i prześlicznymi błękitnymi, porcelanowymi oczami. Nie, raczej błękitne kulki, tak były idealnie okrągłe i niebieskie.

– Doktor Mayfair?

Spojrzała na jego rękę. Wielka, ciężka łapa. Weź ją. Odpowiedz w ten sposób, jeśli nie możesz mówić. Zesztywnienie twarzy było już nie do opanowania, ogarnęło oczy. Co się dzieje? Jej ciało sparaliżowało przerażenie, choć umysł wpadł w trans, ohydny trans. Uczyniła nieznaczny ruch głową w kierunku odległej trumny. Chcę do... ale nie wymówiła ani słowa. Dalej, Rowan, po to przeleciałaś ponad trzy tysiące kilometrów.

Mężczyzna otoczył ją ramieniem. Czowała jego dotyk na plecach.

– Chce pani ją zobaczyć, doktor Mayfair?

Zobaczyć ją, mówić do niej, poznać ją, kochać i być przez nią kochaną... Czowała się tak, jakby jej twarz była wykuta z lodu. Wiedziała, że oczy ma nienaturalnie rozszerzone.

Spojrzała na mężczyznę i skinęła głową. Wydawało się, że nagle wszyscy ucichli. Czy powiedziała to głośno? W ogóle nic nie powiedziała. Z pewnością nie wiedzieli, jak ona wygląda, a jakby się wszyscy odwrócili, żeby na nią spojrzeć, gdy weszła z panem Loniganem do pierwszej sali. Wiadomość przekazywano sobie szeptem. Przechodząc przyjrzała się badawczo rudowłosej dziewczynce ze wstążką. W rzeczywistości zatrzymała się bezwiednie przy wejściu do drugiej sali. Z przedsiębiorcą pogrzebowym u boku.

Nawet dzieci przestały się bawić. Wydawało się, że zapada zmrok, gdy tak wszyscy przesuwali się bezgłośnie, powoli, ale tylko o kilka kroków.

Lonigan powiedział:

– Czy chce pani usiąść, doktor Mayfair?

Wpatrywała się w dywan. Trumna stała o sześć metrów od niej. „Nie patrz”, pomyślała, „nie patrz, dopóki nie dojdiesz do trumny. Z daleka nie zobaczysz nic okropnego. Ale co w tym może być okropnego w porównaniu ze stołem do sekcji zwłok, poza tym że to... że to matka”.

Kobieta odsunęła małą dziewczynkę, położyła dłoń na jej ramieniu.

– Rowan? Rowan, jestem Alicja Mayfair, twoja kuzynka, a to Mona, moja córeczka.

– Rowan, jestem Pierce Mayfair – przedstawił się przystojny młodzieniec z prawej, raptownie wyciągając rękę. – Jestem prawnikiem Cortlanda.

– Kochanie, jestem Beatrice.

Powiew perfum. Kobieta o stalowosiwych włosach. Miękką dłoń dotknęła policzka Rowan. Ogromne szare oczy.

– Cecylia Mayfair, wnuczka Barclaya, moim dziadkiem był drugi syn Julienu, urodzony w domu przy ulicy Pierwszej, a tutaj, siostró, proszę podejść, to siostra Marie Claire. Siostró, to Rowan, córka Deirdre!

Czy nie oczekują od ciebie powiedzenia czegoś odpowiedniego zakonnicy?  
Ta siostra niczego nie usłyszy. Krzyczeli jej do ucha.

– Córeczka Deirdre, Rowan!

– Timothy Mayfair, kuzyn. Cieszymy się, że cię widzimy, Rowan...

– ...cieszę się, że cię widzę, choć to smutna...

– Peter Mayfair, porozmawiamy później. Moim ojcem był Garland. Czy Ellie mówiła ci kiedyś o Garlandzie?

Dobry Boże, wszyscy to Mayfairowie. Polly Mayfair, Agnes Mayfair, córki Phillipa Mayfair, Eugenie Mayfair i tak dalej, i tak dalej. Ilu ich może być? To nie rodzina, to legion. Dotykała dłoni, jedną po drugiej, przytulając się jednocześnie do muskularnego Lonigana, który mocno ją podtrzymywał. Czy drżała? Nie, nazywają to trzęsieniem się.

Wargi muskały jej policzek.

– ...Clancy Mayfair, prawnuczka Claya. Clay urodził się przy ulicy Pierwszej przed wojną secesyjną. Moja matka to Trudy Mayfair. Tutaj, mamó, chodź, pozwól to...

– ...Tak się cieszę, że cię widzę, kochanie. Czy widziałaś już Carlottę?

– Panna Carlotta nie czuje się zbyt dobrze – powiedział Lonigan. – Spotkamy się w kościele...

– ...ma już dziewięćdziesiąt lat, wiesz przecież.

– ...chcesz szklankę wody? Och, jest blada jak papier. Pierce, przynieś jej wody.

– Magdalena Mayfair, prawnuczka Remy'ego. Remy wiele lat mieszkał przy ulicy Pierwszej. To mój syn, Garvey, a to moja córka, Lindsey. Dan, Dan, przywitaj się z doktor Mayfair. Dan jest prawnukiem Vincenta. Czy Ellie opowiadała ci o Clayu, Vincencie i...

*Nie, ani razu, o nikim. Obiecuj mi, że nigdy tam nie wrócisz, nigdy nie będziesz próbowała się dowiedzieć. Ale dlaczego? Dlaczego, na Boga? Ci wszyscy ludzie... Po co przysięga, tajemnica?*

– Towarzyszy jej Gerald. Pierce odwiedził ją. Jest w dobrej formie. Będzie w kościele.

– Chcesz usiąść, kotku?

– Dobrze się czujesz?

– Lily, kochanie, Lily Mayfair. Nigdy nie zapamiętasz wszystkich naszych imion, nie próbuj nawet...

– Jestem Robert. Porozmawiamy z tobą później.

– ...tutaj, jeśli będziesz nas potrzebowała, Rowan. Dobrze się czujesz?

Dobrze. W porządku. Tylko nie mogę mówić. Nie mogę się poruszyć. Ja...

Znowu poczuła, jak napina jej się każdy mięsień twarzy. Sztywna, sztywna. Mocniej ścisnęła rękę Lonigana. Czy powiedział im, żeby odeszli? Mężczyzna dotknął jej lewej ręki.

– Jestem Guy Mayfair, syn Andrei, a to moja żona Stephanie, jest córką Grady'ego. Była kuzynką Ellie.

Rowan chciała odpowiedzieć. Czy ściskanie dłoni, kiwanie głową wystarczy? A oddanie pocałunku starej kobiecie? Jakiś mężczyzna mówił coś do niej, ale za cicho. Był stary, wspominał coś o Sheffieldzie. Trumna stała w odległości najwyżej sześciu metrów. Nie śmiała podnieść oczu, odwrócić głowy, z obawy, że zobaczy ją przypadkiem.

Przecież po to przyjechałaś, musisz to zrobić. Są tutaj... setki...

– Rowan – powiedział ktoś z jej lewej – ...to Fielding Mayfair, syn Claya. – Taki bardzo stary człowiek, tak stary, że widziała przez cienką bladą skórę wszystkie kości czaszki, zęby górnej i dolnej szczęki, oczodoły zapadniętych gałek. Podtrzymywano go, nie mógł się utrzymać na nogach. Czy walczył o to, żeby stanąć, po to tylko, by ją zobaczyć? Wyciągnęła rękę. – Chce cię ucałować, kochanie.

Musnęła jego policzek wargami.

Mówił powoli. Gdy na nią spojrział, dostrzegła, że ma pożółkłe oczy. Próbowwała usłyszeć, co do niej mówi, coś o Lestanie Mayfair i Riverbend. Co to



jest Riverbend? Kiwnęła głową. Był za stary, żeby go zlekceważyć. Musiała cokolwiek powiedzieć. Uścisnęła jego miękką, pomarszczoną, lecz silną rękę.

– Chyba zaraz zemdleje – ktoś wyszeptał. Z pewnością nie mogli mówić o niej.

– Chcesz, żebym cię podprowadził do trumny? – to młody mężczyzna, ten przystojny o gładkiej twarzy pierwszoklasisty i błyszczących oczach. – Jestem Pierce, poznaliśmy się przed chwilą. – Błyski idealnie białych, równych zębów. – Kuzyn Ellie.

Tak, do trumny. Już pora, prawda? Spojrzała w tamtą stronę. Zdało się jej, że ktoś stanął z boku, żeby mogła ją zobaczyć. Kierowała oczy ku górze, nad głowę ułożoną na poduszce. Dostrzegła kwiaty ustawione wokół podniesionego wieka, prawdziwą dżunglę kwiatów. Daleko, z prawej strony, u stóp trumny zobaczyła siwego mężczyznę. Znała go. Siedząca obok niego ciemnowłosa kobieta płacząc odmawiała różaniec. Oboje patrzyli na nią. Skąd, na miłość boską, znała tego człowieka, czy kogokolwiek z Nowego Orleanu? Ale przecież pamiętała tę twarz! To Anglik. Przypomniała sobie brzmienie jego głosu! Wiedziała nawet, kiedy się do niej odezwie!

Jerry Lonigan pomógł jej postąpić o krok. Ten przystojny Pierce stał obok.

– Ona źle się czuje, Monty – stwierdziła ładna, stara kobieta. – Przynies jej trochę wody.

– Kochanie, może usiądziesz.,?

Pokręciła głową. Wargi poruszyły się wymawiając bezgłośnie słowo „nie”. Jeszcze raz spojrzała na siwego Anglika, siedzącego przy pogrążonej w modlitwie kobiecie. Ellie w ostatnich tygodniach życia zażądała różańca. Aby go kupić, Rowan musiała pojechać do San Francisco. Kobieta kręciła głową i płakała. Wycierała nos. Towarzyszący jej dżentelmen coś do niej szeptał, ale spojrzenie utkwiał w Rowan. *Znam cię*. Popatrzył na nią tak, jakby odezwała się do niego głośno. Wtedy sobie przypomniała – cmentarz w hrabstwie Sonoma, gdzie pochowano Grahama i Ellie. Tam go widziała stojącego u grobu. *Znam*

*twoją rodzinę z Nowego Orleanu.* Zupełnie nieoczekiwanie kolejny fragment układanki znalazł się na właściwym miejscu. Dwie noce temu ten człowiek był przed domem Michaela przy ulicy Wolności.

– Kochanie, przynieść ci szklanekę wody? – spytał Jerry Lonigan.

Jak mogło do tego dojść? Jak mógł być i tu, i tam? Czy miało to związek z Michaeliem, który opisał jej dom z żelaznymi różami na ogrodzeniu?

Pierce zaproponował, że przyniesie krzesło.

– Niech sobie tutaj usiądzie.

Musiała się ruszyć. Nie mogła zostać w jednym miejscu wpatrując się w Anglika, żądając od niego wyjaśnień, oczekując odpowiedzi na pytanie, co robił na ulicy Wolności. Kątem oka dostrzegła coś, czego nie chciała widzieć. Coś czekało w trumnie.

– Weź, Rowan, to dobre i zimne. – Zapach wina. – Napij się, kochanie.

Chciałabym, naprawdę chciałabym, ale nie mogę poruszyć wargami. Pokręciła głową, próbowała się uśmiechnąć. Nie sądzę, żebym była w stanie poruszyć ręką. Wszyscy oczekujecie ode mnie, że coś zrobię, doprawdy powinnam coś zrobić. Kiedyś uważała, że lekarze mdlejący w czasie sekcji zwłok to prawdziwi głupcy. Jak coś takiego może mieć wpływ na kondycję fizyczną? Jeśli mnie uderzysz kijem baseballowym, może zemdleję. Och, Boże, wszystko, czego nie wiesz o życiu, zaczynasz odkrywać w tym pokoju. A twoja matka leży w trumnie.

Czy sądziłaś, że będzie czekała, żywa, aż się zjawisz? Aż sobie w końcu uświadomisz... Tutaj, w tym dziwnym świecie! Tak, tutaj czuje się, jakby przeniosła się do innego świata, zupełnie innego.

Podszedł do niej siwy Anglik. Kim jesteś? Po co tu jesteś? Dlaczego tak dramatycznie i groteskowo wydajesz się nie na miejscu? A jednak był na miejscu. Przypominał ich wszystkich: malowniczy i szlachetny, bez śladu ironii, samoświadomości czy fałszywych sentymentów w uprzejmej twarzy. Zbliżył się do niej i łagodnie nakłonił przystojnego, młodego człowieka do przepuszczenia

go.

Przypomnij sobie te znękane twarze na pogrzebie Ellie. Nikogo poniżej sześćdziesiątki, a jednak ani jednego siwego włosa, obwisłego mięśnia. Niczego w tym rodzaju. Właśnie o nich myślą, kiedy używają słowa „ludzie”.

Spuściła oczy. Po obu stronach aksamitnego klęcznika stały wazy z kwiatami. Ruszyła do przodu. Wbiła paznokcie w ramię Lonigana, zanim potrafiła się powstrzymać. Próbowwała rozluźnić chwyt. Ku swemu całkowitemu zdumieniu poczuła, że zaraz zemdleje. Anglik podtrzymał ją pod lewe ramię, a Lonigan pochwycił prawe.

– Rowan, posłuchaj mnie – wyszeptał Anglik cicho do jej ucha, z tym ostrym, choć melodyjnym akcentem. – Michael, gdyby mógł, byłby tutaj. Zastępuję go. Michael przyjedzie dziś wieczorem. Jak będzie mógł najszybciej.

Spojrzała na niego wstrząśnięta. Ulga sprawiła, że zadrżała. Michael był gdzieś blisko. Jak mogło to się zdarzyć?

– Tak, bardzo blisko. Nie mógł przewidzieć opóźnienia – powiedział szczerze, jakby sam wymyślił te słowa. – Bardzo ubolewa, że nie może być tutaj w chwili obecnej.

Znowu zobaczyła niewyraźne, ciemne zarysy domu przy ulicy Pierwszej, o którym Michael cały czas opowiadał. A kiedy po raz pierwszy zobaczyła go w wodzie, wyglądał jak kupka ubrań dryfujących na powierzchni. Nie, to nie może być topielec, nie tutaj, tyle kilometrów od lądu...

– Co mogę dla ciebie zrobić? – spytał Anglik z troską niskim, cichym szeptem. – Chcesz podejść do trumny?

Tak, proszę, zaprowadź mnie. Proszę, pomóż mi! Spraw, aby drgnęły moje nogi. Ale one poruszały się przecież! Otoczył ją ramieniem i prowadził. Znowu zaczęli rozmawiać, dzięki Bogu. Tym razem słyszała w szumie szacunek. Z łatwością wyróżniała w nim poszczególne wątki.

– ...po prostu nie chciała przyjść do domu pogrzebowego, taka jest prawda. Była wściekła, że wszyscy się tu wybieramy.

– Daj spokój, ma dziewięćdziesiąt lat, a na zewnątrz jest prawie czterdzieści stopni w cieniu.

– Wiem, wiem. Możecie potem wszyscy przyjść do mnie, mówiłam ci...

Cały czas miała spuszczone oczy. Patrzyła na srebrne uchwyty, kwiaty, na aksamitny klęcznik tuż przed sobą. Znowu zrobiło się jej niedobrze i słabo od gorąca i tego nieruchomego chłodnego powietrza przesyconego zapachem kwiatów unoszącym się wokół niej jak niewidzialna mgła. Musisz to zrobić. Musisz to zrobić spokojnie. Nie możesz przegrać. „Obiecuj mi, że nigdy tam nie wrócisz. Nigdy nie będziesz próbowała się dowiedzieć”.

Anglik ją podtrzymywał. *Michael przyjedzie*. Prawa dłoń starszego mężczyzny krzepiąco dotykała ramienia Rowan. Lewą dłonią podtrzymywał jej przegub, gdy dotknęła przykrytego aksamitem boku trumny.

Powoli zmusiła się do oderwania wzroku od podłogi, spojrzenia na głowę umarłej kobiety leżącej tuż przed nią na atlasowej poduszce. Zaczęła otwierać usta, rozciągać je. Znieruchomienie przechodziło w spazm. Walczyła ze wszystkich sił, aby powstrzymać otwarcie ust. Zacisnęła zęby. Nagły dreszcz, który wstrząsnął jej ciałem, był tak silny, że Anglik wzmocnił uścisk. On także patrzył w dół! Znał ją!

Spójrz na swoją matkę! Nic teraz nie ma znaczenia. Nie trzeba się spieszyć, myśleć o czymś, martwić się. Tylko spójrz na nią, spójrz na jej twarz, której wszystkie sekrety utraciłaś na zawsze!

*Twarz Stelli tak pięknie wyglądała w trumnie. Miała cudowne czarne włosy.*

– Ona zaraz zemdleje. Pomóżcie jej! Pierce, pomóż jej.

– Nie, nie. Trzymamy ją. Wszystko w porządku – odparł Jerry Lonigan.

Wyglądała tak doskonale, odrażająco martwa i taka słodka. Przygotowana do podróży do wieczności – różowa szminka połyskiwała na kształtnych wargach, puder pokrywał nieskazitelnie piękne, jędrne policzki. Jej czarne włosy rozczesano na atlasie. Były błyszczące i gęste jak u młodej dziewczyny. Paciorki różańca, tak, różańca przepleciono przez palce, które jak pecyna ciasta leżały na

piersi. Robiły wrażenie jakby nie były ludzkie, lecz topornie wyciosane przez rzeźbiarza.

Rowan nigdy nie widziała czegoś takiego. Pamiętała widok utopionych, uduszonych, zmarłych we śnie na oddziale. Bezbarwnych, napompowanych chemikaliami, rozcinanych po tygodniach, miesiącach, a nawet latach na lekcji anatomii. Zwłoki z krwawymi, czerwonymi organami wyrwanymi z wnętrza przez okryte rękawiczkami dłonie lekarzy.

Ale nigdy nie widziała czegoś podobnego. Śliczna zmarła w błękitnym jedwabiu i koronkach, pachnąca pudrem, z dłońmi zaciśniętymi na paciorkach różańca. Wydawała się bez wieku, niewinna olbrzymia dziewczynka o wspaniałych włosach, twarzy pozbawionej zmarszczek, z lśniąca szminką barwy różanych płatków na wargach.

Och, gdyby tylko można było otworzyć jej powieki! Chciałabym zobaczyć oczy mojej matki! W tej sali, w której tłoczyli się tak starzy ludzie, ona wydawała się taka młoda...

Rowan pochyliła się. Wysunęła delikatnie ręce z uścisku Anglika. Wzruszona położyła je na białych, łagodnych dłoniach Deirdre. Twarde! Twarde jak paciorki różańca. Zimne i twarde. Zamknęła oczy, wcisnęła palce w niepoddające się, białe ciało. Tak absolutnie martwa, odległa od najcichszego oddechu życia, które zostało ostatecznie zakończone.

Gdyby Michael był tutaj, czy dowiedziałby się, jak umarła? Bez bólu i lęku? Po co tajemnica? Dotknąłby tego martwego ciała, a jednak usłyszałby pieśń życia? Och, proszę, Boże, bez względu na to kim była, dlaczego mnie oddała, mam nadzieję, że umarła bez lęku i bólu! Spokojnie i słodko. Spójrz na zamknięte oczy, na gładkie czoło.

Powoli podniosła dłoń i otarła łzę z policzka. Uświadomiła sobie, że znieruchomienie twarzy mija. Gdyby zechciała, mogła mówić. Otaczający ją ludzie płakali. Szlochała kobieta o stalowosiwych włosach. A ta biedna ciemnowłosa dama przez cały czas łkała cicho, opierając się o pierś siedzącego

obok mężczyzny. Widziała twarze tych, którzy nie płakali. W świetle rozchodzącym się zza trumny stały się spokojne i zamyślane, jak u postaci na ogromnych florenckich obrazach, na których bierne, smutne dusze patrzą z ram na świat jak ze snu, kątem oka, z tęsknotą. Cofnęła się, ale spojrzenie wciąż miała utkwione w kobiecie leżącej w trumnie.

Pozwoliła Anglikowi odprowadzić się do małego pokoiku, który dla niej przygotowano. Lonigan powiedział, że nadszedł czas, aby wszyscy kolejno podeszli, gdyż ksiądz jest już gotowy.

Rowan ze zdumieniem patrzyła, jak starszy mężczyzna pochyła się z wdziękiem i całuje czoło zmarłej kobiety. Beatrice podeszła jako następna i wyszeptała coś całując umarłą w ten sam sposób. Podniesiono dziecko, by też to zrobiło. Zbliżył się stary, łysy mężczyzna. Przeszkadzał mu wielki brzuch, ale i on pochylił się do pocałunku. Wymruczał ochryple, tak że wszyscy usłyszeli:

– Żegnaj, kochanie.

Lonigan popchnął ją łagodnie na krzesło. Gdy się odwrócił, zapłakana ciemnowłosa kobieta nagle pochyliła się nad Rowan i z bliska spojrzała jej w oczy.

– Nie chciała cię oddać – powiedziała szybko piskliwym głosem.

– Rito Mae! – wysyczał Lonigan. Odwrócił się do kobiety, pochwycił za ramię i odciągnął.

– Czy to prawda? – wyszeptała Rowan. Sięgnęła, aby schwycić oddalającą się od niej dłoń. Twarz Lonigana płonęła, drżały zaciskane szczęki. Wypchnął ciemnowłosą kobietę za drzwi do wąskiego korytarzyka.

Anglik odprowadził ją wzrokiem od drzwi do dużej sali. Skinął lekko głową, uniósł brwi, jakby opanował go smutek i zdziwienie.

Rowan z trudem oderwała od niego spojrzenie. Wpatrywała się w procesję nadchodzących bez przerwy ludzi. Kolejno pochylali się, jakby chcieli zaczerpnąć z chłodnego strumienia.

– Żegnaj, Deirdre, kochanie.

Czy wszyscy wiedzieli? Czy pamiętali ci starsi, którzy teraz podchodzili jako pierwsi? Czy słyszały dzieci? Ten przystojny młodzieniec patrzył na nią z daleka.

– Żegnaj, najdroższa...

Korowód żałobników sunął bez końca. Sale za nimi ciemniały, gdy tłum gęstniał, a kolejka się wydłużała.

*Nie chciała cię oddać.*

Jakie to uczucie – pocałunek złożony na gładkiej, twardej skórze? Robili to jak najnaturalniejszą rzecz pod słońcem. Najprostszą. Podniesione dziecko, pochylona matka, szybko odchodzący mężczyzna, za nim staruszek z przerzedzonymi włosami i plamami wątrobianymi na dłoniach.

– Pomóż mi, Cecil.

Stopa na aksamitnym klęczniku. Dwunastolatka ze wstążką we włosach stanęła na palcach.

– Rowan, czy chcesz zostać z nią sama? – usłyszała czyjś głos. – Będiesz to mogła zrobić na końcu, gdy wszyscy przejdą. Ksiądz poczeka. Ale nie musisz.

Spojrzała w łagodne szare oczy Anglika. To nie on mówił. To Lonigan o zaczerwienionej i błyszczącej twarzy z porcelanowymi, niebieskimi oczami. Daleko, w głębi wąskiego korytarzyka stała jego żona, Rita Mae. Nie miała odwagi podejść bliżej.

– Tak, sama, raz jeszcze – wyszeptała Rowan. Spojrzeniem poszukała oczu Rity Mae.

– Prawda! – poruszyła wargami Rita Mae i skinęła z powagą głową.

Tak. By ucałować ją na pożegnanie, tak jak oni ją całowali...

## RAPORT O CZAROWNICACH MAYFAIR

### CZEŚĆ X

Rowan Mayfair

ŚCIŚLE POUFNE, DANE UAKTUALNIONE W 1988

PATRZ: ZBIÓR – ROWAN MAYFAIR, LONDYN

ORAZ INNE MATERIAŁY DODATKOWE

WYMAGANA ZNAJOMOŚĆ KODU

Zgodnie z obowiązującym prawem Rowan Mayfair została zaadoptowana przez Ellen Louise Mayfair oraz jej męża Grahama Franklina w dniu swoich urodzin siódmego listopada 1959.

Tego dnia przewieziono Rowan samolotem do Los Angeles, gdzie mieszkała z przybranymi rodzicami do ukończenia trzeciego roku życia. Wtedy rodzina przeprowadziła się do San Francisco w Kalifornii. Przez dwa lata mieszkali na Wzgórzach Pacyfiku.

Kiedy Rowan miała pięć lat, Ellie i Graham ponownie przeprowadzili się do domu na wybrzeżu Tiburon w Kalifornii – po przeciwległej stronie zatoki San Francisco. Dom został specjalnie zaprojektowany przez Tramme’a, Portera i Davisa. Był to cud szklanych ścian, widocznych belek sekwoi, nowoczesnej armatury i kanalizacji. Miał rozległe tarasy, ponad siedmiometrowe molo i kanał dla łodzi pogłębiany i oczyszczany dwa razy do roku. Wychodzi na Sausalito nad zatoką Richardsona i zatokę San Francisco na południu. Teraz Rowan



mieszka tam sama.

Obecnie, gdy powstaje ta opowieść, Rowan jest już prawie trzydziestoletnią kobietą. Ma sto siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, krótkie, miękko układające się jasne włosy i ogromne szare oczy. Jest niezaprzeczalnie atrakcyjna. Niezwykle piękna skóra, ciemne proste brwi, ciemne rzęsy i wspaniałe usta. Należy jednak powiedzieć, że brak jej uroku Stelli, słodkiego wdzięku Anthy czy mrocznej zmysłowości Deirdre. Rowan jest krucha, chłopięca. Na niektórych zdjęciach, ze względu na wyraz twarzy i proste ciemne brwi, przypomina Mary Beth.

Moim zdaniem Rowan jest podobna do Petyra van Abla, ale istnieją pewne istotne różnice. Nie ma jego głęboko osadzonych oczu, jej jasne włosy są barwy popielatej, a nie złotej. Ale ma wąską twarz Petyra i jest w niej coś nordyckiego, tak jak na jego portretach.

Rowan innym wydaje się chłodna. Ma jednak ciepły, niski, trochę ochryply głos. Ludzie mówią, że trzeba ją poznać, aby polubić. To dziwne, gdyż jak wskazują wyniki naszego śledztwa, niewiele osób ją zna, a jednak jest powszechnie lubiana.

\* \* \*

## SKRÓT MATERIAŁÓW ZEBRANYCH O PRZYBRANYCH RODZICACH ROWAN, ELLIE MAYFAIR I GRAHAMIE FRANKLINIE

Ellen Louise Mayfair była jedyną córką Sheffielda, syna Cortlanda Mayfaira. Urodziła się w 1923, a miała sześć lat, gdy umarła Stella. Od czasu wstąpienia na uniwersytet Stanford w wieku osiemnastu lat mieszkała niemal wyłącznie w Kalifornii. Poślubiła Grahama Franklina, absolwenta wydziału prawa uniwersytetu Stanford, kiedy skończyła trzydziestkę. Graham był osiem lat młodszy od Ellie. Wszystko wskazuje za to, że Ellie miała bardzo ograniczony

kontakt z rodziną nawet przed wyjazdem do Kalifornii, gdyż w wieku ośmiu lat, sześć miesięcy po śmierci swojej matki, wysłano ją do szkoły z internatem w Kanadzie.

Jej ojciec, Sheffield Mayfair, nigdy nie doszedł do siebie po stracie żony. Chociaż często odwiedzał Ellie i zabierał na szalone eskapady po zakupy do Nowego Jorku, to trzymał córkę z dala od domu. Był najcichszym i najbardziej skrytym z synów Cortlanda. Stanowił dla niego prawdopodobnie największe rozczarowanie, bo choć pracował bez wytchnienia w rodzinnej firmie, rzadko podejmował, czy brał udział w podejmowaniu ważnych decyzji. Wszyscy na nim polegali, powiedział Cortland po śmierci Sheffielda.

Należy podkreślić, że od ukończenia ósmego roku życia Ellie rzadko widywała Mayfairów. Swoich przyjaciół poznała w Kalifornii, poza kilkoma dziewczętami z kanadyjskiego internatu, z którymi przez lata utrzymywała kontakt. Nie mamy żadnych wskazówek, czy dotarły do niej jakiegokolwiek informacje o życiu Anthy i jej śmierci, czy o Deirdre.

Jej mąż, Graham Franklin najwyraźniej nic nie wiedział o rodzinie Ellie, a pewne uwagi, jakie wygłosił w ciągu swojego życia, były całkowicie wymyślone.

„Urodziła się na ogromnej plantacji na Południu”. „Jej rodzina trzyma złoto pod podłogą”. „Chyba są potomkami bukanierów”. „Rodzina mojej żony? To handlarze niewolników, prawda, kochanie? Wszyscy mają trochę murzyńskiej krwi w żyłach”.

Rodzinna plotka głosi, że przy adopcji Rowan Ellie podpisała dokument wystawiony przez Carlottę Mayfair, w którym zobowiązywała się, że nigdy nie dopuści do tego, aby dziewczynka odkryła swoje prawdziwe pochodzenie, a także nie pozwoli jej na powrót do Luizjany.

Rzeczywiście takie zobowiązanie należy do oficjalnych dokumentów dotyczących adopcji. Są to formalne kontrakty cywilne między stronami, ustalające oszłamiające przekazy pieniężne.

W ciągu kilku pierwszych lat życia Rowan przesłano ponad pięć milionów dolarów w kolejnych ratach z konta Carlotty Mayfair w Nowym Orleanie na rachunek Ellie Mayfair w Kalifornii w Banku Amerykańskim i banku Wells Fargo.

Ellie była bogata dzięki funduszom powierniczym założonym przez swego ojca Sheffielda i później przez dziadka Cortlanda (być może Cortland zmieniłby zapis, gdyby zdążył, ale całą robotę papierkową wykonano kilka dziesięcioleci wcześniej); sama stworzyła taki fundusz dla przybranej córki – Rowan. Do połowy z wyżej wspomnianych pięciu milionów dodano przez następne lata jeszcze dwa.

Pozostałą część przekazano w chwili wpłynięcia bezpośrednio Grahamowi Franklinowi, który inwestował pieniądze ostrożnie i zyskownie, głównie w nieruchomości (to prawdziwa żyła złota w Kalifornii) i systematycznie wykorzystywał pieniądze Ellie – regularne wypłaty z jej funduszy powierniczych. Chociaż doskonale zarabiał jako prawnik, nie miał własnych pieniędzy, a jego ogromny majątek – należący do niego i jego żony – zdobywany do chwili jego śmierci, był wynikiem zręcznego używania odziedziczonej przez Ellie fortuny.

Istnieją liczne dowody, że Graham pogardzał żoną, a także sobą za zależność uczuciową i finansową od niej. Przy własnej pensji nie mógłby pozwolić sobie na taki styl życia – jachty, sportowe samochody, ekstrawaganckie wyprawy, ogromny, nowoczesny dom w Tiburon. Przez lata przelewał ogromne sumy z pieniędzy Ellie bezpośrednio z ich wspólnego konta na rzecz kochanek.

Niektóre z tych kobiet powiedziały naszym detektywom, że Graham jest człowiekiem próżnym o lekkich skłonnościach sadystycznych. A jednak uważały, że nie można mu się oprzeć. Porzucały go dopiero wtedy, gdy uświadamiały sobie, że tak naprawdę kocha tylko Ellie. Nie miały znaczenia jej pieniądze. Nie potrafił bez niej żyć. „Musi do niej wracać od czasu do czasu, tylko dlatego oszukuje”.

Kiedyś Graham wyjaśnił młodej stewardesie, którą potem przepchnął przez college, że żona połknęła go i dlatego musi mieć „coś na boku”, bo inaczej będzie niczym i nikim.

Kiedy dowiedział się, że Ellie zachorowała na raka, ogarnęła go panika. Wspólnicy w kancelarii i przyjaciele szczegółowo opisywali jego „całkowitą niemożność” poradzenia sobie z chorobą Ellie. Nie rozmawiał z nią o jej dolegliwości, nie słuchał lekarzy, odmówił przyścia do szpitala. Znalazł kochance mieszkanie po drugiej stronie ulicy, przy której znajdowała się jego kancelaria w San Francisco. Trzy razy dziennie wychodził zobaczyć się z nią.

Natychmiast opracował skomplikowany plan pozbawienia Ellie całego rodzinnego majątku, który stał się prawdziwą fortuną. Był w trakcie ubezwłasnowolnienia Ellie, po to aby móc sprzedać dom w Tiburon swojej kochance, gdy nagle zmarł – dwa miesiące przed Ellie – na zawał. Ellie odziedziczyła cały majątek.

Ostatnia kochanka Grahama, Karen Garfield, prześliczna modelka z Nowego Jorku, wylała swoje żale jednemu z naszych detektywów przy koktajlu. Została z połową miliona i to nie było źle, ale zaplanowali z Grahamem „całe życie razem: Wyspy Dziewicze, Riviera i reszta”.

Karen sama zmarła wkrótce po serii poważnych ataków serca. Pierwszy z nich nastąpił w godzinę po wizycie w domu Grahama w Tiburon, gdy próbowała „wyjaśnić sprawę” jego córce Rowan.

– A to suka! Nie pozwoliła mi nawet zabrać jego rzeczy! Chciałam tylko kilka pamiątek! Wrzeszczała: „Wynoś się z domu mojej matki!”

Karen przeżyła tę wizytę o dwa tygodnie, wystarczająco długo, aby powiedzieć wiele niepochlebnych słów o Rowan. Najwyraźniej jednak nie łączyła nagłego i niewyjaśnionego pogorszenia stanu serca z wizytą w Tiburon.

Dlaczego miałyby łączyć?

To my dopatrzyliśmy się pewnej współzależności wypadków, jak pokaże dalsza część tego opracowania.

Kiedy Ellie umarła, Rowan powiedziała znajomym, że utraciła najlepszą i jedyną przyjaciółkę na świecie. Najprawdopodobniej miała słuszość. Przez całe życie Ellie była słodką i wrażliwą istotą, kochaną przez córkę i licznych przyjaciół, którzy twierdzili, że zawsze kryła w sobie coś z delikatnej piękności z Południa, chociaż pozostawała wysportowaną, nowoczesną kobietą z Kalifornii i bez trudu uchodziła za młodszą o dwadzieścia lat. Młodzieńczy wygląd był jej jedyną obsesją poza dobrobytem córki.

Po pięćdziesiątce dwukrotnie poddała się operacji plastycznej polegającej na naciąganiu skóry twarzy. Często odwiedzała salony piękności, stale farbowała włosy. Na zdjęciach z mężem wykonanych na rok przed śmiercią, wydaje się od niego młodszą. Oddana Grahamowi i całkowicie od niego zależna emocjonalnie, ignorowała jego romanse i miała do tego powód.

Jak zwierzyła się przyjaciółce:

– Zawsze jest w domu na kolacji o szóstej. I zawsze kiedy gaszę światło.

Źródłem atrakcyjności Grahama działającej na Ellie i innych, poza wyglądem, być może było jego entuzjastyczne podejście do życia i łatwość, z jaką obdarzał uczuciem wszystkich otaczających go ludzi, w tym własną żonę.

Jeden z wieloletnich przyjaciół Grahama wyjaśnił naszemu detektywowi:

– Romanse uchodziły mu na sucho, bo nigdy przez przelotne miłostki nie stawał się nieczuły dla Ellie. Niektórzy faceci powinni brać u niego lekcje. Kobieta nienawidzi, gdy się od niej odwracasz. Jeśli traktujesz ją jak królową, pozwoli ci mieć konkubinę czy dwie poza pałacem.

Obecnie nie wiemy, jak ważne jest zbieranie dalszych informacji o Grahamie Franklinie. Co wydaje się istotne, Ellie i Graham byli zwykłymi Kalifornijczykami, należącymi do wyższej klasy średniej, szczęśliwymi pomimo zdrad Grahama aż do ostatniej chwili życia. We wtorki wieczorem chodzili do opery w San Francisco, do filharmonii w soboty, a od czasu do czasu na spektakle baletowe. Należała do nich zachwycająca kolekcja bentleyów, rolls-royce'ów, jaguarów i innych samochodów ekskluzywnych marek. Wydawali

prawie dziesięć tysięcy dolarów miesięcznie na ubrania. Na otwartych tarasach pięknego domu w Tiburon przyjmowali przyjaciół hojnie i modnie. Latali do Europy i Azji na krótkie, luksusowe wakacje. Zawsze byli bardzo dumni z „naszej córki lekarki”, jak z radością mówili o Rowan do swoich licznych przyjaciół.

Uważano, że Ellie ma zdolności telepatyczne, ale korzystała z nich tylko do rozbawiania gości w salonie. Wiedziała, kto dzwoni, przed podniesieniem słuchawki. Potrafiła powiedzieć, jaką kartę ktoś trzyma w ręku. Poza tym nie wyróżniało jej nic niezwykłego. Była bardzo ładna, przypominała wielu innych potomków Julienu Mayfaira. Miała ujmujący sposób bycia i czarujący uśmiech swojego pradziadka.

Ostatni raz widziałem Ellie na pogrzebie Nancy Mayfair w Nowym Orleanie w styczniu 1988 roku. Miała wtedy sześćdziesiąt trzy czy cztery lata. Piękna kobieta, sto sześćdziesiąt osiem centymetrów wzrostu, o opalonej skórze i granatowoczarnych włosach. Ukryła błękitne oczy za okularami przeciwsłonecznymi w białej oprawie. Modna bawełniana sukienka podkreślała zgrabną sylwetkę. Miała w sobie coś z gwiazdy filmowej o oszałamiającej urodzie, mądrości i kalifornijskim wdzięku. Sześć miesięcy później już nie żyła.

Po śmierci Ellie Rowan wszystko odziedziczyła. Wliczając w to fundusze powiernicze oraz pieniądze ulokowane w funduszu założonym po jej urodzeniu, o którym nic nie wiedziała.

Przedtem i potem Rowan ciężko pracowała. Spadek prawie zupełnie nie zmienił jej trybu życia. Więcej o niej napiszę w odpowiedniej chwili.

\* \* \*

ROWAN MAYFAIR

OD DZIECIŃSTWA DO CHWILI OBECNEJ

Nieprzerwany dyskretny nadzór nad Rowan wskazywał, że dziecko od

samego początku jest przedwcześnie dojrzałe i może mieć różne zdolności parapsychiczne, czego jej przybrani rodzice jakby nie dostrzegali. Istnieje pewne „świadczenie”, że Ellie Mayfair odmawiała przyjęcia do wiadomości, że jest coś „dziwnego” w jej córce. Dla obojga – Ellie i Grahama – Rowan wydaje się „dumą i radością”.

Jak już wykazano, więź między matką a dzieckiem była nadzwyczaj silna. Trwała aż po dzień śmierci Ellie. Rowan nie podzielała uwielbienia matki do przyjęć, obiadów, wypraw po zakupy i innych podobnych zajęć. Nigdy, nawet gdy była już dorosła, nie została wciągnięta do szerokiego kręgu przyjaciółek Ellie.

Rowan z rodzicami łączyła wspólna pasja – żeglowanie. Od najwcześniejszych lat towarzyszyła rodzicom w podróżach łodzią. Uczyła się sterować małą żaglówką Grahama o nazwie *Pieśń wiatru*. Wyruszała sama, gdy miała ledwie czternaście lat. Kiedy Graham kupił pełnomorski jacht o nazwie *Wielka Angela*, cała rodzina kilka razy w roku wyruszała w długi rejs.

Na szesnaste urodziny Graham kupił córce dwusilnikowy jacht o dużej wyporności, który nazwał *Słodką Krystyną*. *Wielka Angela* przeszła tymczasem na emeryturę, a cała rodzina pływała nowym nabytkiem. Rowan jednak zajmowała niekwestionowane stanowisko sternika. Pomimo rad i zastrzeżeń rodziców dziewczyna często wypuszczała się sama ogromną łodzią.

Przez lata Rowan wracała prosto do domu ze szkoły i wyruszała z Zatoki San Francisco na ocean, chociaż na dwie godziny. Rzadko zapraszała kogoś bliskiego na pokład.

– Nigdy nie widzimy jej przed ósmą wieczorem – narzekała Ellie. – Tak się martwię. Och, jak ja się martwię. Ale nie można zabrać łodzi Rowan, to by ją zabiło. Już nie wiem, co zrobić.

Rowan jest doświadczonym sternikiem i nigdy nie żegluje na złamanie karku, jeśli można tak powiedzieć. *Słodką Krystyną* jest ciężkim, powolnym, dwudziestometrowym statkiem, zbudowanym przez Holendrów. Jego

konstrukcja nie pozwala na osiągnięcie dużych prędkości, lecz umożliwia utrzymanie równowagi nawet na najbardziej wzburzonym morzu.

Samotność w łodzi wydaje się sprawiać Rowan rozkosz. Daleko od lądu bez względu na pogodę. Jak wiele osób, którym odpowiada klimat północnej Kalifornii, cieszy ją mgła, wiatr i chłód.

Wszyscy, którzy obserwowali Rowan, zgodnie stwierdzają, że jest samotnicą, niezwykle spokojną osobą wolącą pracę od zabawy. W szkole uczyła się bez przerwy, a na studiach ciągle prowadziła jakieś badania. Jej garderoba wywoływała zazdrość koleżanek, ale zawsze mówiła, że to zasługa Ellie. Sama prawie nie interesowała się ubraniami. Od lat poza pracą nosiła strój, który można określić jako morski – dzinsy, kalosze, za duży sweter, wełniana czapka, gruba żeglarska kurtka z granatowej wełny.

W świecie medycyny, zwłaszcza w neurochirurgii, dziwaczne obyczaje Rowan są bez znaczenia, biorąc pod uwagę charakter jej zawodu. Jednak nawet koledzy po fachu uznali, że Rowan ma „obsesje”.

Wydaje się lekarką z prawdziwym powołaniem, chociaż gdy wybrała chirurgię, a nie pracę naukową, jej decyzja zaskoczyła wszystkich znajomych.

– Kiedy siedziała w laboratorium – twierdził jeden z kolegów Rowan – pani Ellie Mayfair musiała do niej dzwonić i przypominać o jedzeniu i spaniu.

\* \* \*

## ZDOLNOŚCI PARAPSYCHICZNE

Zdolności parapsychiczne Rowan objawiły się w szkole, gdy miała sześć lat. Mogły zostać zaobserwowane znacznie wcześniej, ale nie udało nam się znaleźć na ten temat żadnej relacji. Nauczyciele wypytywani nieoficjalnie (lub pod fałszywymi pretekstami) o Rowan opowiadają doprawdy zadziwiające historie o jej zdolnościach czytania myśli.

Nie odnaleźliśmy jednak dowodów na to, żeby kiedykolwiek uznano tę



dziewczynę za odmieńca, nieudacznicę czy osobę nieprzystosowaną. W szkole zyskała miano niezwykle pilnej uczennicy. Nieprzerwanie odnosiła sukcesy. Zdjęcia potwierdzają opinie, że była prześlicznym dzieckiem, zawsze opalonym, z rozjaśnionymi słońcem blond włosami. Sprawia wrażenie skrytej i jakby niezadowolonej z natręctwa obiektywu, ale nigdy nie jest skrzywiona czy skrepowana.

O zdolnościach telepatycznych Rowan nie wiedzieli uczniowie, lecz nauczyciele, którzy przedstawiają je w pewien określony sposób:

– Umarła moja matka – zaczęła opowieść nauczycielka pierwszej klasy. – Nie mogłam pojechać do Termontu na pogrzeb i czułam się okropnie. Nikt o tym nie wiedział, rozumie pan, ale Rowan przyszła do mnie na przerwie, usiadła obok i położyła dłoń na mojej ręce. Omal nie wybuchnęłam płaczem, tak mnie wzruszył ten czuły gest. „Przykro mi z powodu pani mamy”, powiedziała i zamilkła na chwilę. Kiedy zapytałam, skąd o tym wie, odparła: „Samo mi wpadło do głowy”. Sądzę, że to dziecko dowiadywało się różnych rzeczy w ten sposób. Wiedziała, kiedy inne dziewczynki czegoś jej zazdroszczą. Była zawsze taka samotna.

Innym razem, gdy jedna z uczennic od trzech dni nie zjawiała się szkole bez usprawiedliwienia, a dyrekcja nie mogła nawiązać kontaktu z domem, Rowan spokojnie powiedziała dyrektorowi, że nie ma powodu do niepokoju. Umarła babcia dziewczynki i rodzina wyjechała na pogrzeb do innego stanu, zapominając zupełnie o zawiadomieniu szkoły. Okazało się to prawdą. Znowu Rowan nie potrafiła wyjaśnić, skąd o tym wiedziała, poza tym „że przyszło jej to do głowy”.

Zebraлиśmy ponad dwadzieścia podobnych opowieści. Najistotniejsze w nich jest to, że Rowan nie tylko zdradzała zdolności telepatyczne, ale potrafiła okazać współczucie i sympatię – *prawdziwą chęć pocieszania, łagodzenia cierpienia*. Zawsze jednak te emocjonalne odruchy kierowała ku osobom dorosłym. Nie łączono nigdy jej zdolności parapsychicznych ze sztuczkami, straszeniem kogoś

czy wywoływaniem kłótni.

W 1966, kiedy Rowan miała osiem lat, po raz ostatni, o ile wiemy, wykorzystwała swoje nadprzyrodzone umiejętności. W czwartej klasie prywatnej szkoły na Wzgórzach Pacyfiku powiedziała nauczycielowi, że koleżanka jest bardzo chora i powinna pójść do lekarza, ale Rowan nie wiedziała, jak kogoś o tym powiadomić, bowiem dziewczynka miała umrzeć.

Dyrektorka szkoły była oburzona. Zadzwoiła do matki Rowan z żądaniem, by zaprowadziła ją do psychiatry. Tylko dziecko z poważnymi zaburzeniami mogło wymyślić coś takiego. Ellie obiecała, że porozmawia z córką. Rowan nigdy więcej nic nie powiedziała.

Jednak po tygodniu okazało się, że dziewczynka, o której była mowa, ma rzadką odmianę raka kości. Umarła przed końcem semestru.

Dyrektorka powracała do tej historii wielokrotnie przy kolacji. Głęboko żałowała surowego potraktowania Rowan. Szczególnie ubolewała, że zadzwoniła do pani Mayfair, która okropnie się zmartwiła.

Być może właśnie troska Ellie położyła kres incydentom tego typu w życiu Rowan. Wszystkie przyjaciółki Ellie o nich wiedziały.

– Ellie o mało co popadłaby w histerię. Chciała, żeby Rowan była normalna. Krzyczała, że nie pragnie córki o dziwacznych zdolnościach.

Graham uważał, że cała sprawa to zbieg okoliczności. Tak sądziła też dyrektorka. Złościł się, że ta kobieta zadzwoniła i opowiedziała Ellie o śmierci dziewczynki.

Czy był to zbieg okoliczności, czy nie, zdaje się, że potem Rowan nie ujawniała swoich zdolności. Możemy założyć, że sprytnie postanowiła „zejść do podziemia” z umiejętnością czytania myśli, bądź świadomie ograniczyła ją do tego stopnia, aż ta osłabła lub zanikła. Chociaż włożyliśmy wiele wysiłku w poszukiwania, nie znaleźliśmy dowodów na późniejsze wykorzystywanie przez Rowan swoich zdolności. Zapamiętano jej spokojną inteligencję, błyskotliwość, niewyczerpaną energię, miłość do wiedzy i medycyny.

– Należała do takich dziewczynek, które w szkole zbierają chrabąszcze i kamienie, potrafiąc wszystko określić długą łacińską nazwą.

– Przerazająca, absolutnie przerażająca – stwierdził jej nauczyciel chemii z college'u. – Nie zdziwiłbym się, gdyby w wolnej chwili podczas weekendu wymyśliła bombę wodorową.

Zastanawialiśmy się w Talamasce, czy stłumienie zdolności telepatycznych może mieć związek ze wzrostem jej mocy telekinetycznych, to znaczy, czy przesunęła energie, a te dwie siły stanowią awers i rewers tego samego medalu. Niewykluczone, że Rowan odwróciła się od umysłu ku materii. Nauki ścisłe i medycyna stały się jej obsesjami od początku szkoły średniej.

Jedyny chłopak Rowan, z którym chodziła jako nastolatka, był równie błyskotliwy i skryty. Zdaje się jednak, że nie mógł wytrzymać konkurencji. Kiedy Rowan przyjęto na uniwersytet w Berkeley, a jego nie, zerwali ze sobą. Przyjaciele obwiniali o rozstanie chłopaka. Wyjechał później na wschodnie wybrzeże i został naukowcem w Nowym Jorku.

Jeden z naszych detektywów „przypadkiem wpadł na niego” na otwarciu muzeum. Zaczął rozmowę o osobach z różnymi zdolnościami parapsychicznymi; takich, co umieją czytać myśli. Mężczyzna otworzył się i opowiedział o dawnej dziewczynie z liceum, która umiała to robić. Nadal czuł się rozgoryczony.

– Kochałem ją. Naprawdę kochałem. Nazywała się Rowan Mayfair. Miała niezwykłą urodę. Nie była zwyczajnie ładna. Ale za to nie do wytrzymania. Lepiej orientowała się w moich myślach niż ja sam. Wiedziała, kiedy umówiłem się z kimś innym. Taka potwornie spokojna osoba, ale niesamowita. Słyszałem, że została neurochirurgiem. Przerazające! Co się stanie, jeśli pacjent pomyśli o niej coś złego, zanim zaśnie? Czy wytnie mu tę myśl prosto z głowy?

Jednak nikt nie wspomniał o tym, że Rowan jest małostkowa. Opisują ją jako osobę niezwykłą, tak jak kiedyś Mary Beth Mayfair, nigdy nie nazwano jej mściwą, podłą czy agresywną bez powodu.

Gdy w 1976 wstąpiła do Berkeley, wiedziała, że chce zostać lekarką. Na pierwszym roku medycyny dostawała same piątki. Co lato brała udział w kursach wakacyjnych (choć nadal często wyjeżdżała z Grahamem i Ellie). Potem przeskoczyła rok i ukończyła studia z pierwszą lokatą w 1979. Doktorat zrobiła w znanej akademii medycznej. Wierzyła najwyraźniej, że badania naukowe w dziedzinie neurologii będą zadaniem jej życia.

Osiągnięcia naukowe, jakie miała w owym czasie, uważano za fenomenalne. Wielu wykładowców mówiło o niej, że była „najbystrzejszą, najinteligentniejszą słuchaczką”.

– Nie jest po prostu bystra. Ma intuicje, Wyciąga zaskakujące wnioski. Nie czyta książek, ona je pochłania i wysuwa sześć różnych możliwych związków z zawartą tam teorią, które nawet na myśl nie przyszły samemu autorowi.

– Studenci nadali jej przezwisko „doktor Frankenstein”, bo bez przerwy mówiła o przeszczepach mózgu i składaniu go z kawałków. Ale mniejsza o to. Rowan jest prawdziwą istotą ludzką. Nie trzeba się martwić, że to inteligencja bez serca.

– Och, Rowan. Czy pamiętam Rowan? Chyba pan żartuje? Ta dziewczyna mogłaby wyklądać zamiast mnie! Powiedzieć panu coś śmiesznego? Ale proszę tego nikomu nie mówić! Pod koniec semestru musiałem wyjechać z miasta i dałem Rowan prace egzaminacyjne do sprawdzenia. Oceniała własną grupę! Jeśli kiedykolwiek wyjdzie to na jaw, będę skończony! Wtedy jednak ubiliśmy interes, rozumie pan. Chciała, żebym dał jej klucz do laboratorium na przerwę świąteczną, a ja spytałem: „Dobrze, ale czy w zamian poprawisz za mnie testy?” Najgorsze było to, że po raz pierwszy ani jeden student nie miał zastrzeżeń do otrzymanego stopnia. Rowan! Chciałbym móc o niej zapomnieć. Tacy ludzie jak Rowan sprawiają, że inni czują się przy nich jak idioci.

– Ona nie jest zwyczajnie inteligentna. Tak myślą o niej, ale w tym tkwi coś więcej. To jakiś mutant. Mówię poważnie. Potrafi zbadać zwierzę laboratoryjnie i powiedzieć, co się z nim stanie. Kładzie na nim ręce i mówi: „To lekarstwo nie

pomoże”. Opowiem ci o czymś, co jeszcze robiła. Potrafiła leczyć te nieszczęsne zwierzęta. Naprawdę umiała dokonać cudu. Kiedyś powiedział mi starszy lekarz, że gdy nie uważała, mogła popsuć badania, bo niechęć użyła swych zdolności uzdrowicielskich. Wierzę w to. Raz umówiłem się z nią na randkę. Nie wyleczyła mnie z niczego, ale stary, była niesamowicie namiętna... Jakbym się kochał z dziewczyną z wysoką gorączką. Tak opisują uzdrowicieli, wiesz, przynajmniej tych przebadanych naukowo. Czujesz ciepło płynące z ich dłoni. Sądzę, że nie powinna wybierać chirurgii, lecz onkologię. Powinna była wybrać onkologię. Tam mogłaby naprawdę leczyć ludzi. Chirurgia? Każdy może kroić.

(Musimy dodać, że ten lekarz jest onkologiem. Nie-chirurdzy często wygłaszają nadzwyczaj pejoratywne opinie o chirurgach, nazywając ich na przykład hydraulikami, a chirurdzy wygłaszają równie negatywne zdania o kolegach zajmujących się innymi dziedzinami medycyny, twierdząc, że „jedyne co robią, to przygotowują pacjentów dla nas!”)

\* \* \*

## ZDOLNOŚCI UZDROWICIELSKIE ROWAN

Gdy tylko Rowan wkroczyła do szpitala jako internistka (a nastąpiło to po trzecim roku studiów), historie o jej zdolnościach diagnostycznych i uzdrowicielskich były tak powszechne, że nasi detektywi mogli wybierać i zapisywać do woli.

Podsumowując, Rowan jest pierwszą czarownicą Mayfair opisywaną jako uzdrowicielka, po Marguerite Mayfair z Riverbend znaną przed 1835.

Prawie każda pielęgniarka zapytana o Rowan ma jakieś „fantastyczne” historie do opowiedzenia. Rowan potrafi postawić diagnozę, Rowan po prostu wie, co robi. Rowan doprowadza do porządku ludzi, którzy wydają się gotowi do kostnicy.

– Potrafi zatrzymać krwawienie. Widziałam, jak to zrobiła. Chwycała głowę chłopca i spojrzała na jego nos. Wyszepiała: „Stop”. Słyszałam ten cichy nakaz. I chłopiec potem już nie krwawił.

Jej bardziej sceptyczni koledzy – lekarze i lekarki – przypisywali te osiągnięcia „sile sugestii”.

– Jasne, ona praktykuje voodoo, wie pan! Mówi do pacjenta: „A teraz sprawimy, że ból zniknie”. I naturalnie, ból przechodzi. Ona ich hipnotyzuje!

Starsze czarne pielęgniarki w szpitalu wiedzą, że Rowan ma „moc” i czasami proszą ją, aby „położyła ręce” na nich, kiedy odczuwają bóle artretyczne czy inne dolegliwości. Gotowe są przysięgać, że Rowan je w ten sposób leczy.

– Patrzy w oczy i mówi: „Powiedz mi, gdzie cię boli!” Pociera palcami i czujesz się jak nowo narodzony! To fakt!

Zgodnie z wszystkimi relacjami, Rowan sprawia wrażenie osoby kochającej pracę w szpitalu i żyjącej w nieustannym konflikcie między oddaniem się badaniom w laboratorium a nowo odkrytą radością praktyki na oddziale.

– Obserwowałem narodziny prawdziwego naukowca! – zwierzał się ze smutkiem jeden z jej wykładowców. – Wiedziałem, że ją tracimy. Ale jak raz weszła do sali operacyjnej, było po wszystkim. Mówią, że kobiety zbyt łatwo poddają się emocjom, by mogły być dobrymi neurochirurgami. Z pewnością teoria ta nie dotyczy Rowan. W żargonie mówimy, że ma najzimniejsze ręce w branży.

(Należy zwrócić uwagę na określenia „gorące” i „zimne” w odniesieniu do rąk.)

Istnieją przesłanki, aby sądzić, że decyzja o porzuceniu pracy naukowej na rzecz chirurgii przyszła Rowan z ogromną trudnością. Jesienią 1983 spędziła dużo czasu z doktorem Karlem Lemlem z Instytutu Keplingera w San Francisco. Prowadził tam badania nad lekiem na chorobę Parkinsona.

Krążyły plotki w szpitalu, że Lemle próbował nakłonić Rowan do zrezygnowania z praktyki w akademii wabiąc ją wysoką pensją i doskonałymi

warunkami pracy, ale Rowan nie czuła się gotowa do opuszczenia izby przyjęć, sali operacyjnej czy oddziału.

W czasie świąt Bożego Narodzenia Rowan ostro pokłóciła się z Lemlem. Potem nie odbierała jego telefonów. Przynajmniej tak przez kilka miesięcy opowiadał wszystkim na uniwersytecie.

Nie byliśmy w stanie dowiedzieć się, co zaszło między nimi. Wiemy, że Rowan zgodziła się zjeść z przełożonym lunch wiosną 1984. Świadkowie widzieli ich w kafejce szpitalnej. Pokłócili się. Tydzień później przyjęto Lemlego do prywatnej kliniki Keplingera z niezbyt groźnym atakiem serca. Potem nastąpił kolejny zawał i jeszcze jeden. Przed upływem miesiąca umarł.

Niektórzy z kolegów Rowan krytykowali ją, że nie odwiedziła Lemlego w szpitalu. Asystent Lemlego, który potem zajął jego miejsce w Instytucie, powiedział naszemu detektywowi, że Rowan była za ambitna i zazdrościła jego szefowi. Wydaje się to mało prawdopodobne.

Wiemy, że nigdy nie łączono śmierci Lemlego z Rowan. My jednak ustaliliśmy związek.

Bez względu na to, co zaszło między Rowan a jej mentorem – przed zerwaniem często tak o nim mówiła – dziewczyna całkowicie poświęciła się neurochirurgii na początku 1984. Po odbyciu stażu, w 1985 operowała wyłącznie mózgi. W trakcie powstawania tej opowieści Rowan kończy specjalizację w neurochirurgii i z pewnością zda egzamin. Prawdopodobnie już wkrótce zostanie wykładowcą w akademii.

Osiągnięcia Rowan jako neurochirurga – choć wciąż jeszcze musi operować pod nadzorem – są niezwykle, jak można się było spodziewać.

Krążą opowieści o uratowaniu przez nią życia wielu pacjentom na stole operacyjnym, o jej niekwestionowanym talencie rozpoznawania szans przeżycia chorego już na izbie przyjęć, o umiejętności „łatania” ran od piły czy kuli, dziur w czaszkach po wypadkach samochodowych i upadkach z wysokości, niezwyklej wytrzymałości, o możliwościach operowania przez dziewięć godzin

bez przerwy i bez omdlenia, o spokojnym i rzeczowym prowadzeniu przerażonych statystów i nerwowych pielęgniarek oraz o niechętnych kolegach i dyrektorach szpitala, którzy od czasu do czasu ostrzegają ją, że za często ryzykuje. Rowan „cudotwórczym” – tego określenia używano również jako pewnego rodzaju przestrogi.

Rowan jako chirurg odnosi spektakularne sukcesy, a jednak jest powszechnie lubiana w szpitalu. Każdy może na niej polegać. Szczególnym uwielbieniem darzą ją pielęgniarki, gdyż okazuje im wyjątkową sympatię i zainteresowanie ich osobistymi problemami, jakie przejawiała dziesięć lat temu wobec nauczycieli. Chociaż żadna z pielęgniarek nie wspomniała o przypadkach telepatii, jednak często powtarzają, że Rowan wie, kiedy źle się czują i potrafi współczuć, gdy mają kłopoty domowe. Pani doktor Mayfair umie też znaleźć sposób na wyrażenie wdzięczności za dodatkowe przysługi. A jest wyjątkowo wymagającą lekarką oczekującą usług najwyższej jakości od swego personelu.

W szpitalu opowiadają o pozyskaniu sobie przez Rowan pielęgniarek – sióstr instrumentariuszek pracujących na sali operacyjnej – znanych z niechęci do kobiet chirurgów, które generalnie są krytykowane jako „zadzierające nosa”, „zarozumiałe” czy po prostu „zwyczajne suki”. Podobne epitety stanowią zwykłą oznakę przesądów, jednak należy wziąć pod uwagę, że te same pielęgniarki wyrażają się o Rowan jak o świętej.

– Nigdy nie krzyczy, niczym nie rzuca, jest na to za dobra.

– Jest uczciwa jak mężczyzna.

– Powiem panu, że wolę tam być z nią niż z jakimkolwiek innym lekarzem.

– Fantastycznie się z nią pracuje. Jest najlepsza. Uwielbiam na nią patrzeć, gdy operuje. To prawdziwa artystka.

– Mogę pana zapewnić, że jedynym chirurgiem, któremu pozwoliłabym otworzyć sobie głowę, jest doktor Mayfair.

Raz jeszcze wyjaśnijmy i ustawmy wszystko we właściwej perspektywie. Wciąż żyjemy w świecie, w którym instrumentariuszki odmawiają czasami



podania narzędzi chirurgom kobietom, a pacjenci na izbie przyjęć nie wyrażają zgody na zbadanie się przez kobietę i nalegają, aby obejrżeli ich raczej młodzi interniści mężczyźni, a bardziej kompetentne lekarki są zmuszane do stania z boku i przyglądania się.

Wydaje się, że Rowan całkowicie pokonała ten przesąd. Jeśli skarżą się na nią koledzy z branży, to tylko na to, że jest zbyt spokojna. Nie mówi zbyt wiele o tym, co robi, młodym lekarzom, którzy powinni się od niej uczyć. To dla niej zbyt trudne, ale stara się, jak może.

Do 1984 sądziliśmy, że wyzwoliła się od przekleństwa Mayfairów i uniknęła okropnych doświadczeń, które dotknęły jej matkę i babkę, a wstąpiła na drogę olśniewającej kariery.

Nawet stałe, intensywne śledzenie jej życia nie przyniosło żadnych świadectw obecności Lashera ani związku Rowan z duchami czy upiorami.

Jej zdolności telepatyczne i uzdrowicielskie zostały nadzwyczaj pożytecznie wykorzystane w rozpoczynającej się karierze chirurga.

Wszyscy otaczający Rowan ludzie podziwiali jej niezwykle osiągnięcia, a nikt nie uważał za „dziwaczkę”, „odmieńca” czy osobę jakoś związaną ze światem nadnaturalnym.

Kolega po fachu zapytany o reputację Rowan odparł:

– Jest genialna. Co mogę jeszcze powiedzieć?

\* \* \*

## OSTATNIE ODKRYCIA

Jednak w życiorysie Rowan kryje się znacznie więcej ważnych szczegółów, które wyszły na jaw w ostatnich kilku latach. Pierwsza część tej historii jest absolutnie prywatna i nie interesuje Talamaski. Druga niewyobrażalnie nas przeraziła, ze względu na przyszłość Rowan.

Jednak dla porządku przyjrzyjmy się części pierwszej.

W 1985 roku wzbudził naszą ciekawość całkowity brak życia towarzyskiego Rowan. Poprosiliśmy naszych detektywów, żeby przeprowadzili bardziej precyzyjne obserwacje. Po kilku tygodniach odkryli, że Rowan jest jak najdalsza od absolutnej samotności, jednak jej kontakty towarzyskie są szczególne. Od czasu do czasu podrywa co bardziej męskich osobników w czterech różnych barach San Francisco.

Najczęściej są to strażacy lub umundurowani policjanci, zawsze stanu wolnego, bardzo przystojni i dobrze zbudowani. Rowan spotyka się z nimi na pokładzie *Słodkiej Krystyny*. Czasami wypływają w morze, czasami zostają w porcie. Rzadko kiedy widuje tego samego mężczyznę. Chociaż jest bardzo dyskretna i nie narzuca się nikomu, stała się tematem plotek wymienianych w barach, do których przychodzi. Co najmniej dwóch mężczyzn przyjęło nieuniknione odrzucenie ich przez Rowan z rozgoryczeniem. Swobodnie rozmawiali z naszymi detektywami, ale w trakcie dyskusji zawsze okazywało się, że prawie nic o niej nie wiedzą. Uważali, że jest „bogata dziewczyną z Tiburon”, która ich wykiwała i wykorzystwała. Nie mieli pojęcia, czym się zajmuje. Jeden z nich kilkakrotnie mówiąc o *Słodkiej Krystynie* użył wyrażenia „fikuśna łódka tatusia”.

– Jest samotnicą, i tyle. Prawdę mówiąc, podoba mi się to. Nie chciała żadnych zobowiązań. Ja też nie. Chętnie umówiłbym się z nią jeszcze raz czy dwa, ale chcieć muszą obie strony. Rozumiem Rowan. To wykształcona dziewczyna, która lubi mężczyzn o staroświeckich zasadach.

Powierzchowne śledztwo prowadzone w latach 1986-1987, dotyczące dwunastu mężczyzn, którzy byli widziani, jak opuszczają dom Rowan, wykazało, że każdy jest bardzo cenionym strażakiem lub policjantem. Niektórzy z nich otrzymali medale i nagrody. Wszystkich późniejsze dziewczyny i koledzy z pracy uważali za „miłych facetów”.

Dalsze relacje potwierdziły, że rodzice Rowan wiedzieli o jej, ujawniającym się od ostatniego roku liceum, upodobaniu do tego typu mężczyzn. Graham

powiedział swojej sekretarce, że Rowan nawet nie odezwałaby się do faceta z dyplomem. Umawia się tylko z „owłosionymi twardzielami” i pewnego dnia odkryje, jak niebezpieczne są takie pozbawione ogłady małpy. Również Ellie podzieliła się swoją troską z przyjaciółką.

– Mówi, że te gliny i strażacy ratują ludzkie życie. Nie sędzę, żeby wiedziała, co robi. Ale dopóki nie zamierza wyjść za mąż za jednego z tych facetów, to wszystko w porządku. Powinnaś zobaczyć tego, którego przyprowadziła do domu wczoraj wieczór. Rzuciłam na niego okiem. Piękne rude włosy i piegi. Po prostu najprzystojniejszy irlandzki glina, jakiego widziałam w życiu.

Nie wiem, jaka jest sytuacja obecnie, gdyż zamknąłem śledztwo. Uważam, że nie mamy podstaw, aby wnikliwie badać ten aspekt życia Rowan. Jest tylko kilka barów, w których doktor Mayfair podrywa swoich wybrańców. Dlatego jakiegokolwiek dociekania na temat Rowan naruszają jej prywatność i zwracają na nią uwagę. W kilku przypadkach nasze pytania sprowokowały raczej nieprzyjemne rozmowy z brutalnymi mężczyznami, którzy w rzeczywistości nic nie wiedzieli o Rowan, ale twierdzili, że słyszeli ten czy inny pikantny szczegół od kogoś innego.

Nie sędzę, by ta strona życia Rowan powinna nas w ogóle interesować, poza analogią do upodobań Mary Beth Mayfair. Przypadkowe i ograniczone kontakty wzmacniają przekonanie, że Rowan jest typem odludka, osobą skrytą i tajemniczą nawet dla tych, którzy ją znają. Nie mówi o sobie swoim łóżkowym partnerom. Prawdopodobnie z nikim nie rozmawia na swój temat. Mógłby to być jeden z kluczy do zrozumienia obsesji i ambicji tej dziewczyny.

\* \* \*

## ZDOLNOŚCI TELEKINETYCZNE ROWAN

Drugi aspekt życia Rowan, odkryty dopiero niedawno, jest znacznie

ważniejszy, a zarazem najbardziej niepokojący w całej historii rodziny Mayfairów. Właśnie zaczęliśmy dokumentować tę nowo poznaną, tajemniczą stronę osobowości Rowan. Czujemy się zmuszeni do prowadzenia śledztwa i rozważenia możliwości jak najszybszego nawiązania kontaktu z Rowan. Martwi nas konieczność odsłonięcia przed nią jej pochodzenia, jednak w powyższym przypadku jest to nieuniknione. Spoczywa na nas ogromna odpowiedzialność.

W 1988, gdy Graham Franklin zmarł na skutek krwawienia pod błoną pajęczną, nasz detektyw pracujący na tym terenie przesłał nam krótki opis zdarzenia, dodając od siebie tylko kilka szczegółów, między innymi ten, że odszedł w ramionach Rowan.

Wiedzieliśmy o pogłębiającym się rozpadzie związku Grahama Franklina i jego umierającej żony, Ellie, więc z tym większą uwagą przeczytaliśmy dostarczony nam raport. Chcieliśmy wiedzieć, czy Rowan mogła w jakiś sposób spowodować śmierć Grahama?

Kiedy nasi detektywi zaczęli poszukiwać dodatkowych informacji o planach rozwodowych Grahama, nawiązali kontakt z jego kochanką – Karen Garfield. Powiadomili nas, że kobieta ta przeszła kilka poważnych ataków serca. Później otrzymaliśmy informację o jej zgonie, który nastąpił w dwa miesiące po śmierci Grahama.

Nie przywiązując do tego faktu żadnej wagi, donieśli nam o spotkaniu Rowan z Karen. Niedługo później Karen została pospiesznie przewieziona do szpitala, gdzie stwierdzono przebyty zawał.

– Jesteś przystojnym facetem, podobasz mi się – powiedziała Karen naszemu człowiekowi, który przyszedł do niej, gdy wróciła z odwiedzin u Rowan. Potem nagle przerwała, bo się źle poczuła.

Nasi detektywi nie skojarzyli faktów. My jednak znaleźliśmy związek. Karen Garfield skończyła dopiero dwadzieścia siedem lat. Wyniki sekcji, które otrzymaliśmy bez szczególnych trudności, wskazują, że miała wrodzone osłabienie mięśnia sercowego oraz ścian arterii. Udało jej się przeżyć krwotok z

arterii i poważny zawał, ale nie mogła wyzdrowieć po uszkodzeniu mięśnia sercowego. Kolejne ataki serca tak ją wycieńczyły, że wkrótce umarła.

Ratował ją tylko przeszczep, ale miała tak rzadką grupę krwi, że transplantacja była wykluczona. Poza tym nie starczyło czasu.

Przypadek ten wydał nam się niezwykle, zwłaszcza że Karen nigdy przedtem nie narzekała na kłopoty z sercem. Kiedy zapoznaliśmy się z wynikami sekcji zwłok Grahama, stwierdziliśmy, że on umarł z powodu osłabienia ścian arterii. Rozległy wylew zabił go prawie natychmiast.

Poleciliśmy naszym detektywom, aby ponownie przyjrzeni się jak najdokładniej życiu Rowan i odszukali nazwiska znanych jej osób, które zmarły na skutek nagłych ataków serca, zaburzeń mózgowo-naczyniowych, krwawień pod błoną pajęczą, wrodzonego aneurysmu czy z powodu innych przyczyn. Oznaczało to ostrożne zadawanie pytań nauczycielom pamiętającym Rowan i jej koleżanki z klasy, studentom, którzy przypomną sobie takie przypadki z uniwersytetu w Berkeley lub szpitala. Nie było to łatwe do zrealizowania, ale łatwiejsze, niż ktoś nie znający naszych metod mógłby sądzić.

Prawdę mówiąc, sądziłem, że śledztwo nie da żadnych rezultatów.

Niezwykle rzadko słyszy się o ludziach obdarzonych zdolnościami telekinetycznymi tego rodzaju, osobach potrafiących powodować poważne uszkodzenia organów wewnętrznych. Nawet w archiwach Talamaski znajduje się o nich niewiele informacji. Z całą pewnością nigdy nie znaleźliśmy nikogo z rodziny Mayfairów, kto potrafiłby przyczynić się do czyjejś śmierci w ten sposób.

Wielu Mayfairów przesuwalo przedmioty, trzaskało drzwiami, trzęsło oknami nie dotykając ich, ale prawie we wszystkich przypadkach była to czysta magia, manipulacja Lashera czy innych duchów niższych, a nie telekineza.

Historia rodziny Mayfairów to historia czarów, z kilkoma nielicznymi przypadkami telepatii, umiejętności uzdrowicielskich czy innych zdolności parapsychicznych.

Tymczasem studiowałem wszystkie informacje, jakie zebraliśmy o Rowan. Nie mogłem pozbyć się przekonania, że Deirdre Mayfair byłaby szczęśliwa, gdyby mogła je przeczytać, dowiedzieć się, że jej córka jest powszechnie podziwiana i odnosi sukcesy we wszystkich dziedzinach. Przysiągłem sobie wtedy, że nie zrobię nic, co mogłoby zakłócić szczęście czy spokój Rowan. Jeśli historia rodu, ta, jaką znaleźliśmy i jak ją rozumieliśmy, kończyła się na osobie wyzwolonej doktor Mayfair, to mogliśmy się tylko cieszyć ze względu na nią i nie zamierzaliśmy interweniować w żaden sposób.

Nawet najmniejszy fragment informacji, który dotarłby do Rowan, mógłby zmienić bieg jej życia. Nie powinniśmy zatem ryzykować, chociaż czułem, że niedługo trzeba będzie szykować się do zakończenia raportu o Rowan i czarownicach Mayfair, gdy tylko śmierć wyzwoli Deirdre. Jednocześnie musieliśmy przygotować się na wypadek, gdyby po śmierci Ellie Rowan postanowiła wrócić do Nowego Orleanu, aby poznać swoją przeszłość. W dwa tygodnie po pogrzebie Ellie wiedzieliśmy, że Rowan daleka jest od decyzji powrotu do Nowego Orleanu. Właśnie zaczęła ostatni rok stażu na neurochirurgii i prawdopodobnie nie miałaby czasu na wyjazd. Nasi detektywi odkryli również, że na prośbę Ellie Rowan podpisała dokument, w którym zobowiązywała się, że nigdy nie pojedzie na Południe ani nie będzie próbowała odszukać swych prawdziwych rodziców. Nie otrzymaliśmy żadnych wskazówek, że nie zamierza dotrzymać danej obietnicy.

Może nigdy nie zobaczy domu przy ulicy Pierwszej. Może „klątwa” zostanie zdjęta, a Carlotta Mayfair w końcu odniesie zwycięstwo.

Było jednak za wcześnie, aby wiedzieć coś na pewno. Co bowiem mogło powstrzymać Lashera, aby ukazał się tej młodej kobiecie o dużych zdolnościach parapsychicznych, umiejętności czytania myśli z większą łatwością niż jej matka czy babka, a której ogromna ambicja i siła odpowiadały ambicjom i sile jej przodków – Marie Claudette, Julienu czy Mary Beth? Nic o nich nie wiedziała, ale wkrótce sytuacja mogła się radykalnie zmienić.

Gdy analizowałem życie Rowan, często łapałem się na tym, że myślę o Petyrze van Ablu, którego ojciec był wybitnym chirurgiem i anatomem w Lejdzie. Do dziś wspomina się w historii medycyny jego osiągnięcia. Pragnąłem powiedzieć Rowan Mayfair: „Widzisz to nazwisko? Był to holenderski lekarz, sławny dzięki swym badaniom anatomii człowieka. Jest twoim przodkiem. Jego krew i talent odziedziczyłaś przez pokolenia”.

Takie właśnie snułem rozważania, gdy jesienią 1988 nasi detektywi zaczęli przekazywać zadziwiające historie o nieprzewidzianych, przedwczesnych przypadkach śmierci zdarzających się w przeszłości ludziom z otoczenia Rowan. Pierwszą ofiarą była mała dziewczynka, która pobiła się z Rowan na placu zabaw i uległa potężnemu wylewowi pod błoną pajęczą. Zanim wezwano karetkę, dziecko było już martwe, kilka metrów od szlochającej histerycznie Rowan.

W 1974 Rowan już jako nastolatka przeżyła próbę gwałtu. Napastnik umarł na miejscu. Doznał ataku serca w trakcie szamotaniny z dziewczyną.

W 1984 wczesnym popołudniem doktor Karl Lemle z Instytutu Keplinegra po raz pierwszy poskarżył się na silny ból głowy. Powiedział swojej sekretarce Berenice, że właśnie spotkał niespodziewanie Rowan i nie potrafi zrozumieć niechęci, jaką ona do niego czuje. Tak się rozzłościła, gdy próbował z nią porozmawiać, że na niego nawrzeszczała w obecności innych lekarzy z akademii. To przez nią boli go głowa. Poprosił o aspirynę. Tej nocy przewieziono go do szpitala z objawami wylewu. Potem nastąpiły kolejne krwotoki. Umarł po kilku tygodniach.

Według zebranych relacji, wśród osób związanych z Rowan zdarzyło się pięć przypadków śmierci spowodowanych zaburzeniami mózgowo-naczyniowymi, wylewem pod błoną pajęczą czy aneurysmem serca. Trzy z tych osób zmarły w obecności Rowan, a dwie widziały się z nią na kilka godzin przed zachorowaniem.

Poleciałem detektywom, aby przeprowadzili wyczerpujące śledztwo i

sprawdzili kolegów ze szkoły i znajomych Rowan, odszukali wszystkie nazwiska tych, którzy zmarli w San Francisco lub miejscu urodzenia. Miało to oczywiście potrwać miesiące.

Jednak już po kilku tygodniach odkryto następny przypadek śmierci. Dokonał tego Owen Gander, który dla Talamaski przepracował dwadzieścia lat. Nie należy on do Zgromadzenia, ale odwiedzał konwent w Londynie i jest jednym z naszych najbardziej zaufanych współpracowników i najlepszych detektywów.

Oto jego raport. W 1978 na uniwersytecie w Berkeley Rowan okropnie pokłóciła się ze swoją koleżanką o jakieś doświadczenie w laboratorium. Rowan uważała, że dziewczyna celowo pomieszała jej narzędzia. Straciła panowanie nad sobą – co zdarzało się bardzo rzadko – rzuciła czymś o podłogę tłukąc to i odwróciła się plecami do koleżanki, która zaczęła wyśmiewać Rowan, aż podeszły inne studentki i zmusiły ją do zamilknięcia.

Nocą tego samego dnia dziewczyna wyjechała do Palo Alto w Kalifornii, na ferie wiosenne. Przed ich upływem zmarła z powodu zaburzeń mózgowo-naczyniowych. Nie istniały żadne przesłanki, że *Rowan w ogóle o tym wiedziała*.

Kiedy przeczytałem raport, natychmiast zadzwoniłem z Londynu do Gandera z pytaniem:

– Dlaczego uważasz, że Rowan nic nie wiedziała?

– Nikt z Berkeley o tym nie wiedział. Gdy odkryłem przypadek śmierci młodej dziewczyny w rejestrach w Palo Alto, przepytalem o nią znajomych Rowan. Wszyscy pamiętali kłótnię, ale nie mieli pojęcia, co stało się później z tamtą dziewczyną. Nie wiedziała ani jedna osoba. Pytałem wprost. „Nikt jej nie widział po feriach”. „Chyba porzuciła szkołę”. „Nie znaliśmy jej zbyt dobrze”. „Nie wiem, co się z nią potem stało. Może wróciła do Stanford”. I tyle. Berkeley to ogromny uniwersytet. Mogło tak się zdarzyć.

Poleciałem detektywowi, żeby z jak największą dyskrecją spróbował



dowiedzieć się od Rowan, czy wie, co stało się z kochanką Grahama, Karen Garfield.

– Zadzwoń do niej wieczorem i spytaj o Grahama Franklina. Kiedy ci odpowie, że nie żyje, wyjaśnij, że próbujesz odnaleźć Karen Garfield. Ale postaraj się jej nie niepokoić i nie rozmawiaj zbyt długo.

Detektyw zadzwonił następnego wieczora.

– Masz rację.

– W jakiej sprawie? – zapytałem.

– Ona nie wie, co robi. Nie ma pojęcia, że Karen Garfield nie żyje. Powiedziała, że dziewczyna mieszka gdzieś przy ulicy Jacksona w San Francisco. Poradziła mi, żebym skontaktował się z dawną sekretarką Grahama. Aaronie, ona naprawdę nie wie.

– Jaki miała głos?

– Wydawała się ostrożna, trochę niechętna, ale uprzejma. Ma naprawdę piękny głos. Niezwykły. Spytałem, czy widziała się z Karen. Prawdę mówiąc, trochę naciskałem. Odpowiedziała, że właściwie nie zna panny Garfield, bo to była przyjaciółka jej ojca. Czuję, że mówiła szczerze.

– Ale musiała wiedzieć o ojczymie, o tej małej dziewczynce na placu zabaw, o gwałcieliu.

– Tak, ale Aaronie, żaden z tych wypadków nie był spowodowany celowo. Nie rozumiesz? Kiedy tamta dziewczynka umarła, Rowan dostała ataku hysterii. Podobnie zareagowała przy próbie gwałtu. Co do ojczyma, to zanim przyjechała karetka, robiła wszystko co w ludzkiej mocy, by go ocalić. Ona nie zdaje sobie sprawy z własnej mocy, a przynajmniej nie może tego kontrolować. Inaczej byłaby śmiertelnie przerażona.

Poleciałem Ganderowi, aby dokładnie sprawdził młodych kochanków Rowan; odszukał pasujące do wzorca przypadki śmierci wśród policjantów i strażaków w San Francisco lub hrabstwie Marin; wstępował do barów, do których przychodziła często Rowan; nawiązał rozmowę z którymś z jej dawnych

kochanków i powiedział, że szuka Rowan Mayfair. Czy ktoś ją widział? Czy ktoś ją zna? Miał być jak zwykle dyskretny, ale dociekliwy jeśli chciał dokopać się czegoś.

Gander zadzwonił cztery dni później. Nie odnalazł żadnych podejrzanych przypadków śmierci wśród młodych ludzi pracujących w wyżej wymienionych zawodach. W rozmowach w barach pojawiła się pewna kwestia. Jeden strażak, który przyznał się do znajomości i przyjaźni z Rowan, stwierdził, że nie stanowi dla niego żadnej tajemnicy, czyta w niej jak w otwartej księdze.

– Jest lekarką, lubi ratować ludziom życie i przebywać w naszym towarzystwie, bo robimy to samo.

– Czy Rowan tak się wyraziła? – zapytałem Gandera.

– Tak właśnie mu powiedziała. Zażartował sobie z ich romansu. „A niech to! Poszedłem do łóżka z neurochirurgiem. Zakochała się w moich medalach. Było wspaniale, dopóki trwało. Jak pan sądzi, czy gdybym wyciągnął kogoś z płonącego budynku, dałaby mi następną szansę?” – Gander roześmiał się głośno. – Ona nie wie, Aaronie. Poświęciła się ratowaniu ludzi i może nawet nie jest świadoma przyczyny.

– Wątpię. Jest na to za dobrą lekarką, by nie wiedziała – odparłem. – Pamiętaj, że ta dziewczyna to genialny diagnosta. Musiała zrozumieć, że spowodowała śmierć ojczyma. Jeśli oczywiście całkowicie nie jesteśmy w błędzie.

– Nie jesteśmy w błędzie – powtórzył z przekonaniem Gander. – Mamy do czynienia z wybitnym neurochirurgiem, lekarką pochodzącą z rodziny czarownic, która potrafi zabić spojrzeniem; zgadzam się, że do pewnego stopnia wie o swej zabójczej mocy, dlatego spędza każdy dzień swego życia zadośćuczyniając temu w sali operacyjnej, a kiedy umawia się z kimś na randkę, to zawsze z jakimś bohaterem, który właśnie uratował dzieciaka z płonącego strychu, lub z gliną, który powstrzymał pijaka przed zadżganiem żony. Ta kobieta jest szalona. Może tak samo jak pozostali.

W grudniu 1988 wyruszyłem do Kalifornii. Do Stanów dotarłem w styczniu. Wzięłem udział w pogrzebie Nancy Mayfair. Głęboko żałowałem, że nie wybrałem się potem na Wybrzeże, aby rzucić okiem na Rowan, ale wtedy nikt nie przeczuwał, że Ellie i Graham umrą w ciągu sześciu miesięcy.

Rowan zamieszkała zupełnie sama w Tiburon. Chciałem ją zobaczyć, choćby z daleka. Nawet taka pobieżna, lecz bezpośrednia obserwacja umożliwiłaby mi dokonanie pewnej oceny.

Do tej pory – dzięki Bogu – nie odkryliśmy żadnych nowych przypadków śmierci w otoczeniu Rowan. Jako starszy lekarz na oddziale neurochirurgii żyła według bardzo szczelnie wypełnionego grafiku (niemalże nie na siły człowieka). Okazało się, że rzucenie na nią okiem jest znacznie trudniejsze, niż to sobie wyobrażałem. Wyjeżdżała ze szpitala wsiadając do samochodu na krytym parkingu i dojeżdżała do garażu w domu. *Słodka Krystyna*, cumowała niemal przy drzwiach. Przed wścibskimi chronił ją wysoki drewniany płot.

W końcu wszedłem na teren szpitala, odszukałem kafejkę dla lekarzy i przez siedem godzin błąkałem się po miejscach wydzielonych dla odwiedzających. Rowan ani razu tamtędy nie przeszła.

Postanowiłem pojechać za nią, gdy wyjdzie z pracy. Dowiedziałem się tylko, że nie sposób przewidzieć, kiedy dokładnie to nastąpi. Termin jej przyjścia również był tajemnicą. Nie znalazłem wystarczająco dyskretnego sposobu, aby zdobyć od kogoś te informacje. Nie mogłem ryzykować plątania się po korytarzach prowadzących do sal operacyjnych. Odwiedzającym nie wolno tam przebywać. Personel dokładnie sprawdzał poczekalnię dla członków rodziny czekających na wynik operacji. Poza tym szpital był prawdziwym labiryntem. Nie wiedziałem, co robić.

Opanowała mnie konsternacja. Chciałem zobaczyć Rowan, ale obawiałem się, że ją zaniepokoję. Nie potrafiłem znieść myśli, że mógłbym sprowadzić nad jej życie ciemną chmurę przeszłości. A przecież dziewczyna ta była prawdopodobnie odpowiedzialna za śmierć sześciu ludzkich istot! Musiałem ją

zobaczyć. Po prostu musiałem.

Nie umiałem podjąć żadnej decyzji, zaprosiłem więc Gandera do hotelu na drinka. Gander czuł, że Rowan jest bardzo przygnębiona. Obserwował ją od piętnastu lat. Powiedział, że to śmierć rodziców całkowicie wytrąciła ją z równowagi. „Straciła wiatr w żaglach”. Potwierdzał z przekonaniem, że jej przypadkowe kontakty z „chłopcami w mundurach”, jak określał kochanków Rowan, prawie zupełnie ustały w ostatnich miesiącach.

Oświadczyłem Ganderowi, że nie wyjadę z Kalifornii, dopóki się jej nie przyjrzę. Nawet jeśli będę musiał sterczeć na podziemnym parkingu w pobliżu jej samochodu – a jest to absolutnie najgorszy sposób na oglądanie kogoś – czekając aż przyjdzie.

– Nie korzystałbym z tej metody, stary – odparł Gander. – Podziemne parkingi to najbardziej upiorne miejsca. Jej psychiczne antenki natychmiast cię wyczują. Wtedy źle zrozumie głębię twojego zainteresowania jej osobą i nagle poczujesz przeszywający ból w skroni. A potem, zupełnie niespodziewanie...

– Pojmuję, o czym mówisz – odparłem z niechęcią. – Ale muszę się jej dobrze przyjrzeć w publicznym miejscu, gdzie nie będzie świadoma mojej obecności.

– Dobrze, spraw, żeby tak się stało – powiedział Gander. – Sam posłuż się czarami. Synchroniczność? Czyż nie tak właśnie to nazywają?

Następnego dnia postanowiłem zająć się rutynową pracą. Pojechałem na cmentarz, na którym pochowano Grahama i Ellie. Zamierzałem sfotografować inskrypcje na kamieniach nagrobnych. Dwukrotnie prosiłem o to Gandera, ale jakoś nigdy się do tego nie zabrał. Podejrzewałem, że inne aspekty śledztwa sprawiały mu większą przyjemność.

W czasie mojej obecności na cmentarzu zdarzyło się coś nadzwyczajnego. Zjawiała się Rowan Mayfair.

Zrobiwszy zdjęcia, uklęknąłem w plamie słońca i zacząłem spisywać inskrypcje, kiedy uświadomiłem sobie, że na wzgórzu wspina się młoda, wysoka

kobieta w marynarskiej kurtce i spłowiałych spodniach. Sprawiała wrażenie, że składa się z samych nóg i rozwianych włosów, śliczne stworzenie o świeżej twarzy. Nie do wiary, że skończyła trzydzieści lat.

W ogóle nie miała zmarszczek. Wyglądała identycznie jak na zdjęciach sprzed lat, jednocześnie tak bardzo mi kogoś przypominała, że to podobieństwo zupełnie wytrąciło mnie z równowagi. Nagle zrozumiałem. Petyr van Abel. Miała jasne włosy i błękitne oczy. Skandynawski typ urody. Wydawała się niezależna i silna. Podeszła do grobu i stanęła o metr ode mnie. Widziała, że coś spisuję z nagrobka jej przybranej matki.

Od razu zacząłem do niej mówić. Nie potrafię przypomnieć sobie dokładnie własnych słów. Całkowicie zaskoczony, nie wiedziałem, co powinienem powiedzieć, jak wytłumaczyć swoją obecność. Wyczułem zbliżające się do mnie niebezpieczeństwo. Byłem tak pewny jego istnienia, jak przed laty w czasie rozmowy z Cortlandem. Ogromne niebezpieczeństwo. Gładka, blada twarz Rowan o wielkich szarych oczach nagle zaczęła mi się wydawać uosobieniem zła. Wyrosła między nami ściana. Zamknęła się przede mną jak wyłączony odbiornik.

Uświadomiłem sobie z przerażeniem, że mówię o jej rodzinie. Powiedziałem, że znam Mayfairów z Nowego Orleanu. Było to słabe wytłumaczenie mojej obecności.

– Czy mogę zaproponować pani coś do picia? Porozmawiamy o dawnych sprawach rodzinnych. – Dobry Boże, a jeśli się zgodzi?!

Nic mi nie odpowiedziała. Absolutnie nic. Nie musiała używać słów. Przysięgłbym, że wyłączony odbiornik stał się w tym momencie dobrze nastrojonym głośnikiem. Nawiązała ze mną kontakt, aby przekazać z naciskiem, że nie może skorzystać z mojej propozycji, gdyż nie pozwala jej na to coś strasznego i bolesnego. Sprawiała wrażenie zagubionej, załęcznionej, zrozpaczonej. Rzadko w swoim życiu wyczuwałem tak wyraźny, głęboki ból.

Nagle z absolutną jasnością zrozumiałem, że Rowan wie, iż zabija ludzi.

Wie, że jest inna w jakiś straszny sposób, który objawia się telepatyczną zdolnością uśmiercania ludzi. Świadomość ta odgradzają od świata, jakby została żywcem pogrzebana w swym wnętrzu.

Może to nie zło wyczułem przed chwilą. Cokolwiek jednak to było, zniknęło. Straciłem ją. Odwracała się ode mnie. Nigdy się już nie dowiem, po co przyszła, co chciała zrobić.

Natychmiast włożyłem w jej dłoń swoją wizytówkę. Oddała mi ją. Nie zrobiła tego niegrzecznie. Po prostu oddała. Szybko wsunęła mi w palce. Zło zniknęło jak światełko z dziurki od klucza. Zbladła. Przygarbiła się, odwróciła i odeszła.

Byłem tak wstrząśnięty, że przez dłuższą chwilę nie mogłem się poruszyć. Stałem na cmentarzu patrząc, jak schodzi ze wzgórza. Zobaczyłem, że wsiada do zielonego jaguara. Odjechała nie oglądając się za siebie.

Czy byłem chory? Odczuwałem gdzieś silny ból? Czy miałem umrzeć? Oczywiście, że nie. Nic takiego się nie zdarzyło. A jednak wiedziałem, co Rowan potrafi zrobić. Oboje wiedzieliśmy, ona przekazała mi tę bolesną prawdę. Ale dlaczego?

W drodze powrotnej do hotelu Compton w San Francisco czułem się zupełnie zdezorientowany. Postanowiłem, że nie będę nic robił.

Spotkałem się z Ganderem i poleciłem mu:

– Prowadź dalej nadzór. Zbliź się do niej na tyle, na ile starczy ci odwagi. Szukaj wskazówek, czy używa swojej mocy. Natychmiast przekazuj mi wszystkie informacje.

– Nie masz zamiaru nawiązać z nią kontaktu?

– Nie teraz. Nie mam dostatecznie dobrego wytłumaczenia. Nie podejmę żadnych kroków, dopóki się coś nie wydarzy. Albo zabije jeszcze kogoś, albo umrze jej matka w Nowym Orleanie i Rowan postanowi pojechać do domu.

– Aaronie, ależ to szaleństwo! Musisz się z nią skontaktować. Zrozum, stary, przez te wszystkie lata sporo mi opowiedziałeś. Nie twierdzę, że wiem tyle co

wy. Ale łatwo mogę się domyślić, że ona ma największe zdolności parapsychiczne z całej rodziny. Kto stwierdzi, czy nie jest też najpotężniejszą czarownicą? Kiedy jej matka w końcu odejdzie, czy ten duch – Lasher przepuści taką okazję?

Nie umiałem Owenowi odpowiedzieć. Przez całe życie Rowan nie dostrzeżono Lashera w jej pobliżu.

– Czeka cierpliwie. Wciąż żyje tamta kobieta. Ma naszyjnik. Kiedy Deirdre umrze, oddadzą go Rowan. Powiedziałeś mi kiedyś, że takie jest prawo.

Zadzwoń do Londynu do Scotta Reynolds. Scott już nie jest dyrektorem, ale poza mną, on z całego Zgromadzenia wie najwięcej o czarownicach Mayfair.

– Zgadzam się z Owenem – powiedział Reynolds. – Musisz nawiązać kontakt. Musisz. Powiedziałeś jej na cmentarzu wszystko, co powinieneś powiedzieć. I doskonale zdajesz sobie z tego sprawę. Dlatego przyznałeś się, że znasz jej rodzinę. Dlatego dałeś wizytówkę. Porozmawiaj z nią. Musisz.

– Nie zgadzam się z tobą. Takie działanie byłoby niedostatecznie usprawiedliwione.

– Aaronie, ta kobieta jest doskonałą, sumienną lekarką, a jednak zabija ludzi! Jak sądzisz, czy chce robić coś takiego? Z drugiej strony...

– ...co?

– Jeśli ona jest świadoma swej śmiercionośnej mocy, to kontakt może być niebezpieczny. Muszę przyznać, że nie wiem, co czułbym będąc na twoim miejscu.

Przemyślałem wszystko. Zdecydowałem, że nie spotkam się z Rowan. To, co powiedzieli mi Owen i Scott, było prawdą. Ale to tylko domysły. Nie wiedzieliśmy, czy Rowan kiedykolwiek zabiła kogoś z rozmysłem. Być może nie ponosiła żadnej odpowiedzialności za sześć przypadków śmierci w jej otoczeniu.

Nie mogliśmy przewidzieć, czy kiedykolwiek dotknie szmaragdowego

naszyjnika. Nie wiedzieliśmy, czy pewnego dnia zdecyduje się pojechać do Nowego Orleanu. Nie mieliśmy pojęcia, czy dzięki swym zdolnościom Rowan może zobaczyć ducha, pomóc Lasherowi w materializacji... oczywiście, bez trudu mogliśmy założyć, że potrafi... To tylko domysły. Domysły i nic więcej.

Oto ciężko pracująca lekarka, codziennie ratująca życie ludzkie na sali operacyjnej szpitala stojącego w dużym mieście. Kobieta, której nie dotknęła ciemność rzucająca głęboki cień na dom przy ulicy Pierwszej. Prawdą jest, że włada potworną mocą i może ją wykorzystać z rozmysłem lub bezwiednie. Gdyby się to zdarzyło raz jeszcze, nawiążę z nią kontakt.

– Rozumiem, potrzebujesz kolejnych zwłok na stole sekcyjnym – stwierdził Owen.

– Nie sądzę, by były jakieś kolejne zwłoki – odparłem ze złością. – Poza tym, jeśli Rowan nie wie, co robi, to dlaczego miałyby nam uwierzyć?

– Domysły – westchnął Owen. – Same domysły.

\* \* \*

## PODSUMOWANIE

Do stycznia 1989 nie skojarzono Rowan z żadnym podejrzanym przypadkiem śmierci. Przeciwnie. Pracowała niezmiernie w szpitalu dokonując cudów. Prawdopodobnie przed upływem roku zostanie zastępcą ordynatora na neurochirurgii.

W Nowym Orleanie Deirdre nadal siedzi w bujanym fotelu wpatrując się w zachwaszczony, zaniedbany ogród. Dwa tygodnie temu doniesiono nam, że widziano Lashera – „miłego, młodego człowieka, stojącego u jej boku”.

Carlotta zbliża się do dziewięćdziesiątki. Ma zupełnie białe włosy, lecz nie zmieniła uczesania od pięćdziesięciu lat. Cera mleczna. Kostki ciągle spuchnięte nad cholewką zwykłych czarnych trzewików. Głos niezmiennie pełen równowagi. Nadal codziennie rano staruszka wychodzi do biura. Spędza tam



cztery godziny. Czasami zjada lunch z młodszymi pracownikami. Potem wraca taksówką do domu.

W niedzielę chodzi na mszę do kaplicy Matki Nieustającej Pomocy. Mieszkańcy parafii proponowali jej podwożenie do kaplicy czy innego miejsca, które Carlotta wskaże. Ale ona twierdzi, że lubi chodzić. Potrzebuje świeżego powietrza. Spaceruje utrzymują ją w dobrej formie.

Kiedy jesienią 1987 roku zmarła siostra Bridget Marie, Carlotta wzięła udział w pogrzebie w towarzystwie bratanka (czy raczej kuzyna) Geralda Mayfaira, prawnuka Claya Mayfaira. Mówi się, że Carlotta lubi Geralda, poza tym boi się, że nie dożyje chwili, aby zobaczyć Deirdre odpoczywającą w spokoju. Może Gerald zaopiekuje się Deirdre, gdy Carlotta odejdzie.

Wiemy, że Rowan Mayfair nie zna żadnej z tych osób. Nie wie więcej o swojej rodzinie, jak wtedy gdy była niemowlęciem.

– Myśl, że Rowan będzie próbowała poznać swych prawdziwych rodziców, przerażała Ellie – wyznał niedawno Ganderowi przyjaciel rodziny. – Wydawało mi się, że to jakaś okropna historia. Ale Ellie nigdy o tym nie mówiła, poza stwierdzeniem, że należy za wszelką cenę chronić Rowan przed przeszłością.

Czekam i obserwuję.

Czuję, być może irracjonalnie, że tyle jestem winien Deirdre. Wierzę, że nie chciała oddać Rowan. Nie wątpię, że pragnęła, aby Rowan prowadziła normalne życie. Czasami nachodzi mnie nieodparta pokusa zniszczenia naszych zbiorów dokumentów o czarownicach Mayfair. Czy jakkolwiek inna historia wiązała się z takim ładunkiem przemocy i bólu? Oczywiście, zniszczenie dokumentów jest nie do pomyślenia. Talamasca nigdy nie wyraziłaby na to zgody. I nigdy nie wybaczylaby, gdybym zrobił to na własną rękę.

Ostatniej nocy, gdy zakończyłem szkic podsumowania, śnił mi się Stuart Townsend. Spotkałem go tylko raz. Byłem wówczas małym chłopcem. We śnie rozmawiał ze mną kilka godzin. Siedzieliśmy w moim pokoju. Jednak po przebudzeniu pamiętałem tylko jego ostatnie słowa.

– Rozumiesz, co do ciebie mówię? Wszystko zostało zaplanowane!

Okropnie martwił się o mnie.

– Nie rozumiem! – odpowiedziałem głośno, budząc się nagle na dźwięk własnych słów. Ze zdumieniem stwierdziłem, że pokój jest pusty, śniłem, a Stuarta nie ma ze mną. Nie rozumiem. To prawda. Nie wiem, dlaczego Cortland próbował mnie zabić. Nie wiem, dlaczego człowiek jego pokroju miałby się posunąć do tak ohydnych czynów. Nie wiem, co naprawdę przydarzyło się Stuartowi. Nie wiem nawet, dlaczego Stella tak rozpaczliwie pragnęła, aby zabrał ją Arthur Langtry. Nie wiem, co Carlotta zrobiła Ancie, czy Cortland był czy nie ojcem Stelli, Anthy i dziecka Deirdre. Nie rozumiem!

Jestem pewien jednej rzeczy. Któregoś dnia, bez względu na to, co przyrzekła Ellie Mayfair, Rowan Mayfair wróci do Nowego Orleanu, a gdy już tam się pojawi, zażąda odpowiedzi na wiele pytań. A obawiam się, że jestem jedyny („my w Talamasce jesteśmy jedyni”), który może mieć nadzieję odtworzenia dla niej tej smutnej historii.

Aaron Lightner

Talamasca

*Londyn*

*15 stycznia 1989*

Ciągnął się i ciągnął bez końca, egzotyczny, w swej obcości podobny do snu, rytuał z innego kraju, osobliwy i niezwykle piękny. Wszyscy rozmyli się w ciepłym powietrzu podążając do karawany limuzyn, którymi odjechali wąskimi, zatłoczonymi uliczkami bez drzew.

Długie lśniące samochody zatrzymywały się jeden po drugim przed wysokim, zbudowanym z cegły kościołem Wniebowstąpienia Najświętszej Marii. Parkowały obojętne wobec zdewastowanych budynków szkolnych z wybitymi szybami i chwastami wyrastającymi dumnie z każdej szczeliny czy pęknięcia.

Carlotta stała na schodach kościoła. Wysoka, wyprostowana. Chuda, pomarszczona dłoń spoczywała na lśniącej drewnianej ręczce laski. Za nią widać było przystojnego mężczyznę o białych włosach i niebieskich oczach. Nie mógł być dużo starszy od Michaela. Stara kobieta odprawiła go krótkim gestem, po czym znów bezgłośnie przywołała Rowan, nakazując, aby dziewczyna podążyła za nią.

Starszy mężczyzna odsunął się na bok w stronę młodego Pierce'a. Przedtem na krótko dotknął dłoni Rowan. Było coś ukradkowego w sposobie, w jaki wyszeptał imię i nazwisko: „Ryan Mayfair” zerkając z lękiem na starą kobietę. Rowan zrozumiała, że ów mężczyzna jest ojcem młodego Pierce'a.

Wszyscy weszli do rozległej nawy podążając za marami. Kroki odbijały się głośno pod gotyckimi hakami. Światło rozjaśniało wspaniałe witraże i

precyzyjnie pomalowane figury świętych.

Rzadko, nawet w Europie, widywała taką elegancję i majestat. Wróciły do niej słowa Michaela o starej parafii z jego dzieciństwa, o zatłoczonych kościołach wielkich jak katedry. Czy mówił o tym miejscu?

Musiało się tu zebrać chyba z tysiąc osób. Dzieci płakały zawodząc, matki je uciszały. W rozległej pustce słowa księdza brzmiały jak pieśń.

Stara, sztywno siedząca kobieta, która zajmowała miejsce obok Rowan, nie odezwała się do niej ani słowem. W zniszczonych, kruchych z pozoru dłoniach trzymała z zadziwiającą siłą ciężką księgę pełną jaskrawych i niesamowitych obrazów świętych. Białe, grube i gęste włosy ściągnięte w węzeł na karku ściśle przylegały do małej głowy przykrytej czarnym filcowym kapelusikiem. Aaron Lightner pozostał gdzieś z tyłu w cieniu, chociaż Rowan wołałaby, żeby stał obok niej. W drugim rzędzie ławek łkała cicho Beatrice Mayfair. Z drugiej strony u boku Rowan siedział Pierce. Skrzyżował ramiona i wpatrywał się sennie w figury na ołtarzu, w namalowane wysoko na suficie anioły. Wydawało się, że wpadł w trans, chociaż raz odwrócił się ku Rowan i utkwiał w niej skupione, ostre spojrzenie.

Setkami podnosili się, by przystąpić do komunii świętej. Starzy, młodzi, dzieci. Carlotta nie przyjęła pomocy. Wstała i samodzielnie podeszła do ołtarza i wróciła. Gumowa podkładka laski stukała głucho. Usiadła w ławce, pochyliła głowę i pogрузzyła się w modlitwie. Była tak chuda, że jej czarna sukienka wydawała się pusta, jakby wisiała na wieszaku, nie ukazując zarysu okrytego nią ciała. Nogi wyglądały jak patyki w grubych, sznurowanych trzewikach.

Zapach różanego kadzidła rozszedł się ze srebrnej kadzielnicy, gdy ksiądz okrążył trumnę. W końcu procesja ruszyła do karawany limuzyn stojących na ulicy, na której nie rosło ani jedno drzewo. Tuziny małych czarnych dzieci (niektóre boso, inne bez koszulek) przyglądały się im z popękanych chodników przed zdewastowanym, opuszczonym gimnazjum. Stały tam czarne kobiety ze skrzyżowanymi nagimi ramionami, rzucając na żałobników gniewne spojrzenia.

Czy to jest Ameryka?

Karawana sunęła zderzak w zderzak przez głęboki cień Dzielnicy Ogrodów. Dziesiątki osób szły po obu stronach ulicy. Dzieci wybiegały naprzód. Wszyscy przemierzali ciemnozielony cień.

Ogrodzony murem cmentarz był prawdziwym miastem grobowców o spadzistych dachach. Wiele z nich miało własne ogródki, w których wygracowane ścieżki obiegały przechylającą się kryptę, czy pomnik strażaków poległych w innej epoce, groby dzieci z tego czy owego sierocińca lub bogaczy, którzy mieli dość czasu i pieniędzy, aby wyryto im na kamieniach wiersze. Pył wypełniał wyżłobione litery, powoli je zacierając.

Ogromny grobowiec rodziny Mayfairów dookoła obrastały kwiaty. Niewysokie metalowe ogrodzenie okalało budowlę. Marmurowe urny stały w czterech rogach perystylu. W trzech nawach znajdowało się dwanaście nisz na trumny. Z jednej z nich odsunięto marmurową płytę, tak że ziała ciemnością i pustką. Czekala na trumnę Deirdre Mayfair. Mieli ją tam wsunąć jak bochenek chleba.

Łagodnie przepchnięta do pierwszego szeregu Rowan stanęła obok starej kobiety. Słońce odbijało się w jej małych, okrągłych okularach w srebrnej oprawie. Patrzyła z ponurą miną na nazwisko MAYFAIR wykute wielkimi literami wewnątrz trójkąta perystylu.

Rowan też spojrzała na litery. Kręciło jej się w głowie od oślepiających barw kwiatów i otaczających ją twarzy. Przyciszonym i pełnym szacunku głosem młody Pierce wyjaśnił jej, że choć jest tylko dwanaście nisz, wielu członków rodziny Mayfairów pochowano w tym grobowcu. Wskazywały na to inskrypcje na frontonie. Po pewnym czasie niszczone trumny, aby przygotować miejsce na następne. Szczątki zsypywano do krypty pod grobowcem.

Rowan zachłysnęła się powietrzem.

– A więc wszyscy są tutaj – wyszeptała zdumiona. – Dokładnie ze sobą wymieszani.

– Nie! Wszyscy są w piekle albo w niebie – odezwała się Carlotta Mayfair głosem ostrym, nie zdradzającym podeszłego wieku podobnie jak jej oczy. Nawet nie odwróciła głowy.

Pierce się wycofał, jakby Carlotta go wystraszyła. Nagle jego twarz rozjaśnił niepokojący uśmiech. Ryan bez słowa patrzył na starą kobietę.

Właśnie przyniesiono trumnę. Żałobnicy wzięli ją na ramiona. Twarze poczerwieniały z wysiłku, pot kapał z czoł. Postawili ciężar na marach.

Nadszedł czas na ostatnie modlitwy. Pojawił się ksiądz z kościelnym. Gorąco unieruchamiało powietrze i było nie do zniesienia.

Beatrice wachlowała zarumienione policzki złożoną chusteczką. Starsi, poza Carlottą, siadali gdzie mogli, na ławeczkach przy mniejszych grobach.

Rowan powędrowała wzrokiem w kierunku szczytu grobowca, ku ozdobnemu perystylowi z nazwiskiem MAYFAIR, a potem ku widniejącym tuż ponad literami, ukazanym w płaskorzeźbie długim, otwartym drzwiczkom. A może to była duża dziurka od klucza? Nie była pewna.

Powiała słaba, mokra bryza ledwie poruszając sztywnymi liśćmi drzew rosnących wzdłuż ścieżki. Zjawisko to wydało się prawdziwym cudem. Daleko przy frontowej bramie, mając za plecami szybko mknące samochody, stał Aaron Lightner z Ritą Mae Dwyer Lonigan, która już się wypłakała i wyglądała jak ktoś osierocony, kto w pokoju szpitalnym spędził całą noc z umierającym.

Nawet zakończenie uroczystości zrobiło na Rowan wrażenie malowniczego szaleństwa. Gdy wyszli przed główną bramę, okazało się, że niewielka grupa ma zamiar iść do eleganckiej restauracji na drugą stronę ulicy!

Lightner wyszeptał słowa pożegnania i dodał obietnicę, że Michael wkrótce przyjedzie. Rowan chciała się czegoś dowiedzieć, ale stara kobieta patrzyła na Lightnera chłodno, ze złością, a on najwyraźniej pragnął jak najszybciej odejść. Rowan zaskoczona pomachała mu ręką na pożegnanie. Znowu żar sprawił, że zrobiło się jej słabo. Rita Mae Lonigan mrucząc pożegnała się smutno. Setki powiedziały do widzenia, mijając ją szybko, setki podeszły uściskać starą

kobietę. Wydawało się, że pożegnanie będzie trwało bez końca. Żar wzmagał się i zmniejszał. Olbrzymie drzewa rzucały słaby cień.

- Porozmawiamy jeszcze, Rowan.
- Długo zostajesz, Rowan?
- Do widzenia, ciociu Carlo. Zaopiekuj się nią.
- Wkrótce się zobaczymy, ciociu Carlo. Musisz przyjechać do Metairie.
- Ciociu Carlo, zadzwonię w przyszłym tygodniu.
- Ciociu Carlo, dobrze się czujesz?

Ulica opustoszała. Pozostał tylko nieprzerwany sznur jasnych, hałaśliwych samochodów i nieliczni dobrze ubrani ludzie wychodzący z modnych restauracji i mrużący oczy, bo oślepiało ich jaskrawe światło słońca.

– Nie wejdę – oświadczyła stara kobieta. Popatrzyła chłodno na niebiesko-białą markizę.

– Och, ciociu Carlo, wejdź choćby na chwilę – poprosiła Beatrice Mayfair.

Smukły, młody mężczyzna o imieniu Gerald trzymał starą kobietę za ramię.

– Może wstąpimy na kilka minut? – spytał Carlottę. – Potem odwiozę cię do domu.

– Teraz chcę zostać sama – odparła stara kobieta. – Chcę iść sama do domu.

– Utkwiła spojrzenie w Rowan. Nieziemska, wieczna inteligencja błyszczała w oczach w zniszczonej i zapadniętej twarzy. – Zostań z nimi tak długo, jak sobie życzysz – powiedziała, jakby wydawała Rowan rozkaz. – Potem przyjdź do mnie. Będę czekać. W domu przy ulicy Pierwszej.

– Kiedy mam przyjść? – zapytała Rowan ostrożnie.

Zimny, ironiczny uśmiech pojawił się na wargach starej kobiety.

– Kiedy zechcesz. Raczej wcześniej. Mam ci coś do powiedzenia. Będę tam.

– Idź z nią, Geraldzie.

– Podwiozę ją, ciociu Beo.

– Możesz jechać obok mnie, jeśli sobie życzysz – stwierdziła Carlotta, pochylając głowę i wysuwając laskę przed siebie. – Ale pójdę sama.

Kiedy zamknęły się za nimi szklane drzwi restauracji o nazwie Pałac Kapitański, Rowan uświadomiła sobie, że znalazła się w znajomym świecie białych obrusów i kelnerów w smokingach. Rzuciła przez ramię spojrzenie na otynkowany mur cmentarza i ostre szczyty grobowców widoczne nad krawędzią ściany.

„Umarli są tak blisko, że mogą nas usłyszeć”, pomyślała Rowan.

– Ach, ale rozumiesz – powiedział wysoki białowłosy Ryan, jakby odczytał jej myśli. – W Nowym Orleanie nigdy naprawdę ich nie opuszczamy.



Zmierzch barwy popiołu gęstniał nad zagajnikiem dębów, spod których już nie było widać nieba. Dęby stały czarne. Cień pod nimi mroczył i wyciągał się, aby pożreć resztki ciepłego, letniego światła gasnącego na zwirowej ścieżce.

Michael siedział na szerokiej frontowej werandzie. Bujał się na krześle utrzymującym się tylko na tylnych nogach. Stopy oparł o drewnianą poręcz. W ustach tkwił papieros. Michael właśnie skończył czytać historię rodziny Mayfairów. Czuł się zdezorientowany, wyczerpany, lecz przyjemnie podniecony. Wiedział, że oboje z Rowan stanowią jeszcze nie napisany rozdział, chociaż od pewnego czasu byli bohaterami tej opowieści.

Dłuższą chwilę prawie rozpaczliwie koncentrował się na przyjemności palenia papierosów i obserwowaniu zmian zachodzących na wieczornym niebie. Wszędzie na dalekim horyzoncie zbierała się ciemność, znikły odległe groble, tak że nie widział już przejeżdżających drogą samochodów. Dostrzegał tylko mrugające żółto światła. Każdy dźwięk, zapach, kolor wywoływał potop słodkich wspomnień, niektórych nie związanych z żadnym miejscem czy wydarzeniem. Czuł pewność, że zna otaczające go rzeczy, jest w domu. Cykady tu grały jak nigdzie indziej.

I cierpienie. Ta cisza, czekanie, myśli kłębiące się w głowie.

Światła zapalone w domu za jego plecami stawały się coraz wyraźniejsze, gdy dookoła zamierał dzień. Łagodna iluminacja rozjaśniała żółte teczki leżące na jego kolanach.

Dlaczego Aaron nie zadzwonił? Z pewnością pogrzeb Deirdre Mayfair już się skończył. Aaron musiał być w drodze powrotnej.

Może towarzyszyła mu Rowan. Może wybaczyła Michaelowi jego nieobecność – sam sobie jeszcze tego nie wybaczył – może jechała tu, by z nim być. Porozmawiają ze sobą tej nocy o wszystkim w tym bezpiecznym, przyjemnym miejscu.

Została mu do przeczytania jeszcze jedna teczka – jeszcze jeden stos kartek, przeznaczony dla jego oczu. Lepiej jak najszybciej się z nim uporać. Zdusił niedopałek w popielniczkę stojącej na małym ogrodowym stoliku. Podniósł plik do żółtego światła i zaczął czytać.

*Kopia telegramu przesłanego do konwentu Talamaski w Londynie przez Aarona Lightnera*

*sierpień 1989*

*Hotel Parker Meridien*

*Nowy Jork*

Właśnie skończyło się „przypadkowe” spotkanie z lekarzem Deirdre Mayfair (z 1983), zgodnie z ustaleniami. Wiele niespodzianek.

Prześle pełne brzmienie rozmowy w ręcznej transkrypcji (nie mam taśmy, lekarz jej zażądał, więc mu ją oddałem), uzupełnię zapis podczas lotu do Kalifornii.

Chciałbym przekazać niezwykle ciekawe spostrzeżenie i proszę o przejrzanie dokumentów oraz szczegółowe badania.

Ten lekarz twierdzi, że dwukrotnie widział Lashera nie tylko w pobliżu Deirdre, ale i w pewnej odległości od domu przy ulicy Pierwszej. Raz w barze przy ulicy Targowej, Lasher wyraźnie się zmaterializował. (Proszę zwrócić uwagę na gorąco, ruch powietrza. Wszystko dokładnie opisał.)

Ten lekarz był również przekonany, że Lasher próbował go powstrzymać przed podawaniem Deirdre leków uspokajających. Następnie ukazał mu się, aby nakłonić go do powrotu na ulicę Pierwszą. Interweniował w leczenie Deirdre.

Lekarz dopiero później doszedł do tego wniosku. Każde pojawienie się ducha przerażało go. Nie słyszał słów wypowiedzianych przez Lashera, wiadomość przekazywana telepatycznie nie do końca była zrozumiała. Czuł, że zjawia rozpaczliwie próbuje nawiązać z nim kontakt. Mógł to zrobić tylko ukazując się lekarzowi.

Człowiek ten nie wykazuje żadnych zdolności medium.

Konieczne działanie: zebrać wszystkie informacje o pojawieniu się Lashera od 1958 i dokładnie każdą sprawdzić. Szukać takich, w których Deirdre nie było w pobliżu. Sporządzić listę tych miejsc i określić w przybliżeniu odległość od Deirdre.

Obecnie przed przeprowadzeniem analizy powyższych danych mogę jedynie stwierdzić, że Lasher prawdopodobnie przez ostatnie dwadzieścia lat zyskał znaczną moc lub miał jej więcej, niż to sobie uświadamialiśmy, więc może się materializować, kiedy tylko zechce.

Nie zamierzam zbyt pochopnie wyciągać wniosków. Wydaje się to jednak prawdopodobne. Niepowodzenie Lashera w przekazywaniu wyraźnych słów czy próśb do myśli lekarza tylko umacnia mnie w przekonaniu, że człowiek ten nie jest medium i nie mógł pomóc duchowi w materializacji.

Jak wszyscy dobrze wiemy, z Petyrem van Ablem Lasher „pracował” wykorzystując energię i wyobraźnię potężnej psychiki o silnym poczuciu winy i wewnętrznym konflikcie.

W przypadku Arthura Langtry’ego Lasher miał do czynienia z wyszkolonym medium. Pojawiał się i materializował tylko na terenie posiadłości przy ulicy Pierwszej w pobliżu Anthy lub Stelli.

Czy Lasher może się materializować, kiedy i gdzie zechce? Czy tylko ma dość siły, aby zrobić to w większej odległości od czarownicy?

To właśnie musimy odkryć.

Wasz w Talamasce

Aaron

PS Nie będę próbował zobaczyć Rowan Mayfair w czasie pobytu w San Francisco. W tej podróży ważniejsze jest nawiązanie kontaktu z Michaeliem Currym. Telefon dziś rano od Gandera przed moim wyjazdem z Nowego Jorku, z informacją, że Curry jest chory i leży w domu. Dajcie mi znać w hotelu w San Francisco, jeśli będą jakieś nowe wiadomości w sprawie Mayfairów. Zostanę w San Francisco tak długo, jak będzie trzeba, by spotkać się i zaproponować pomoc Curry'emu.

\* \* \*

*Notatki do raportu, sierpień 1989*

*(pisane ręcznie, starannie, czarny atrament na liniowanym papierze)*

Znajduję się na pokładzie 747 lecącego w kierunku Wybrzeża. Przeczytałem właśnie tekst rozmowy z lekarzem. Jestem głęboko przekonany, że w jego opowieści tkwi coś dziwnego. Gdy przerzucam kartki raportu o rodzinie Mayfairów, uderzają mnie następujące fakty: Rita Mae Dwyer Lonigan słyszała głos Lashera w latach 1955-56.

Ten lekarz twierdzi, że widział Lashera w dużej odległości od domu przy ulicy Pierwszej.

Może należałoby zorganizować „przypadkowe” spotkanie Gandera z Rowan, aby ten postarał się ustalić, czy dziewczyna widziała Lashera. Ale wydaje się to takie nieprawdopodobne.

Nie mogę próbować sam. Absolutnie nie mogę teraz tego zrobić. Sytuacja Curry'ego jest zbyt istotna.

Przeczucia co do Curry'ego... Wciąż wierzę, że w tym człowieku kryje się coś szczególnego, poza strasliwym przeżyciem.

Jak mógłbym uzasadnić to przekonanie?

1. Przeczytałem kilkakrotnie wszystkie artykuły prasowe opisujące jego przypadek. Powstaje uczucie niedopowiedzenia czegoś, co wiąże się z życiem

Michaela w punkcie zawieszenia, to znaczy w chwili, gdy utonął. Odnoszę wrażenie, że jest człowiekiem, który na coś czeka.

2. Pochodzenie tego mężczyzny jest niezwykle, zwłaszcza jeśli chodzi o wykształcenie. Gander potwierdza jego wiedzę z historii, zwłaszcza historii Europy. Bardzo potrzebujemy takiej osoby.

Słabo zna języki, ale w dzisiejszych czasach to normalne.

3. Podstawowa kwestia dotycząca Curry'ego jest następująca: jak mam się z nim zobaczyć? Chciałbym, żeby cała rodzina Mayfairów wyjechała gdzieś daleko na jakiś czas. Nie chcę myśleć o Rowan, gdy będę pracował nad Currym.

\* \* \*

Michael szybko przerzucił pozostałe kartki w ostatniej teczce. Znalazł wszystkie artykuły o sobie, niektóre z nich czytał wcześniej. Dwa swoje duże zdjęcia, napisany na maszynie życiorys – fakty zebrano głównie z załączonych materiałów.

Cóż, znał raport o Michaelu Currym. Odłożył dokumenty na bok, zapalił kolejnego papierosa i powrócił do spisanej odręcznie relacji ze spotkania Aarona z lekarzem w hotelu Parker Meridien.

Bez trudu odczytywał drobne pismo Aarona. Starannie podkreślał opisy pojawień Lashera. Wreszcie skończył czytać. Zgadzał się z uwagami Aarona.

Wstał z krzesła. Zabrał ze sobą teczkę i wszedł do środka. Zbliżył się do biurka. Oprawny w skórę notes wciąż leżał tam, gdzie go zostawił. Usiadł i przez chwilę wpatrywał się nie widzącymi oczami w pokój. Nie zauważał wiatru znad rzeki poruszającego zasłonami, nocy, która stała się nieprzeniknioną ciemnością; ani tacy z kolacją stojącej na sofie obok narożnika, tak jak ją przyniesiono – jedzenie pod srebrnymi pokrywami pozostało nietknięte. Wziął pióro i zaczął pisać:

\* \* \*

Miałem sześć lat, gdy po raz pierwszy zobaczyłem Lashera w kościele podczas bożonarodzeniowego nabożeństwa. Stał za żłóbkiem. Musiał to być 1947 rok. Deirdre – moja rówieśnica – mogła być wtedy na mszy. Ale jestem zupełnie przekonany, że jej nie było.

Kiedy Lasher ukazał mi się w audytorium w ratuszu, też mogła tam być. Ale znowu nie możemy tego wiedzieć, jak by powiedział Aaron.

Jednak pojawienia się Lashera nie mają nic wspólnego z Deirdre. Nie przypominam sobie, abym widział Deirdre w ogrodzie przy ulicy Pierwszej ani gdziekolwiek indziej.

Niewątpliwie Aaron spisał już wszystko, co mu opowiedziałem. Nasuwa się ten sam wniosek co wcześniej. Lasher ukazywał się, kiedy czarownicy nie było w pobliżu. Prawdopodobnie potrafi zmaterializować się, kiedy zechce.

Pozostaje jeszcze jedna kwestia. Dlaczego? Dlaczego właśnie ja? Przychodzące do głowy możliwe rozwiązania łączące mnie z tą sprawą są przerażające i niesamowite.

Na przykład, choć może to nie ma żadnego znaczenia, znam Ritę Mae Dwyer Lonigan. Byłem z nią i Marie Louise na łodzi tamtej nocy, gdy upiła się ze swym chłopakiem Terrym O’Neillem. Z tego też powodu została wysłana do świętej Róży z Limy, gdzie poznała Deirdre. Pamiętam, jak Rita Mae wyjeżdżała do szkoły.

Czy to nic nie znaczy?

I jeszcze coś. Czy moi przodkowie kiedykolwiek pracowali w Dzielnicy Ogrodów? Wiem, że matka mojego ojca była sierotą wychowaną u świętej Małgorzaty. Nie sądzę, aby miała prawowitego ojca. A jeśli jej matka była pokojówką w domu przy ulicy Pierwszej? W głowie mi się miesza.

Wystarczy przyjrzeć się, co w tej rodzinie robiono w sprawie rozmnażania. Kiedy ma się do czynienia z psami lub końmi, jest używane określenie chów

wsobny.

Cały czas „krzyżowano” najlepsze męskie jednostki z czarownicami, aby wzmocnić w genetycznej mieszance określone cechy, bez wątplenia wliczając w to zdolności parapsychiczne. A co z innymi? Jeśli prawidłowo odczytuję ten cholerny raport, Cortland nie był wyłącznie ojcem Stelli i Rowan. Równie dobrze mógł spłodzić Anthe, chociaż wszyscy myśleli, że to Lionel.

Zatem jeśli Julien był ojcem Mary Beth, ach, powinni przeprowadzić jakąś komputerową analizę tylko w tej materii – „krzyżówek”. Narysować wykres. Jeśli mają portrety, zdjęcia, powinni zagłębić się w kwestie genetyczne. Muszę wszystko opowiedzieć Rowan. Ona zrozumie. Kiedy rozmawialiśmy, stwierdziła, że badania genetyczne są bardzo niepopularne. Ludzie nie chcą wiedzieć, co mogliby odkryć o istocie ludzkiej dzięki tego typu doświadczeniom.

Przypomina mi to ideę wolnej woli. Moja wiara w nią częściowo przyczynia się do tego, że wariuję.

W każdym razie w całym procesie genetycznym Rowan zyskała najwięcej – wysoka, smukła, atrakcyjna, niezwykle zdrowa, błyskotliwa, silna. Odnosi sukcesy. Medyczny geniusz o telekinetycznych zdolnościach nie ocalania, lecz uśmiercania tego, kogo wybierze. Znowu wracamy do kwestii wolnej woli. Wolna wola.

Ale jak, do diabła, ja – z moja nietkniętą wolną wolą – pasuję do schematu? Co „wszystko zaplanowano”, jeśli użyję słów Townsenda ze snu? Chryste!

Może jestem w jakiś sposób spokrewniony z tymi ludźmi przez irlandzką służącą, która dla nich pracowała? A może oni „krzyżują” się z innymi, gdy potrzebują świeżej krwi? Jednak którykolwiek z policyjno-strażackich bohaterów Rowan załatwiłby sprawę. Dlaczego ja? Dlaczego musiałem utonąć, jeśli oczywiście to oni spowodowali ten wypadek, a wciąż nie wierzę, że to nie oni – oznacza to, że Lasher ukazywał mi się sam od najwcześniejszych lat.

Boże, nie ma jednej interpretacji. Może od samego początku byłem

przeznaczony dla Rowan, ale mojego utonięcia nie planowano i dlatego zostałem ocalony. Jeśli jednak utonięcie zostało wcześniej wpisane w moje życie, to nie mogę tego zaakceptować! Jeśli bowiem zostało zaplanowane, to podobnie mogło być z innymi wydarzeniami. A to zbyt okropne!

Nie mogę czytać tej opowieści i uważać, że te wszystkie tragedie były nie do uniknięcia – także straszna śmierć Deirdre.

Mógłbym dalej tak pisać przez trzy dni, rozważając ten czy inny aspekt. Ale zaczynam wariować. Wciąż nie znalazłem znaczenia „drzwi”. Ani jedno słowo nie objaśnia tego obrazu. Nie widzę żadnej szczególnej liczby, która ma się z wszystkim wiązać. Chyba że trzynastka znajdująca się na drzwiach ma jakieś znaczenie.

Drzwi mogą po prostu prowadzić do domu przy ulicy Pierwszej lub dom może być czymś w rodzaju przejścia. Wyciągam rękę. Ale nie mam przekonania, że to, co mówię, jest słuszne.

Wciąż nie wiem, jak używać psychometrycznej mocy moich dłoni. Chyba że mam dotknąć Lashera, kiedy się zmaterializuje i w ten sposób poznam, jakim jest duchem, skąd pochodzi i czego chce od czarownic. Ale jak mam tego dokonać bez jego woli?

Oczywiście, zdejmę rękawiczki i położę dłonie na przedmiotach związanych z posiadłością przy ulicy Pierwszej, jeśli Rowan, która jest tam panią, pozwoli na to. Ale perspektywa tego napęłnia mnie grozą. Nie potrafię tego uznać za zadanie, lecz jako intymne obcowanie z niezliczonymi przedmiotami, obrazami... i również... Pierwszy raz boję się dotknięcia przedmiotów należących do umarłych. Ale muszę spróbować. Muszę spróbować!

Dochodzi dziewiąta. Wciąż nie ma Aarona. Na zewnątrz jest ciemno i spokojnie. Nie chcę brzmieć zbyt dramatycznie jak Marlon Brando w filmie *Na wodnym froncie*, ale na wsi denerwują mnie nawet świerszcze. Siedzę coraz bardziej rozdrażniony w pokoju, choć światło ze stylowej lampy z brązu sprawia miły nastrój. Nie chcę patrzeć na obrazy wiszące na ścianie ani w lustro z



obawy, że coś mnie przestraszy.

Nie cierpię się bać.

Nie mogę znieść czekania. Może to nie w porządku chcieć, aby Aaron zjawił się w minutę potem, jak skończę czytać. Ale pogrzeb Deirdre już dawno się skończył, a ja siedzę tutaj przepełniony myślami na temat Mayfairów, ale czekam. Czekam, bo obiecałem, że będę czekał, a Aaron nie zadzwonił. Muszę zobaczyć Rowan.

Lightner będzie musiał mi zaufać. Porozmawiamy dziś wieczór, jutro, pojutrze, ale teraz mam zamiar być z Rowan.

Ostatni zapisek: gdy siedzę tutaj z zamkniętymi oczami, znowu przywołuję wizje i towarzyszące im uczucia, gdyż wszystkie „fakty” zniknęły; wciąż jednak stwierdzam, iż głęboko wierzę, że ludzie, których wtedy widziałem, byli dobrzy. Zostałem wysłany z powrotem w szlachetnym celu. Ale był to mój wybór – wolna wola – by podjąć się misji.

A jednak nie potrafię połączyć żadnego pozytywnego czy negatywnego uczucia z wyobrażeniem drzwi czy liczbą trzynastcie. Jest to niepokojące, bardzo niepokojące. Ale wciąż czuję, że moi ludzie tam wysoko byli dobrzy.

Nie wierze, że Lasher jest dobry. Wcale. Istnieją dowody nie do podważenia, że zniszczył niektóre z tych kobiet. Być może postępował tak wobec każdego, kto mu się w jakiś sposób oparł. A pytanie Aarona: „Jaki jest plan tej istoty?” wciąż pozostaje bez odpowiedzi. To stworzenie działa na własny rachunek. Dlaczego nazywam go stworzeniem? Kto go stworzył? Czy ta sama osoba, która stworzyła mnie? Zastanawiam się, kto to jest. Poszukiwanie istnienia? To istnienie jest złe.

Dlaczego więc uśmiechał się do mnie w kościele, kiedy miałem sześć lat? Z pewnością nie może chcieć, żebym go dotknął i odkrył jego plan? A może się mylę?

Znowu słowa „zamierzone” i „zaplanowane” doprowadzają mnie do szaleństwa. Wszystko się we mnie buntuje przeciw takiej myśli. Potrafię

uwierzyć w misję, w przeznaczenie, w szlachetny cel, bowiem to wiąże się z odwagą i bohaterstwem, z wolną wolą. Ale „zamierzony” i „zaplanowany” niepokoją mnie.

Teraz nie czuję udręki. Szaleństwo być może. Nie jestem w stanie usiedzieć dłużej w tym pokoju, rozpaczliwie chciałbym dotrzeć do Rowan. Chciałbym połączyć wszystkie fragmenty zagadki. Wypełnić misję, którą wyznaczono mi tam w górze, gdyż wierzę, że najlepsza część mojej istoty przyjęła to zadanie.

Dlaczego więc słyszę, jak ten facet z San Francisco, Gander, czy jak on się tam nazywa, powtarza „Domysły”?

Chciałbym, żeby Aaron był już tutaj. Do raportu: lubię go. Lubię ich. Rozumiem, co tu robili. Rozumiem. Nikt z nas nie chce, aby go obserwowano, opisywano, śledzono. Ale ja rozumiem. Rowan zrozumie. Musi.

Opracowany przez nich dokument jest unikatowy, ważny. I gdy pomyślę, jak bardzo we wszystko jestem wplątany, jak związany od chwili, gdy ta istota spojrzała na mnie przez żelazne ogrodzenie, dzięki Bogu, że tu są, „patrz”, jak mówią; że wiedzą, co wiedzą.

Bo w innym razie... Rowan to zrozumie. Może nawet lepiej ode mnie, bo widzi rzeczy, których ja nie widzę. Może to wszystko zostało zaplanowane, ale zaczynam od początku.

Aaronie! Wróć!

Stała przed żelazną furtką. Taksówka powoli odjechała. Zamknęła się nad nią pełna szelestów cisza. Nie można wyobrazić sobie bardziej opuszczonego czy posępniejszego domu. Bezlitosne światło ulicznej latarni przedzierało się przez gałęzie drzewa na popękane płyty i marmurowe schody oblepione uschłymi liśćmi, na wysokie, grube, żłobione kolumny z obłazącą farbą, oznaczone czarnymi plamami grzyba. Zniszczony chodnik prowadził do otwartych drzwi. Przez otwór sączył się strumień pochodzącego ze środka lekko mrugającego, mdłego światła.

Pozwoliła spojrzeniu błądzić powoli po zamkniętych oknach, zarośniętym, ciemnym, zachwaszczonym ogrodzie. Gdy wychodziła z hotelu, zaczął mżyć deszczyk, który przypominał raczej mgłę. Sprawiał, że lśniła asfaltowa ulica, błyszczały liście zwieszające się nad ogrodzeniem. Kropelki dotykały jej twarzy i ramion.

„Tutaj moja matka przeżyła całe swoje życie”, pomyślała. „Tutaj urodziła się jej matka, a przedtem jej matka. Tu, w tym domu, Ellie siedziała przy trumnie Stelli”.

Z pewnością to było to miejsce, chociaż przez całe długie popołudnie przy koktajlach, sałatkach i pikantnych daniach rozmawiano o rodzinnych sprawach tylko powierzchownie.

- Carlotta będzie chciała ci powiedzieć...
- Potem, jak porozmawiasz z Carlottą.

Czy te drzwi uchylono dla niej? Czy tę furtkę otwarto, aby przywitała gościa? Ogromna, drewniana framuga drzwi przypominała gigantyczną dziurkę od klucza, zwązającą się od szerokiej podstawy ku wąskiemu szczytowi. Gdzie ona widziała takie drzwi w kształcie dziurki od klucza? Aha, wykute w grobowcu na cmentarzu Lafayette. Co za ironia! Ten dom był grobem jej matki.

Nawet słodki, cichy deszcz nie zmniejszył wszechogarniającego gorąca. Wiała bryza – nadržeczna, jak powiedzieli, gdy zegnali ją kilka przecznic od hotelu. Wiatr pachnący deszczem opływał ją słodko jak woda. Co to za zapach kwiatów unosił się w powietrzu, taki dziki i przenikliwy, w niczym nie przypominający tego, który otaczał ją wcześniej!

Nie opierała się mu. Stała rozmarzona, z uczuciem lekkości i własnej nagości w delikatnym, jedwabnym ubraniu, które niedawno włożyła. Próbowwała zobaczyć ciemny dom, odetchnąć głęboko, zwolnić bieg wydarzeń, w których brała udział i tylko częściowo rozumiała.

„Moje życie pękło na pół”, pomyślała. Przeszłość jest jak odpływająca łódź, której odcięto cumy; woda stała się czasem, a horyzont granicą tego, co będzie istotne.

*Ellie, dlaczego? Dlaczego się odcieliśmy? Dlaczego, kiedy wszyscy wiedzieli? Znali moje imię, znali twoje, wiedzieli, że byłam jej córką? O co chodziło, jeśli są ich tutaj setki i bez końca powtarzają nazwisko Mayfair?*

– Przyjedź do biura w centrum, kiedy już będziesz po rozmowie – zaproponował Pierce, młodzieniec o różowych policzkach, wspólnik firmy założonej dawno temu przez jego pradziadka, a dziadka Ellie.

– Był kuzynem Ellie w pierwszej linii, wiesz – przypomniał Ryan o białych włosach i delikatnie rzeźbionych rysach. Nie wiedziała. Nie wiedziała, kto jest kim, skąd pochodzi, co to wszystko oznacza, a przede wszystkim, dlaczego nikt jej nic nigdy nie powiedział. Czuła się rozgoryczona. Cortland to, Cortland tanto... Julien, Clay, Vincent, Mary Beth, Stella, Antha i Katherine.

Och, jaka słodka jest melodia mowy z Południa, słowa bogate i mocne jak

zapach, który teraz wdychała. Gorąco sprawiło, że nawet miękka, jedwabna bluzka, którą miała na sobie, nagle jej zaciążyła.

Czy przekraczając próg tego domu znajdzie wszystkie odpowiedzi? Czy za otwartymi drzwiami jest przyszłość? Bo dlaczego nie miałyby się tak stać, że byłby to tylko zwykły rozdział w jej życiu, odfajkowany, który rzadko się wspomina po powrocie do świata zewnętrznego, gdzie więziono ją tyle lat trzymając z daleka od tajemnic i czarów? Och, nie mogło się tak zdarzyć! Kiedy padasz ofiarą mocnego zaklęcia, nie pozostajesz ten sam. A każda chwila spędzona w obcym świecie rodziny, Południa, historii, pokrewieństwa, zaofiarowanej miłości, odciągała ją o tysiące lat od niej samej, jaką była w przeszłości, czy jaką chciała być.

Czy wiedzieli, czy odgadli, jak ich świat ją pociągał? Jak czuła się, gdy ją zapraszali w odwiedziny i na rozmowy, które mieli ze sobą powadzić, obiecywali dzielenie się wiedzą o rodzinie, mówili o poczuciu wspólnoty, o lojalności wobec ludzi połączonych więzami krwi.

Pokrewieństwo. Czy potrafili zrozumieć, jak nieopisanie egzotycznie brzmiało dla niej to słowo w dotychczas jałowym, samolubnym świecie, w którym spędziła życie? Czuła się jak roślina w doniczce. Nigdy nie widziała prawdziwego słońca, nie dotknęła prawdziwej ziemi, nie słyszała deszczu poza tym, który padał na podwójne szyby.

\* \* \*

– Czasami się rozglądam – mówił Michael w Kalifornii – i wszystko jest takie sterylne.

Wiedziała, o czym mówił. Rozumiała, jeszcze zanim zaczęła marzyć o mieście takim jak to, gdzie każda materia, barwa ogarniają cię, a zapach staje się narkotykiem, gdzie powietrze ożywa i oddycha.

„Poszłam na medycynę”, pomyślała, „aby odnaleźć świat wnętrza”.

Jedynie w poczekalniach i korytarzach przy izbie przyjęć widziałam zbierającą się rodzinę, ludzi wielu pokoleń, którzy płakali, śmiali się i szeptali do siebie, gdy przechodził obok anioł śmierci”.

– Czy Ellie nigdy nawet nie wspomniała ci imienia swego ojca? Nigdy nie rozmawiała z tobą o Sheffieldzie, Ryanie, Gradym czy...? – Wielokrotnie powtarzała słowo „nie”.

Jednak Ellie wróciła, aby na tym cmentarzu wziąć udział w pogrzebie ciotki Nancy, kimkolwiek, do diabła, była ciotka Nancy, a potem dokładnie w tej samej restauracji wyciągnęła z portfela fotografię Rowan! Nasza córka jest lekarką! Umierając, w półśnie wywołanym morfiną, powiedziała:

– Chciałabym, żeby odesłano mnie z powrotem do domu, ale to niemożliwe. Nie można tego zrobić.

Kuzyni odprowadzili Rowan do hotelu. Poszła na górę, żeby wziąć prysznic i zmienić ubranie ze względu na lepkie gorąco. Nagle poczuła tak wielkie rozgoryczenie, że nawet nie mogła płakać. Oczywiście, wiedziała, że wśród zebranych byli nieliczni, którzy oddaliby wszystko, aby móc stąd uciec, wyrwać się z tej rozległej sieci związków krwi i wspomnień. A jednak nie potrafiła sobie tego wyobrazić.

Była też i słodka strona jej przyjazdu. Życzliwość krewnych ogarniała Rowan jak zapach kwiatu w ciemności. Wszyscy otworzyli ku niej ramiona.

Jakie wiadomości czekały na nią za tymi drzwiami, jakie prawdy o kobiecie-dziecku w trumnie? Gdy rozmawiali w restauracji, a głosy mieszały się z szampanem, myślała: *Czy ktoś z was cudem zna nazwisko mojego ojca?*

– Carlotta będzie chciała...

– ...cóż, pozwólmy jej powiedzieć...

– ...taka młoda, kiedy się urodziłaś.

– Ojciec nigdy nam nie powiedział...

Z miejsca, w którym stała, w „elektrycznym świetle” księżycy odbijającym się od popękanych kamieni, nie widziała werandy, którą opisywali jej Ryan i

Bea. Podobno jej matka przesiedziała tam w bujanym fotelu trzynaście lat.

– Nie sędzę, żeby cierpiała.

Teraz musi tylko otworzyć żelazną furtkę, wejść po marmurowych schodkach, przemierzyć zbutwiałe deski i pchnąć uchylone drzwi. Dlaczego nie? Tak bardzo zapragnęła posmakować ciemności wewnątrz, że nawet nie tęskniła za Michaeliem. Nie mógłby tu z nią wejść.

Nagle jak we śnie dostrzegła, że za drzwiami rozbłyska światło. Zobaczyła, że drzwi otwierają się szeroko. Stała w nich stara kobieta, drobna i chuda. Jej głos wynurzający się z ciemności miał ostre, złośliwe brzmienie. Usłyszała irlandzki zaśpiew, ponury i niski:

– Wchodzisz czy nie, Rowan Mayfair?

Pchnęła furtkę, ale ta nie drgnęła, więc ją obeszała. Schody były śliskie. Wstąpiła na nie powoli, czując uginające się pod jej ciężarem miękkie deski drewnianego ganku.

Carlotta zniknęła, ale gdy Rowan znalazła się w holu, dostrzegła jej niewyraźną drobną figurę daleko, bardzo daleko u wejścia do wielkiego pokoju. Tam pojedyncze światło rozjaśniało przestrzeń z wysokości odległego sufitu.

Powoli ruszyła za starą kobietą.

Minęła schody wznoszące się prosto i niewyobrażalnie wysoko ku ciemnemu, w ogóle niewidocznemu piętru. Weszła w drzwi na prawo, prowadzące do rozległego salonu. Blask latarni ulicznych docierał do wnętrza przez ogromne okna, które dzięki niemu stawały się nieprzejryste i księżycowe białe. Wdzierający się snop światła odsłaniał długi pas lśniącej podłogi i stłoczone meble nieokreślonego rodzaju.

Rowan minęła jakieś zamknięte drzwi z lewej strony. Wkroczyła do rozjaśnionego środka i zobaczyła, że znalazła się w ogromnej jadalni.

Na owalnym stole stały dwie świece. Ich lekko drżące, zadziwiająco równe płomienie stanowiły jedyne oświetlenie, które w swoim wąskim blasku ukazywało freski na ścianach – ogromne sceny wiejskie z dębami obrośniętymi

mchem i zoraną ziemią.

Drzwi i okna wznosiły się ponad trzy metry nad jej głową. Gdy zerknęła za siebie na długi hol, drzwi frontowe wydawały się ogromne, otaczająca je framuga zakrywała całą ścianę aż do prawie niewidocznego sufitu.

Odwróciła się. Spojrzała na kobietę siedzącą u szczytu stołu. W mroku jej grube, falujące włosy wydawały się bielsze. Miękką masą otaczały twarz. W okrągłych okularach Carlotty odbijały się dwa równe płomienie świec, sprawiając przerażający widok.

– Usiądź, Rowan Mayfair – poleciła. – Mam ci wiele do powiedzenia.

Czy to przekora sprawiła, że dziewczyna raz jeszcze rzuciła spojrzenie wokół siebie, czy tylko fascynacja, której nie można było pohamować? Dostrzegła, że aksamitne portiery są w wielu miejscach podarte, a podłogę pokrywa mocno wytarty dywan. Woń kurzu czy pleśni unosiła się z tkaniny oblekającej siedzenia rzeźbionych krzesel, a może z dywanu lub smutnych draperii?

Nie miało to żadnego znaczenia. Tak było tu wszędzie. Poczowała jeszcze jeden zapach, który kojarzył jej się z drewnem, promieniami słońca i, dziwne, Michaeliem. Dobry zapach. Michael-cieśla zrozumiałby go. Zapach drewna w starym domu, ciepła gromadzącego się przez długi dzień wymieszany z wonią woskowych świec.

Pociemniały żyrandol wiszący nad nimi odbijał światło świec w setkach kryształowych wisiorów.

– Zapala się w nim świece – stwierdziła kobieta spoglądając w górę. – Ale jestem za stara, żeby się tam wspinać i je zmieniać. Eugenia także. – Nieznacznym gestem wskazała odległy kąt pokoju.

Rowan z przestachem uświadomiła sobie, że ze skrzyżowanymi ramionami stała tam czarna kobieta, widmowe stworzenie o rzadkich włosach i pożółkłych białkach oczu. Wydawała się bardzo chuda, ale trudno było dokładnie ocenić jej figurę w mroku. Jej ubranie, poza wykrochmalonym fartuszkim, pozostawało



niewidoczne.

– Już możesz iść, moja droga – powiedziała Carlotta do służącej. – Chyba że moja siostrzenica chce się czegoś napić. Ale nie chcesz, prawda, Rowan?

– Nie. Dziękuję, panno Mayfair.

– Mów do mnie Carlotta albo Carla, jak wolisz. Nie ma to żadnego znaczenia. Panien Mayfair jest z tysiąc.

Stara czarna kobieta odeszła. Minęła kominek, stół i zniknęła w długim holu. Carlotta odprowadziła je wzrokiem, jakby chciała się upewnić, że jest zupełnie sama z Rowan, zanim wypowie słowo.

Nagle usłyszała odgłos dzwonienia, które wydawało się znajome, ale nie do rozpoznania.

Szczęk zamykanych drzwi, głuchy, basowy szum jakby pracującego silnika ukrytego w głębi domu.

– To winda – wyszeptała Rowan.

Stara kobieta nasłuchiwała. Jej twarz sprawiała wrażenie skurczonej i drobnej pod ciężkim hełmem włosów. Głuchy odgłos zatrzymującej się windy zadowolił ją. Zerknęła na Rowan, a potem gestem wskazała samotnie stojące krzesło przy dłuższym boku stołu.

Rowan podeszła i usiadła, tyłem do okien wychodzących na dziedziniec. Odwróciła krzesło tak, aby mogła patrzeć Carlotcie w twarz.

Podniosła oczy i zobaczyła więcej fresków. Dom z białymi kolumnami na plantacji, a za nim falujące wzgórza.

Spojrzała ponad blaskiem świec na starą kobietę. Odczuła ulgę, że nie widzi już odbijających się w jej okularach płomieni. Tylko zapadła, pomarszczona twarz, szkła lśniące czysto w świetle, ciemny materiał w kwiaty sukni z długimi rękawami i szczupłe ręce wylaniające się z koronek przy mankietach. Sękaty palec przytrzymały aksamitną szkatułkę.

Pchnęła ją raptownie w stronę Rowan.

– Jest twoja – powiedziała. – To szmaragdowy naszyjnik. Należy do ciebie

tak jak ten dom, ziemia, na której stoi, i wszystko o jakiegokolwiek wartości znajdujące się w środku. Oprócz tego majątek przekraczający około pięćdziesięciu razy to, co masz teraz. A może stu razy? Sama już nie wiem. Najpierw jednak wysłuchaj mnie dokładnie, zanim podejmiesz decyzję. Wysłuchasz wszystkiego, co muszę ci powiedzieć.

Przerwała. Przyglądała się uważnie twarzy siostrzenicy. Rowan była coraz bardziej przekonana, że głos Carlotty, jej zachowanie są bez wieku. Jakby duch młodej kobiety zamieszkiwał stare ciało, dając mu niepohamowaną złośliwość i żywotność.

– Nie – powiedziała kobieta. – Jestem stara, bardzo stara. Przy życiu trzymało mnie czekanie na jej śmierć. Czekałam też na chwilę, której najbardziej się lękałam. Na twój przyjazd. Modliłam się, żeby Ellie żyła jak najdłużej, trzymała cię blisko siebie długie lata, aż Deirdre zgnije w grobie, aż łańcuch będzie rozerwany. Ale los sprawił mi jeszcze jedną niespodziankę. Śmierć Ellie. Ellie umarła. I ani słowa, żeby mnie powiadomić.

– Tak chciała – odparła Rowan.

– Wiem – westchnęła stara kobieta. – Wiem, że mówisz prawdę. Ciosem nie był brak wiadomości o śmierci, ale sama śmierć. Stało się i nie można było temu zapobiec.

– Zrobiła wszystko, co mogła, żeby nie miała z wami żadnego kontaktu – odpowiedziała Rowan. – Zmusiła mnie, abym złożyła obietnicę, że nigdy tu nie wrócę. Jednak zdecydowałam się złamać dane Ellie słowo.

Przez chwilę Carlotta patrzył na nią w milczeniu.

– Tak bardzo chciałam tu przyjechać – zaczęła Rowan, a potem łagodnie, niemal błagalnie zapytała: – Dlaczego chciałaś mnie trzymać z daleka? Co to za okropna historia?

– Jesteś silną kobietą – stwierdziła Carla. – Podobnie jak moja matka.

Rowan nie odpowiedziała.

– Masz jej oczy, powiedzieli ci to? Czy żyje jeszcze choć jeden staruch,

który ją pamięta?

– Nie wiem – wyszeptała Rowan.

– Czy było coś dziwnego, nieprawdopodobnego, co widziałaś swoimi oczami? – spytała stara kobieta.

Rowan ze strachu zachłysnęła się powietrzem. W pierwszej chwili myślała, że nie rozumiała jej słów, potem w ułamku sekundy uświadomiła sobie, że jednak dobrze rozumiała. Natychmiast pomyślała o duchu, który zjawił się o trzeciej. Połączyła to od razu, choć bez powodu, ze snem w samolocie o kimś niewidzialnym dotykającym jej i biorącym ją przemocą.

Zmieszała się, gdy dostrzegła uśmiech rozjaśniający twarz kobiety. Nie był gorzki ani triumfujący. Pełen rezygnacji. Po chwili oblicze Carlotty się wygładziło; ciotka posmutniała, zamyśliła się. W mdłym świetle przez moment głowa starej kobiety wyglądała jak czaszka.

– Przyszedł do ciebie – stwierdziła z cichym westchnieniem. – Położył na tobie ręce.

– Nie rozumiem – odparła Rowan. – Wyjaśnij mi.

Kobieta patrzyła na nią i czekała.

– Był to mężczyzna. Szczupły, elegancki. Pojawił się o trzeciej. W godzinie śmierci mojej matki. Widziałam go tak, jak widzę ciebie, ale tylko przez chwilę.

Kobieta spuściła wzrok. Rowan pomyślała, że ciotka zamknęła oczy. Wtedy dostrzegła błysk światła pod powiekami. Kobieta złożyła dłonie na stole przed sobą.

– To był ten mężczyzna, który doprowadził twoją matkę do szaleństwa, a przed nią jej matkę – powiedziała z absolutną pewnością w głosie. – To on służył mojej matce. A musisz wiedzieć, że Mary Bell rządziła wszystkimi dookoła. Czy mówili ci o nim? Czy cię ostrzegli?

– Niczego mi nie powiedzieli – odparła.

– Bo nie wiedzą, w końcu sobie uświadomili, że nic nie wiedzą, teraz zostawiają nam nasze sekrety, tak jak zawsze powinni byli to robić.

– Ale co widziałam? Dlaczego przyszedł do mnie? – Raz jeszcze pomyślała o śnie w samolocie, ale nie potrafiła znaleźć odpowiedzi, jak połączyć te dwa wydarzenia.

– Bo wierzy, że teraz należysz do niego – powiedziała kobieta. – Do niego, aby kochał, dotykał i rozkazywał, choć obiecuje służyć.

Rowan znowu poczuła zmieszanie. Na jej policzkach wystąpiły palące rumieńce. Jego, aby dotykał. Powróciła niesamowita atmosfera snu.

– Powie ci coś wprost przeciwnego – zaczęła stara kobieta. – Tak aby nikt nie słyszał, będzie ci szeptał do ucha, że jest twoim niewolnikiem, że przeszedł do ciebie od Deirdre. Ale to kłamstwo, moja droga, ohydne kłamstwo. Sprawি, że będziesz do niego należała i doprowadzi cię do szaleństwa, jeśli odmówisz spełnienia jego woli. Tak właśnie robił z nimi wszystkimi – przerwała. Zmarszczyła pobrużdżone czoło. Wzrokiem błędziła po zakurzonej powierzchni stołu. – Wylączając tych, którzy byli na tyle silni, aby nad nim panować i uczynić z niego prawdziwego niewolnika, wykorzystać go do własnych celów... – głos jej zadrżał – ...do ich własnych nieopisanych potworności.

– Wyjaśnij mi to.

– Dotknął cię, prawda?

– Nie wiem.

– Ależ oczywiście, że wiesz. Zarumieniłaś się, Rowan Mayfair. Cóż, pozwól, że cię o coś zapytam, moje dziecko, moja niezależna panno, która miała już tyłu mężczyzn z własnego wyboru. Czy było ci z nim tak dobrze jak ze śmiertelnikiem? Zastanów się, zanim odpowiesz. Powie ci, że żaden śmiertelnik nie da takiej przyjemności, jaką on może ci zaoferować. Czy to prawda? Za tę przyjemność płaci się bardzo wysoką cenę.

– Myślałam, że to sen.

– Ale go widziałaś.

– To zdarzyło się poprzedniej nocy. Dotykał mnie we śnie. Było inaczej...

– Pieścił ją do samego końca – powiedziała stara kobieta. – Nie miało

znaczenia, ile dali jej leków. Bez znaczenia, jak puste było jej spojrzenie, jak nierówny krok. Leżała w łóżku, a on nocą do niej przychodził. Dotykał. Jak zwykła kurwa wiała się pod jego dotknięciem... – zacisnęła wargi po ostatnich słowach, potem znowu jak światło pojawił się uśmiech. – Czy to cię gniewa? Złościsz się na mnie? Myślisz, że był to przyjemny widok?

– Myślę, że była chora, nie panowała nad sobą i to jest ludzkie.

– Nie, moja droga, ich stosunki nigdy nie były ludzkie.

– Chcesz, żebym uwierzyła, iż widziałam ducha, który dotykał mojej matki, i teraz go w jakiś sposób odziedziczyłam.

– Tak. Opanuj swój niebezpieczny gniew.

Rowan była oszołomiona. Ogarnęła ją fala lęku i zażenowania.

– Czytasz moje myśli. Robiłaś to cały czas.

– O tak, najlepiej jak umiem, chociaż nie jestem w tym doskonała. Twoja matka nie była jedyną w tym domu obdarzoną mocą. Trzy pokolenia wcześniej mnie przeznaczono naszyjnik. Zobaczyłam tego mężczyznę, jak miałam trzy lata. Był tak wyraźny i silny, że mógł wsunąć ciepłą dłoń w moje palce albo unieść mnie w powietrzu. Ale mu odmówiłam. Odwróciłam się od niego. Powiedziałam: „Wracaj do piekła, skąd pochodzisz!” Użyłam całej mocy do walki z nim.

– A teraz ja dziedziczę naszyjnik, bo go widzę?

– Dostajesz ten przeklęty klejnot, bo jesteś jedynym dzieckiem-kobietą i nie ma wyboru. Należałby do ciebie bez względu na to, jaką masz moc. Nie ma to zresztą znaczenia, bo jesteś silna, bardzo silna i zawsze byłaś – przerwała. Znowu przyglądała się Rowan. Przez chwilę miała nieodgadniony wyraz twarzy. Być może brakowało jej słów do oceny. – Niepewna, nielogiczna, a także oczywiście nieopanowana, ale silna.

– Nie przeceniaj moich zdolności – mruknęła Rowan cicho. – Ja nigdy tego nie robię.

– Dawno temu Ellie opowiedziała mi o wszystkim – stwierdziła stara

kobieta. – Mówiła, że potrafisz sprawić, aby zwiędły kwiaty i zawrzała woda. Tak mówiła Ellie. „Jest silniejszą czarownicą od Anthy, od Deirdre”, wyznała mi z płaczem. Błagała o radę, co ma zrobić. „Trzymaj ją z daleka”, odpowiedziałam. „Dopilnuj, aby nigdy nie wróciła do domu, dopilnuj, aby nigdy się nie dowiedziała o swej mocy!”

\* \* \*

Rowan westchnęła. Zignorowała tępy ból wywołany wspomnieniem imienia Ellie, która rozmawiała o niej z tymi ludźmi. Wszyscy byli tutaj, podczas gdy ona sama pozostawała odcięta gdzieś daleko w Kalifornii. Nawet ta wstrętna, stara kobieta była tutaj.

– Tak, i znowu czuję twój gniew, złość wymierzoną we mnie. Myślisz, że wiesz, co zrobiłam twojej matce!

– Nie – odparła Rowan cicho. – Ja tylko próbuję zrozumieć, co do mnie mówisz. Chcę wiedzieć, dlaczego mnie stąd zabrano...

Stara kobieta znowu zamyśliła się głęboko. Milczała. Palce błędziły po wieczku szkatułki. Skrzyżowały się na niej i znieruchomiały, przypominając dłonie Deirdre w trumnie.

Rowan umknęła spojrzeniem. Patrzyła na odległą ścianę, na panoramę nieba namalowaną wysoko nad kominkiem.

– Och, czy te słowa nie przynoszą ci ani odrobiny pociechy? Czy przez lata nie zastanawiałaś się, czy jesteś jedyną na całym świecie, która potrafi czytać myśli; jedyną, która wie, gdy ktoś bliski ma umrzeć? Jedyną, która potrafi zniszczyć swoim gniewem? Spójrz na świecę. Możesz je zgasić i zapalić. Zrób to.

Rowan nie zareagowała. Spoglądała w maleńkie płomyki. Czowała, że drży. *Gdybyś naprawdę wiedziała, gdybyś tylko wiedziała, co mogłabym ci teraz zrobić...*

– Ależ wiem, zrozum, czuję twoją siłę, bo i ja jestem silna. Silniejsza od Anthy i Deirdre. Dlatego trzymałam go z daleka od siebie. Nie pozwoliłam, aby mnie skrzywdził. Dlatego przez trzydzieści lat nie miał kontaktu z dzieckiem Deirdre. Zgaś świecę. Zapal je. Chcę zobaczyć, jak to robisz.

– Nic z tego. Przestań bawić się ze mną. Powiedz mi, co musisz powiedzieć, ale przerwij grę. Nie torturuj mnie dłużej. Nigdy niczego ci nie zrobiłam. Wyjaśnij mi, kim on jest i dlaczego odebrałaś mnie matce.

– Już ci powiedziałam. Zabrałam cię matce, żebyś znalazła się jak najdalej od niego i tego naszyjnika, od dziedzictwa przekleństw i bogactwa stworzonego dzięki jego działaniu i mocy. – Spojrzała badawczo na Rowan. Mówiła dalej, jej głos obniżał się, a jednak nie tracił nic ze swej wyrazistości. – Wydarłam cię matce, aby złamać jej wolę; oddzielić ją od kuli, na której by się wsparła; odseparować od ucha, do którego mogłaby sączyć zwierzenia udręczonej duszy; odsunąć od towarzyski, którą by zawładnęła i skrzywiła w swej słabości i męce.

Rowan sparaliżował gniew. Nie odpowiedziała. Znekana zobaczyła w wyobraźni czarnowłosą kobietą w trumnie, cmentarz Lafayette okryty ciemnością, zamarły i opuszczony.

– Miałaś trzydzieści lat, aby stać się silną i uczciwą, daleko od tego domu i tej historii niegodziwości. Oto jesteś lekarką, jakiej twoi koledzy nigdy nie widzieli. Gdy postąpisz źle używając swej mocy, słusznie się potępiasz, a wstyd zmusza cię do większego poświęcenia.

– Skąd o tym wiesz?

– Widzę. Niedokładnie, ale widzę. Nie dostrzegam czynów, lecz czuję ich zło. Zakrywa je poczucie winy i wstyd, który je przeważa.

– Czego więc chcesz ode mnie? Spowiedzi? Sama stwierdziłaś, że zwróciłam się przeciw temu, co uczyniłam złego. Ciągle szukałam czegoś, co wymagałoby większego poświęcenia.

– Nie zabijaj – wyszeptała kobieta.

Fala bólu ogarnęła Rowan. Wtem w osłupieniu zobaczyła, jak powiększają się oczy starej kobiety, dręcząc ją. Zmieszana pojęła sens sztuczki i poczuła się bezbronna. Na ułamek sekundy kobieta bez słów wywołała w umyśle Rowan obraz, którego szukała.

*Zabiłaś. W gniewie zabrałaś życie. Zrobiłaś to z rozmysłem. Oto jak jesteś silna.*

Rowan zamknęła się w sobie jeszcze bardziej. Zerknęła na płaskie, okrągłe szkło. Odbiły światło, które potem szybko zniknęło. Ciemne oczy były ledwie widoczne zza okularów.

– Czy czegoś cię nauczyłam? – zapytała kobieta.

– Poddajesz próbie moją cierpliwość – odparła Rowan. – Pozwól przypomnieć sobie, że nic ci nie zrobiłam. Nie wróciłam tu, aby żądać od ciebie odpowiedzi. Nie potępiam cię. Nie przyjechałam po ten klejnot, dom czy cokolwiek, co się w nim znajduje. Po prostu chciałam zobaczyć, jak moja matka spoczywa w spokoju, a przeszłam przez frontowe drzwi, bo mnie zaprosiłaś. Jestem tu, aby słuchać. Ale dłużej nie będę zabawką. Nawet za wszystkie sekrety tej strony piekła. Nie obawiam się twojego ducha, nawet gdyby miał fiuta jak sam archanioł.

Przez chwilę stara kobieta wpatrywała się w nią bez słowa. Potem uniosła brwi i roześmiała się krótkim, ostrym, cichym śmieszkiem, który zaskakująco zabrzmiał bardzo kobieco. Uśmiechała się dalej.

– Dobrze powiedziane, moja droga – przyznała. – Siedemdziesiąt pięć lat temu moja matka powiedziała mi, iż on mógłby sprawić, że greccy bogowie płakali z zazdrości, tak był piękny, gdy przyszedł do jej sypialni. – Carlotta usiadła wygodniej w krześle. Zaciśnęła wargi, a potem uśmiechnęła się znowu. – Ale nigdy nie zastąpił jej przystojnych śmiertelników. Lubiła takich samych mężczyzn co ty.

– Ellie ci to powiedziała?

– Mówiła mi o wielu rzeczach. Nigdy jednak nie wspomniała, że jest



śmiertelnie chora.

– Kiedy ludzie umierają, zaczynają się bać – stwierdziła Rowan. – Są sami. Nikt nie może umrzeć za nich.

Stara kobieta spuściła wzrok. Przez długą chwilę siedziała nieruchomo. Znow przesunęła dłonią po łagodnej wypukłości szkatułki. Otworzyła ją, zniecierpliwiona szarpnąwszy pokrywkę. Obróciła tak, żeby płomień świecy rozjarzył szmaragd leżący w środku, ułożony na splecionym złotym łańcuchu. Był to największy kamień, jaki Rowan widziała w życiu.

– Przywykłam śnić o śmierci – stwierdziła Carlotta wpatrując się w klejnot. – Modliłam się o nią. – Podniosła powoli wzrok. Patrzyła badawczo. Znowu oczy się jej powiększyły, a delikatna, cienka skóra zmarszczyła nad siwymi brwiami. Jej dusza wydawała się samotna i pogrążona w smutku. Jakby na chwilę zapomniała o ukryciu siebie przed Rowan za ścianą podłogi i złościwości.

– Chodź! – poleciła jej wstając. – Pozwól, że pokażę ci coś, co muszę ci pokazać. Nie sądzę, aby zostało zbyt wiele czasu.

– Dlaczego tak mówisz? – wyszeptała Rowan z naciskiem. Przeraziła ją zmiana w zachowaniu starej kobiety. – Dlaczego tak na mnie patrzysz?

Kobieta tylko uśmiechnęła się w odpowiedzi.

– Chodź – ponagliła. – Weź świecę, jeśli chcesz. Gdzieś tam jest widno, ale większość żarówek się przepaliła albo było zwarcie w kablach. Idź za mną.

Wstała z krzesła. Ostrożnie zdjęła drewnianą laskę z oparcia i ruszyła przed siebie zadziwiająco pewnym krokiem. Minęła przyglądającą się jej Rowan, która osłaniała lewą dłonią drżące światło świecy.

Gdy weszły do holu, blask małego światełka skoczył na ścianę. Zalśnił na chwilę na błyszczącej powierzchni starego portretu mężczyzny, który nagle jakby ożył i patrzył wprost na Rowan. Zatrzymała się, odwróciła raptownie głowę, by upewnić się, że to tylko złudzenie.

– O co chodzi? – spytała Carlotta.

– Myślałam tylko, że... – spojrzała na portret, namalowany z dużym talentem, ukazujący uśmiechniętego czarnowłosego mężczyznę, który z całą pewnością nie był żywy, lecz pogrzebany pod wieloma warstwami kruchego, popękanego werniksu.

– Co?

– Nic takiego – odpowiedziała Rowan, osłaniając płomień jak przedtem. – Światło sprawiło, że zdawało mi się, jakby ów człowiek drgnął.

Kobieta obejrzała się i popatrzyła na portret. Rowan stanęła przy niej.

– Zobaczysz wiele dziwnych rzeczy w tym domu – stwierdziła. – Będziesz przechodziła obok pustych pokoi i zawracała, żeby do nich zajrzeć, myśląc, że widziałas tam kogoś patrzącego na ciebie.

Rowan obserwowała jej twarz. Nie wyglądała na rozbawioną ani na rozgniewaną, lecz na samotną i zamyśloną.

– Nie boisz się mroku? – spytała Carlotta.

– Nie.

– Dobrze widzisz w ciemności.

– Tak. Lepiej niż większość ludzi.

Kobieta odwróciła się i poszła w stronę wysokich drzwi u stóp schodów. Nacisnęła guzik. Winda zjechała na niższe piętro z przytłumionym zgrzytem. Zatrzymała się ciężko, wydając metaliczny szczęk. Kobieta obróciła gałkę, otworzyła drzwi odsłaniając mosiężną kratę, którą odsunęła z wysiłkiem.

Weszły do środka, wprost na podarte szczątki dywanu. Ściany obito ciemnym materiałem. Oświetlała je blado żarówka wisząca u metalowego sufitu.

– Zamknij drzwi – poleciała kobieta.

Rowan usłuchała. Wyciągnęła rękę i zasunęła kratę za sobą.

– Zaczynj się uczyć korzystania ze swojej własności – dodała. Z ubrania Carlotty unosił się delikatny, słodki zapach perfum, przypominający Chanel, wymieszany z łatwo rozpoznawalną wonią pudru. Nacisnęła mały czarny guzik z prawej strony. Wjechały bardzo szybko. Prędkość zupełnie zaskoczyła Rowan.

Hol na górze krył się pogrążony w jeszcze bardziej nieprzenikniętych ciemnościach niż korytarz na dole. Powietrze było tu cieplejsze. Zamknięte drzwi i okna nie wpuszczały choćby najmniejszej smużki światła z ulicy. Płomień świecy odbijał się lekko w kolejnych pomalowanych na biało drzwiach i wznoszących się ku górze następnych stopniach schodów.

– Wejdźmy do tego pokoju – powiedziała stara kobieta, otwierając drzwi z lewej strony i wskazując drogę. Laska stukała głucho o gruby dywan w kwiaty.

Draperie ciemne i podarte jak te w jadalni na dole. Wąskie drewniane łóżko z wysokim baldachimem i wyrzeźbioną figurką orła. Podobną postać wyryto głęboko na deskach u szczytu łóżka.

– Tu umarła twoja matka – stwierdziła Carlotta.

Rowan spojrzała na pusty materac. Dostrzegła czarną plamę na materiale w pasy, która nagle zalśniła w mroku jak iskra. Robaki! Małe czarne owady żerowały pospiesznie na plamie. Gdy postąpiła do przodu, uciekły przed światłem, rozbiegły na cztery strony. Rowan zachłysnęła się powietrzem i prawie upuściła świecę.

Stara kobieta sprawiała wrażenie pogrążonej w rozmyślaniach, w jakiś sposób zabezpieczonej przed ohydą widoku.

– To wstrętne! – wyrzuciła z siebie Rowan, wstrzymując oddech. – Ktoś powinien tu posprzątać!

– Zrób to, jeśli chcesz – odparła sucho stara kobieta. – Ten pokój teraz należy do ciebie.

Zaduch i widok karaluchów przyprawił Rowan o mdłości. Cofnęła się i oparła głowę o framugę drzwi. W powietrzu uniosły się inne odory.

– Co chcesz mi jeszcze pokazać? – spytała spokojnie. „Opanuj swój gniew”, wyszeptała do siebie. Obiegła spojrzeniem wyblakłe ściany, mały stoliczek nocny zagracony gipsowymi figurkami i świecami. Trupi, przerażający, wstrętny. Umarła tutaj, w brudzie, w samotności.

– Nie – odezwała się stara kobieta. – Nie była opuszczona. Czy w ogóle coś

wiedziała o swoim otoczeniu pod koniec życia? Chcesz przeczytać opinie lekarskie?

Stara kobieta raz jeszcze odwróciła się do Rowan plecami. Wyszła z pokoju.

– Teraz musimy wejść po schodach – stwierdziła. – Winda nie jeździ wyżej.

„Módl się, żebyś nie potrzebowała mojej pomocy”, pomyślała Rowan. Nie chciała dotykać starej kobiety. Napawała ją obrzydzeniem. Rowan próbowała odetchnąć głębiej, opanować nasilające się skurcze żołądka. Powietrze, ciężkie, nieruchome i pełne niewyraźnych pozostałości odrażających odorów, wydawało się przywierać do twarzy, ciała, ubrania. Patrzyła, jak stara kobieta wchodzi na schody, pokonując każdy stopień powoli, lecz pewnie.

– Chodź za mną, Rowan Mayfair – rzuciła przez ramię. – Weź światło. Dawno wyłączono starą gazową instalację na górze.

Rowan ruszyła. Robiło się coraz cieplej. Skręciwszy na mały podest zobaczyła kolejne, krótkie schody i korytarz drugiego piętra. Gdy tam weszła, odniosła wrażenie, że zebrało się w nim gorąco z całego domu.

Przez niczym nie osłonięte okno po prawej stronie przenikało bezbarwne światło latarni ulicznej stojącej daleko w dole. W korytarzu znajdowały się dwie pary drzwi. Jedne z lewej strony, a drugie wprost przed nimi.

Stara kobieta otworzyła te z lewej.

– Na stole w środku stoi lampa naftowa. Zapal ją – poleciła. Rowan odstawiła świecę i uniosła szklaną osłonę lampy. Zapach nafty był trochę nieprzyjemny. Dotknęła końcem świecy wypalonego knota. Wysoki jasny płomień wystrzelił w górę, gdy założyła klosz. Uniosła lampę, a światło wypełniło rozległy, niski pokój. Był zakurzony, wilgotny i pełen pajęczyn. Raz jeszcze drobne owady uciekły przed nagłym blaskiem. Suchy szelest przestraszył ją, ale wyraźnie poczuła miły zapach drewna i ciepła, na tyle silny, że zabijał odór zbutwiałych tkanin i pleśni.

Zobaczyła drewniane skrzynki stojące przy ścianach, na starym mosiężnym łóżku, w odległym rogu pod jednym z dwóch kwadratowych okien. Gruba sieć

dzikiego wina wiła się za szybami. W kroplach deszczu, które wciąż wisiały na liściach, odbijało się światło, sprawiając, że stawały się widoczne. Zasłony spadły dawno temu i leżały zwałone pod parapetami.

Na ścianie po lewej stały szeregami książki. Otaczały kominek i niewielki drewniany gzyms. Półki sięgały sufitu. Książki leżały w nierównych stosach na starych, wyściełanych krzesłach, które wydawały się przesiąknięte wilgocią. Światło zabłysło na zmatowiałym mosiężnym łóżku. Odbiło się w zakurzonej skórze pary butów opartych o długi, gruby dywan zrolowany i związany w nieforemny toból, podsunięty pod nie używany kominek.

Było coś dziwnego w tych butach, w cudacznym zwoju dywanu. Czy to, że go obwiązano zardzewiałym łańcuchem, a nie sznurem, którego łatwiej byłoby użyć?

Rowan uświadomiła sobie, że stara kobieta patrzy na nią.

– To był pokój mojego wuja, Juliena – stwierdziła stara kobieta. – Przez to okno, o tam, twoja babka Antha wyszła na dach werandy i spadła na kamienie. Śmierć na miejscu.

Rowan przytrzymała lampę, chwyciła mocniej wąską szklaną podstawę. Nic nie powiedziała.

– Otwórz pierwszą skrzynię z prawej – poleciła stara kobieta. Dziewczyna wahała się przez chwilę, chociaż nie wiedziała dlaczego, po czym uklękła na zakurzonej gołej podłodze. Postawiła lampę obok skrzyni. Obejrzała wieko i pęknięty zamek. Skrzynię obciążnięto płótnem, brzegi obito skórą i mosiężnymi gwoździkami. Z łatwością uniosła wieko i oparła delikatnie o ścianę, nie chcąc uszkodzić tynku.

– Czy widzisz, co jest w środku?

– Lalki – odparła Rowan. – Lalki z włosów i kości.

– Tak, kości. Ludzkie włosy, ludzka skóra i ścinki paznokci. Lalki twoich przodków – wyłącznie kobiet, z tak odległej przeszłości, że już nikt nie pamięta imion najstarszych z nich. Rozpadną się w proch, kiedy spróbujesz je podnieść.

Rowan przyglądała się badawczo lalkom, rząd po rzędzie ułożonym starannie na wyściółce ze starej gazy. Każda miała dokładnie narysowaną twarz i przyczepione długie włosy. Niektóre miały ręce i nogi wyrzeźbione z drewna, miękkie ciała, prawie bezkształtne. Najnowszą i najładniejszą lalkę ubrano w jedwab. Do maleńkiej sukienki przyszyto perełkę. Na twarzy z lśniącej kości, nos, oczy i usta pociągnięto ciemnobrązowym tuszem, być może krwią.

– Tak, to krew – potwierdziła stara kobieta. – To podobizna twojej prababki, Stelli.

Mała lalka wydawała się uśmiechać do Rowan. Do czubka czaszki ktoś przykleił czarne włosy. Nóżki wysuwały się z za rąbka wąskiej rurki sukni.

– Czyje to kości?

– Stelli.

Rowan wyciągnęła rękę, potem cofnęła ją zaciskając palce. Nie mogła zmusić się do dotknięcia lalki. Ostrożnie uniosła brzeg gazy. Pod spodem zobaczyła następną warstwę, ale tu ułożone lalki już obracały się w pył. Leżały wciśnięte w tkaninę. Dotknięcie prawdopodobnie całkowicie by je zniszczyło.

– Pochodzą z zamierzchłej przeszłości, aż z Europy. Sięgnij, weź najstarszą z nich. Czy wiesz, która jest najstarsza?

– To beznadziejne. Rozpadnie się, jeśli jej dotknę. Poza tym nie mam pojęcia, o którą lalkę chodzi.

Puściła tkaninę. Lekko pogładziła wierzchnią warstwę. Wtem jej palce dotknęły kości. Nagle poczuła porażające drzenie. Jakby oślepiło ją jaskrawe światło. Mózg zarejestrował medyczne dane... przejściowe zaburzenia pracy centralnego układu nerwowego, apopleksja. Jednak diagnoza wydawała się idiotyczna, należąca do innej rzeczywistości. Spojrzała na drobne twarzyczki.

– Po co one tu są? Dlaczego?

– By z nimi rozmawiać, kiedy przyjdzie ochota. Wezwać na pomoc, tak aby mogły sięgnąć z piekła i wykonać rozkazy – kobieta zacisnęła zwiędłe wargi w grymasie, który nieprzyjemnie wykrzywił jej twarz. – Jakby mogły przyjść z

plamieni, aby spełnić czyjeś żądania.

Rowan westchnęła głęboko, szyderczo. Znowu spuściła wzrok na lalki, na ohydną, jaskrawo pomalowaną twarz Stelli.

– Kto robił te rzeczy?

– Wszystkie, cały czas. Cortland wkradł się tu w nocy i odrąbał stopę mojej matki, Mary Beth, jak leżała w trumnie. I to Cortland zabrał kość ze Stelli. Stella chciała być chowana z domu. Wiedziała, co robi Cortland, bo twoja babka Antha była jeszcze na to za mała.

Rowan zadrżała. Opuściła wieko skrzyni. Ostrożnie podniosła lampę, wstała i otrzepała kurz z kolan.

– Cortland, ten mężczyzna, który to zrobił, kim był? Czy to dziadek Ryana, którego poznałam na pogrzebie?

– Tak, moja droga, ten sam – potwierdziła stara kobieta. – Cortland piękny. Cortland złowrogi, Cortland – narzędzie tego, który kieruje rodziną Mayfairów od stuleci. Cortland, to on zgwałcił twoją matkę, kiedy zwróciła się do niego o pomoc. Mówię o mężczyźnie, który spółkując ze Stellą spłodził Anthe, późniejszą matkę Deirdre. Deirdre przez niego poczęła ciebie, jego córkę i prawnuczkę.

Rowan stała w milczeniu. Wyobrażała sobie plątaninę powiązań i narodzin.

– A kto zrobił lalkę mojej matki? – spytała wpatrując się w twarz starej kobiety. Jej twarz w świetle tańczącego płomienia lampy sprawiała upiorne wrażenie.

– Nikt. Chyba że sama zechcesz pójść na cmentarz, odsunąć płytę i wyciągnąć jej ręce z trumny. Sądzisz, że mogłabyś to zrobić? Wiesz, on ci pomoże, ten mężczyzna., którego już widziałas. Przyjdzie, gdy założysz naszyjnik i go przywołasz.

– Nie masz powodu, żeby mnie krzywdzić – stwierdziła Rowan. – Nie mam z tym nic wspólnego.

– Mówię ci, co wiem. Czarna magia to ich gra. Od... Musisz znać tę historię,

by dokonać wyboru. Czy pokłoni: się temu plugastwu? Będziesz kontynuować haniebny proceder swoich przodków? Uniesiesz te ohydne, zgniłe szczątki i wezwiesz piekielne duchy umarłych, aby mogły się z tobą pobawić lalkami?

– Nie wierzę w to – odparła Rowan. – Nie wierzę, że ty wierzysz.

– Wierzę, w co widziałam. Wierzę w to, co czuję, gdy ich dotykam. Są wypełnione złem, podobnie jak relikwie świętością. Ale głosy, którymi przemawiają, pochodzą od niego, od diabła. Czy nie dajesz wiary temu, co zobaczyłaś, gdy do ciebie przyszedł?

– Widziałam ciemnowłosego mężczyznę. Nie był istotą ludzką, lecz jakąś halucynacją.

– Był to szatan. Powie, że nim nie jest. Poda ci piękne imię. Będzie recytował wiersze. Ale jest diabłem! Łatwo to udowodnić, bowiem kłamie i niszczy. Aby osiągnąć swój cel, zniszczy cię i twoje potomstwo, jeśli będzie mógł, gdyż jego plany są najważniejsze.

– Jakie są jego plany?

– Być żywym jak my. Przekroczyć granicę. Widzieć i czuć to, co widzą i czują zwykli śmiertelnicy – kobieta odwróciła się plecami i stawiając łaskę przed sobą, ruszyła w stronę lewej ściany do kominka. Zatrzymała się przy nieforemnym tobole dywanu. Spojrzała na książki stojące na półkach nad gzymsem, po obu stronach wyłożonego płytkami kominka.

– Historie – powiedziała. – Dzieje ludzi, którzy odeszli wcześniej. Spisane przez Julię. Ten pokój był jego azylem. Tutaj pisał swoją spowiedź. Dokładnie przedstawił, jak zległ z własną siostrą Katherine, aby spłodzić moją matkę, Mary Beth, a potem jak uwiódł ją, aby począć moją siostrę Stellę. A kiedy chciał to zrobić ze mną, naplułam mu w twarz. Rzuciłam się z pazurami do oczu. Zagroziłam, że go zabiję. – Odwróciła się i spojrzała ostro na Rowan. – Czarna magia, zaklęcia, relacje z jego maleńkich triumfów, gdy karał swoich wrogów i uwodził kochanki. Serafimy w niebiosach nie zaspokoilyby żądz Julię.



– Czy wszystko jest tu zapisane?

– Wszystko, a nawet więcej. Ale nigdy nie przeczytałam stąd ani jednego słowa i nigdy tego nie uczynię. Wystarczyło, że zaglądałam w jego myśli, gdy zasiadał codziennie w bibliotece, zanurzał pióro, śmiał się do siebie i puszczał wodze fantazji. Trwało to dziesiątki lat. Czekałam tak długo na ten moment.

– Dlaczego te zapiski nadal tu są? Dlaczego ich nie spaliłaś?

– Wiedziałam, że jeśli kiedyś wrócisz, będziesz chciała zobaczyć je sama. Spalona kartka nie ma tej mocy! Nie... Musisz sama przeczytać, kim był, gdyż tylko jego własne słowa najlepiej go oskarżą i potępiają – przerwała. – Zapoznaj się z jego wyznaniem i dokonaj wyboru – wyszeptała. – Antha nie potrafiła, Deirdre nie wybrała. Ale ty możesz. Jesteś silna, sprytna i mądra jak na swój wiek. Mądra. O tak! Widzę mądrość w tobie.

Położyła obie dłonie na lasce. Odwróciła wzrok. Kątem oka zerknęła na Rowan oceniająco. Znowu kask białych włosów wydawał się zbyt ciężki przy jej drobnej twarzy.

– Ja wybrałam – stwierdziła cicho, ze smutkiem. – Po tym jak Julien mnie dotknął, śpiewał piosenki i mówił kłamstwa, poszłam do kościoła. Jestem pewna, iż wierzył, że jego czary mnie pokonają. Klęczałam i modliłam się w sanktuarium Naszej Pani Nieustającej Pomocy. Poznałam prawdę. Nie miało znaczenia, czy Bóg w niebie jest katolikiem, protestantem czy choćby Hindusem. Prawda była głębsza, starsza i silniejsza niż jakiegokolwiek wyobrażenia o Stwórcy – była to koncepcja dobra oparta na afirmacji życia, poprzez odrzucenie zniszczenia, perwersji, wykorzystywania człowieka. Była to pochwała tego, co ludzkie i naturalne – spojrzała na Rowan. – Powiedziałam: „Boże, stań przy mnie. Najświętsza Matko, bądź przy mnie! Pozwólcie mi użyć mojej mocy, by z nim walczyć, by go pobić, by z nim zwyciężyć!”

Znowu umknęła spojrzeniem. Być może wpatrywała się w przeszłość. Przez dłuższą chwilę utkwiała wzrok w dywanie u jej stóp, wybrzuszanym się pod kręgami zardzewiałego łańcucha.

– Nawet wtedy zdawałam sobie sprawę, co mnie czeka. Wiele lat później dowiedziałam się wszystkiego, czego potrzebowałam. Nauczyłam się tych samych zaklęć i czarów, których oni używali. Poznałam, jak wezwać te same niskie duchy, którym oni rozkazywali. Nauczyłam się, jak walczyć z nim w całej jego wielkości, mając przy sobie poddane mi duchy, które mogłam odesłać tam, skąd pochodzą, jednym strzepnięciem palców. Używałam ich broni przeciw nim.

Mówiąc to sprawiała wrażenie zaszępionej, odległej, sprawdzającej reakcje Rowan, choć najwyraźniej były jej obojętne.

– Powiedziałam Julienowi, że nie będę nosiła dziecka z kazirodczego związku. Zażądałam, żeby nie mamił mnie iluzją przyszłości, nie próbował swoich sztuczek, nie zmieniał się w młodzieńca w moich ramionach, gdy czuję zwiędłe ciało i wiem, że przez cały czas było takie. „Myślisz, że mnie obchodzi, czy jesteś najpiękniejszym mężczyzną na świecie? Ty czy ten twój przyjaciel diabeł? Sądzisz, że dokonuję wyborów ze względu na próżność czy chęć dogadania sobie?” Zagroziłam, że jeśli mnie znowu dotknie, użyję mojej mocy, by go odpędzić. Nie potrzebowałam ludzkich rąk do pomocy. Dostrzegłam lęk w jego oczach, obawę, strach przed mocą we mnie, o której wiedział, że istnieje, nawet jeśli ja byłam jej niepewna, chociaż nie nauczyłam się jeszcze, jak urzeczywistnić moje groźby. Ale może to był lęk przed kimś, kogo nie mógł uwieść, wystraszyć czy pokonać – uśmiechnęła się odsłaniając lśniący rząd równych, sztucznych zębów. – To okropna rzecz, wiesz, dla kogoś, kto żyje wyłącznie z uwodzenia.

Zapadła w milczenie, porwana być może wspomnieniami.

Rowan wzięła głęboki oddech, nie zwracała uwagi na pot oblewający jej twarz. Patrząc na starą kobietę, wyczuła rozpacz, pustkę i samotność. Zobaczyła długie lata znieawidzonej rutyny, spędzone bez celu, pełne goryczy i fantastycznej wiary, wiary, która może zabić...

– Tak, zabić – westchnęła kobieta. – Zrobiłam to, aby uchronić żywych

przed tym, który nigdy nie żył. Gdybym tego nie uczyniła, posiadłby ich.

– Dlaczego my? – zażądała odpowiedzi Rowan. – Dlaczego my jesteśmy zabawkami tego ducha, o którym teraz mówisz, dlaczego właśnie my z całego świata? Nie jesteśmy jedynymi, którzy widzą duchy.

Stara kobieta głęboko westchnęła.

– Rozmawiałaś z nim? – spytała Rowan. – Powiedziałaś, że przyszedł do ciebie, kiedy miałaś trzy lata i mówił ci do ucha, tak by nikt nie mógł go usłyszeć. Czy kiedykolwiek spytałaś go, kim jest i czego naprawdę chce?

– Jak sądzisz, powiedziałby prawdę? Zapamiętaj moje słowa: On zawsze kłamie. Zadając mu pytania dajesz mu siłę, paliwo, jakby był płomieniem lampy.

Stara kobieta nagle podeszła do Rowan.

– Wyjmie z twego mózgu odpowiedź, którą będzie mógł najlepiej wykorzystać, aby wyprowadzić cię w pole, zauroczyć. Utkła sieć kłamstw tak gęstą, że nie będziesz przez nią widziała zwyczajnego świata. Pożąda twej siły i powie wszystko, co będzie musiał, aby ją zdobyć. Przerwij łańcuch, dziecko! Jesteś najsilniejsza! Połóż temu kres, a on wróci do piekła, bo nie ma innego miejsca na ziemi, dokąd mógłby pójść i znaleźć siłę podobną twojej. Nie rozumiesz? On ją stworzył. Łączył siostrę z bratem, wuja z siostrzenicą, syna z matką, tak, to też, kiedy musiał, aby urodziła się jeszcze silniejsza wiedźma. Od czasu do czasu tracił kobiety obdarzone potrzebną mu mocą, ale szybko nadrabiał zaległości w następnym pokoleniu. Co to za cena: Antha i Deirdre, jeśli mógł mieć Rowan!

– Wiedźma? Powiedziałaś: „Wiedźma”? – spytała Rowan.

– Wszystkie były wiedźmami, wszystkie, nie rozumiesz? – Oczy starej kobiety patrzyły badawczo na Rowan. – Twoja matka, babka i jej matka, a przed nią Julien, ten diabeł wcielony Julien, ojciec Cortlanda, twojego ojca... Ja też byłam wyznaczona, dopóki się nie zbuntowałam.

Rowan zacisnęła lewą rękę, wbijając sobie paznokcie w skórę. Wpatrywała

się w twarz starej kobiety, ogarnięta wstrętem, a jednak nie mogła oderwać od niej wzroku.

– Kazirodztwo, moja droga, to był najmniejszy z ich grzechów, ale najważniejszy w planach. Brat łączył się z siostrą, ojciec z córką, aby wzmocnić linię, by podwoić moc, oczyścić krew, spłodzić przebiegłą i straszliwą wiedźmę w każdym pokoleniu cofając się daleko w przeszłość zagubioną w historii Europy. Pozwól Anglikowi, a opowie ci o wszystkim. Podszedł do ciebie w kościele i wziął cię za rękę. Wymieni ci wszystkie imiona kobiet, których kukielki leżą w tej skrzyni. On wie. Sprzeda ci cały zapas czarnej magii.

– Chcę wyjść z tego pokoju – wyszeptała Rowan. Odwróciła się. Promień światła padł na podest.

– Wiesz, że to prawda – stwierdziła stara kobieta za jej plecami. – Zawsze wiedziałas, że gdzieś tam w głębi duszy drzemie zło.

– Źle dobierasz słowa. Mówisz o możliwości istnienia zła.

– Ach, przecież wiesz, że możesz wszystko skończyć! To dlatego posiadasz większą moc! Zrób to, co ja zrobiłam! Zwróć się przeciw niemu! Przeciw im wszystkim!

Carlotta minęła Rowan. Skraj sukni przesunął się po kostce dziewczyny. Laska stukała głucho jak przedtem. Wyszła na podest, wskazała Rowan gestem, że ma iść za nią.

Przeszły obok drugiej pary drzwi na piętrze. Pod wpływem przenikliwego odoru Rowan cofnęła się, nie mogła zaczerpnąć powietrza. Potem zrozumiała, co musi zrobić. Wciągnęła w płuca stęchły zaduch i przełknęła. Nie było innego wyjścia.

Uniósłszy wysoko lampę, zobaczyła wąską „spizarnię”. Wypełniały ją słoje i butle stojące na prowizorycznych półkach. W środku szklanych pojemników znajdował się gęsty, ciemny płyn, w którym pływały jakieś próbki w stanie rozkładu. Ohydne. Czula wszechobecny odór alkoholu, innych chemikaliów, lecz przede wszystkim rozkładającego się mięsa. Nie mogła znieść myśli, co

stałoby się, gdyby szkło się potłukło; jakże potworny smród musiałby się unosić w powietrzu.

– Należały do Marguerite – oznajmiła stara kobieta. – Marguerite to matka Julienna i Katherine, która była moją babką. Nie oczekuję, że spamiętasz wszystkie te imiona. Znajdziesz je w zapiskach w tamtym pokoju lub w starych dokumentach w bibliotece na dole. Ale zapamiętaj moje słowa. Marguerite zapełniła słoje okropieństwami. Zobaczysz je, kiedy wylejesz zawartość. Ale uważaj, zrób to sama, jeśli nie chcesz popaść w kłopoty. Straszliwe, potworne rzeczy są w tych słojach... i zrobiła to ona – uzdrowicielka! – prawie wypluła te słowa z odrazą. – Z tym samym darem, który ty teraz posiadasz. Umiesz położyć dłoń na chorym, połączyć komórki, by zarosło się pęknięcie, czy znikł rak. A ona? Oto co zrobiła ze swoim darem! Daj bliżej światło!

– Nie chcę na to patrzeć!

– Och! Jesteś lekarzem, czyż nie? Nie robiłaś sekcji zwłok? Teraz też kroisz ludzi, prawda?

– Jestem chirurgiem. Operuję, żeby zachować i przedłużyć życie. Nie chcę tego oglądać.

Jednak gdy to mówiła, zerknęła na słoje. Patrzyła na największy z nich, w którym płyn był wciąż na tyle przejrzysty, żeby dostrzec pływającą w nim jakąś galaretowatą, zaokrągloną rzecz, na pół ukrytą w cieniu. Nie, niemożliwe, czy widziała ludzką głowę? Cofnęła się, jakby ten widok ją oparzył!

– Powiedz mi, co zobaczyłaś?

– Dlaczego mi to robisz? – spytała Rowan cichym głosem. Patrzyła na słoje, ciemne, pływające rozpadające się oczy, wodorosty włosów. Odwróciła się i spojrzała na starą kobietę. – Widziałam dzisiaj, jak grzebią moją matkę. Czego chcesz ode mnie?

– Powiedziałam ci.

– Nie. Karzesz mnie za to, że wróciłam, za samą chęć dowiedzenia się czegoś o sobie; karzesz, bo zniszczyłam twoje plany. – Czy to uśmiech pojawił

się na twarzy starej kobiety? – Nie rozumiesz, że zostałam tam całkiem sama? Chcę poznać swoją rodzinę. Nie możesz nagiąć mnie do swojej woli.

Cisza. Milczenie. Oblewała się potem. Nie wiedziała, jak długo to wytrzyma.

– Czy właśnie tak postąpiłaś z moją matką? – zapytała płonąć z gniewu. – Nagięłaś do swej woli?

Postąpiła krok do tyłu, jakby złość odpychała ją od starej kobiety. Nieświadomie zacisnęła dłoń na szkle lampy rozgrzanej od płomienia tak, że omal jej nie upuściła.

– W tym pokoju robi mi się niedobrze.

– Biedactwo. W tamtym słoju zobaczyłaś głowę mężczyzny. Cóż, przyjrzyj się temu uważnie, kiedy nadejdzie odpowiednia pora. Poświęć też trochę uwagi innym, których szczątki tutaj znajdziesz.

– Zgnili, rozłożyli się, rozpadli. Nie nadają się do celu, do którego byli przeznaczeni. Chcę stąd wyjść.

Obejrzała się jednak i raz jeszcze rzuciła okiem na słoje, ogarnięta wstrętem. Lewą ręką zasłoniła usta, jakby to mogło ją przed czymś ochronić. W zamglonym szkle dostrzegła ciemną otchłań ust, których wargi powoli się rozkładały i gdzie błyszczały białe zęby. Zobaczyła lśniąca galaretę oczu. Nie, nie patrz na to. Co było w słoju stojącym obok? Coś się ruszało w płynie. Robaki. Pokrywa była stłuczona.

Rowan odwróciła się, wyszła z pokoju i oparła o ścianę. Zamknęła oczy. Lampa płonęła w dłoni. Tętno waliło w skroniach. Przez chwilę myślała, że nie opanuje nudności. Zwymiotuje na podłogę u szczytu okropnych schodów, a ta obrzydliwa, złośliwa kobieta będzie stała przyglądając się. Usłyszała głuchy stuk. Stara kobieta znowu przeszła obok niej. Rowan słuchała oddalających się kroków. Stara kobieta pokonywała drogę w dół wolniej niż poprzednio w górę. Przyspieszyła trochę, gdy dotarła do podestu.

– Zejdź, Rowan Mayfair. Zgaś lampę, ale zanim to zrobisz, najpierw zapal świecę i weź ją ze sobą.

Rowan powoli dochodziła do siebie. Przesunęła dłonią po włosach. Walcząc z kolejną falą mdłości, wróciła do sypialni. Postawiła lampę na małym stoliczku przy drzwiach, skąd ją przedtem wzięła. Pozbyła się jej w momencie, gdy myślała już, że palce dłużej nie wytrzymają gorąca. Przez chwilę trzymała prawą rękę przy wargach, próbując złagodzić pieczenie. Uniosła świecę, wsunęła ją od dołu w otwór, nie dotykając klosza. Wiedziała, że szkło jest teraz za gorące. Knot zapłonął, wosk zaczął spływać ze świecy. Zdmuchnęła lampę. Stała chwilę nieruchomo. Rzuciła spojrzenie na zwinięty dywan i porzucone obok skórzane buty.

„Nie, nie są ot tak rzucone”, pomyślała i ruszyła wolno w ich kierunku. Powoli wysunęła lewą stopę. Czubkiem pantofla dotknęła jeden z butów, a potem go kopnęła. Uświadomiła sobie, że but jest jakoś przymocowany, ale gdy się przewrócił, zobaczyła lśniąca biel kości nogi wystającej ze spodni, które kryły się w zwiniętym dywanie.

Sparaliżowana zerkała raz na kość, raz na zwinięty dywan. Gdy go obeszła, zobaczyła drugi koniec, którego do tej pory nie widziała, i ciemny błysk kasztanowych włosów. Ktoś zawinięty w dywan. Ktoś martwy, nieżywy od dawna. Z boku dywanu, na podłodze dostrzegła czarną plamę, blisko brzucha, z którego dawno temu wyciekły i wyschły płyny. Widać było nawet zgniecione drobne insekty pochwycone w śmiertelną pułapkę lepkiej plamy.

*Rowan, obiecaj mi, że nigdy tam nie wrócisz, obiecaj mi.*

Skądś z daleka, z dołu usłyszała głos starej kobiety, tak cichy, że przypominał myśl.

– Zejdź tutaj, Rowan Mayfair.

Rowan Mayfair, Rowan Mayfair, Rowan Mayfair...

Nie pozwoliła sobie na pośpiech. Wyszła z pokoju rzucając ostatnie spojrzenie na martwego mężczyznę zawiniętego w dywan, na wystający stamtąd kikut białej kości. Zamknęła drzwi i zeszła niemrawo po schodach.

Stara kobieta stała na progu windy, dokładnie oświetlona jaskrawym

blaskiem żarówki.

– Wiesz, co znalazłam – stwierdziła Rowan. Uspokoila się, zanim dotarła na dół. Światło świecy tańczyło przez chwilę, rzucając blade przezroczyste cienie na sufit.

– Martwego człowieka zawiniętego w dywan.

– Co, na miłość boską, zaszło w tym domu?! – wykrzyknęła Rowan. – Czy wyście wszyscy poszaleli?

Stara kobieta wydawała się zimna, opanowana, jakby całkowicie odizolowana od świata. Wskazała otwartą windę.

– Chodź ze mną – poleciła. – Już nie ma nic do oglądania i niewiele zostało do powiedzenia...

– Och, jeszcze wiele trzeba wyjaśnić – odparła Rowan. – Czy mówiłaś mojej matce o wszystkim? Czy pokazałaś te ohydne słoje i lalki?

– Nie doprowadziłam jej do szaleństwa, jeśli ci o to chodzi.

– Myślę, że każdy, kto dorastał w tym domu, mógł oszaleć.

– I ja tak sądzę. Dlatego odesłałam cię tak daleko stąd. A teraz chodź.

– Powiedz mi, co stało się mojej matce.

Weszły do małej, zakurzonej kabiny. Rowan ze złością zamknęła za sobą drzwi. Gdy zaczęły zjeżdżać w dół, odwróciła się i przypatrywała profilowi starej kobiety. Stara, stara, tak, była stara. Miała cerę żółtą jak pergamin. Szyja cienka i krucha. Żyły wystawały spod niewiarygodnie przezroczystej skóry.

– Powiedz mi, co się z nią stało – nalegała Rowan, utkwivszy wzrok w podłodze. Nie miała odwagi raz jeszcze spojrzeć z bliska na starą kobietę. – Nie mów mi, jak jej dotykał we śnie, ale opowiedz, co się stało, co się stało naprawdę!

Winda zatrzymała się ze zgrzytem. Kobieta odsunęła kratę, pchnęła drzwi i wyszła do holu.

Rowan zatrasnęła drzwi. Wtedy światło zniknęło, jakby winda i zawieszona w niej goła żarówka nigdy nie istniały. Ciemność podpełzła blisko, zimna i



pachnąca deszczem padającym za otwartymi frontowymi drzwiami. Noc na zewnątrz lśniła, wypełniona brzmieniem uspokajających dźwięków.

– Powiedz mi, co się stało – powtórzyła Rowan cicho tonem pełnym goryczy.

Przeszły przez długi salon. Stara kobieta prowadziła. Pochylała się trochę w lewo, gdyż z tej strony wspierała się na lasce. Rowan cierpliwie podążała za nią.

Błade światło świecy powoli pełzało przez cały pokój, biegło cienkim pasemkiem w stronę sufitu. Pokój, pomimo iż był zrujnowany, wyglądał pięknie. W posępnych cieniach lśniły marmurowe kominki i wysokie lustra nad gzymsem. Wszystkie okna sięgały podłogi. Zawieszane na odległym krańcu pokoju lustra wpatrywały się w siebie przez całą długość pomieszczenia. Rowan zobaczyła świeczniki odbite wielokrotnie, aż do nieskończoności. Jej niewielka postać też tam była, powtarzana, aż nikła w ciemności.

– Tak – przyznała stara kobieta. – To bardzo interesujące złudzenie optyczne. Darcy Monahan kupił te lustra dla Katherine. Próbował wyrwać Katherine ze zła, które ją otaczało. Ale umarł w tym domu na żółtą febrę. Katherine płakała do końca życia. Ale lustra tkwią dzisiaj, tu i tam, dokładnie w tym samym miejscu, gdzie zamocował je Darcy.

Westchnęła, raz jeszcze oparła się obiema rękami na lasce.

– My wszyscy... od czasu do czasu... odbijaliśmy się w tych lustrach. Ty sama widzisz się w nich teraz, uchwycona w te same ramy...

Rowan nie odpowiedziała. Zatręsknęła za ujrzeniem tego salonu w świetle dziennym, płaskorzeźb na marmurowych kominkach, długich jedwabnych draperii w całości, stiukowych medalionów przymocowanych do wysokich sufitów.

Stara kobieta podeszła do najbliższego z dwóch bocznych wysokich okien.

– Podnieś je dla mnie – poleciła. – Jesteś wystarczająco silna. Wzięła świecę od Rowan i postawiła na stoliku przy kominku.

Rowan wyciągnęła rękę, aby odblokować prosty zamek. Bez trudu

podciągnęła ciężkie okno z grubymi szybami, aż znalazło się prawie nad jej głową.

Na zewnątrz osłonięty ganek, pogrążony w nocy i świeżym, ciepłym powietrzu pachnącym deszczem. Rowan wzięła głęboki oddech. Ogarnęło ją uczucie wdzięczności. Stała w milczeniu pozwalając powietrzu całować swoją twarz i dłonie. Odsunęła się, gdy stara kobieta przeszła obok niej.

Płomień świecy zostawionej na stolyczku przez chwilę walczył z przeciągiem, po czym zgasł. Rowan wkroczyła w ciemność. W powiewie wiatru unosił się mocny, zachwycająco słodki zapach.

– To jaśmin – wyjaśniła stara kobieta.

Wokół poręczy ganku rosło dzikie wino, którego drobne listki poruszały się jak mnóstwo skrzydełek owadów uderzających o moskitierę. Kwiaty lśniły w ciemności, białe, delikatne, piękne.

– Tutaj codziennie przesiadywała twoja matka – powiedziała stara kobieta. – A tam, na tych kamieniach, po upadku z dachu nad pokojem Julienu umarła jej matka. Sama doprowadziłam ją do okna i chyba sama wypchnęłabym ją własnymi rękami, gdyby nie skoczyła. Rzuciłam się jej z pazurami do oczu, tak jak kiedyś rzuciłam się do oczu Julienu.

Przerwała. Patrzyła przez zardzewiałą kratę w noc, być może w ledwo widoczne zarysy drzew na bladym niebie. Zimne, wyraźne światło lampy ulicznej rozjaśniało wejście do ogrodu. Padało na zachwaszczoną trawę. Odbijało się na wysokim oparciu białego drewnianego bujanego fotela.

Rowan ta noc wydawała się nieczuła i wstrętna. Przerazający dom, straszne, wciągające w otchłań miejsce. Och, żyć i umierać tutaj, spędzić całe życie w tych pełnych rozpaczny pokojach, skonać w nieczystościach na górze. Nie do wyobrażenia. Czarne i ciężkie, zapierające dech w piersiach przerażenie rosło gdzieś w jej wnętrzu. Nie umiała znaleźć słów, by opisać, co czuje. Nie odnalazła sposobu, by przekląć w myślach starą kobietę.

– Zabiłam Anthę – przyznała stara kobieta. Stała odwrócona plecami do

Rowan. Słowa padały cicho i niewyraźnie. – Zabiłam ją, tak jakbym sama ją wypchnęła. Pragnęłam, żeby umarła. Kołysała Deirdre w kołysce, a on tam był, u jej boku. Wpatrywał się w dziecko i pobudzał je do śmiechu! A ona pozwalała na to.

Rozmawiała z nim tym swoim sepleniącym, cienkim głosem. Mówiła mu, że jest jej jedynym przyjacielem, teraz po śmierci męża, jedynym przyjacielem na całym świecie. Wykrzykiwała do mnie: „To mój dom. Mogę cię wyrzucić, jeśli zechcę”. Tak właśnie się wyraziła. Odparłam: „Wydrapię ci oczy, jeśli go nie odtrącisz. Bez oczu go nie zobaczysz. Nie pozwolisz, żeby to dziecko go widziało”. Stara kobieta przerwała. Rowan ogarnęły mdłości. Czekala w ciszy pełnej przytłumionych odgłosów nocy, ruchu i śpiewu w ciemności.

– Czy widziałaś kiedykolwiek ludzkie oko wyrwane z oczodołu, zwisające na krwawych ścięgnach na policzek? Ja to jej zrobiłam. Wrzeszczała i łkała jak małe dziecko, podtrzymywała swoje cenne oko rękami. A jak sądzisz, czy próbował mnie powstrzymać?

– Ja bym spróbowała – z goryczą stwierdziła Rowan. – Po co mi to mówisz? – zapytała głucho.

– Sama o to prosiłaś! A jeśli chcesz wiedzieć, co stało się z jedną, musisz też usłyszeć historię jej poprzedniczki. Zrozum, zrobiłam to, aby zerwać łańcuch.

Kobieta obróciła się i spojrzała na Rowan. Zimne, białe światło nagle zaśniło w jej okularach i sprawiło, że stały się ślepyimi lustrami.

– Zrobiłam to dla ciebie, dla siebie i dla Boga, jeśli jest Bóg. Doprowadziłam ją do tamtego okna. „Zobaczmy, czy go będziesz widziała, kiedy oślepniesz”, krzyczałam. „Wtedy namów go, żeby przyszedł!” A twoja matka, mała Deirdre płakała w kołysce w tym samym pokoju. Powinnam była pozbawić ją życia. Zadusić, kiedy Antha leżała martwa na kamieniach przed domem. Gdybym, na Boga, miała odwagę.

Stara kobieta znowu przerwała, podniosła lekko podbródek, cienkie wargi raz jeszcze rozciągnęły się w uśmiechu.

– Czuję twój gniew. Czuję wyrok.

– Czy mogę coś na to poradzić? – spytała szeptem Rowan. Stara kobieta spuściła głowę. Światło latarni ulicznej osiadło na jej białych włosach, okrywając twarz cieniem.

– Nie byłam w stanie zabić takiej kruszyny – powiedziała ze znużeniem. – Nie mogłam zmusić się do położenia poduszki na twarzy Deirdre i przyduszenia jej. Myślałam o opowieściach z dawnych lat o czarownicach, które składały ofiary z dzieci na sabacie, mieszały tłuszcz niemowlęcy w kotle. Jesteśmy czarownicami, my z rodziny Mayfairów. Czy miałam złożyć ofiarę z takiego maleństwa, tak jak one to robiły? Stałam gotowa odebrać życie małemu płaczącemu dziecku i nie mogłam zmusić się do zrobienia tego, co one robiły.

Znowu zapadła cisza.

– On oczywiście wiedział, że nie posunę się do tego! Zniszczyłby dom, by mnie powstrzymać, gdybym spróbowała.

Rowan czekała, dopóki mogła wytrzymać, dopóki nienawiść i gniew gdzieś w środku cichaczem ją dusiły.

– A co zrobiłaś później mojej matce, by przerwać łańcuch, jak to określiłaś? – spytała ochryple.

Milczenie.

– Powiedz mi.

Stara kobieta westchnęła. Odwróciła nieznacznie głowę i zaczęła wyglądać przez zardzewiałą balustradę.

– Od czasu gdy była małą dziewczynką, gdy bawiła się w ogrodzie, błagałam ją, by z nim walczyła. Zakazałam patrzenia na niego. Uczyłam, jak go odtrącić. Wygrywałam walkę, wygrywałam pomimo jej ataków melancholii, szaleństw i płaczu, ohydnych zwierzeń, że jest już zgubiona, bo pozwoliła mu przyjść do siebie do łóżka. Wygrywałam, dopóki Cortland jej nie zgwałcił! Wtedy zrobiłam to, co musiałam – zmusiłam Deirdre, żeby cię oddała i nigdy nie pojechała za tobą.

Uczyliam wszystko co w mojej mocy, żeby nigdy nie odzyskała sił, by uciec, szukać cię, odebrać i przywieźć tutaj do jej szaleństwa, poczucia winy i hysterii. Kiedy nie chcieli ordynować elektrowstrząsów w jednym szpitalu, zabierałam ją do innego. Kiedy w jednej klinice chcieli odstawić jej leki uspokajające, odwoziłam ją do innej. I mówiłam lekarzom to, co musiałam mówić, aby ich przekonać o konieczności przywiązywania Deirdre do łóżka, podawania środków psychotropowych i leczenia elektrowstrząsami. Swoimi słowami zmuszałam twoją matkę do wrzasku, by robili wszystko, co kazałam!

– Nic więcej mi nie mów.

– Dlaczego? Chciałaś wiedzieć, prawda? O tak, wiała się na prześcieradłach jak kot w okresie rui, kazałam im robić jej zastrzyki, podawać jej...

– Przestań!

– Dwa razy dziennie, trzy razy dziennie. „Nic mnie nie obchodzi, czy ją zabijecie, ale dawajcie to jej. Nie zniosę jej leżącej w ciemności, jego zabawki dyszącej, wijącej się w mroku. Nie pozwolę...”, krzyczałam.

– Przestań! Przestań!

– Dlaczego? Do dnia, w którym umarła, należała do niego. Ostatnim i jedynym słowem, jakie wypowiedziała, było jego imię. Postępowałam niegodziwie, ale robiłam to dla ciebie, dla ciebie, Rowan!

– Przestań! – wysyczała Rowan unosząc przed sobą bezradnie ręce z rozczapierzonymi palcami. – Przestań! Mogłabym cię zabić za wszystko, co mi opowiedziałaś! Jak śmiesz mówić o Bogu i życiu, kiedy potrafiłaś zrobić coś takiego dziewczynie, młodej kobiecie, którą wychowałaś w tym plugawym domu, robiłaś to jej, robiłaś, kiedy była bezradna i chora, a ty... Niech ci Bóg pomoże, to ty jesteś czarownicą, ty opętana, okrutna stara kobieto, że też mogłaś jej to zrobić, niech Bóg ci pomoże, niech Bóg ci pomoże, niech cię Bóg przeklnie!

Nagle na twarzy starej kobiety pojawiło się zaskoczenie. Przez ułamek sekundy w słabym świetle wyglądała na zmieszaną. Okrągłe, szklane oczy lśniły

jak dwa guziki, usta wydawały się obwisłe i puste.

Rowan jęknęła, ręce skierowała ku skroniom, palce wsunęła we włosy. Zacisnęła wargi. Z trudem opanowała furię, ból i poczucie krzywdy.

– Idź do diabła za to, co zrobiłaś! – wykrzyczała, krztusząc się słowami; ciało wygięła z wściekłości, której nie mogła powstrzymać.

Stara kobieta zmarszczyła brwi. Wyciągnęła ramię, laska wysunęła się z palców. Szurając zrobiła krok do przodu. Prawa ręka zadrżała i oparła o lewą poręcz bujanego fotela stojącego przed nią. Jej kruche ciało powoli zgięło się i osunęło na siedzenie. Głowa opadła na wysokie oparcie fotela. Znieruchomiała. Potem ramię wysunęło się spod poręczy i zawisło na zewnątrz.

Nie było słyhać żadnego dźwięku. Tylko monotony, stały pomruk, jakby śpiewały owady, żaby, a dalekie silniki i samochody, gdziekolwiek były, radośnie współbrzmiały wraz z nami. Wydawało się, że gdzieś blisko przejechał pociąg, stukając rytmicznie i szybko, niższym tonem niż pieśń. Z daleka nadszedł dźwięk gwizdka, przypominający stłumiony szloch w ciemności.

Rowan stała bez ruchu z opuszczonymi rękami, słabymi i bezradnymi. Wpatrywała się jak ogłuszona w zardzewiałą siatkę, w delikatny ruch drzew na tle nieba. Niskie granie żab powoli zagłuszyło inne nocne odgłosy, a potem ucichło. Samochód przejechał pustą ulicą tuż za ogrodzeniem, blask reflektorów wbijał się w gęsto rosnące, mokre liście.

Rowan poczuła światło na skórze. Dostrzegła, że odbija się ono o drewnianą laskę leżącą na podłodze werandy, pada na czarny, wysoki trzewik Carlotty zgięty boleśnie, jakby pękła cienka kostka.

Czy ktoś zauważył przez gęsty żywopłot martwą kobietę w fotelu? I postać stojącej za nią wysokiej blondynki?

Rowan drżała. Wygięła plecy w łuk. Uniosła lewą rękę i chwyciła pasmo włosów. Ciągnęła tak długo i mocno, aż ból stał się tak ostry, że nie mogła go znieść.

Gniew odpłynął. Nawet najmniejszy, najbardziej gorzki okruczeństwo

zniknął bez śladu; stała samotna i zziębnięta w ciemności, czepiając się bólu, gdy ścisnęła swoje włosy w drżących palcach; zmarznięta, jakby nie była to ciepła noc, samotna, jakby ciemność była mrokiem otchłani, gdzie wszelka obietnica światła, nadziei czy szczęścia przepadła. Świat zniknął, wraz ze swą historią, zarozumiałą logiką, marzeniami i zdobyczami.

Powoli otarła wargi wierzchem dłoni, niedbale jak dziecko. Stała wpatrując się w bezwładną rękę martwej kobiety. Szczękała zębami, jakby zimno pożerało jej wnętrze, do głębi ją mroząc. Przyklękła, chwyciła za sztywny nadgarstek i poszukała pulsu. Wiedziała, że go nie znajdzie. Ułożyła rękę na kolanach kobiety. Dostrzegła krew spływającą z ucha po szyi na biały kołnierzyk.

– Nie chciałam... – wyszeptała, ledwie wymawiając słowa.

Zdawało się, że za jej plecami ciemny dom ziewnął, czekał. Nie mogła się obrócić. Jakiś odległy niewyraźny, nierozpoznawalny dźwięk wstrząsnął ciałem Rowan, napieniając ją lękiem: najgorszym i jedynym rzeczywistym lękiem, jakiego zaznała w całym swoim życiu. Kiedy pomyślała o ciemnych pokojach, nie mogła ruszyć głową. Nie potrafiła do nich wrócić. Zamknięta weranda trzymała ją jak w pułapce.

Powoli wstała i wyjrzała na trawę, na splątane dzikie wino obrastające balustradę i ściany; znowu drżały jego maleńkie, spiczaste listki. Uniosła oczy na chmury przesuwające się nad drzewami. Usłyszała okropny, cichy dźwięk wydobywający się z jej ust, jakby straszny, rozpaczliwy jęk.

– Nie chciałam... – powtórzyła.

Tak jest, kiedy się nie modlisz, pomyślała nieszczęśliwa i już spokojna. Tak jest, kiedy do niczego się nie modlisz i nikt nie odwróci prerażenia twoim czynem, nie naprawi, nie uczyni, że nigdy, przenigdy nie przyjechałabyś tutaj.

Zobaczyła twarz Ellie leżącej na szpitalnym łóżku. *Obiecuj mi, że nigdy, nigdy...*

– Nie chciałam tego zrobić! – znowu wydobyło się z jej ust westchnienie cichym, niskim szeptem, którego nikt poza Bogiem nie mógł usłyszeć. – Boże,

nie chciałam. Przysięgam. Nie chciałam znowu tego zrobić.

Gdzieś daleko, jakby w obcej rzeczywistości, istnieli inni ludzie. Michael, Anglik i Rita Mae Lonigan, Mayfairowie zebrani przy restauracyjnym stole. Nawet Eugenia, zagubiona gdzieś wewnątrz domu, pogrążona we śnie. Może coś jej się śni. Ach, ci inni ludzie!

A ona stała tam samotnie. Ona, która spowodowała śmierć tej podłej i bezlitosnej starej kobiety; zabiła ją tak okrutnie, jak ona sama przedtem zabijała. Niech Bóg potępi jej czyny i pośle do piekła za wszystko, co powiedziała i co zrobiła. Niech Bóg ją przeklnie! Ale nie chciałam, przysięgam...

Znowu otarła wargi. Skrzyżowała ramiona na piersi, zgarbiła plecy i zadrżała. Musiała się odwrócić, przejść przez ciemny dom. Wrócić do drzwi i wyjść stąd.

Och, nie mogła opuścić tego miejsca ot tak. Powinna do kogoś zadzwonić, musiała o wszystkim opowiedzieć, zawołać tę kobietę – Eugenię, zrobić to, co należało.

Jednak teraz nie byłaby w stanie znieść męki rozmów z obcymi, wygłaszania urzędowych kłamstw.

Pozwoliła głowie opaść leniwie na bok. Wpatrywała się w bezsilne ciało, złamane i rzucone w worku sukni. Białe włosy były takie czyste i miękkie. Oto jak się kończy dla niej całe to marne, nieszczęśliwe życie w tym domu, gorzkie, a przede wszystkim niespełnione.

Zamknęła oczy, po czym znużonym gestem uniosła ręce ku twarzy. Wtedy modlitwa przyszła sama do głowy. Pomóż mi, bo nie wiem, co robić. Nie wiem, co zrobiłam, a czego nie mogę odwrócić. Wszystko, co powiedziała ta stara kobieta, było prawdą. Zawsze wiedziałam, że zło tkwi we mnie i w nich. Dlatego Ellie mnie zabrała. Zło.

Przypomniała sobie widok chudego, bladego ducha za ścianą ze szkła w Tiburon. Niemal poczuła dotykające ją niewidzialne dłonie, jak w samolocie.

Zło.



– Gdzie jesteś? – wyszeptała w ciemność. – Dlaczego miałabym się bać powrotu do wnętrza tego domu?

Uniosła głowę. Z długiego salonu, zza jej pleców znowu dobiegł ją cichy trzask, podobny do skrzypienia starej deski pod stopą. Czy to raczej oddech? Tak cichy, że mógłby to być szelest drobnych, wstrętnych łap szczura skradającego się przy ścianie. Ale wiedziała, że to nie szczur. Wszystkimi zmysłami wyczuwała czyjąś obecność, blisko, ktoś czaił się tam w ciemnościach salonu. Nie była to czarna stara kobieta. To nie jej kapcie szurały.

– Ukaż się – wyszeptała, jej lęk zmienił się w gniew. – Teraz! Znowu coś usłyszała. Powoli się odwróciła. Cisza. Ostatni raz spojrzała na martwe ciało starej kobiety. Potem weszła do długiego salonu. Wysokie wąskie lustro patrzyły na siebie w bezruchu pełnym cieni. Zakurzone świeczniki ledwo widoczne w mroku z niechęcią zbierały światło.

*Nie boję się ciebie. Nie boję się niczego w tym domu. Ukaż się tak jak przedtem.*

Na jedną groźną chwilę meble wydawały się ożywać. Jakby małe wyginane krzeselka obserwowały ją, szafy z książkami za szklanymi drzwiami wysłuchiwały jej próżnego wyzwania i gotowe były zostać świadkami wszystkiego, co może się zdarzyć.

– Dlaczego nie przychodzisz? – powiedziała głośnym szeptem. – Boisz się mnie?

Pustka. Przytłumiony zgrzyt gdzieś nad głową.

Przeszła do holu spokojnym, miarowym krokiem. Uświadamiała sobie bolesne odgłos własnego ciężkiego oddechu. Patrzyła oszołomiona na otwarte drzwi frontowe. Mleczne światło padające z ulicy, ciemne i lśniące liście dębów, z których kapiała woda.

Prawie bezwiednie wydała długie westchnienie. Odwróciła się i ruszyła w kierunku niosącego pociechę światła; z powrotem przez hol, naprzeciw gęstym ceniom w stronę pustej jadalni, gdzie w aksamitnym pudełku czekał na nią

szmaragd. On był tutaj. Musiał być.

– Dlaczego nie przychodzisz? – wyszeptała, zdumiona drzeniem własnego głosu. Wydawało się, że zamigotał cień, ale nie dostrzegła żadnego zmaterializowanego kształtu. Może podmuch bryzy poruszył zakurzone draperie. Pod jej stopami deski podłogi trzeszczały cienko, niewyraźnie.

Na stole stała szkatułka z klejnotem. W powietrzu wisiał zapach wosku. Drżącymi palcami uniosła wieczko i dotknęła kamienia.

– Chodź, diable – powiedziała. Podniosła szmaragd, przyjemnie zaskoczona jego wagą, podniosła go wysoko, aż odbił światło. Założyła go, bez trudu zatrzaskując na szyi małe, mocne zapięcie.

Wtedy, w krótkiej, dziwacznej chwili ujrzała siebie zakładającą naszyjnik. Rowan Mayfair – dziewczyna odarta z przeszłości, której tak długo wcale nie było, a teraz brakowało jedynie szczegółów, stojąca jak zablakany wędrowiec w tym ciemnym i dziwnie znajomym domu.

Był jakoś znajomy, prawda? Te wysokie, stożkowate drzwi, te freski... Jakby tysiące razy przesuwała po nich oczami. Ellie tu przychodziła. Jej matka żyła i umarła w tym domu. Jak bardzo z innego świata i nie do odzyskania wydawała się jej teraz rezydencja ze szkła i drewna w dalekiej Kalifornii.

Dlaczego czekała tak długo, by powrócić?

Wzięła zakręt na mrocznej, błyszczącej ścieżce swego przeznaczenia. Czym były jej przeszłe triumfy wobec konfrontacji z tą tajemnicą, która wraz z całym tym przerażającym przepychem należy teraz do niej? Przez długie lata to wszystko czekało na nią, aż w końcu powróci i upomni się o swoje prawa.

Szmaragd ciążył na miękkim jedwabiu bluzki. Jej palce jakby nie mogły się powstrzymać od bezwiednego dotknięcia klejnotu, który przyciągał jak magnes.

– Czy tego właśnie chcesz? – szepnęła. Nie myliła się.

Za nią, w holu odpowiedział jej jakiś wyraźny dźwięk. Cały dom go poczuł, powtórzył echem, jak wielkie pudło rezonansowe fortepianu odbija najlżejsze dotknięcie najcieńszej struny. Znowu usłyszała dźwięk. Cichy, ale pewny. Ktoś

tam był.

Bicie serca niemal bolało. Stała osamotniona, z opuszczoną głową. Jakby w marzeniu sennym odwróciła się i podniosła wzrok. Kilka metrów od siebie dostrzegła niewyraźną postać wysokiego mężczyzny.

Nawet najcichsze odgłosy nocy wydawały się milknąć i zostawiać ją otoczoną pustką. Próbowwała zobaczyć dokładniej tego kogoś w gęstym mroku, który go otulał. Oszukiwała się, czy widziała zarys twarzy? Czy przygląda się jej para ciemnych oczu, czy dostrzega linię głowy? Być może zauważyła biały brzeg sztywnego kołnierzyka.

– Nie igraj ze mną – szepnęła. Raz jeszcze cały dom odbił echem dźwięk z niepewnymi westchnieniami i skrzypnięciami. Wtedy, w cudowny sposób, postać stała się bardziej wyrazista, a jednak, gdy głośno zaczerpnęła powietrza, zjawa zaczęła niknąć.

– Nie, nie odchodź! – poprosiła, nagle ogarnięta wątpliwościami, czy w ogóle coś widziała.

Gdy wbijała wzrok w zlewające się światło i cień, rozpaczliwie czegoś szukając, zarys ciemniejszej postaci pojawił się na tle bladego światła dobiegającego z odległych drzwi. Podeszła bliżej, sunąc przez unoszący się w powietrzu kurz. Ciężkie, wyraźne kroki. Nie mogła się mylić. Zobaczyła mocne ramiona, kręcone czarne włosy.

– Rowan? Czy to ty, Rowan? Silny, znany, ludzki głos.

– Och, Michael – rozplakała się cicho. Uciekła w jego czekające ramiona. – Michael, dzięki Bogu!

„I tak”, pomyślała, siedząc zgarbiona samotnie przy stole, domniemana ofiara okropieństw w mrocznym domu, „staję się jedną z tych kobiet, które wpadają w męskie ramiona i pozwalają mu wszystkim się zająć”.

Obserwowanie Michaela w akcji sprawiało jej przyjemność. Zadzwoił do Ryana Mayfaira, na policję i do firmy Lonigan i Synowie. Używał języka detektywów, którzy zjawili się u drzwi. Jeśli ktoś zauważył jego czarne rękawiczki, to w ogóle o tym nie wspomniał, być może dlatego, że mówił za szybko wyjaśniając wszystko i posuwając sprawę do przodu, by dojść bezzwłocznie do oczywistych, nieuniknionych wniosków.

– Dopiero przyjechała, nie ma zielonego pojęcia, kim jest ten facet na strychu. Stara kobieta jej nie powiedziała. Ta dziewczyna jest w szoku. Na jej oczach zmarła kobieta. A to ciało musiało być na strychu od dawna. Proszę was, żebyście niczego nie dotykali, jeśli możecie. Po prostu zabierzcie tylko szczątki. Ona chce wiedzieć, kim był ten facet, tak jak i wy.

– O, patrzcie. Przyjechał Ryan Mayfair. Ryan, Rowan jest tutaj. W okropnym stanie. Carlotta, zanim umarła, pokazała jej zwłoki na górze.

– Zwłoki?! Mówisz poważnie?

– Muszą je zabrać. Czy mógłbyś ty albo Pierce pójść na górę i dopilnować, żeby nie ruszali starych dokumentów i reszty? Rowan siedzi w salonie. Jest kompletnie wyczerpana. Porozmawia z tobą jutro rano.

Pierce od razu przyjął misję. Dudniący tupot kroków po starych schodach.

Ryan i Michael rozmawiali przyciszonym głosem. Zapach papierosa w holu. Ryan wszedł do jadalni i odezwał się szeptem do Rowan:

– Jutro zadzwonię do ciebie do hotelu. Jesteś pewna, że nie chcesz pojechać ze mną i Piercem do Metairie?

– Muszę być w pobliżu – odparła. – Porozmawiamy rano.

– Twój przyjaciel z Kalifornii to miły człowiek; pochodzi z tych stron.

– Tak, dziękuję.

Nawet dla starej Eugenii Michael był opiekunem. Otoczył ramieniem jej plecy i doprowadził do ganka, aby zobaczyła „panienkę Carlę”, zanim Lonigan zabierze jej ciało z bujanego fotela.

– Kochanie, chcesz, żebym do kogoś zadzwonił? Nie zostaniesz tu przecież sama na noc, prawda? Powiedz, co mam zrobić dla ciebie. Mogę poszukać kogoś, kto dotrzyma ci towarzystwa w tym domu.

Z Loniganem, starym przyjacielem, od razu się porozumiał. Stracił natychmiast kalifornijski akcent, mówił tak jak Jerry i Rita, która właśnie przyjechała z nim firmowym samochodem. Starzy przyjaciele; Jerry pił z ojcem Michaela na schodach trzydzieści pięć lat temu, Rita umawiała się z Michaeliem w czasach Elvisa Presleya. Rita objęła Michaela ramionami.

– Michael Curry.

Powędrowała w stronę drzwi; Rowan obserwowała ich w blasku migających świateł. Pierce rozmawiał przez telefon w bibliotece, której nawet jeszcze nie widziała. Mdłe światło elektryczne zalało pokój odsłaniając starą skórę i chiński dywan.

– ...cóż, Mike – mówił Lonigan – musisz powiedzieć doktor Mayfair, że kobieta miała dziewięćdziesiąt lat, tylko Deirdre trzymała ją przy życiu. Chodzi mi o to, że wiedzieliśmy, jak tylko Deirdre odeszła, iż to tylko kwestia czasu. Twoja przyjaciółka nie może się winić, za to co się tu dziś wieczorem wydarzyło. Wiem, jest lekarką, ale nie potrafi robić cudów.

„Nie, nie bardzo”, pomyślała Rowan.

– Mike Curry? Chyba nie jesteś synem Tima Curry’ego! – zawołał policjant w mundurze. – Powiedzieli mi, że to ty. Hej, do diabła, nasi ojcowie byli kuzynami, wiedziałeś? Och, tak, mój tata znał twojego całkiem dobrze. Pijali ze sobą piwo w Koronie.

W końcu zabrano zwłoki ze strychu, zapakowane w plastikowy worek, do którego przyczepiono kartkę. Drobne ciało starej kobiety ułożono na białych noszach, jakby jeszcze żyła, chociaż przenoszono ją tylko do samochodu firmy pogrzebowej, być może złożą Carlottę na tym samym stole do balsamowania, na którym dzień wcześniej leżała Deirdre.

– Żadnego pogrzebu, zgromadzenia, uroczystości, nic – stwierdził Ryan. Sama tak powiedziała mu wczoraj. Poinformowała też o tym Lonigana. – W tygodniu odbędzie się msza żałobna. Będziesz tu jeszcze?

Dokąd mam pójść? Po co? Znalazłam swoje miejsce na ziemi. W tym domu. Jestem czarownicą. Jestem zabójczynią. Tym razem zrobiłam to celowo.

– ...wiem, jakie to było dla ciebie okropne.

Wracała do jadalni. Usłyszała, jak młody Pierce mówi stojąc w drzwiach biblioteki:

– Chyba nie bierze pod uwagę nocowania w tym domu, prawda?

– Nie, wracamy do hotelu – odpowiedział Michael.

– Nie powinna zostać tutaj sama. Ten dom potrafi być bardzo denerwujący. Naprawdę denerwujący. Czy uznałbyś mnie za szalonego, gdybym ci powiedział, że gdy przed chwilą wszedłem do biblioteki, nad kominkiem wisiał czyjś portret, a teraz tam jest lustro?

– Pierce! – krzyknął gniewnie Ryan.

– Przepraszam, tato, ale...

– Nie teraz, synu, proszę.

– Wierzę ci – odparł z cichym śmiechem Michael. – Zostanę z nią.

– Rowan? – Ryan podszedł do niej ostrożnie – ona była w żałobie, była ofiarą, chociaż w rzeczywistości popełniła morderstwo. Agatha Christie

wiedziałyby o tym. Ale musiałyby popełnić morderstwo lichtarzem.

– Tak, Ryan.

Usiadł przy stole. Uważał, by nie dotknąć zakurzonej powierzchni rękawem doskonale skrojonego garnituru, idealnie pasującego na pogrzeb. Światło pojawiło się na jego arystokratycznej twarzy, w zimnych niebieskich oczach, znacznie jaśniejszych niż Michaela.

– Wiesz, że ten dom należy do ciebie.

– Powiedziała mi.

Młody Pierce z szacunkiem dla rodziców zatrzymał się w drzwiach.

– Cóż, jest tego znacznie więcej – stwierdził Ryan.

– Zastawy, hipoteka?

Pokręcił przecząco głową.

– Nie, i nie sędzę, żebyś kiedykolwiek musiała martwić się czymś takim, dopóki żyjesz. Ale chodzi o to, że kiedy zechcesz, możesz przyjechać do centrum i przejrzemy wszystko.

– Dobry Boże! – zawołał Pierce. – Czy to szmaragd? – Dostrzegł szkatułkę w cieniach pokoju. – A tylu ludzi tu wchodziło.

Ryan spojrzał na syna łagodnie i cierpliwie.

– Nikt nie ukradnie tego szmaragdu, mój drogi – stwierdził wzdychając. Zerknął niespokojnie na Rowan. Podniósł szkatułkę i spojrzał na nią, jakby nie całkiem wiedział, co z nią zrobić.

– Coś nie w porządku? – spytała Rowan. – O co chodzi?

– Czy mówiła ci o tym?

– A tobie ktoś o tym mówił? – zapytała spokojnie, bez nacisku.

– Słyszałem pewną historię – odparł z nieznacznym, wymuszonym uśmiechem. Postawił szkatułkę przed dziewczyną i poklepał wierzch dłonią. Wstał.

– Czy wiedzą, kim był ten mężczyzna na strychu? – zapytała.

– Dowiedzą się wkrótce. Przy zwłokach znaleziono paszport i inne

dokumenty, czy co tam z nich zostało.

– Gdzie Michael? – zapytała.

– Tutaj jestem, kochanie, tutaj. Posłuchaj, chcesz zostać sama? – W mroku jego ukryte w rękawiczkach dłonie wydawały się prawie niewidoczne.

– Jestem zmęczona, możemy już wracać? Ryan, zadzwonię do ciebie jutro, dobrze?

– Kiedy chcesz, Rowan.

Ryan zatrzymał się z wahaniem u drzwi. Zerknął na Michaela, który zrobił krok, aby wyjść. Rowan wyciągnęła rękę i sięgnęła po jego dłoń, zaskoczyło ją dotknięcie skóry.

– Rowan, posłuchaj – zaczął Ryan. – Nie wiem co, u diabła, powiedziała ci ciotka Carla. Nie wiem, jak tamto ciało znalazło się na górze ani czy dowiedziałaś się o dziedzictwie. Ale musisz oczyścić to stare miejsce, spalić śmieci ze strychu, sprowadzić tu ludzi. Michael mógłby ci pomóc. Wyrzucić wszystko, stare książki, słoje. Wpuść powietrze. Nie musisz sprawdzać całego domu, oglądając każdy pyłek kurzu, brudu i plugastwa. To spadek, ale nie klątwa. Przynajmniej nie musi nią być.

– Wiem – odpowiedziała.

Hałas u frontowych drzwi.

Dwóch młodych czarnych ludzi, którzy mieli przyjechać po babcię Eugenie, stanęło w holu. Michael wszedł na górę, by jej pomóc. Najpierw Ryan, a potem Pierce pochylili się, by pocałować Rowan w policzek. Nagle przypomniało jej to całowanie trupa. Wtedy uświadomiła sobie, że jest odwrotnie. Całowali umarłych tak samo jak żywych.

Ciepłe ręce, w mroku błysk pożegnalnego uśmiechu Pierce'a. Jutro telefon, obiad, rozmowa i tak dalej.

Piekielny zgrzyt zjeżdżającej windy. W filmach bohaterowie zjeżdżali windą do piekła.

– Masz swój klucz, Eugenio, więc po prostu przyjdź jutro, jak zawsze, jeśli



będiesz czegoś potrzebowała, chciała. Powiedz mi, kochanie, czy potrzebujesz pieniędzy?

– Dostałam moje pieniądze, panie Mike. Dziękuję panu, panie Mike.

– Bardzo dziękuję panu – powiedział młodszy z mężczyzn. Gładki, wykształcony głos.

Wrócił starszy policjant. Musiał stać przy samych drzwiach, bo ledwie go słyszała.

– Taa, Townsend.

– ...paszport, portfel, wszystko na miejscu, w kieszeni. Zamknięte drzwi. Ciemność. Spokój.

Kroki Michaela przemierzającego hol.

Teraz jesteśmy we dwoje, a dom pusty. Stał w drzwiach jadalni i patrzył na nią.

Cisza. Wyciągnął papierosa z kieszeni, po czym wcisnął paczkę z powrotem. Choć nie mogło to być łatwe w rękawiczkach, ale wydawały się nie krępować jego ruchów.

– Co mówisz? – spytał. – Idźmy stąd do diabła. – Puknął papierosem w szkło zegarka. Trzask zapalniczki i błysk w niebieskich oczach, gdy podniósł wzrok, by chłonąć widok jadalni, fresków.

Nie ma takich samych niebieskich oczu. Czy jego czarne włosy mogły tak bardzo urosnąć w tak krótkim czasie? Czy to wilgoć ciepłego powietrza sprawiała, że zgęstniały i zaczęły się kręcić?

Cisza dzwoniła w uszach. Wszyscy naprawdę odeszli.

Cały dom stał pusty. Liczne szuflady, szafy, szafeczki, pudła, słoje czekały na dotknięcie Rowan. Jednak sama myśl ruszenia czegokolwiek wydawała się odstręczająca. Posiadłość nie była jej, należała do starej kobiety. Wszystko do niej należało. Dom ociekający wilgocią, zatęchły i wstrętny jak stara kobieta. Rowan nie miała dość odwagi, by się poruszyć, by wejść po schodach, czy cokolwiek oglądać.

– Nazywał się Townsend? – spytała.

– Tak. Stuart Townsend.

– Kim był, do diabła? Mają jakiś pogląd?

Michael zamyślił się na chwilę, obtarł z wargi drobinę tytoniu. Przeniósł ciężar ciała z jednego biodra na drugie. Prawdziwy samiec, a jego gest to czysta pornografia.

– Wiem, kim był – odparł z westchnieniem. – Aaron Lightner, pamiętasz go? On zna każdy szczegół z życia Stuarta.

– O czym ty mówisz?

– Chcesz tutaj o tym rozmawiać? – Skierował wzrok w stronę sufitu, jakby coś wyczuwał. – Mam przed domem samochód Aarona. Moglibyśmy wrócić do hotelu albo pójść gdzieś do centrum.

Michael z upodobaniem kontemplował gipsowy medalion, żyrandol. W samym środku kryzysu zachwycał się domem ukradkiem i z poczuciem winy. Ale nie próbował ukryć swoich doznań.

– To ten dom, prawda? – spytała. – Ten, o którym mi opowiadałeś w Kalifornii.

Jego oczy wróciły do Rowan i utkwily w jej twarzy.

– Tak, właśnie ten – odpowiedział ze smutnym uśmiechem i kiwnięciem głowy. – Właśnie ten. – Strzepnął popiół w zgiętą dłoń. Potem odszedł powoli od stołu w stronę kominka. Leniwy ruch bioder, przesuwanie się grubego skórzanego pasa były do szaleństwa podniecające. Zobaczyła, jak strząsa popiół do pustego kominka, niewidoczny popiół, który prawdopodobnie niczego by nie zmienił, gdyby pozwolił mu opaść na zakurzoną podłogę.

– Co to znaczy, że Lightner wie, kim był ten człowiek?

Michael wydawał się niespokojny. Nieskończenie pociągający i bardzo niespokojny. Zaciągnął się papierosem i rozejrzał dookoła, zamyślony.

– Lightner należy do organizacji – powiedział i sięgnawszy do kieszeni koszuli wyjął wizytówkę. – Nazywają ją zakonem. Jak zakon religijny, ale nim

nie jest. Nazywa się Talamasca.

– Amatorzy sztuki tajemnej?

– Nie.

– Tak właśnie twierdziła stara kobieta.

– To kłamstwo. Wierzą w sztukę tajemną, ale jej nie praktykują, nie są też amatorami.

– Powiedziała mi dużo kłamstw. W tym co mówiła, kryła się odrobina prawdy, ale była cholernie splątana z nienawiścią, podłością, jadem i wstrętnymi, ohydnyimi kłamstwami. – Ciałem Rowan wstrząsnęły dreszcze. – Gorąco mi i zimno – stwierdziła. – Widziałam kiedyś taką wizytówkę. Dał mi ją kiedyś. Czy mówił ci o tym? Spotkałam go w Kalifornii.

Michael skinął głową z zakłopotaniem.

– Przy grobie Ellie.

– Hej, jak to możliwe, że jesteś jego przyjacielem, i on wie wszystko o mężczyźnie na strychu? Jestem zmęczona, Michael. Czuję, że zaraz zacznę krzyczeć i nigdy nie będę w stanie przestać. Jeśli zaraz mi nie wytłumaczysz... – Przerwała, wpatrywała się apatycznie w stół. – Nie wiem, co mówię.

– Ten człowiek, Townsend – powiedział Michael ostrożnie – był członkiem ich Zgromadzenia. Przyjechał tu w 1929, by nawiązać kontakt z twoją rodziną.

– Po co?

– Obserwowali Mayfairów od trzystu lat, spisali ich historię – ciągnął Michael. – Trudno ci będzie wszystko zrozumieć...

– I tak zupełnie przypadkiem jesteś przyjacielem tego człowieka?

– Nie, uspokój się. Nie było żadnego zbiegu okoliczności. Spotkałem go przed tym domem pierwszej nocy po przyjeździe. Wcześniej widziałem go w San Francisco, ty też go wtedy widziałaś, pamiętasz? To było tego wieczora, kiedy przyjechałaś po mnie do domu, ale oboje myśleliśmy, że jest dziennikarzem. Nigdy przedtem z nim nie rozmawiałem i do tamtej nocy nie spotkałem.

– Pamiętam.

– Wtedy, tu przed domem zobaczyłem go. Byłem pijany, upiłem się w samolocie. Wiem, obiecałem ci, że tego nie zrobię, lecz cóż, piłem. Przyjechałem na ulicę Pierwszą i ujrzałem tamtego mężczyznę w ogrodzie. Tyle że nie był to człowiek. Pomyślałem najpierw, że to ludzka istota, a potem uświadomiłem sobie, że tak nie jest. Widywałem tego faceta jako dzieciak. Za każdym razem, gdy mijałem ten dom. Opowiadałem ci o nim, pamiętasz? Muszę ci jakoś wytłumaczyć, że... on nie jest człowiekiem.

– Wiem – odparła. – Widziałam go. – Poczula, jak przeszył ją jakiś elektryczny dreszcz. – Mów dalej. Powiem ci, kiedy masz przerwać.

Ale nie mówił dalej. Spojrzał na Rowan z niepokojem, ogarnięty przygnębieniem. Zmartwił się. Stał oparty o gzyms kominka i patrzył na nią z góry. Światło z holu w połowie oświetlało jego twarz. Wzrok Michaela pobiegł ponad stołem, by w końcu wrócić do Rowan. Z czułością dostrzegła jego chęć opiekowania się nią, usłyszała lęk w głosie, aby jej nie skrzywdzić, i łagodność.

– Opowiedz mi wszystko – poprosiła. – Czy nie rozumiesz, że muszę ci wyjawić straszne tajemnice, bo jesteś jedyną osobą na świecie, z którą mogę się nimi podzielić? Więc odkryj przede mną swoją historię, gdyż wszystko mi w ten sposób ułatwiasz. Bo nie wiedziałam, jak mam ci opowiedzieć, że widziałam tego mężczyznę. Zobaczyłam go po twoim wyjeździe, na molo w Tiburon. Ukazał mi się dokładnie w chwili śmierci mojej matki w Nowym Orleanie, a wtedy nie wiedziałam, że umiera. Nie wiedziałam o jej istnieniu.

Skinął głową, ale był wciąż zdezorientowany, zażenowany.

– Jeśli tobie nie mogę zaufać, to znaczy, że z nikim nie mogę o tym rozmawiać. Powiedz mi, co ukrywasz przede mną? Tylko powiedz, dlaczego ten człowiek, Aaron Lightner był dla mnie serdeczny w dniu pogrzebu? Chcę dokładnie wiedzieć, kim jest i skąd go znasz. Czy mam prawo zadać ci te pytania?

– Słuchaj, najdroższa, możesz mi zaufać. Tylko się na mnie nie złość,

proszę.

– Och, nie martw się, potrzebuję czegoś mocniejszego niż kłótnia z kochankiem, by rozwalić czyjąś aortę.

– Rowan, nie to miałem na myśli...

– Wiem, wiem! – wyszeptała. – Ale ty wiesz, że zabiłam te starą kobietę.

Machnął ręką w geście zaprzeczenia. Pokręcił głową.

– Tak, zrobiłam to. – Spojrzała na Michaela. – Tylko ty wiesz. – Wtem straszne podejrzenie zrodziło się w jej głowie. – Czy powtórzyłeś Lightnerowi to, co ci mówiłam? Co mogę zrobić?

– Nie – odparł szczerze Michael. Błagał ją spokojnie i wymownie, aby mu uwierzyła. – Nie, ale on wie, Rowan.

– Wie co?

Nie odpowiedział. Lekko wzruszył ramionami i wyciągnął następnego papierosa. Stał, rozmyślając, wpatrując się w nią, wyciągnął pudełko zapalek i zupełnie bezwiednie zrobił tę cudowną sztuczkę, zapalił zapalną jedną ręką, wyjmując najpierw zapalną, potem zamykając pudełko, następnie przesuwając łąpek z draską po jednym boku i przytykając płomień do papierosa.

– Nie wiem, jak zacząć – powiedział. – Może od początku. – Wypuścił dym z płuc, oparł łokieć na gzymsie. – Kocham cię. Naprawdę. Nie wiem, jak to się stało. Mam pewne podejrzenia i boję się. Ale cię kocham. Jeśli tak to zaplanowano, jestem zgubiony. Naprawdę zgubiony, gdyż nie mogę zaakceptować przeznaczenia. Ale nie zrezygnuję z miłości. Nie dbam o to, co się stanie. Czy słyszałaś, co powiedziałem?

Skinęła głową.

– Musisz mi opowiedzieć wszystko o tamtych ludziach – poprosiła, po czym patrząc na niego powiedziała bez słów: *Czy wiesz, jak bardzo kocham cię, pragnę?*

Obróciła się bokiem w krzesło, by go lepiej widzieć. Potarła ramiona, oparła obcas pantofelka o poprzeczną beleczkę krzesła. Podniosła na Michaela wzrok.

Znowu zwróciła uwagę na jego biodra, klamrę paska, koszulę opinającą pierś. Nie mogła opanować pożądania. Najlepiej by było mieć to już za sobą, prawda? Och, tak, zjedzmy całe pyszne lody, aby się już ich pozbyć. A wtedy będziemy mogli sobie o wszystkim opowiedzieć. O mężczyźnie w samolocie. I o pytaniu starej kobiety, czy było lepiej niż ze śmiertelnikiem?

Michaelowi pociemniała twarz, gdy na nią patrzył. Kochał ją. Tak, ten mężczyzna jest najlepszy z wszystkich, jakich kiedykolwiek znała, dotykała czy pragnęła. Czym byłoby to wszystko bez niego?

– Michael, rozmawiaj ze mną uczciwie, proszę.

– Och, tak. Ale Rowan, nie wściekaj się na mnie. Tylko wysłuchaj, co muszę ci powiedzieć.

Wziął jedno z krzeseł stojących przy ścianie, odwrócił je oparciem do przodu i usiadł na nim okrakiem. Położył splecione ramiona przed sobą i spojrzał na nią. Ten gest też ją podniecił.

– Przez ostatnie dwa dni – zaczął – siedziałem zakopany około stu kilometrów stąd. Czytałem historię rodziny Mayfairów, zebraną i opracowaną przez tych ludzi.

– Z Talamaski.

Potwierdził gestem.

– Pozwól mi wyjaśnić. Trzysta lat temu żył człowiek – Petyr van Abel. Jego ojciec był słynnym chirurgiem i wykładał na uniwersytecie w Lejdzie w Holandii. Do dziś istnieją książki, które napisał ten lekarz – Jan van Abel.

– Wiem, kim był. Anatomem – odparła.

Uśmiechnął się i kiwał głową.

– Był twoim przodkiem, kochanie. Przypominasz jego syna. Przynajmniej tak twierdzi Aaron. Kiedy umarł Jan van Abel, osierocił Petyra, który został członkiem zakonu Zgromadzenia Talamasca. Umiał czytać myśli i widział duchy. Był czarownikiem, jak inni mogliby go nazwać, ale Talamasca dała mu schronienie. W końcu zaczął dla nich pracować. Do jego obowiązków należało

ocalanie osób oskarżanych w innych krajach o uprawianie czarnej magii. Wiesz, ludzie zdradzających nadprzyrodzone zdolności, takie, które ty masz i ja, które miał też Petyr van Abel. Mógł im pomóc w dotarciu do konwentu Talamaski w Amsterdamie.

Petyr van Abel pojechał do Szkocji chcąc ocalić od śmierci na stosie czarownicę – Zuzannę Mayfair. Ale przybył za późno. Jedyne, co mógł uczynić; a jak się potem okazało, było to bardzo wiele; to zabrać jej córkę Deborę z miasta, gdzie prawdopodobnie zostałaby spalona, i przewieźć do Holandii. Ale zanim to zrobił, zobaczył tego mężczyznę – tego ducha. Dostrzegł również, że dziewczynka również go widziała. Petyr doszedł do wniosku, że to Debora go wywoływała, co okazało się słuszne.

Debora nie została w Talamasce. W końcu uwiodła Petyra i miała z nim dziecko o imieniu Charlotta. Charlotta pojechała do Nowego Świata i to właśnie ona była protoplastką rodu Mayfairów. Ale kiedy Debora umarła we Francji, skazana za uprawianie magii, ten rudowłosy mężczyzna, duch, połączył się z Charlottą. Wtedy pojawił się ten szmaragdowy naszyjnik, który leży tu w tej szkatułce. Został jakby przekazany wraz z duchem Charlottcie.

Wszyscy należący do rodziny Mayfairów są potomkami Charlotty. W każdym pokoleniu aż po obecne czasy, co najmniej jedna kobieta dziedziczy moc Zuzanny i Debory, a to oznacza, między innymi, zdolność widzenia tego rudowłosego mężczyzny – ducha. A one wszystkie nazywane są w Talamasce czarownicami Mayfair.

Rowan wydała z siebie dźwięk na pół zdziwienia, na pół nerwowego rozbawienia. Wyciągnęła się na krześle i obserwowała drobne zmiany zachodzące w twarzy Michaela, gdy w milczeniu układał sobie w głowie wszystko, co chciał powiedzieć. Wtedy postanowiła, że nie odezwie się ani słowem.

– Talamasca – zaczął, starannie dobierając słowa – to zgromadzenie historyków, badaczy. Udokumentowali tysiące pojawień tego rudowłosego

mężczyzny przy domu i wewnątrz. Trzysta lat temu na Santo Domingo, kiedy Petyr van Abel pojechał tam, by porozmawiać ze swą córką, Charlottą, ten duch doprowadził go do szaleństwa, a w końcu zabił.

Michael znowu zaciągnął się papierosem, jego oczy obieży pokój, ale nic nie widziały, a raczej dostrzegały coś innego niż wyposażenie wnętrza, i wróciły do niej.

– Jak wyjaśniłem wcześniej – mówił dalej – widywałem tego mężczyznę, od czasu gdy skończyłem sześć lat. Za każdym razem, kiedy przechodziłem obok tego domu, stał tam. I w przeciwieństwie do niezliczonych ludzi wypytywanych przez Talamasce, ja widywałem go również w innych miejscach. Ale chodzi o to... tej nocy po moim powrocie, po tych latach, znowu zobaczyłem tego mężczyznę. A kiedy powiedziałem Aaronowi, co widziałem, kiedy przyznałem się, że widywałem tego mężczyznę od czasu, kiedy byłem, o takim berbeciem, kiedy wyznałem, że to ty właśnie uratowałaś mi życie... cóż, wtedy pokazał mi raport Talamaski o czarownicach Mayfair.

– Nie wiedział, że to ja wyciągnęłam cię z oceanu?

– Przybył do San Francisco, by zobaczyć się ze mną ze względu na moje ręce. To ich dziedzina, jeśli tak można powiedzieć, ludzie o szczególnych uzdolnieniach. Rutynowe postępowanie. Przyjechał do mnie, być może tak samo z obowiązku, jak Petyr van Abel pojechał, aby spróbować zapobiec egzekucji Zuzanny Mayfair. Wtedy zobaczył ciebie przed domem. Widział, jak przyjeżdżasz po mnie i wiesz, pomyślał, że wynajęłaś mnie, bym udał się do Nowego Orleanu. Sądził, że wynajęłaś kogoś o zdolnościach parapsychoicznych, kto przyjechałby tutaj i zbadał twoje pochodzenie.

Michael zaciągnął się po raz ostatni papierosem, po czym wrzucił do paleniska.

– Przynajmniej przez jakiś czas tak myślał. Dopóki mu nie powiedziałem, po co naprawdę przyjechałaś do mnie. Przekonałem Lightnera, że nigdy nie widziałaś tego domu, nawet na zdjęciu, chociaż jesteś jego właścicielką. Teraz



musisz tylko przeczytać ten raport o czarownicach Mayfair. Ale jest w tym jeszcze coś... jeśli o mnie chodzi, bo to mnie dotyczy.

– Wizje.

– Dokładnie – potwierdził z uśmiechem. Jego twarz nagle stała się ciepła i piękna. – Dokładnie! Przecież pamiętasz, mówiłem ci, że widziałem kobietę i klejnot...

– I twierdzisz, że to był szmaragd?

– Nie wiem, Rowan. Nie wiem, a jednak jestem o tym przekonany. Mogę stwierdzić z absolutną pewnością, widziałem Deborę Mayfair, miała na szyi szmaragdowy naszyjnik. Posłano mnie w jakimś celu.

– By walczyć z duchem?

Pokręcił przecząco głową.

– To znacznie bardziej skomplikowane. Właśnie dlatego musisz przeczytać raport. Rowan, naprawdę musisz to zrobić. Nie wolno ci się obrażać, że taki raport istnieje. Musisz go przeczytać.

– Co ma z tego Talamasca? – spytała.

– Nic – odpowiedział. – Informacje. Tak, lubią wiedzieć. Lubią rozumieć. Są, rozumiesz, takimi parapsychologicznymi detektywami.

– Pewnie też są obrzydliwie bogaci.

– Tak – potwierdził kiwając głową. – Ohydnie bogaci. Po prostu nadziani.

– Żartujesz.

– Nie, wcale nie żartuję. Zdobyli pieniądze w taki sam sposób jak twoja rodzina. Jak Kościół katolicki. Jak Watykan. Zrozum, to nie ma nic wspólnego z ich żądaniem czegoś od was...

– W porządku, wierzę ci. Tylko jesteś naiwny, Michaelu. Naprawdę, naiwny jak dziecko.

– Dlaczego, do diabła, tak sądzisz, Rowan? Chryste, skąd ci przyszła do głowy taka myśl? Mówiłaś to już wcześniej, ale to zupełnie idiotyczne!

– Michaelu, jesteś naiwny. Naprawdę. Powiedz mi teraz prawdę. Czy wciąż

wierzysz, że twoje wizje były dobre i ludzie, którzy ci się objawili, to istoty wyższe?

– Tak, wierzę – odparł.

– Ta czarnowłosa kobieta – skazana na śmierć wiedźma, jak ją nazwałeś, z klejnotem na szyi, była dobra... ta, która strąciła cię ze skały prosto do Pacyfiku, gdzie...

– Rowan, nie można udowodnić, że wplątano mnie w ciąg zaplanowanych, kontrolowanych wydarzeń! Wszystko, co wiem...

– Ujrzałeś tego ducha, kiedy miałeś sześć lat. Pozwól mi coś sobie powiedzieć, Michaelu. Ten mężczyzna, którego widziałeś tutaj dwa dni temu, nie jest dobry, podobnie jak i czarnowłosa kobieta.

– Rowan, jest zbyt wcześnie na taką interpretację.

– W porządku. Nie wściekaj się. Nie chcę, żebyś się złościł nawet przez sekundę. Cieszę się, że jesteś tutaj, nawet nie umiesz sobie wyobrazić jak bardzo. Siedzisz razem ze mną w tym domu, wszystko rozumiesz, jesteś... och, to okropne, co powiem, ale cieszę się, że nie jestem sama. Chcę, żebyś tu był. Ze mną. Oto cała prawda.

– Wiem. Rozumiem. To ważne, że jestem tutaj, a ty nie jesteś sama.

– Ale ty też nie wyciągaj zbyt wielu pochopnych wniosków. W tym domu tkwi coś przerażającego. Wyczuwam to, jak zło kryjące się we mnie. Nie, nic nie mów. Posłuchaj tylko. Jest tu coś tak złego, że mogłoby wybuchnąć i zniszczyć wiele osób, nawet więcej niż w przeszłości. A ty jesteś jak rycerz w lśniącej zbroi, który wjechał przez most zwodzony do upiornego zamku!

– Rowan, to nieprawda!

– W porządku. Dobrze. Nie utopili cię tam daleko. Nie zrobili tego. A to, że znasz tych wszystkich ludzi, Ritę Mae i Jerry'ego Lonigana, nie ma żadnego związku.

– Owszem, ma, ale należy postawić pytanie jaki? Najważniejsze jest, aby nie wyciągać zbyt pochopnych wniosków.

Rowan zwróciła się z powrotem do stołu, oparła na nim łokcie i położyła głowę na dłoniach. Nie miała pojęcia, która godzina. Noc wydawała się spokojniejsza niż przedtem; od czasu do czasu coś w domu trzasnęło lub zadźwięczało. Ale byli sami. Zupełnie sami.

– Wiesz – zaczęła – kiedy myślę o tej starej kobiecie, wydaje mi się, że otacza mnie chmura zła. Gdy z nią byłam, czułam się tak, jakbym znalazła się u boku wcielonego zła. A ona sama uważała się za dobrą. Mówiła, że walczy z diabłem. Wszystko zostało splątane, i to w sposób bardziej tajemniczy, niż myślimy.

– Zabiła Townsenda – stwierdził.

Odwróciła się i spojrzała na niego.

– Jesteś pewien?

– Położyłem na nim dłonie. Czułem kość. Ona to zrobiła. Związała go. Zawinęła w dywan. Być może był wtedy pod wpływem narkotyku, nie wiem. Ale mam pewność, że umarł zawinięty w dywan. Wygryzł w nim dziurę.

– Och, mój Boże! – zamknęła oczy. Głowę nagle wypełniły zbyt żywe obrazy.

– Przez cały czas byli w tym domu ludzie, ale nie słyszeli, jak umiera na górze. A nawet jeśli cokolwiek wiedzieli, nic nie zrobili.

– Dlaczego miałyby go zabić?

– Bo nas nienawidziła. To znaczy, nienawidziła Talamaski.

– Powiedziałaś „nas”.

– Przejęczyłem się, lecz mój błąd był znaczący. Czuję się tak, jakbym do nich należał. Przyszli do mnie i poprosili o współpracę. Zaufali mi. Ale wracając do sprawy chodziło mi o to, że Carlotta nienawidziła wszystkich obcych, którzy cokolwiek wiedzieli. Nadal każdemu obcemu grozi niebezpieczeństwo. Myślę o Aaronie. Spytałaś mnie, co Talamasca chce z tego uzyskać. Być może straci kolejnego członka.

– Wyjaśnij.

– Wraciał do domu z pogrzebu do siedziby na wsi, gdzie czekałem. Nagle zobaczył na drodze człowieka. Skręcił gwałtownie, przeokoziółkował dwukrotnie, lecz udało mu się wydostać z cholernego samochodu tuż przed eksplozją. Obaj z Aaronem wiemy, że to był ten duch. Bez względu na to jaki jest wielki plan, w tej gmatwaninie Aaron wypełnił już swoje zadanie.

– Jest ranny?

Michael pokręcił przecząco głową.

– Wiedział, co się stanie. Ale nie mógł ryzykować. Gdyby to nie było złudzenie, przejechałby człowieka. Był przypięty pasami. Dość mocno uderzył się w głowę.

– Zabrano go do szpitala?

– Och, tak, pani doktor. Czuje się dobrze. Dlatego tak długo nie przyjeżdżałem. Nie chciał, żebym tu jechał. Wolał, abyś u nich na wsi przeczytała dokumenty. Ale i tak przyjechałem. Wiedziałem, że to coś mnie nie zabije. Jeszcze nie wykonałem swojego zadania.

– Tego z wizji?

– Nie. On ma swój cel, a oni swój. Nie działają razem, lecz przeciw sobie.

– Co się stanie, jeśli spróbujesz uciec do Tybetu? – spytała.

– Chcesz wyjechać?

– Jeśli ja wyjadę z tobą, to nie będzie ucieczka. Ale zastanów się, co się zdarzy, gdy naprawdę opuścisz to miejsce?

– Nie wiem. Nie mam zamiaru uciekać, więc to się nie liczy. Chcą, żebym walczył z nim i z jego planem, który knuje cały czas. Jestem o tym przekonany.

– Chcą, żebyś przerwał łańcuch – stwierdziła. – Tak właśnie powiedziała stara kobieta: „Przerwij łańcuch!” Myślała o dziedzictwie, które pochodzi chyba od Charlotty, chociaż nie wspominała nikogo z tak odległej przeszłości. Mówiła, że sama próbowała, a teraz ja mogłabym to zrobić.

– To oczywista odpowiedź, ale musi istnieć jeszcze inny związek z nim. Ukazał mi się z jakiegoś powodu.

– W porządku. Posłuchaj mnie teraz. Mam zamiar przeczytać te dokumenty. Każdą stronę. Ja też go widziałam, lecz on nie tylko się pojawia. To coś oddziałuje na materię.

– Kiedy go widziałaś?

– Tej nocy, gdy umarła moja matka. W tej samej chwili. Próbowałam się do ciebie dodzwonić. Zatelefonowałam do hotelu, ale nie odebrałeś. Diabelnie się przestraszyłam. Ale samo ukazanie się nie ma znaczenia. Ważne jest to, co zdarzyło się później. To coś wzburzyło wodę wokół domu tak mocno, że dom chwiało się na palach. A wtedy nie było sztormu w Zatoce Richardsona ani w Zatoce San Francisco, żadnego trzęsienia ziemi czy innej naturalnej przyczyny tego zjawiska. Zaszło coś jeszcze. Następnym razem czułam, jak to coś mnie dotyka.

– Kiedy to się stało?

– W samolocie. Myślałam, że śnię. Ale to nie był sen. Potem czułam tam ból, obtarcie, jakbym była z dużym mężczyzną.

– To znaczy, że...

– Myślałam, że śnię. Próbuję go określić i stwierdzam, że to coś to nie tylko wizje. Jest fizyczne w bardzo szczególny sposób. A co muszę zrozumieć, to jego wymiary.

– Cóż, to bardzo naukowe podejście, jak najbardziej godne polecenia. Mogę zapytać, czy to dotyknięcie wywołało mniej lub bardziej naukowy odzew?

– Oczywiście, że tak. Sprawiało mi przyjemność, bo byłam rozespana. Po ocknięciu poczułam się tak, jakbym została zgwałcona. Ogarnął mnie wstręt.

– Och, to wspaniale – stwierdził z namysłem. – Masz przecież moc, aby powstrzymać to coś przed taką napaścią.

– Tak. Teraz, kiedy już wiem, co to jest, powstrzymam go. Ale gdyby ktoś próbował wmówić mi przedwcześniej, że niewidzialne coś wsunie mi się pod ubranie w czasie lotu do Nowego Orleanu, nie byłabym na to bardziej przygotowana niż byłam, bo nie uwierzyłabym. Wiemy, że to coś nie chce mnie

skrzywdzić. I prawie jesteśmy pewni, że tobie też nie zrobi nic złego. Ale musimy pamiętać, że wyrządzi krzywdę każdemu, kto wtrąca się do jego planów, a to dotyczy twego przyjaciela Aarona.

– Prawda – przytaknął Michael.

– Wyglądasz na zmęczonego i to ciebie trzeba zabrać do hotelu i położyć do łóżka – stwierdziła. – Dlaczego nie wracamy?

Nie odpowiedział. Wyprostował się. Podrapał w kark.

– Czegoś mi nie mówisz – zaczął.

– Czego?

– Ja tego też nie powiem.

– Ależ powiedz – poprosiła cicho, spokojnie.

– Nie chcesz z nim porozmawiać? Wobec ciebie byłby szczery. Nie chcesz sama zapytać, kim lub czym jest? Nie uważasz, że możesz się z nim porozumieć lepiej niż ktokolwiek inny? Może ty nie chcesz. Ale ja chcę z nim porozmawiać. Pragnę wiedzieć, dlaczego ukazał mi się, kiedy byłem dzieckiem; dlaczego podszedł do mnie tak blisko, że prawie dotykałem jego buta. Chcę wiedzieć, czym jest. Mam pewność, bez względu na to, co Aaron mówił lub co powie, że jestem na tyle mądry, by dotrzeć do tego czegoś i zmierzyć się z nim. Może właśnie to coś oczekuje znaleźć w każdym, kto go widzi, taką dumę. Może na nią liczy. Jeśli tego nie czujesz tak jak ja, cóż, jesteś mądrzejsza i silniejsza ode mnie. Nigdy nie rozmawiałem z duchem czy zjawą, czym on tam zresztą jest. Za nic nie przepuściłbym takiej okazji, nawet wiedząc to wszystko, co wiem i pamiętając, co zrobił Aaronowi.

Skinęła głową.

– Tak, dobrze to ująłeś. Być może to coś manipuluje nami, wykorzystując próżność tkwiącą w każdym z nas, wiarę że nie uciekniemy tak jak inni. Jednak między mną a tym czymś jest coś jeszcze. Dotknęło mnie, potem zostawiło, a ja poczułam się zgwałcona. Nie polubiłam tego.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Michael zerknął na nią. Prawie słyszała

trybiki poruszające się w jego głowie.

Wstał i sięgnął po szkatułkę. Przesunął ją ku sobie po gładkiej powierzchni stołu. Otworzył i spojrzał na szmaragd.

– Dalej – mruknęła. – Dotknij!

– Nie przypomina klejnotu, który narysowałem – wyszeptał. – Szkicowałem z wyobraźni, a nie z pamięci. – Michael pokręcił głową.

Wydawało się jej, że zamknie szkatułkę, gdy nagle ściągnął rękawice i położył palce na kamieniu.

Czekała w ciszy. Dostrzegła w jego oczach rozczerowanie i niechęć. Kiedy z westchnieniem opuścił wieczko, nie nalegała na odpowiedź.

– Widziałem ciebie – zaczął – jak zakładasz naszyjnik. Siebie stojącego przed tobą. – Włożył starannie rękawiczkę.

– Wtedy wszedłeś.

– Tak – przytaknął. – Nawet nie zauważyłem, że go masz na szyi.

– Było ciemno.

– Nie o to chodzi, po prostu nie miałaś go na szyi.

– Jakie to ma znaczenie? – spytała wzruszając ramionami. – Zdjęłam klejnot i schowałam z powrotem do szkatułki.

– Nie wiem.

– Czy widziałeś coś jeszcze?

Pokręcił głową.

– Nie, to znaczy tak, że mnie kochasz – wyszeptał. – Naprawdę.

– Wystarczy, że dotkniesz mnie, żeby się tego dowiedzieć – odparła.

Uśmiechnął się, lecz smutno, z rezygnacją. Wsunął ręce do kieszeni, jakby próbował się pozbyć własnych dłoni. Pochylił głowę. Czekała dłuższą chwilę. Cierpiała widząc go zatroskanego.

– Chodźmy stąd – zaproponowała. – To miejsce gorzej działa na ciebie niż na mnie. Wracajmy do hotelu.

Skinął głową.

– Wypiłbym szklanę wody. Gorąco mi. Jak myślisz, jest gdzieś w tym domu zimna woda?

– Nie mam pojęcia – odpowiedziała. – Nawet nie wiem, czy jest tu kuchnia. Może znajdziemy gdzieś studnię z czerpakiem obrośniętym mchem. A może jest zaczarowane źródło.

Roześmiał się cicho.

– Chodź, poszukajmy wody.

Wstała i wyszła za nim przez tylne drzwi jadalni. Znaleźli się w kredensie. Była tam mała umywalka i oszklone szafki wypełnione porcelaną. Michael przeszedł powoli przez pomieszczenie. Wydawało się, że mierzy grubość murów.

– Tutaj! – zawołał mijając kolejne drzwi. Nacisnął stary, czarny guzik na ścianie. Pod sufitem zapaliła się zmatowiała żarówka, odsłaniając długie, dwupoziomowe pomieszczenie. Na wyższym poziomie znajdowało się sterylne miejsce do prac kuchennych, a na niższym, po zejściu po dwóch schodkach znaleźli mały pokój śniadaniowy z kominkiem. Długi szereg szklanych drzwi ukazywał zarośnięty ogród. Tutaj kumkanie żab wydawało się głośniejsze, czystsze. Ciemny zarys ogromnego drzewa całkowicie zasłaniał widok północnego rogu posiadłości.

Pokoje umeblowane były staroświecko, choć wygodnie. Wbudowana lodówka zajmowała połowę ściany. Ogromne, ciężkie drzwi przypominały chłodnie w restauracjach.

– Nie mów mi, jeśli znajdziesz tam jakieś ciało – poprosiła ze znużeniem. – Nie chcę wiedzieć.

– Jest tylko jedzenie – odparł z uśmiechem. – I zimna jak lód woda. – Ujął przezroczystą szklaną butelkę. – Opowiem ci o Południu. Tu zawsze w lodówce znajdziesz butelkę zimnej wody.

Przeszukał szafki nad zlewem w rogu i znalazł dwie szklanki. Odstawił je na nieskazitelny blat.



Orzeźwiająca woda miała cudowny smak. Nagle Rowan przypomniała sobie starą kobietę. To jej dom, więc być może jej szklanka. Szklanka, z której piła. Rowan ogarnęły mdłości. Wstawiła naczynie do małego stalowego zlewu.

„Tak, zupełnie jak w restauracji”, pomyślała, próbując obiektywnie ocenić otoczenie. To miejsce dawno, dawno temu wyposażono odpowiednio. Ktoś wyrwał wiktoriańską armaturę, która jest teraz taka modna w San Francisco, i wstawił tę lśniącą stal.

– Co zrobimy, Michaelu? – spytała.

Spojrzał na szklanę, którą trzymał w dłoni. Potem popatrzył na dziewczynę. Rozczuliło ją ciepło i serdeczność w jego spojrzeniu.

– Kochajmy się, Rowan. Kochajmy się. Wiesz przecież, że tak jak jestem pewien moich wizji, tak jestem przekonany, że nasza miłość nie należy do niczyjego planu.

Podeszła do Michaela i objęła go ramionami. Poczuła dotyk dłoni, delikatnie i ciepło splatających się na szyi i włosach. Trzymał ją tak mocno. Schował twarz w jej szyi, potem pocałował lekko w usta.

– Kochaj mnie, Rowan, i ufaj mi – mówił szczerze, aż serce jej pękało. Odsunął się trochę, wydawał się zamykać w sobie. Wziął ją za rękę i zaprowadził powoli do wyjścia. Stał i zaczął wpatrywać się w ciemność.

Otworzył drzwi. Nie miały zamka, prawdopodobnie jak wszystkie pozostałe.

– Możemy wyjść na zewnątrz? – zapytał.

– Oczywiście. Dlaczego pytasz?

Popatrzył na nią tak, jakby chciał ją pocałować, ale tego nie zrobił. Wtedy ona go pocałowała. Wystarczyła odrobina jego słodkiego smaku, aby powróciło pożądanie. Długo przytulała się do Michaela. W końcu wyszła na zewnątrz.

Znaleźli się na osłoniętej werandzie, mniejszej od tej, na której umarła stara kobieta. Przeszli przez jeszcze jedno staromodne drzwi. Sprężyna zamknęła je za ich plecami. Kilka drewnianych schodów i znaleźli się na kamiennych płytach chodnika.

– Wszystko w porządku – stwierdził. – Jeszcze nie jest w takim złym stanie.

– A sam dom? Można go ocalić, czy już za bardzo jest zrujnowany?

– Ten dom? – uśmiechnął się kręcąc głową. Błękitne oczy zalsniły, gdy spojrzął na nią, a potem na wąski daszek nad głowami. – Kochanie, on przetrwa nas oboje. Nigdy nie byłem w takim domu. Przez wszystkie lata w San Francisco. Jutro tu wrócimy i pokażę ci go w pełnym słońcu. Zobaczysz grube ściany, belki stropowe – przerwał, zawstydzony, że tak szybko zapomniał o nieszczęściu i śmierci starej kobiety.

Była przecież jeszcze Deirdre, tak wiele pozostawionych bez odpowiedzi pytań dotyczących matki Rowan. Tyle rzeczy już się wyjaśniło, a jednak wydawało się, że czeka ich najciemniejsza z podróży... Spójrz na Michaela, zobacz, jakie podniecenie kryje się w jego oczach, gdy przygląda się ścianom, sprawdza framugi drzwi, parapety i schody.

– Kochasz ten dom, prawda?

– Kochałem go już jako dzieciak – odparł. – I miłość ta odżyła, kiedy zobaczyłem go dwa dni temu. Kocham go, chociaż wiem, jakie okropne rzeczy miały tu miejsce i co przydarzyło się temu facetowi na strychu. Kocham go, bo to twój dom. I... dlatego że jest... bo jest piękny bez względu na to, co ktoś tu zrobił. Był piękny, kiedy go zbudowano. Będzie piękny za sto lat.

Michael otoczył Rowan ramionami. Przywarła do niego, tuląc się mocno. Poczula, że całuje jej włosy, palce w rękawiczce dotknęły policzka. Chciała zerwać mu rękawice. Ale nic nie powiedziała.

– Wiesz, to śmieszne – zaczął – przez wszystkie lata w Kalifornii pracowałem nad wieloma domami. Kochałem je. Ale w przeciwieństwie do tego domu żaden z nich nie sprawił, że poczułem swoją śmiertelność, małość. Dlatego tak się czuję, bo wiem, że będzie tu stał, kiedy odejdę.

Odwrócili się i weszli głębiej w ogród. Wyszukiwali kamienie w wysokich chwastach. Bananowce wyrosły tak gęsto, że liście ocierały się o ich twarze.

Zarośla zamknęły się za nimi, zasłoniły światło z kuchni. Było mroczno,

ciemno jak na wsi.

Poczuła zapach gnijących liści przypominający odór bagna. Rowan uświadomiła sobie, że patrzy na długą sadzawkę. Stanęli na kamiennym obramowaniu czarnej wody. Była tak bardzo zarośnięta, że ledwie widzieli powierzchnię. Lilie wodne pobłyskiwały dumnie w bladym świetle z dalekiego nieba.

Niewidoczne owady brzęczały głośno. Rechotały żaby, mąciły wodę, sprawiając że światło nagle załamywało się na powierzchni. Słyszeli szum, jakby z sadzawki czerpały wodę fontanny. Rowan zmrużyła oczy i zobaczyła ciekące z góry cienkie strumienie wody.

– Zbudowała to Stella – powiedział. – Ponad pięćdziesiąt lat temu z innym przeznaczeniem. Był to basen pływacki. Teraz wyrasta tu ogród. Ziemia odebrała co swoje.

Miał taki smutny głos. Nagle zobaczył potwierdzenie czegoś, w co nie mógł uwierzyć. Pamiętała, jak uderzyło ją to imię, gdy Ellie w ostatnim tygodniu agonii powiedziała: „Stella w trumnie”.

Michael patrzył w stronę domu. Gdy podążyła za jego spojrzeniem, zobaczyła wysoki szczyt trzeciego piętra, bliźniacze kominy płynące na tle nieba, blask księżyca lub gwiazd, nie wiedziała czego, odbity w kwadratowych oknach na samej górze, w pokoju, w którym umarł tamten mężczyzna i dokąd Antha uciekała przed Carlottą. Spadła z tak wysoka wprost na kamienne płyty, gdzie pękł jej kręgosłup, rozmazała się galaretowata tkanka mózgu, popłynęła krew.

Rowan przytuliła się mocniej do Michaela. Splotła ręce na jego plecach i oparła się całym ciężarem.

Spojrzała do góry prosto na blade niebo i kilka rozrzuconych, świecących jasno gwiazd. Wróciło do niej wspomnienie starej kobiety. Czowała się tak, jakby otaczająca ją chmura zła nigdy nie miała jej opuścić. Pomyślała o wyrazie twarzy starej kobiety w chwili jej śmierci. Wspomniała słowa. Twarz jej matki

w trumnie, ułożona do wiecznego snu na białym atlasie.

– O co chodzi, kochanie? – zapytał.

Cichy hurkot wydobył się z piersi Michaela.

Przycisnęła twarz do jego koszuli. Znowu zaczęła drżeć, tak jak zdarzało się to przez całą noc. Michael otoczył ją mocniej ramionami. Poczowała dreszcz rozkoszy.

Kumkały żaby. Niski, rozdzierający śpiew bagnisk. Daleko zapłakał nocny ptak. Nie do wiary, że gdzieś, całkiem blisko biegną ulice, za drzewami stały inne budynki, w których mieszkali ludzie, a te drobne żółte światełka odbijające się na lśniących liściach pochodziły z domów bliskich sąsiadów.

– Kocham cię, Michaelu – wyszeptała. – Naprawdę. Kocham cię. Nie mogła zrzucić z siebie przecucia zła. Wydawało się stanowić część nieba, gigantycznego drzewa zwieszającego gałęzie nad jej głową, do lśniącej wody ukrytej w gnijącej, wysokiej trawie. Ale zło nie kryło się na zewnątrz. Czaiło się w niej. Położyła głowę na piersi Michaela. Uświadomiła sobie, że to nie tylko wspomnienie starej kobiety, jej kruchej złośliwości, ale przecucie. Wysiłki Ellie musiały pójść na darmo, gdyż Rowan przeczuwała coś od dawna. Może przez całe życie wiedziała, że gdzieś w przyszłości czeka na nią straszna tajemnica. Głęboka, bezwzględna, zachłanna, wielowarstwowa tajemnica, która gdy raz zostanie odsłonięta, będzie odkrywana bez końca. Tajemnica, która stanie się światem i zmieni życie zwykłych ludzi.

Długi dzień w tropikalnym mieście o balsamicznym powietrzu spędzony na staroświeckich uroczystościach i rytuałach to zaledwie pierwsza odsłona.

Ta wielka tajemnica bierze swą siłę z tych samych korzeni, z których ja czerpię moją, dobrą i złą, ponieważ nie można ich rozdzielić.

– Rowan, chodźmy stąd – zaproponował Michael. – Powinniśmy wyjść wcześniej. To moja wina.

– Nie, nie zależy mi, by opuścić to miejsce – wyszeptała. – Podoba mi się tutaj. Nie ma znaczenia dokąd pójdę, może więc zostaniemy tu, gdzie jest

ciemno, spokojnie i pięknie?

Powróciła intensywna woń kwiatu, o którym stara kobieta powiedziała, że to jaśmin.

– Och, Michael, czujesz? – spojrzała na białe lilie wodne połyskujące w ciemności.

– To zapach letnich nocy w Nowym Orleanie. Samotne spacerowanie, gwizdanie i przeciąganie kijkiem po żelaznym ogrodzeniu – zaczął wspominać, a Rowan z uwielbieniem wsłuchiwała się w niskie tony jego głosu. – To zapach, który zawsze towarzyszy ci w czasie włóczenia się po tych uliczkach.

Pochylił głowę, próbował zobaczyć twarz dziewczyny w ciemności.

– Rowan, nie pozwól, aby ten dom popadł w ruinę, bez względu na to, co się stanie. Nawet jeśli będziesz musiała go opuścić i nie zobaczyć nigdy więcej, nawet jeśli go znienawidzisz. Nie dopuść do ruiny. Nie pozwól, aby trafił w ręce kogoś, kto go nie kocha. Jest zbyt piękny. Musi przetrwać, tak jak my.

Nie odpowiedziała. Nie mogła powierzyć mu tego przerażającego lęku, że nie przeżyją, a wszystko, co przynosiło jej pocieszenie, zostanie stracone. Wtedy przypomniała sobie twarz starej kobiety, gdy powtarzała: „Możesz wybrać. Możesz przerwać łańcuch!” Stara kobieta próbująca przebić się przez skorupę własnej złości, podłości i obojętności, starając się przekazać Rowan coś, co sama uważała za czyste i prawdziwe. I to w tym samym pokoju, w którym umarł człowiek zawinięty w dywan, gdy tymczasem na dole toczyło się zwyczajne życie.

– Chodź, najdroższa – powiedział. – Wracajmy do hotelu. Nalegam. Położymy się na takim wielkim, miękkim hotelowym łóżku i przytulimy do siebie.

– Możemy wrócić na piechotę, Michael? Powoli, noga za nogą, w ciemności?

– Oczywiście, kochanie, jeśli tylko chcesz.

Nie mieli kluczy, żeby zamknąć drzwi. Zostawili zapalone światło, płonące

za brudnymi szybami. Poszli ścieżką do zardzewiałej furtki.

Michael otworzył drzwi samochodu. Wyjął ze środka teczkę i pokazał ją Rowan. Powiedział, że tu kryje się cała historia, ale nie może jej przeczytać, dopóki nie usłyszy od niego paru wyjaśnień. Są kwestie, które ją zaskoczą, zszokują, zmartwią. Obiecał, że porozmawiają o wszystkim przy śniadaniu. Przyrzekł Aaronowi, że nie da jej do rąk tej opowieści bez koniecznego, odpowiedniego wprowadzenia. Aaron chciał, żeby zrozumiała.

Skinęła głową. Ufała Anglikowi. Ludzie nie mogli jej oszukać, a Lightner nie musiał kłamać. Kiedy tak o nim myślała, przypomniała sobie dotyk jego palców na ramieniu na pogrzebie, ogarnęło ją nieprzyjemne uczucie, że Aaron jest zbyt niewinny, by wplątywać się w tę sprawę. Obaj razem z Michaeliem byli niewinni, gdyż nie rozumieli zła tkwiącego w ludziach.

Taka była zmęczona. Bez względu na to co widzisz, czujesz, przeżywasz, w końcu ogarnia cię zmęczenie. Nie możesz dzień po dniu lamentować. Rzuciła spojrzenie przez ramię na dom, znowu myśląc o starej kobiecie, drobnej i martwej w bujanym fotelu. Jej śmierć nigdy nie będzie zrozumiana ani pomszczona.

Gdybym nie zabiła Carlotty, nienawidziłabym jej bez opamiętania! Ale teraz mam z jej powodu poczucie winy. Uprzytomniła mi moje wątpliwości.

Michael został z tyłu. Patrzył na frontowe drzwi. Podeszła do niego i pociągnęła za rękaw.

– Przypominają ogromną dziurkę od klucza, prawda? – zapytała.

Kiwnął głową, ale wydawał się gdzieś daleko, zatopiony w myślach.

– Tak właśnie nazywali ten styl: drzwi – dziurka od klucza – powiedział cicho i niewyraźnie. – To taka mieszanina egipsko-grecko-włoska, w której się strasznie kochali, w czasach kiedy budowano ten dom.

– Wykonali kawał dobrej roboty – przyznała ze znużeniem. Chciała mu opowiedzieć o drzwiach wykutych na grobowcu, ale była zbyt zmęczona.

Szli powoli, trzymając się za ręce. Skręcili w ulicę Filipa, potem w Prytania,

kierując się w stronę alei Jacksona. Mijali w ciemności przytulne domy i ogrodzenia ogrodów. Doszli do alei Świętego Karola. Przechodzili obok zamkniętych sklepów i barów, wieżowców. Dotarli do hotelu. Po drodze przemknął gdzieś samotny samochód, tramwaj z metalicznym turkotem wziął zakręt i z rumorem znikł w oddali. Puste okna świeciły żółto.

Kochali się pod prysznicem, całowali i pieścili pospiesznie, niezręcznie. Dotyk skórzanych rękawiczek do szaleństwa podniecał Rowan, gdy czuła go na nagich piersiach i między udami. Dom zniknął, przypadło też wspomnienie starej kobiety i biednej, smutnej, pięknej Deirdre. Pozostał tylko Michael, mocny tors, o którym śniła, i twarda męskość w jej dłoni unosząca się spośród ciemnych, lśniących, kręconych włosów.

Dawno temu jakaś przyjaciółka idiotka powiedziała jej przy kawie na uniwersytecie, że kobiety uważają męskie ciało za brzydkie i ważniejsze dla nich jest to, co mężczyzna robi. Ona zawsze kochała mężczyzn za to, co robili i jak wyglądali. Ubóstwiała silne ciało, drobne delikatne sutki, twarde brzuch, męskość, którą wzięła do ust. Uwielbiała dotykać jędrnych ud, miękkich włosów porastających ciało. Mężczyźni tacy byli: jedwabiści i twardzi.

Rowan przeciągnęła dłonią wzdłuż nogi Michaela, podrapała z tyłu jego kolana, ścisnęła mięśnie łydek. Jakież on silny. Przyparła go do ściany z kafelków, ssała długimi, słodkimi pociągnięciami, objęła dłonią jego jądra i uniosła do góry do samej podstawy członka.

Próbował łagodnie podnieść ją z kolan, ale chciała, żeby wystrzelił jej prosto w usta. Oparła się mocniej o jego biodra. Już miała przestać, gdy poczuła, że się w niej rozlewa. Jego jęk był najwspanialszy na świecie.

Później weszli do ciepłego i suchego łóżka. Wiatrak cicho szumiał. Michael ściągnął rękawiczki i zaczęli od początku.

– Nie mogę się powstrzymać, nie zniosę tego, muszę cię dotknąć gołymi rękami – wyszeptał. – Chcę się dowiedzieć, jak to było, tam w samolocie, ale wiem, że nie powinienem cię pytać. Wiesz, jakbym widział twarz mężczyzny,

który cię dotykał...

Położyła się na poduszce. Patrzyła na niego w ciemności. Uwielbiała miazdzący ciężar jego ciała i ręce prawie ciągnące ją za włosy. Zwinęła prawą dłoń w pięść i potarła kostkami Michaela pod brodą.

– Było tak, jakbym robiła to sama – powiedziała cicho. Sięgnęła po jego lewą rękę, przyciągnęła do siebie i pocałowała. Zesztywniał, twardy członek napierał na jej udo. – Nie przetoczył się przeze mnie jakiś obcy grom i trzask, lecz też nie było to zetknięcie żywych komórek z żywymi komórkami

– Hmm, uwielbiam te żywe komórki – wymruczał Rowan do ucha i zaczął obsypywać ją pocałunkami. Usta dziewczyny wracały do Michaela tak spragnione, rozpalone jak jego.

\* \* \*

Kiedy przebudziła się, była czwarta rano. *Pora jechać do szpitala.* Nie. Michael spał. Nie poczuł delikatnego pocałunku w policzek. Włożyła ciężki, gruby szlafrok z białego frotte, który znalazła w szafie. Wyszła po cichu do saloniku. Światło dochodziło z alei.

Na dole pusto. Ulica opuszczona jak scena po zakończonym przedstawieniu. Uwielbiała ulice o wczesnym poranku, kiedy można było na nich tańczyć niczym na parkiecie. Białe linie i światła sygnalizacyjne straciły znaczenie.

Głowę wypełniała jasność. Czowała się bezpieczna. Dom czekał, ale tak było od dawna.

Dowiedziała się, że kawa nie jest jeszcze gotowa. Pan Lightner zostawił wiadomość dla niej i dla pana Curry'ego, że przyjedzie do hotelu po południu i następnego ranka będzie można go tam zastać. Zapisała numer telefonu.

Poszła do małej kuchenki, znalazła dzbanek i kawę. Przyrządziła ją sobie sama. Wróciła i starannie zamknęła drzwi sypialni, a potem krótkiego korytarzyka między sypialnią a salonikiem.



Gdzie był raport o czarownicach Mayfair? Co Michael zrobił z teczką, którą zabrał z samochodu?

Przeszukała salonik, wyposażony w krzesła i kanapę z długimi falbanami, potem sprawdziła biureczko, szafy, a nawet kuchnię. Nie znalazłszy tam niczego, wróciła do korytarzyka i patrzyła stamtąd, jak Michael śpi w świetle dochodzącym zza okna. Z tyłu na karku kręciły mu się włosy.

W szafach nic. W łazience nic.

Sprytny Michael. Ale mam zamiar znaleźć. Wtedy zobaczyła brzeg teczki. Schował ją pod krzesłem.

„Nie ufasz mi, ale właśnie robię to, co obiecałam, że nie zrobię”, pomyślała. Wyciągnęła teczkę. Znieruchomiała, aby wsłuchać się w rytm jego oddechu, potem zamknęła drzwi. Przeszła na palcach przez korytarzyk, zamknęła następne drzwi i położyła teczkę na stolyczku do kawy oświetlanym przez stojącą lampę.

Wzięła dzbanek z kawą i papierosy. Usiadła na kanapie i spojrzała na zegarek. Minął kwadrans po czwartej. Lubiła tę godzinę. Dobra pora do czytania. Ulubiona na poranną wizytę w szpitalu; przejeżdżanie czerwonych świateł jednego za drugim w wielkiej, spokojnej próżni. Wtedy głowa wypełniała się uporządkowanym, szczegółowym planem czekających ją operacji. Ale była to też najlepsza pora na czytanie.

Otworzyła okładkę i wyjęła grubą paczkę teczek. Każda z nich miała intrygujący nagłówek: Raport o czarownicach Mayfair. Uśmiechnęła się.

Było to takie dosłowne.

– Takie niewinne – wyszeptała. – Wszyscy są tak niewinni. Człowiek na strychu. A tamta stara kobieta – wiedźma do szpiku kości.

Przerwała, zaciągnęła się pierwszym papierosem zastanawiając się, dlaczego ona doskonale wszystko rozumiała i dlaczego jest taka pewna, że tamci, Aaron i Michael, nie rozumieli.

Żadna odkrywcza myśl nie zmieniła jej przekonania.

Przerzucała szybko zawartość teczek, na prędko oceniając zgromadzone w nich materiały. Tak postępowała zawsze z tekstami naukowymi, gdy chciała przeczytać je za jednym posiedzeniem. Dokładniej przyglądała się przypadkowo wybranym, pojedynczym stronom, sprawdzając ilość słów konkretnych i określeń abstrakcyjnych. Z zadowoleniem stwierdziła, że tych pierwszych jest więcej.

Da radę skończyć przed upływem czterech godzin. Jeśli dopisze jej szczęście, Michael nie obudzi się do tego momentu. Cały świat będzie jeszcze spał. Skuliła się na kanapie, bosc stopy oparła na krawędzi stoliczka. Zaczęła czytać.

O dziewiątej szła wolno ulicą Pierwszą, aż dotarła do rogu z Kasztanową. Poranne słońce wisiało już wysoko na niebie. Ptaki śpiewały jak oszalałe w liściastym sklepieniu z gałęzi wysoko nad głową. Ostre krakanie wrony zakłóciło łagodną melodię chóru. Wiewiórki skakały po grubych konarach wyrastających nisko i sięgających daleko za murowane ogrodzenia. Czysto zamiecione ceglane chodniki były opuszczone. Cała okolica wydawała się należeć do kwiatów, drzew, domów. Nawet hałas z rzadka przejeżdżającego samochodu pochłaniało wszechogarniające znieruchomienie i zieloność. Czyste, błękitne niebo przeświecało przez pajęczynę liści, a nawet w cieniu blask wydawał się jaskrawy.

Aaron Lightner już czekał na nią przy furtce. Drobny mężczyzna w jasnym, przewiewnym ubraniu. Wydawał się bardzo brytyjski. Miał nawet laseczkę w ręce.

Zadzwoiła do niego o ósmej i poprosiła o spotkanie. Nawet z daleka czuła, że martwi się o jej reakcję na zawartość teczek.

Niespiesznie przeszła przez skrzyżowanie. Powoli do niego podeszła, ze spuszczonej oczami. Jej umysł wciąż pochłaniała przeczytana opowieść.

Gdy już znalazła się przed nim, wzięła go za rękę. Nie przygotowała sobie tego, co chciała powiedzieć Anglikowi. Musiała przejść ciężką próbę. Jednak

czuła się dobrze, że jest z nim, lekko ściskając ujmując jego dłoń i obserwując wyraz miłej, szczerej twarzy.

– Dziękuję – powiedziała, a własny głos wydawał się jej obcy i słaby. – Odpowiedział pan na wszystkie najgorsze i najbardziej dręczące pytania mojego życia. W rzeczywistości pan nawet nie wie, co dla mnie zrobił. Pan i pańscy obserwatorzy odkryliście moją najciemniejszą stronę; poznał pan, cCzym jest oświetlił ją; połączył z czymś większym, starszym, a przecież rzeczywistym. – Pokręciła głową. Wciąż trzymała go za rękę. Walczyła ze sobą, próbowała mówić dalej. – Nie wiem, jak mam to powiedzieć – przyznała. – Już nie jestem sama! Mam na myśli siebie całą; tylko nazwisko i rodzinę! Chodzi mi o to, kim jestem – westchnęła. Nie potrafiła znaleźć słów, a uczucia kryjące się za nimi były tak wielkie, tak wielkie jak jej ulga. – Dziękuję, że nie krył pan przede mną poznanych tajemnic. Dziękuję z całego serca.

Zobaczyła, że jest zaskoczony i zdezorientowany. Powoli skinął głową. Czowała jego dobroć i ufność.

- Co mogę dla ciebie zrobić? – spytał z rozbijającą otwartością.
- Wejdźmy do środka i porozmawiajmy.

Jedenasta. Usiadł w ciemności wpatrując się w elektroniczny zegarek na stoliku. Jak mógł spać tak długo? Zostawił zasłony rozsunięte, żeby obudziło go światło, ale ktoś je zasunął. A rękawiczki? Gdzie są jego rękawiczki? Znalazł je i natychmiast włożył. Wstał z łóżka.

Teczka zniknęła. Wiedział o tym, zanim jeszcze popatrzył pod krzesło. Pokrzyżowała plany.

Natychmiast włożył szlafrok i poszedł krótkim korytarzykiem do saloniku. Nikogo tam nie było. Tylko woń przypalonej kawy dochodząca z kuchni i unoszący się zapach dymu z papierosa. Od razu zachciało mu się palić.

Dostrzegł na stoliku pustą teczkę i dwa starannie ułożone stosy kartek.

– Och, Rowan – jęknął. Aaron nigdy mu tego nie wybaczy. Dowiedziała się o Karen Garfield i doktorze Lemle, którzy umarli po spotkaniu z nią. Przeczytała wszystkie plotki wyciągane przez lata od Bei i Ryana Mayfaira, a także od innych, z pewnością poznanych przed pogrzebem. Przychodziły mu na myśl tysiące różnych rzeczy.

Czy gdy wejdzie do sypialni, to stwierdzi, że zniknęły jej wszystkie ubrania... Zresztą nie, całą garderobę trzymała u siebie w pokoju.

Stał drapiąc się w głowę, nie wiedział, co ma zrobić najpierw – zadzwonić do jej pokoju, do Aarona czy wybiec z krzykiem na korytarz. Wtedy zobaczył kartkę – pojedynczy arkusik papeterii z nazwą hotelu pokryty wyraźnym, prostym pismem.

## Ósma trzydzieści

Michaelu, Przeczytałam raport. Kocham cię. Nie martw się. O dziewiątej mam spotkanie z Aaronem. Możesz przyjechać po mnie do domu o trzeciej? Muszę tam pobyć trochę sama. Będę czekać na ciebie. Jeśli będziesz miał inne plany, zostaw mi wiadomość tutaj.

Wiedźma z Endor

„Wiedźma z Endor”. Kim była wiedźma z Endor? Ach, to kobieta, do której udał się król Saul, aby ukazała mu twarze jego przodków! Nie wyciągaj zbyt pochopnych wniosków. Ale wszystko wskazuje na to, że przeżyła przeczytanie raportu. Świetny dzieciak! Chirurg mózgu. „Przeczytałam raport!” Jemu lektura materiałów zabrała dwa dni. „Przeczytałam raport!”

Ściągnął rękawiczkę z prawej ręki i położył dłoń na kartce. Zobaczył Rowan, ubraną, pochyloną nad biurkiem stojącym w saloniku. Potem zarys kogoś, kto kilka dni temu przyniósł tu papeterię, pokojówka w fartuszkach. Wreszcie wiele różnych, nieistotnych rzeczy. Uniósł palce. Odczekał, aż mrowienie ustało.

– Daj mi Rowan – powiedział i ponownie dotknął papieru. Rowan. Rowan nie była zła, ale bardzo... co? Przygoda?

Tak, czuła dziwne, przekorne podniecenie. Rozumiał je doskonale. Zobaczył ją znowu, zaskakująco wyraźnie, tylko w innym miejscu i natychmiast obraz zmałował się, potem znikł i Michael włożył rękawiczkę.

Przez chwilę siedział nieruchomo. Wracił do siebie. Instynktownie nienawidził swojej zdolności. Zastanawiał się nad uczuciem podniecenia. Przypomniawszy sobie, co ostatniej nocy powiedział mu Aaron.

– Mogę nauczyć cię, jak wykorzystać twój talent, ale nigdy nie zobaczysz niczego dokładnie, a obraz będzie mylący.

Och, Boże, jak on tego nie cierpiał. Nienawidził nawet widoku Rowan, który ostro wdarł się w jego myśli i już miał tam pozostać; wolałby wspomnienia z

sypialni, pamięć jej cudownego, głębokiego, ochryplego głosu, mówiącego mu cicho, uczciwie i prosto. Wolałby usłyszeć to z jej własnych ust. Podniecenie!

Zadzwoił do obsługi.

– Proszę o duże śniadanie, jajka, owsiankę, tak, dużą miskę owsianki, szynkę podsmażoną po obu stronach i pełen dzbanek kawy. Proszę powiedzieć kelnerowi, żeby otworzył własnym kluczem. Będę się ubierał. Do rachunku proszę doliczyć dwadzieścia procent napiwku. Aha, przynieście mi jeszcze bardzo zimną wodę.

Michael ponownie przeczytał kartkę od Rowan. Teraz Aaron i Rowan są razem. Ogarnął go lęk. Przypomnił sobie, jak bardzo Lightner obawiał się jego reakcji po przeczytaniu raportu. Nie chciał wtedy wysłuchać Aarona. Chciał czytać. Nie mógł więc winić Rowan.

Nie potrafił opanować niepokoju. Nie rozumiała Aarona, tak jak Aaron nie rozumiał jej. Uważała, że jest naiwny. Michael pokręcił głową. Tam był Lasher. Co myślał Lasher?

Poprzedniej nocy przed wyjazdem Aaron powiedział Michaelowi:

– Był to mężczyzna. Zobaczyłem go w świetle reflektorów. Wiedziałem, że to sztuczka, ale nie mogłem ryzykować.

– Co masz zamiar zrobić? – zapytał Michael.

– Uważać – odparł Aaron. – Cóż mi innego pozostaje?

Ona chciała, żeby przyjechał do niej do domu o trzeciej, bo musi tam spędzić trochę czasu sama. Z Lasherem? Jak miał opanować emocje aż do trzeciej?

Jesteś w Nowym Orleanie, stary. Nie zajrzałeś jeszcze do sąsiadów. Może przyszła pora, aby ich odwiedzić.

\* \* \*

Wyszedł z hotelu o jedenastej czterdzieści pięć. Gdy znalazł się na zewnątrz, niespodziankę i przyjemność sprawiło mu ciepłe powietrze. Po trzydziestu

latach spędzonych w San Francisco osłabiał go chłód i wiatr.

Poszedł w stronę przedmieścia. Po jakimś czasie stwierdził, że wspina się i schodzi ze wzgórz, podświadomie wybierając tę samą co przed laty drogę. Płaskie, szerokie chodniki wydawały mu się wspaniałe. Wszystko stawało się łatwiejsze. Upajał się każdym oddechem, powiewem ciepłej bryzy, każdym krokiem, przejściem przez ulicę. Rzucał łagodne spojrzenie na wysokie dęby o czarnych pniach, które zmieniły wygląd miasta, gdy tylko przemierzył aleję Jacksona. Wiatr nie uderzał go w twarz, nie oślebiał blask nieba jak nad wybrzeżem Pacyfiku.

Wybrał ulicę Filipa, aby dotrzeć do Dzielnicy Irlandzkiej. Szedł powoli tak jak niegdyś. Wiedział, że żar będzie coraz gorszy, ubranie będzie wydawało się cięższe, za jakiś czas poczuje wilgoć w butach, wcześniej czy później zdejmie lekką marynarkę i zarzuci ją na ramię.

Szybko o wszystkim zapomniał; pochłonęły go radosne wspomnienia. Oderwały od troski o Rowan, rozważań o tamtym mężczyźnie. Wracał do przeszłości. Unosiła go między stare, porośnięte bluszczem ściany i wczesne urokliny rosnące, wysokie i cienkie, jak chwasty, ale obsypane wielkimi kwiatami, które co i raz opadały. Gdy przechodził, musiał je odsuwać. Wróciła do niego jeszcze silniejsza niż kiedykolwiek tęsknota, która niczego nie upiększyła. Wysokie jaśminy, o wiele większe niż w San Francisco, rosły tuż przy domach sprzed wojny secesyjnej, z kamiennymi ścianami i kolumnami, mocnymi i wspaniałymi jak przy ulicy Pierwszej.

W końcu dotarł do Targowej. Przeszedł ją ostrożnie: ruch się wzmagał. Wkroczył do Dzielnicy Irlandzkiej. Budynek wydawały się kurczyć, kolumny zastąpiono podporami, nie rosły tu dęby, nawet jaśminów nie było widać za rogiem ulicy Konstancji. Ale wszystko zdawało się takie wspaniałe, tu było jego miejsce. Kiedyś.

Na zaniedbanej ulicy Zwiastowania pękło mu serce. Ślady renowacji i świeżej farby, które zauważył na Konstancji i Powella, teraz dostrzegał coraz

rzadziej. Śmieci i stare opony zrzucano na pustych działkach. Dom jego dzieciństwa był opuszczony. Na okna i drzwi przybito płyty dykty. Ogródek, w którym kiedyś się bawił, zarastała dżungla chwastów otoczona ohydny łańcuchem. Nie widział dziwaczków, zakwitających na różowo i pachnących latem i zimą. Zniknęły drzewa bananowe ocieniające koniec bocznej alejki. Spożywczy na rogu zamknięto na kłódkę. W starym barze obok nie dostrzegał najmniejszego śladu życia.

W końcu uświadomił sobie, że jest jedynym białym człowiekiem w zasięgu wzroku.

Im dalej wędrował, tym bardziej okolica wydawała się smutniejsza i bardziej opuszczona. Tu i tam dostrzegał świeżo pomalowany dom; ładne czarne dziecko z warkoczykami i okrągłymi, spokojnymi oczami stało przy furtce patrząc na niego. Ale wszyscy ludzie, których kiedyś znał, dawno stąd odeszli.

Posępna ruina alei Jacksona przygnębiła go. A jednak szedł dalej, do domu świętego Tomasza. Nie mieszkali tu już biali ludzie. Nikt nie musiał mu o tym mówić.

Teraz ta część miasta należy do czarnych ludzi. Czuł zimne, oceniające spojrzenia, gdy skręcił w ulicę Józefiny w stronę starych kościołów i szkoły. Coraz więcej drewnianych domków, niektóre partery wypalone. Zniszczone, przesiąknięte wilgocią meble zrzucano na stos przy ścianach.

Choć tyle już widział, ruina opuszczonych szkolnych budynków wstrząsnęła nim głęboko. Szyby wybito w oknach klas, w których uczył się dawno, dawno temu. A tam gimnazjum, pracował przy jego budowie, wydawało się tak całkowicie zapomniane.

Tylko kościoły świętej Marii i świętego Alfonsa stały dumnie, niepokonane. Ale drzwi do nich zamknięto. Dróżka prowadząca do zakrystii była zarośnięta chwastami wysokimi do kolan. Zobaczył, że puszkę elektryczną są otwarte i zardzewiałe w środku, wyrwano z nich bezpieczniki.

– Chcesz pan obejrzeć kościół?



Odwrócił się. Mówił do niego niski, łysiejący mężczyzna z wystającym brzuchem i poczerwieniałą twarzą.

– Może se pan iść do proboszcza, wpuszczom pana do środka.

Michael skinął głową.

Jednak plebania też była zamknięta. Musiał długo dzwonić, potem czekał na brzęczyk sygnalizujący odblokowanie drzwi. Za szybą pokazała się drobna kobieta w mocnych okularach i o krótkich rudych włosach.

Wyciągnął garść dwudziestodolarowych banknotów.

– Chciałbym złożyć na ofiarę. Proszę mi pokazać oba kościoły.

– Nic z tego. Nie można teraz wchodzić do świętego Alfonsa. Jest niebezpiecznie. Odpada tynk!

Tynk! Pamiętał wspaniałe freski na suficie; święci spoglądali na niego z błękitnego nieba. Pod tym dachem ochrzczono go, przystąpił do Pierwszej Komunii, potem do bierzmowania. Ostatniego wieczoru spędzonego w Nowym Orleanie udał się do świętego Alfonsa, wraz z innymi promowanymi do następnej klasy. Nie przyszło mu do głowy rozglądać się po raz ostatni, tak bardzo był podekscytowany wyjazdem z matką na zachód.

– Gdzie się wszyscy podzieli? – zapytał.

– Wyprowadzili się – odparła kobieta, prowadząc go przez plebanie do wnętrza kościoła świętej Marii. – A kolorowi nie przychodzą.

– Ale dlaczego jest pozamykane?

– Obrabowano nas dwukrotnie.

Nie potrafił tego pojąć. Nie móc wejść do spokojnego, pełnego cieni kościoła o każdej porze? Nie móc usiąść, porozmawiać z aniołami i świętymi, gdy stare kobiety w sukienkach w kwiaty i słomkowych kapeluszach klęczą i odmawiają zwiędłymi wargami różaniec?

Szli przez kościół. Tutaj służył do mszy. Był ministrantem. Przygotowywał wino mszalne. Zadrzał z radości, gdy zobaczył rzędy drewnianych figur świętych, długą wysoką nawę z gotyckimi łukami. Wspaniałe, nietknięte.

Dzięki Bogu, wszystko stało na miejscu. Zaczęły dusić go łzy. Schował ręce do kieszeni, pochylił głowę. Od czasu do czasu spoglądał tu i tam spod zmarszczonych brwi. Mieszaly mu się msze w tym kościele z odprawianymi po drugiej stronie ulicy u świętego Alfonsa. Wtedy Niemcy i Irlandczycy już się nie kłócili ze sobą. Przypominał sobie nazwiska. W podstawówce chodzili na poranną mszę do świętego Alfonsa. Uczniowie szkoły średniej zapełniali ławki u świętej Marii.

Bez trudu wyobraził sobie uczniów w mundurkach tłumnie wychodzących z ławek, aby przystąpić do Pierwszej Komunii. Dziewczęta w białych bluzkach i błękitnych wełnianych spódnickach, chłopcy w zielonych koszulach i spodniach. Wrócił pamięcią do czasów, kiedy miał osiem lat i machał na tych schodach dymiącą kadzielnica przy błogosławieństwie.

– Proszę się nie spieszyć – powiedziała kobieta. – Kiedy pan skończy, proszę przejść przez plebanie.

Siedział pół godziny w pierwszym rzędzie ławek. Nie wiedział dokładnie, co robi. Być może próbował zapamiętać szczegóły, których nie potrafił przywołać we wcześniejszych wspomnieniach. Nigdy już nie zapomni wyrytych w marmurowej posadzce nazwisk ludzi pogrzebanych pod ołtarzem. Nigdy już nie zapomni namalowanych wysoko nad głową aniołów. Ani okna z prawej strony, na którym aniołowie i święci mają chodaki z drewna! Jakie dziwne! Czy ktoś potrafiłby to teraz wyjaśnić? I pomyśleć, że nigdy przedtem tego nie zauważył, a tyle godzin tu spędził...

Marie Louise o wielkich piersiach pod wykrochmaloną bluzką czytała liturgie. A Rita Mae Dwyer wyglądała jak dorosła kobieta mając zaledwie czternaście lat. W niedzielę wkładała buty na wysokich obcasach, wielkie złote kolczyki i czerwoną sukienkę. Ojciec Michaela zbierał na tacę. Przechodził przez nawę, podsuwając koszyczek ławka po ławce z ponurą twarzą. Wtedy nawet bez potrzeby nie szeptało się w kościele.

Czy myślał, że będą tutaj wszyscy na niego czekali? Tuzin Rit Mae w

sukniach w kwiaty przyjdą na Anioł Pański?

Poprzedniego wieczora Rita Mae poprosiła go:

– Mike, nie wracaj tam. Zapamiętaj to miejsce takim, jakie kiedyś było.

Podniósł się w końcu. Poszedł nawą do starych drewnianych konfesjonałów. Znalazł na ścianie tabliczkę z wypisanymi nazwiskami tych, którzy pokryli koszty ostatniego remontu. Zamknął oczy. Przez chwilę wyobrażał sobie, że słyszy dzieci bawiące się na boisku szkolnym – krzyki, wrzaski jak zwykle w południe.

Żadnego dźwięku. Ani głuchego poświstu wahadłowych drzwi, gdy parafianie wchodzili i wychodzili z kościoła. Ponure, puste miejsce. Tylko Dziewica w koronie na wysokim ołtarzu.

Z daleka jej wizerunek wydawał się maleńki. Nagle przyszło mu do głowy, że powinien się pomodlić. Powinien zapytać Dziewicy lub Boga, dlaczego został tu sprowadzony, co oznaczało wyrwanie go z zimnego uścisku śmierci. Ale nie wierzył w wizerunki na ołtarzu. Nie miał w sobie wiary dziecka.

Ogarnęły go inne wspomnienia, niewygodne, gorzkie, nieprzyjemne. Tuż za wysokimi frontowymi drzwiami spotkał się z Marie Louise, aby porozmawiać o ich wspólnej tajemnicy. Lał wtedy deszcz. Dziewczyna przyznała wtedy z niechęcią, że nie, nie jest w ciąży. Była zła, że tak to się skończyło. Jeszcze bardziej rozłościła się widząc jego zadowolenie.

– Nie chcesz się żenić? To po co tak głupio się ze sobą bawimy? Co by się stało, gdyby poślubił Marie Louise? Zobaczył przed sobą wielkie, ponure, brązowe oczy dziewczyny. Poczł jej rozgoryczenie, rozczarowanie.

Znowu usłyszał głos Marie Louise.

– Wiesz, że prędzej czy później ożenisz się ze mną. Jesteśmy sobie przeznaczeni.

Przeznaczeni. Czy jego przeznaczeniem było wyjechać stąd; robić to, co robił w życiu; podróżować tak daleko? Spaść ze skały do morza i powoli dryfować, oddalać się od lądu?

Pomyślał o Rowan – nie tylko o jej wyglądzie, ale o wszystkim, czym dla niego była. Słodycz, zmysłowość, tajemnica, zgrabne, jędrne ciało przytulone do niego pod prześcieradłem, aksamitny głos i chłodny wzrok. Odtworzył sobie jej spojrzenie, zanim zaczęli się kochać, zapominała o sobie, o własnym ciele, pochłonięta jego ciałem. Patrzyła tak, jak mężczyzna patrzy na kobietę. Spragniona, brutalna, a jednak uległa w jego ramionach.

Kontemplował widok ołtarza, rozglądał się po całym kościele, rozległym i niezwykle ozdobionym.

Chciałby w coś wierzyć. Nagle uświadomił sobie, że wierzy w swoją wizję, w ich dobro. Wierzył w ujrzane istoty i ich dobroć z taką pewnością, jak ludzie wierzą w Boga lub świętych, w zgodną z Bożymi nakazami słusność własnego postępowania, w powołanie.

Chociaż jego wiara wydawała się głupia tak jak inne.

– Jednak widziałem, czułem, pamiętam, wiem... – Ale co? W rzeczywistości nic konkretnego. Żaden fragment historii rodziny Mayfairów nie przywrócił jego pamięci tej bezcennej chwili, być może poza obrazem Debory. Pomimo przekonania, że ona była jedną z nich, że to ona do niego przyszła, nie mógł przypomnieć sobie szczegółów ani słów.

Pod wpływem impulsu, patrząc na ołtarz uczynił znak krzyża. Ile lat upłynęło od czasów, gdy robił to trzy razy dziennie? Zaciekawiony, zamyślony, znowu się przeżegnał.

– W imię Ojca, Syna i Ducha Świętego. Amen – wyszeptał z oczami utkwionymi w Dziewicę. – Czego oni chcą ode mnie?

Próbował przywołać obrazy z wizji, tyle ile mógł, gdy nagle uświadomił sobie z rozpaczą, że wizerunek czarnowłosej kobiety, którą widział, zastąpił obraz Debory opisany w raporcie. Wrócił do punktu wyjścia! Przestał rozumieć, niczego nie zyskał.

Stał przez chwilę w milczeniu z rękami schowanymi w kieszeniach. Poszedł wzdłuż nawy do ołtarza, pokonał marmurowe schodki, przemierzył sanktuarium

i odszukał wyjście przez plebanię.

Słońce tak jak zawsze rozżarzało ulicę Konstancji. Bezlitosne i brzydkie. Nie rosły tu drzewa. Ogród przy plebanii, schowany za wysokim murowanym ogrodzeniem i trawnik przed kościołem świętej Marii były wypalone, wysuszone i zasypane pyłem.

Zniknął sklep z dewocjonaliami na rogu. Kiedyś sprzedawano tu śliczne, małe figurki i święte obrazki. Zabite okna. Na malowanej drewnianej ścianie telefon agenta od nieruchomości.

Niski, łysy mężczyzna o spoconej, czerwonej twarzy siedział na schodach plebanii. Otoczył kolana ramionami. Śledził spojrzeniem szare gołębie wlatujące nad posępną, oblażącą z farby fasadą świętego Alfonsa.

– Powinno się wytruć te ptaszyska – stwierdził. – Brudzom wszędzie.

Michael zapalił papierosa i zaproponował jednego mężczyźnie. Nieznajomy wziął skinąwszy głową. Michael podał mu prawie puste pudełko zapalek.

– Synu, czemu nie zdejmiesz tej złotej cebuli i nie schowasz do kieszeni? – zapytał Michaela mężczyzna. – Nie pętaj się tutaj z czymś takim na ręce, dobra?

– Jeśli ktoś zechce wziąć mój zegarek, musi też wziąć moją rękę i pięść – odparł Michael.

Stary wzruszył ramionami i pokręcił głową.

Na rogu Targowej i Jacksona Michael wszedł do ciemnego, obskurnego baru w ponurym, drewnianym budynku z huśtającymi się okiennicami. Nigdy nie widział podobnego miejsca w San Francisco. Na końcu sali sterczał jakiś biały facet przypominający widmo. Patrzył na niego błyszczącymi oczami tkwiącymi w pobrużdżonej twarzy. Barman też był biały.

– Piwo – powiedział Michael.

– Jakie?

– Wszystko jedno.

\* \* \*

Zdażył na czas. Trzy minuty przed trzecią mijał Obozową idąc powoli, tak by nie zabił go upał łagodzony nieco słodkim cieniem i pięknem Dzielnicy Ogrodów. Tutaj nic się nie zmieniło. Wszystko pozostało tak jak kiedyś. Od razu lepiej się poczuł; w miejscu, w którym chciał być, gdzie być może powinien być. Z wybiciem trzeciej stanął przed otwartą furtką. Po raz pierwszy widział dom w pełnym słońcu. Serce zaczęło szybciej bić. *Tutaj, tak.* Rezydencja, nawet zaniedbana, zachowała swoją godność i wielkość, sprawiała jedynie wrażenie, jakby zasnęła pod obrastającym ją dzikim winem. Z długich okiennic odpadała zielona farba, ale wisiały prosto na żelaznych zawiasach. Czekał...

Patrzył na dom i zakręciło mu się w głowie. Poczłł zadowolenie, że bez względu na powody wrócił. *Robię to, co powinienem...*

Wszedł po marmurowych schodach, pchnął drzwi, a kiedy się otworzyły, powędrował długim, szerokim holem. Nigdy nie widział w San Francisco takiej budowli, wysokiego sufitu, szerokich i pełnych wdzięku drzwi.

Lśniły sosnowe deski podłogi, chociaż pod ścianami zauważył lepki kurz. Farba odłaziła od wysokich gzymsów, ale one same wydawały się nie naruszone. Zachwycało go wszystko, co widział, mistrzostwo wykonania drzwi w kształcie dziurki od klucza, podestów, balustrady długich schodów; zdumiewała go solidność podłogi pod stopą. Dobry, ciepły zapach domu sprawił mu nagle zadowolenie. To niepowtarzalna woń domu na całym świecie.

– Michael? Wejdz!

Podszedł do pierwszych drzwi do salonu. Wciąż było tam ciemno i ponuro, chociaż Rowan odsunęła wszystkie zasłony. Światło z trudem przeciskało się przez okiennice, bladło przenikając brudne zasłony na bocznym krużganku znajdującym się tuż za oknami. Powiew kapryfolium. Słodki i przyjemny. Czy to lantana rozrastała się drobnymi, jasnoróżowymi gałązkami? Od lat nie widział tego pnącza.

Siedziała, drobna i prześliczna na drugiej brązowej kanapie z plecami odwróconymi do wejścia. Włosy okalały jej policzki. Ubrana była w luźną, pogniecioną bawełnianą koszulę, lekką jak jedwab. Twarz i szyja wydawały się bardzo opalone przy białym podkoszulku, który miała pod spodem. Nogi w wąskich jasnych spodniach, białe sandały na bosych stopach – zaskakująco podniecających, z czerwonym lakierem na paznokciach.

– Wiedźma z Endor – powiedział pochylając się, aby pocałować ją w policzek. Otoczył jej twarz dłońmi, delikatnie i ciepło.

Wstała, ujęła go za ręce, przytuliła się i pocałowało mocno, słodko w usta. Poczul jej drzenie, rozgorączkowanie.

– Byłaś tu całkiem sama?

Usiadła, a on zajął miejsce obok.

– A dlaczego, do diabła, nie? – spytała niskim głosem. – Dzisiaj po południu oficjalnie odchodzę ze szpitala. Mam zamiar tutaj poszukać pracy. Zostanę w Nowym Orleanie, w tym domu.

Westchnął głęboko z uśmiechem.

– Naprawdę?

– A jak myślisz?

– Nie wiem. Jak szedłem tutaj... wracałem z Dzielnicy Irlandzkiej, cały czas myślałem, że być może zastanę cię z torbą spakowaną do powrotu.

– Nie. W żadnym wypadku. Rozmawiałam już na temat trzech czy czterech tutejszych szpitali z moim szefem z San Francisco. Zadzwoni jeszcze. A co będzie z tobą?

– A co ma być? – zapytał. – Wiesz, dlaczego tu jestem. Dokąd mam iść? Sprowadzili mnie tutaj. Nie mówią, że mam jechać gdzie indziej. W ogóle nic mi nie mówią. Wciąż nie mogę sobie przypomnieć. Przeczytałem czterysta stron i nic. Wiem tylko tyle, że widziałem Deborę. Ale co powiedziała...? – Michael wzruszył ramionami.

– Jesteś zmęczony i zgrzany – stwierdziła Rowan dotykając dłonią jego

czoła. – Mówisz głupstwa.

Zaśmiał się krótko, zaskoczony.

– Posłuchaj, Wiedźmo z Endor – zaczął. – Nie przeczytałaś raportu? Co się dzieje, Rowan? Nic nie czytałaś? Jesteśmy w wielkiej pajęczynie, nie wiemy tylko, kto ją utkał. – Wyciągnął przed siebie dłoń w rękawiczce, spojrział na palce. – Po prostu nie wiemy.

Posłała mu spokojne, obce spojrzenie, które sprawiło, że wyglądała na osobę bardzo opanowaną, choć była zarumieniona. W jej szarych oczach wspaniale odbijało się światło.

– Czytałaś, prawda? O czym wtedy myślałaś?

– Michael, uspokój się – odparła. – Nie pytasz mnie, o czym myślę, lecz co czuję. Znasz przecież mój pogląd na tę sprawę. Nie tkwimy w żadnej pajęczynie i nikt niczego nie tka. Chcesz mojej rady? Zapomnij o nich. Zapomnij, czego chcą ci ludzie z twojej wizji. I to jak najszybciej.

– O co ci chodzi? Zapomnieć?

– W porządku. Posłuchaj mnie. Przesiedziałam tutaj kilka godzin, rozmyślając o wszystkim. Oto moja decyzja: Zostaję tutaj. Nie ruszę się stąd, bo to mój dom i polubiłam go. Podoba mi się rodzina, którą wczoraj poznałam. Chcę ich poznać, słyszeć ich głosy i rozpoznawać twarze, nauczyć się wszystkiego, czego mogą mnie nauczyć. Poza tym wiem, że nie byłabym w stanie zapomnieć starej kobiety i tego, co jej zrobiłam, bez względu na to, dokąd bym pojechała – przerwała. Nagły rumieniec emocji zmienił twarz Rowan na ułamek sekundy, potem znikł, zostawiając ją opanowaną i chłodną. Skrzyżowała ramiona, stopę oparła na krawędzi małego stolika do kawy. – Słuchasz mnie?

– Oczywiście.

– Dobrze, chcę, żebyś też tu został. Mam nadzieję i modlę się, że zostaniesz. Nie przez jakiś plan, pajęczynę, sieć czy coś w tym rodzaju. Nie ze względu na wizję czy tamtego mężczyznę. Ponieważ nie ma innego sposobu, aby dowiedzieć się, co to wszystko znaczy, Michaelu, co jest zaplanowane, że



posłużyć się określeniem, którego użyłeś w swoich notatkach, a także dlatego, by zrozumieć, w jakim celu nas połączono. Nie ma innej drogi.

Znów przerwała. Popatrzyła na niego badawczo, po czym zaczęła mówić dalej:

– Podjęłam decyzję – słowa padały teraz wolniej. – Na podstawie tego, co wiem, widzę, potrafię zdefiniować i zrozumieć. Oto jest moje miejsce, tutaj należę, ponieważ chcę należeć.

Skinął głową.

– Słyszę – powiedział.

– Mówię ci, że zostaję w Nowym Orleanie pomimo tego mężczyzny i pozornych powiązań, pomimo zbiegu okoliczności, że to właśnie ja wyciągnęłam cię z oceanu, a ty jesteś tym, kim jesteś.

Znowu skinął głową z lekkim wahaniem. Usiadł wygodniej z głębokim westchnieniem, ale nie odrywał od niej wzroku.

– Nie próbuj mi jednak wmówić, że nie chcesz skomunikować się z tym czymś, nie chcesz zrozumieć znaczenia wszystkiego...

– Mówiłam, że chcę zrozumieć – odpowiedziała. – Ale sama chęć zrozumienia nie zatrzymałaby mnie tutaj. Poza tym dla tego czegoś nie jest istotne, gdzie przebywamy, w Montcleve we Francji, Tiburon w Kalifornii czy Donnelaith w Szkocji. A te istoty, które widziałeś, muszą wrócić i powiedzieć ci, co ma znaczenie! Bo ty tego nie wiesz!

Przerwała, próbując najwyraźniej złagodzić brzmienie swoich słów, jakby obawiała się, że mówi zbyt surowo.

– Michael, jeśli chcesz zostać, zdecyduj się biorąc pod uwagę coś innego. Na przykład, że zrobisz to ze względu na mnie, albo dlatego, że tu się urodziłeś, albo sądzisz, że będziesz tu szczęśliwy, bo uważasz, że znów mógłbyś pokochać tę okolicę.

– Nigdy nie przestałem jej kochać.

– Ale nie poddawaj się tym istotom! Rób im na przekór!

– Nie zapominaj, że to przez nich jestem w tym pokoju. Nie poznaliśmy się w klubie żeglarskim, Rowan!

Wypuściła powietrze z płuc.

– Nalegam, żebyśmy o tym zapomnieli.

– Czy to Aaron dał ci taką radę?

– Nie prosiłam go o radę – odpowiedziała spokojnie. – Spotkałam się z nim z dwóch powodów. Po pierwsze, chciałam z nim jeszcze raz porozmawiać i upewnić się, że jest uczciwym człowiekiem.

– I?

– Jest dokładnie taki, jak mówiłeś. Ale musiałam znowu go zobaczyć, pomówić z nim – przerwała. – Ten człowiek umie rzucać uroki.

– Wiem.

– Wyczułam to, kiedy zobaczyłam go na pogrzebie; a także wtedy, gdy spotkałam go przy grobie Ellie.

– Jednym słowem, przekonałaś się do Aarona?

Skinęła głową.

– Teraz go poznałam. Nie różni się wiele od ciebie czy ode mnie.

– Co masz na myśli?

– Jest oddany sprawie – odparła wzruszając lekko ramionami. – Tak jak ja jestem oddana chirurgii, a ty przywracaniu domów do życia – zamyśliła się na chwilę. – Ma złudzenia, podobnie jak my.

– Rozumiem.

– Po drugie... chciałam mu powiedzieć, że jestem wdzięczna za przekazanie mi raportu i nie musi się już martwić, że będę czuła żal, czy zawiodę jego zaufanie.

Michael odetchnął z ulgą, ale słowa Rowan tak go zaskoczyły, że jej nie przerywał.

– Wypełnił największą czarną dziurę w moim życiu – stwierdziła. – Nie sądzę, aby kiedykolwiek zrozumiał, jakie to dla mnie miało znaczenie. Jest zbyt

rozważny. I tak naprawdę nic nie wie o samotności. Należał do Talamaski od dzieciństwa.

– Wiem, o co ci chodzi, ale myślę, że on zrozumie.

– Nadal zachowuje się bardzo ostrożnie. To coś – to czarujące rudowłose widmo – naprawdę próbowało mu wyrządzić krzywdę, wiesz.

– Tak.

– Staralam się dać mu do zrozumienia, jak bardzo jestem wdzięczna. Dwa dni temu byłam osobą bez przeszłości i bez rodziny. Teraz mam wszystko. Otrzymałam odpowiedzi na najbardziej dręczące pytania mojego życia. Chyba jeszcze nie dotarło do mnie pełne znaczenie zdarzeń. Cały czas myślę o swoim domu w Tiburon i uświadamiam sobie, że nie muszę tam wracać, nie muszę dłużej żyć sama. I jest to cudowne uczucie.

– Nigdy nie marzyłem, że odbierzesz raport w ten sposób. Muszę się przyznać, że myślałem, iż będziesz zła, może nawet urażona.

– Michael, nie obchodzi mnie, jak Aaron zdobywał informacje. Nie dbam o to, co robili, czy zrobili jego koledzy. Chodzi o to, że gdyby nie zbierał informacji, nie powstałby raport. Zostałabym z okropnym wspomnieniem starej kobiety i z głową wypełnioną plugastwem, o którym mi opowiedziała. I z kuzynami o jasnych twarzach, z uśmiechem ofiarującymi współczucie, którzy nie mogliby podzielić się ze mną historią, bo jej nie znają. Wiedzą tylko o kilku faktach przynoszących zaszczyt rodzinie. – Wzięła głęboki oddech. – Wiesz, Michael, niektórzy ludzie nie potrafią dostawać prezentów. Nie wiedzą, jak o nie poprosić i jaki z nich zrobić użytek. Muszę nauczyć się przyjmować prezenty. Ten dom to dar, podobnie jak raport, który sprawił, że mogę zaakceptować rodzinę! Mój Boże, krewni to największy ze wszystkich darów!

Znowu poczuł ulgę. Jej słowa uwalniały go od lęku. Nie potrafił jednak opanować zaskoczenia.

– Co z fragmentem raportu o Karen Garfield i doktorze Lemle? Tak się bałem, że to przeczytasz.

Wyraz bólu w jej twarzy tym razem wydał się mocniejszy, głębszy. Natychmiast pożałował szczerości. Nagle zrozumiał, że popełnił niewybaczalny błąd.

– Nie rozumiesz mnie – stwierdziła spokojnym, równym głosem. – Chciałam wiedzieć, czy posiadam nadprzyrodzoną moc! Zwróciłam się do ciebie, bo myślałam, że dotkniesz mnie i powiesz, czy ją mam. Nie potrafiłeś niczego stwierdzić. Ale Aaron mi powiedział. Potwierdził. Nie istnieje nic gorszego od podejrzeń i niepewności.

– Rozumiem.

– Naprawdę? – przełknęła. Z całych sił próbowała zachować spokojny wyraz twarzy. Nagle oczy dziewczyny zaszyły mgłą. Rozjaśniły się po chwili tylko dzięki silnej woli Rowan.

– Nienawidzę się za to, co zaszło z Karen Garfield – wyszeptała sucho. – Nienawidzę. A Lemle? Lemle już przedtem był chory. Rok wcześniej miał zawał. Nie wiem, co to było z Karlem, ale Karen Garfield... to przeze mnie, Michael, ale stało się tak dlatego, że nie wiedziałam o swojej mocy!

– Rozumiem – powiedział cicho.

Dłuższą chwilę próbowała się opanować. Kiedy znowu zaczęła mówić, głos jej lekko drżał.

– Był jeszcze jeden powód, dla którego musiałam zobaczyć się z Aaronem.

– Jaki?

Zamyśliła się na chwilę.

– Nie porozumiewam się z tym duchem, a więc nie mogę go kontrolować. Jeszcze mi się nie ukazał. Może nigdy go nie zobaczę.

– Rowan, już go przecież widziałaś. Poza tym, to coś czeka na ciebie.

Zamyślona bawiła się frędzlem przy koszuli.

– Jestem nastawiona do niego wrogo, Michaelu – stwierdziła. – Nie lubię go. Wydaje mi się, że to coś o tym wie. Siedziałam tutaj sama kilka godzin, zapraszałam, żeby przyszedł, a jednak robiłam to z nienawiścią, z lękiem.

Michael zastanawiał się przez chwilę nad jej słowami.

– Może przesadził – podsunęła Rowan.

– Chodzi ci o to, jak cię dotknął...

– Nie. Chodzi o mnie. Być może doprowadził do stworzenia medium, którego nie jest w stanie uwieść, omotać szaleństwem. Michael, jeśli potrafisz moją mocą zabić człowieka z krwi i kości, to jak sądzisz, czy Lasher odczuwa moją wrogość?

Przymrużył oczy, przyglądając się jej badawczo.

– Nie wiem – przyznał.

Jej dłoń drżała lekko, gdy odgarniała pasmo włosów z policzka. Odbił się w nich promień słońca, rozjaśniając je i złocąc.

– Wszelkie niechęci ukrywam głęboko. Zawsze to robiłam. Czas ich nie zmienia. Czuję wewnętrzną odrazę do tego czegoś. Och, pamiętam, co mi powiedziałeś wczoraj wieczorem, że chciałbyś porozmawiać z nim, poznać go, dowiedzieć się, czego chce. Ale moja niechęć w tej chwili dominuje.

Michael patrzył na nią w milczeniu. Odniósł dziwaczne, niezrozumiałe wrażenie, że jego miłość do Rowan gwałtownie rośnie.

– Miałaś rację – stwierdził. – Nie rozumiem cię, nie wiem, kim jesteś. Kocham cię, ale nie rozumiem.

– Myślisz sercem – powiedziała, dotykając lekko lewą pięścią jego piersi. – Dlatego jesteś taki dobry. I naiwny. W przeciwieństwie do mnie. Czuję w sobie zło, takie jak w otaczających mnie ludziach. Rzadko mnie zaskakują. Nawet wtedy, kiedy mnie złością.

Nie chciał się kłócić z Rowan. Ale nie był naiwny!

– Rozmyślałam kilka godzin. O mocy, która rozrywa naczynia krwionośne i aorty, przynoszącej śmierć jak wyszeptana klątwa. Jeśli moja moc jest dostatecznie wielka, by robić podobne rzeczy, być może wystarczy, aby zniszczyć tę istotę. Być może podziała na zgromadzoną przez niego energię, tak jak działa na komórki ciała i krwi.

– Nigdy nie przyszło mi to do głowy.

– Dlatego musimy myśleć za siebie – stwierdziła. – Jestem lekarką, to po pierwsze i najważniejsze. Poza tym tylko kobietą, to po drugie. Jako lekarka widzę z łatwością, że ta istota istnieje dzięki ciągłemu, nieprzerwanemu związkowi z naszym materialnym światem. Zatem można poznać, czym ona jest. Tak jak poznano tajemnicę elektryczności w 700 roku naszej ery, chociaż nikt o tym nie wiedział.

Skinął głową.

– Jego parametry. Użyłaś tego słowa wczoraj wieczorem. Zastanawiam się nad jego parametrami. Czy jest stały na tyle, kiedy się zmaterializuje, abym mógł go dotknąć.

– Dokładnie. O to chodzi. Co to jest w momencie materializacji? Muszę poznać parametry tej zjawy. Moja moc działa zgodnie z zasadami fizyki. Muszę poznać wymiary swojej mocy.

Ból ponownie przyćmił spojrzenie dziewczyny, jakoś zniekształcając wyraz twarzy. Rozchodził się, aż jej gładkiej skórze groziło, że zmarszczy się jak głowa lalki w płomieniach. Stopniowo opanowała cierpienie, uspokoiła się i wyciszyła. Jej głos przeszedł w szept.

– Ta moc to mój krzyż. Tak jak twoim krzyżem jest moc twoich rąk. Nauczmy się panować nad swoimi nadprzyrodzonymi siłami, tak żebyśmy mogli decydować, kiedy i jak ich używać.

– Oczywiście, właśnie tak musimy postąpić.

– Chcę ci coś powiedzieć o starej kobiecie, Carolcie i o mocy...

– Nie musisz, jeśli nie chcesz.

– Wiedziała, co jej zrobię. Mogłabym przysiąc, że przewidziała to i z rozmysłem mnie sprowokowała.

– Dlaczego?

– To część jej planu. Ciągle o tym myślę. Może chciała mnie złamać, poderwać moje zaufanie. Zawsze posługiwała się poczuciem winy, aby ranić

Deirdre, prawdopodobnie tak samo postępowała z Anthą. Ale nie mam zamiaru dać się wciągnąć w nieskończone rozważania jej planu. Byłby to z naszej strony błąd – rozmowy o nich, o tym, czego chcą, o Lasherze, wizjach, starej kobiecie. Narysowali dla nas kilkanaście kółek, a ja nie chcę kręcić się w kółko.

– Wiem, o co ci chodzi.

Oderwał od niej wzrok. Poszukał w kieszeni papierosów. Zostały trzy. Zaproponował jej jednego, ale pokręciła przecząco głową nie spuszczając z niego wzroku.

– Pewnego dnia usiądziemy przy stole – zaczęła – będziemy pili białe wino, piwo lub coś innego i porozmawiamy o nich; o Petyrze van Ablu, o Charlotcie, Julenie i innych. Ale nie teraz. Teraz chcę oddzielić to, co jest cenne od bezwartościowego, materialne od mistycznego. Chciałabym, żebyś zrobił to samo.

– Rozumiem – powiedział. Poszukał zapalek. Ach, prawda, oddał je staremu człowiekowi.

Wsunęła dłoń do kieszeni spodni, skąd wyciągnęła wąską złotą zapalniczkę. Podąła mu ogień.

– Dzięki.

– Kiedykolwiek się na nich koncentrujemy – stwierdziła – rezultat jest zawsze taki sam. Stajemy się bierni i zdezorientowani.

– Masz rację – powiedział. Myślał o czasie, który spędził w ciemnej sypialni przy ulicy Wolności, próbując sobie przypomnieć, zrozumieć. W końcu wrócił do Nowego Orleanu, do tego domu i poza dwoma krótkimi momentami poprzedniej nocy – kiedy położył nagie dłonie na szczątkach Townsenda i szmaragdzie – nie zdjął rękawic. Przerazała go sama myśl. Dotykanie drzwi, stołów, krzeseł należących do Mayfairów, skrzyni z lalkami na strychu, którą Rowan mu opisała, i tych pojemników, cuchnących słoików...

– Stajemy się bierni i zdezorientowani – powtórzyła Rowan, zwracając jego uwagę. – Nie myślimy za siebie, a właśnie tak powinniśmy postępować.

– Zgadzasz się z tobą – przyznał. – Chciałbym tylko być tak spokojny jak ty. Poznać te wszystkie półprawdy i nie zwijać się w ciemności próbując je zrozumieć.

– Nie bądź pionkiem w czyjejsz grze – powiedziała. – Poszukaj takiej postawy, która daje ci najwięcej siły i godności, bez względu na to, co się dzieje.

– Chodzi ci o dążenie do doskonałości – powiedział.

– Co?

– Powiedziałaś w Kalifornii, że wszyscy powinniśmy dążyć do doskonałości.

– Tak mówiłam? Wierzę w to. Próbuję wymyślić idealną postawę wobec otaczającej nas rzeczywistości. Nie zachowuj się więc tak, jakbym była jakimś monstrem, jeśli nie wybuchnę płaczem, Michaelu. Nie myśl, że nie wiem, co zrobiłam Karen Garfield, doktorowi Lemlemu czy tamtej małej dziewczynce. Doskonale zdaję sobie z tego sprawę, naprawdę.

– Nie chciałem...

– Och, tak, chciałeś – powiedziała z nagłą surowością. – Nie możesz lubić mnie bardziej, kiedy płaczę, niż wtedy gdy nie płaczę.

– Rowan, ja nie...

– Wylewałam potoki łez przez rok, zanim cię poznałam. Zaczęłam płakać, kiedy umarła Ellie. Potem płakałam w twoich ramionach. Płakałam, kiedy zadzwonili do mnie z Nowego Orleanu, że umarła Deirdre, a ja nigdy jej nie poznałam. Nie rozmawiałam ani nie widziałam własnej matki. Płakałam i płakałam. Płakałam, kiedy zobaczyłam ją wczoraj w trumnie. Płakałam z tęsknoty za nią wczoraj w nocy. Płakałam nawet przez starą kobietę. Nie chcę już dłużej rozpaczać. Mam tutaj dom, rodzinę, raport, który dał mi Aaron. Mam ciebie. Prawdziwą szansę. Nie wiem, czy istnieje jeszcze jakikolwiek powód do płaczu.

Wpatrywała się w niego ze złością. Szare oczy błyszczały w przyćmionym świetle.

– Rowan, jeśli nie przestaniesz, sam zacznę płakać – powiedział.



Mimowolnie roześmiała się. Jej twarz złagodniała, kąciki ust z trudem wygięły się ku górze.

– W porządku. Jest coś jeszcze, co mogłoby sprawić, że zaczęłabym znowu płakać. Muszę ci to powiedzieć, jeśli chcę być naprawdę szczerą... płakałabym, gdybym cię straciła.

– To dobrze – wyszeptał. Pocałował ją szybko, zanim zdążyła go powstrzymać.

Wskazała mu gestem, że ma się odsunąć, zachować powagę i słuchać. Pokiwał głową wzruszając ramionami.

– Powiedz, co ty chcesz robić? Nie mówię o tym, czego chcą od ciebie tamte istoty. Co czujesz?

– Chcę tu zostać – odparł. – Żałuję, że nie było mnie tak długo. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego to tyle trwało.

– No, nareszcie przemawia przez ciebie twoje własne „ja”. Mówisz o rzeczywistości – stwierdziła.

– Bez wątpienia – przytaknął. – Łaziłem tu i tam, po starych ulicach, gdzie dorastałem. Już nie ta sama okolica. Nigdy nie było tam pięknie, ale teraz to ruina, nędza i wszystko... odeszło.

Nagle dostrzegł w jej oczach troskę.

– Tak, wszystko się zmieniło – powiedział ze znużeniem. – Ale cały Nowy Orlean nigdy nie był najdroższym mi miejscem. Podobnie zresztą jak i sama ulica Zwiastowania. Tak naprawdę dorastałem tutaj, w Dzielnicy Ogrodów, w śródmieściu, w eleganckich partiach miasta, w Dzielnicy Francuskiej. Kocham te zakątki. Cieszę się, że wróciłem. Nie chcę znowu wyjeżdżać.

– Dobrze – stwierdziła z uśmiechem. Światło zamigotało na zaokrągleniu policzka i kąciku ust.

– Wiesz, cały czas myślałem: jestem w domu. Jestem w domu. Bez względu na to, co się wydarzy – nie opuszczę swojego domu.

– Do diabła z nimi, Michael! – powiedziała. – Do diabła z nimi, kimkolwiek

są, dopóki nie zmuszą nas, żebyśmy czuli inaczej.

– Dobrze powiedziane – przyznał z uśmiechem.

Rowan to wielka tajemnica, zaskakujące połączenie surowości i łagodności. Może, prawdopodobnie jak większość mężczyzn, popełniał błąd nie rozróżniając kobiecej siły od ich chłodu.

– Przyjdą do nas – stwierdziła. – Muszą. A kiedy to nastąpi, wtedy zastanowimy się i zdecydujemy, co zrobić.

– W porządku – zgodził się. – A może zdejmę rękawice? Czy teraz do mnie przyjdą?

– Nie mamy chyba zamiaru czekać na tę chwilę ze wstrzymanym oddechem?

– Nie. – Zaśmiał się krótko.

Zamilkł. Ogarnęło go podniecenie i troska, chociaż każde wypowiedziane przez nią słowo sprawiało mu przyjemność i czuł, że niepokój zniknie za chwilę.

Spojrzał w lustro wiszące w odległym końcu pokoju. Zobaczył odbicie ich postaci, powtórzone w dwóch następnych lustrach, dalej w nieskończoność w blasku srebrnego światła.

– Lubisz mnie kochać? – spytał.

– Co?

– Lubisz? – po raz pierwszy usłyszał wyraźne drzenie w jej głosie.

– Tak, lubię się z tobą kochać. Trochę mnie to przeraża, bo nie przypominasz nikogo, kogo znam. Jesteś taka silna.

– Tak, jestem – odparła głucho. – Bo mogłabym cię zabić, gdybym zechciała. Na nic by się zdała twoja męska siła.

– Nie o to mi chodziło – zaprotestował. Odwrócił się i spojrzał na nią. Przez krótką chwilę Rowan, spowita cieniem, sprawiała wrażenie osoby nieopisanie zimnej i przebiegłej. Miała spuszczone do połowy powieki. Oczy błyszczały. Wyglądała przerażająco, jak wtedy w Tiburon, w lodowatym świetle przedzierającym się przez szyby do ciemnego pokoju.

Powoli się wyprostowała, z cichym szelestem ubrania. Stwierdził, że

instynktownie odsuwa się od niej i ogarnia go strach. Jak wtedy, gdy dostrzeżesz węża ukrytego w trawie o kilka centymetrów od buta lub zauważysz, że mężczyzna siedzący w barze na stołku obok właśnie odwrócił się do ciebie i otworzył nóż sprężynowy.

– Co się, do diabła, z tobą dzieje? – wyszeptał.

Wtedy zobaczył. Drżała. Policzki pokryły się czerwonymi i sinymi plamami. Wyciągnęła do Michaela ręce i natychmiast je cofnęła. Spojrzała na dłonie i zacisnęła je w pięści.

– Boże, nawet nie nienawidziłam Karen Garfield – wyszeptała. – Naprawdę! Pomóż mi, Boże, ja...

– Nie, to był okropny błąd – powiedział. – Okropny błąd, nigdy więcej go nie popełnisz.

– Nigdy – obiecała. – Nawet z tą starą kobietą, przysięgam, nie wierzyłam.

Rozpaczliwie pragnął jej pomóc, ale nie wiedział, co ma zrobić. Drżała jak płomień na wietrze. Gryzła zębami dolną wargę, prawą dłoń boleśnie zaciskała na lewej.

– Przestań, najdroższa, przestań, ranisz siebie – prosił. Ale na próżno. Czowała się jak posąg ze stali. Nie poddawała się jego dotykowi.

– Przysięgam, nie wierzyłam. To jak impuls, wiesz, ale nie wierzysz, że możesz naprawdę coś zrobić... Byłam taka zła na Karen Garfield. Postąpiła niegodziwie, idiotycznie! Ot, tak sobie przyszła do domu Ellie!

– Wiem, rozumiem.

– Jak mam to zneutralizować? Czy ta moc wróci do mnie i wypali mnie od środka?

– Nie.

Odwróciła się od niego, podciągnęła kolana pod brodę i obojętnie wpatrywała w pokój. Była teraz trochę spokojniejsza, chociaż miała nienaturalnie rozszerzone oczy i bez przerwy poruszała palcami.

– Jestem zaskoczona, że nie przyszła ci do głowy oczywista odpowiedź –

powiedziała. – Taka prosta i jasna.

– O czym mówisz?

– Może twój cel jest wyznaczony. Masz mnie zabić.

– Dobry Boże, jak mogłaś o czymś takim pomyśleć? – Przysunął się bliżej, odgarnął włosy z jej twarzy i przyciągnął do siebie.

Patrzyła na niego, jakby znajdowała się bardzo daleko.

– Kochanie, posłuchaj mnie – zaczął. – Każdy może odebrać drugiemu człowiekowi życie. To proste. Bardzo proste. Istnieje milion sposobów. Jako lekarka znasz takie, o których ja nic nie wiem. Carlotta była maleńka, a zabiła mężczyznę silnego na tyle, że mógłby udusić ją jedną ręką. Kiedy śpię z kobietą, może mnie zabić, jeśli zechce. Wiesz o tym. Skalpel, szpilka do kapelusza, trochę trucizny. To łatwe. My tak nie postępujemy, nic na ziemi nie może zmusić większości z nas do rozważania tych sposobów. Ty również przez całe swoje życie podporządkowywałaś się powszechnym moralnym regułom. Jednak w pewnym momencie odkryłaś, że masz moc, coś, co przekracza prawo wyboru, wymyka się spod kontroli, wymaga szczególnego zrozumienia. A ty dzięki swej sile jesteś w stanie poznać tę moc.

Pokiwała głową, ale wciąż drżała na całym ciele. Widział, że mu nie wierzy. Sam nie był pewien, czy wierzy we własne słowa. Dlaczego miał zaprzeczać? Jeśli nie kontroluje swojej mocy, nieuchronnie jej użyje.

Jednak musiał powiedzieć jej coś jeszcze, co miało związek z wizjami i mocą jego dłoni.

– Rowan, pierwszej nocy, gdy się spotkaliśmy, poprosiłaś, żebym gołymi dłońmi wziął cię za ręce. Kochałem się z tobą bez rękawiczek. Dotykały się nasze nagie ciała. Co widzę, Rowan? Co czuję? Dobro i miłość.

Pocałował dziewczynę w policzek, we włosy. Zwrócił jej twarz ku sobie.

– Masz rację w wielu sprawach, ale nie w tej. Moim zadaniem na pewno nie jest wyrządzenie ci krzywdy. Uratowałaś mi życie – znowu ją pocałował, ale nadal drżała, daleka i zimna znalazła się poza czymkolwiek zasięgiem.

Przytakująco kiwając głową, łagodnie odsunęła jego dłonie od siebie, pocałowała go delikatnie, ale nie chciała, żeby jej dotykał. Nic to nie pomagało.

Tkwiał nieruchomo przez chwilę, zamyślony, wpatrując się w długi, malowniczy pokój, wysokie lustro w pociemniałych ramach, zakurzony fortepian Bozendorfera w odległym rogu, zasłony jak pasy wypłowiałej tkaniny w mroku.

Wstał. Nie mógł dłużej siedzieć. Przeszedł przed kanapą i znalazł się przy bocznym oknie wychodzącym na zakurzony ganek.

– Co powiedziałaś niedawno? – zapytał zwracając się do niej. – Mówiłaś o bierności i dezorientacji? Cóż, Rowan, to właśnie jest to.

Nie odpowiedziała mu. Nadal siedziała skulona, ze wzrokiem wbitym w podłogę.

Podszedł do niej i podniósł, zagarnął w ramiona. Na białych policzkach wciąż miała czerwone plamy. Spojrzała w dół. Długie, ciemne rzęsy rzucały cień.

Przycisnął delikatnie wargi do jej ust. Nie czuł oporu, jak wtedy gdy całuje się kogoś nieprzytomnego lub głęboko uspiętego. Powoli powróciła do życia. Otoczyła ramionami jego szyję i oddała pocałunek.

– Rowan, istnieje wzór – wyszeptał jej do ucha. – Wielka pajęczyna, a my w niej tkwimy, ale nadal wierzę, że są dobrzy, ci ludzie, którzy nas połączyli. Chcą, żebym zrobił coś dobrego. Już to przemyślałem, Rowan. Wiem, że to dobre. Tak jak wiem, że ty jesteś dobra.

Usłyszał, że znowu wzdycha. Poczł, jak unoszą się jej ciepłe piersi oparte o jego ramię. Kiedy w końcu wysunęła się z jego objęć, zrobiła to z czułością, całując go w palce.

Poszła na środek długiego salonu. Stała pod wysokim, szerokim łukiem dzielącym pomieszczenie na dwie części. Spojrzała na piękną płaskorzeźbę w tynku. Zachwyił ją sposób, w jaki łuk wyginał się w dół, aby dotrzeć po obu stronach do gzymsu. Wydawała się pochłonięta oglądaniem wnętrza.

Poczuł się odrzucony. Cała ta rozmowa sprawiła mu ból. Nie mógł pozbyć się uczucia krzywdy i podejrzliwości, chociaż nie odnosiło się ono do Rowan.

– Kogo to obchodzi? – wyszeptała do siebie, słabym i niepewnym tonem.

Przytłumione światło słońca przeciskało się przez ocieniony ganek i ukazywało bursztynowy wosk na starych deskach. Wokół niej unosiły się drobinki kurzu.

– Słowa, słowa, słowa – powiedziała. – Następny ruch należy do nich. Zrobiłeś wszystko, co mogłeś. Tak jak ja. Oto jesteśmy. Pozwólmy im, niech do nas przyjdą.

– Tak, pozwólmy im przyjść.

Odwróciła się do niego. Twarz smutna, spojrzenie uważne. Bez słów poprosiła, aby podszedł do niej. Chwila strachu wstrząsnęła Michaeliem i pozostawiła go z uczuciem pustki. Miłość do Rowan była taka cenna, a jednak bał się. Naprawdę.

– Co my zrobimy, Michael? – spytała z cudownym, ciepłym uśmiechem.

Roześmiał się cicho.

– Nie wiem, kochanie – wzruszył ramionami i pokręcił głową. – Nie wiem.

– A czy wiesz, czego ja od ciebie teraz chce?

– Nie, ale cokolwiek to jest, dostaniesz.

Sięgnęła po jego rękę.

– Opowiedz mi o tym domu – poprosiła patrząc mu w oczy. – Wszystko co wiesz. Czy naprawdę można go uratować?

– Kochanie, ten dom czeka na ocalenie. Jest solidny jak zamek w Montclevie czy Donnelaith.

– Mógłbyś zająć się remontem? Nie musiałbyś własnymi rękami...

– Chciałbym to zrobić własnymi rękami – spojrzał nagle na ręce, wstrętne, schowane w rękawice ręce. Ile czasu upłynęło, kiedy ostatni raz trzymał młotek, piłę, deskę. Podniósł głowę wysoko do góry i spojrzał na łuk nad nimi, na długi sufit z popękana, obsypującą się farbą. – Och, jak bym chciał.

– Gdybym ci dała carte blanche, gdybyś mógł wynająć, kogo zechcesz – malarzy, tynkarzy, dekarzy, ludzi, którzy przywrócą życie temu domowi, odnowią każdy gwóźdź, zamalują najmniejsze pęknięcia...

Słowa płynęły powoli, bez przerwy. Doskonale wiedział, o czym mówiła. Zastanawiał się, czy ona jest w stanie zrozumieć, co naprawdę to dla niego znaczy. Praca w takim domu zawsze była jego największym marzeniem, ale nie chodziło o jakiś dom, lecz o ten dom. Powędrował pamięcią do czasów dziecięcych, kiedy stał przy furtce gapiąc się na rezydencję. Wspominał chłopca, który poszedł do biblioteki i wdrapał się na wysokie półki, żeby ściągnąć stare książki z obrazkami, przedstawiającymi ten dom, salon i hol. Nigdy nie marzył, że kiedykolwiek zobaczy wnętrze na własne oczy.

W wizji kobieta powiedziała: *Zbiegają się w tym jedynym punkcie czasu, w tym domu, w tej najważniejszej chwili, kiedy...*

– Michael? Chcesz to zrobić?

Jak przez mgłę zobaczył twarz rozjaśnioną jak buzia dziecka. Wspaniała, szczęśliwa, ale taka odległa.

*Czy to ty, Deboro?*

– Zdejmij rękawiczki – powiedziała Rowan. Surowy ton wystraszył Michaela. – Wracaj do roboty! Stań się znowu sobą! Przez pięćdziesiąt lat nikt w tym domu nie był szczęśliwy, nikt nie był kochany, nikt nie wygrał! Nadszedł czas dla nas, na miłość, na zwycięstwo. Musimy zdobyć ten dom dla siebie. Wiedziałam o tym, gdy przeczytałam raport o czarownicach Mayfair. Michael, to nasz dom.

*Ale możesz zmienić... Nigdy, nawet przez chwilę nie myśl, że nie masz mocy, gdyż moc pochodzi...*

– Michael, odpowiedz mi.

*Co zmienić? Nie zostawiaj mnie w ten sposób. Wyjaśnij!*

Już odeszli, jakby nigdy ich tu nie było. Stał z Rowan w słońcu na ciepłej podłodze o barwie bursztynu, a ona czekała na odpowiedź.

Dom też czekał, piękny dom, skryty pod warstwami rdzy, brudu, spowity cieniem i splątany dzikim winem; trwał w upale i wilgoci. Czekał.

– O tak, kochanie, tak – powiedział, jakby budził się ze snu. Nozdrza wypełnił nagle zapach kapryfolium, usłyszał śpiew ptaków i ogrzewające ciepło słońca.

Obrócił się na środku długiego salonu.

– Światło, Rowan. Musimy wpuścić światło. Chodźmy – powiedział, biorąc ją za rękę. – Zobaczmy, czy da się otworzyć stare okiennice.



Spokojnie, z podziwem, zaczęli oglądać dom. W pierwszej chwili zachowywali się tak, jakby uciekli spod kontroli strażnikom w muzeum, ale bali się wykorzystać przypadkową wolność.

Nie mieli odwagi dotknąć osobistych przedmiotów należących do dawnych mieszkańców. Filiżanka do kawy stojąca na szklanym stoliku w pokoju wypełnionym słońcem. Złożone na krześle pismo.

Przechodzili od pokoju do pokoju, odsuwając zasłony, otwierając okiennice. Zaglądali nieśmiało do szafek i szuflad, zachowując największą ostrożność.

Powoli przyzwyczajali się do ciepła pełnego cieni. Stawali się odważniejsi.

W bibliotece spędzili godzinę, przyglądając się skórzanym grzbietom klasyki i rejestrów plantacji w Riverbend. Posmutnieli zobaczywszy, że stronicy są przesiąknięte wilgocią i zniszczone. Prawie nic ze starych rachunków nie dało się przeczytać.

Nie dotknęli papierów na biurku, które Ryan Mayfair miał zabrać i przestudiować. Obejrzeliby portrety w ciężkich ramach wiszące na ścianie.

– To musi być Julien. – Tajemniczy, przystojny, uśmiechał się do nich, gdy stali w holu. – A co jest w tle? – Było tak pociemniałe, że Michael z początku nic nie widział. Po chwili jednak uświadomił sobie, że Julien stoi na ganku przed tym domem.

– Spójrz na tę starą fotografię, to na pewno Julien z synami. Najbliżej stoi Cortland. Mój ojciec. – Znowu ustawieni byli przed domem na ganku,

uśmiechali się z wyblakłej sepii. Wydawali się tacy weseli, pełni życia.

*Co zobaczyłbyś, Michaelu, gdybyś ich dotknął? Skąd wiesz, czy Debora właśnie tego od ciebie nie chce?*

Odwrócił się szybko, aby pójść za Rowan. Uwielbiał sposób, w jaki chodziła. Stawiała długie, niedbałe kroki. Włosy powiewały za nią w rytmicznie. Z uśmiechem zatrzymała się w drzwiach prowadzących do jadalni. Idziesz?

W niewielkim, ale wysokim kredensie znaleźli półki do samej góry wypełnione najcenniejszą porcelaną z manufaktur: Minton, Lenox, Wedgwood, Royal Doulton, wzory kwiatowe, orientalne, malowane srebrem i złotem. Stare, białe naczynia, porcelana ze wschodu, antyczna „Błękitna Wierzba” i Spode.

Znaleźli szuflady pełne sztucców, ciężkich, ozdobnych przedmiotów, setkami ułożonych w filcowych przegródkach, bardzo stare komplety angielskich marek, z inicjałem „M” wygrawerowanym w europejskim stylu.

Michael znał takie przedmioty: jego długi romans z historią dobrze mu służył. Potrafił rozpoznać nóż do ryby, widelec do ostryg, łyżeczki do galaretki i dziesiątki innych przedmiotów o specjalnym przeznaczeniu, z których wiele było ozdobionych w różny sposób.

Zobaczyli srebrne świeczniki, finezyjnie wykonane wazy do ponczu, patery, koszyki do chleba, miseczki do masła, stare dzbany do wody, dzbanki do kawy, herbaty, karafki. Fantastyczny połów. W magiczny sposób ciemny nalot zniknął pod naciskiem palca, odsłaniając blask czystego srebra.

Kryształowe misy we wszystkich rozmiarach wepchnięto z tyłu szafek między talerze i talerzyki.

Jedynie obrusów i serwetek nie można było ocalić. Delikatne płótno i koronki zgniły z wilgoci. Litera M ukazywała się dumnie spod ciemnych plam pleśni.

Kilka obrusów przechowano starannie w suchej, wyłożonej błękitnym papierem szufladzie. Stara koronka pożółkła. Między serwetami walały się

kółka z kości słoniowej, srebra i złota.

Dotknąć ich? Czy MBM oznacza Mary Beth Mayfair? A kółko z inicjałem JM, wiemy, do kogo musiało należeć. Odłożył je. Palce w rękawiczkach stały się nagle zręczne, jakby nic ich nie osłaniało, chociaż dłonie miał spocone i niepewne. A jego krzyż, jak Rowan określała tę moc, zaczął mu bardzo ciążyć.

Światło późnego popołudnia przenikało długimi, ukośnymi promieniami przez okna jadalni. Spójrz na nią w tym otoczeniu. Rowan Mayfair. Freski ożyły, odsłoniły tłum niewielkich postaci zagubionych na polach plantacji jak ze snu. Wielki, podłużny, co najmniej stuletni stół stał mocno i pewnie. Krzesła Chippendale'a o skomplikowanym wzorze wrytym na oparciu ustawiono pod ścianami.

Czy będziemy tu jadali kolację przy migocących płomykach świec?

– Tak – wyszeptała. – O tak!

Później odkryli w kredensie delikatne szkło, w odpowiedniej ilości aby wyprawić ucztę dla króla. Znaleźli wysmukłe kieliszki na cienkich nóżkach do likierów i szklanice o grubym dnie ozdobione kwiatami; do sherry, koniaku, szampana, białego wina, czerwonego wina, wódki, ponczu; karafki i kryształowe dzbanki; lśniące stopy pięknych talerzy.

„Ile skarbów”, pomyślał Michael, wszystkie czekały na dotknięcie różdżki czarodziejskiej, aby wrócić do służby.

– Marzę o przyjęciach – przyznała się Rowan. – Jak za dawnych czasów. O zebraniu ich wszystkich tutaj i zastawieniu stołu jedzeniem. Dla Mayfairów.

Michael w milczeniu obserwował profil dziewczyny. Trzymała w prawej dłoni wysmukły kieliszek i obracała tak, aby odbijał blade światło słońca.

– Wszystko ma tyle wdzięku, nieopisanego uroku – stwierdziła. – Nie wiedziałam, że życie może tak wyglądać. Nigdy nie przyszło mi na myśl, że gdzieś w Ameryce istnieją podobne temu domy. Jakie to wszystko dziwne. Podróżowałam po całym świecie i nigdy nie znalazłam się w takiej rezydencji. Jakby czas o niej zupełnie zapomniał.

Michael nie mógł powstrzymać uśmiechu.

– Tu zmiany zachodzą bardzo powoli. Dzięki Bogu – powiedział.

– A jednak czuję, jakbym śniła o tym domu i o życiu, jakie można w nim prowadzić, i nic nie pamiętała po przebudzeniu. Ale coś tam, głęboko we mnie, musiało zachować wspomnienie. Intuicyjnie czułam się obca i zagubiona w świecie, jaki tam dla siebie stworzyliśmy.

Wyszli na słońce. Okrążyli stary basen i zrujnowany domek kąpielowy.

– Wszystko jest bardzo solidne – stwierdził Michael, gdy dokładnie sprawdził drzwi, umywalkę i prysznic. – Można naprawić. Patrz, to zrobiono z cyprysu. Rury są miedziane. Nic nie zniszczy cyprysu. Zaledwie kilka dni zajęłoby mi wyregulowanie kanalizacji.

Wracali przez wysoką trawę, gdzie kiedyś stały budynki gospodarcze. Nie pozostały po nich żadne ślady poza jedynym, opuszczonym drewnianym domkiem w oplakany stan, stojącym w najodleglejszym rogu posiadłości.

– Nie tak źle, wcale nie jest tak źle – mówił Michael, zaglądając przez zakurzone okiennice. – Prawdopodobnie mieszkała tu służba męska, to coś w rodzaju *garconniere*.

W pobliżu rósł dąb, na którym Deirdre szukała schronienia. Sięgał prawie dwudziestu pięciu metrów wysokości. Miał ciemne, zakurzone liście, skręcone pod wpływem upalnego lata. Wiosną stawały się jasnozielone jak mięta. Rozrośnięte kępy bananowców ugiwały się jak gigantyczna trawa. Tył posiadłości chronił piękny, po mistrzowsku zbudowany mur, obrośnięty bluszczem i oplatany wisterią aż po furtkę wychodzącą na Kasztanową.

– Wisteria jeszcze kwitnie – powiedział Michael. – Kocham te purpurowe kwiaty. Kiedyś uwielbiałem ich dotykać, żeby zobaczyć, jak drżą płatki.

Dlaczego, do diabła, nie zdejmiesz na chwilę rękawiczek, aby poczuć delikatne, drobne płatki w dłoni?

Rowan stała z zamkniętymi oczami. Czy słuchała śpiewu ptaków? Wpatrywał się w długie, boczne skrzydło domu, na służbówki z białymi

poręczami i oddzielającą je od reszty domu białą kratę. Sam ten widok przygnębił go i uszczęśliwił jednocześnie. Znalazł wszystkie kolory domu.

Dom. Jakby kiedykolwiek tu mieszkał. Czy jakiś przechodzień mógł to miejsce bardziej pokochać niż on? W pewnym sensie żył w tym domu, tęsknił do niego, gdy wyjechał, śnił o nim...

*Nie możesz sobie wyobrazić siły ataku...*

– Michael?

– Tak, kochanie? – pocałował ją. Pochwyił cudowny zapach słońca we włosach Rowan. Upał lśnił na jej skórze. Pozostało drzenie wywołane wizją. Otworzył szeroko oczy, napawał się światłem popołudnia. Usypiało go ciche brzęczenie owadów.

*...same kłamstwa...*

Rowan podeszła do niego przez wysoką trawę.

– Zobacz, tu są kamienne płyty. – Jej głos na otwartej przestrzeni wydawał się wysoki. – Wszędzie płyty. Wszystko zakrywają.

Poszedł za nią, z powrotem do ogrodu przed domem. Znaleźli małe greckie rzeźby satyrów z cementu, zerkających niewidzącymi oczami spod rozrośniętych krzaków bukszpanu, nimfę z marmuru zagubioną wśród woskowych ciemnych liści kamelii i drobne żółte lantany kwitnące wszędzie, gdzie dotarło słońce.

– Jajka na bekonie, tak nazywaliśmy ten kwiatek – powiedział zrywając dla Rowan jedną łodyżkę. – Spójrz, brązowe i żółte płatki, trochę pomarańczowego. A tam, to odmiana niebieska. Widzisz tę roślinę, to niecierpek, tutaj masz malwy – wysokie błękitne kwiaty, które rosną przy ganku, ale my zawsze nazywaliśmy je althaeą.

– Althaeą, prześlicznie.

– A to powój, zawsze mówiliśmy o nim Róża z Montany. Zobaczyli białą poręcz starego bujanego fotela Deidre nad koronką bluszczu.

– Musieli go przycinać dla niej, żeby cokolwiek widziała – stwierdził. –

Zobacz, jak z drugiej strony jest zarośnięte. A to prawdziwa królowa, prawda?

Wskazał oślepiająco purpurowe przylistki, które wszyscy brali za kwiaty.

– Dobry Boże, ile razy próbowałem uzyskać ten sam efekt w jakimś maciupkim ogródku w Kalifornii, zanim wręczyłem klucze nowemu właścicielowi, po zawieszeniu koronkowych firanek w oknach, wypastowaniu podłóg woskiem „Złoty Dąb” i ocaleniu wanny na lwich łapach ze złomowiska. A tutaj proszę, miejsce takie naprawdę istnieje, autentyczne...

– Należy do ciebie – powiedziała. – Do nas. – Jakże teraz wydawała się niewinna. Jej łagodny uśmiech pełen był szczerości i entuzjazmu.

Otoczyła go ramieniem, ścisnęła jego dłoń ukrytą w rękawiczce.

– A jeśli wszystko wewnątrz zgniło, Michaelu? Czy uda się cokolwiek ocalić? Ile to potrwa? Co trzeba będzie usunąć?

– Chodź tutaj, stań i popatrz – poprosił. – Widzisz, że poręcze w pomieszczeniach dla służby biegną prosto? Fundamenty tego domu są w jak najlepszym porządku. Na parterze nie widać żadnych śladów pęknięć czy wilgoci!! Nic! W dawnych czasach służba przechodziła bocznymi krużgankami. Dlatego wmontowano tu tyle okien i drzwi. Żadne z tych, które oglądałem, nie są wypaczone. A dom jest tak ustawiony, aby przez werandy wpadała bryza od rzeki. Całe miasto zabudowano w ten sposób.

Patrzyła na okna byłego pokoju Julienu. Czy znowu myślała o Ancie?

– Czuję, że zdjęto klątwę z tego miejsca – wyszeptała. – Mieliśmy tu przyjechać i pokochać się. To właśnie nam przeznaczono.

„Tak, wierzę”, pomyślał, ale jej tego nie powiedział. Być może panująca wokół nieruchoma cisza wydawała mu się zbyt żywa; bał się stanąć na drodze czemuś niewidzialnemu, co słuchało i obserwowało.

– Ściany zbudowano z solidnej cegły – mówił dalej. – Niektóre z nich mają pół metra grubości. Zmierzyłem je dłońmi, kiedy przechodziliśmy przez drzwi. Pół metra grubości! Otynkowano je z zewnątrz, żeby przypominały kamień, bo taka wtedy była moda. Widzisz ten wzór na farbie? Wykonano go po to, aby

dom wyglądał jak willa zbudowana z wielkich kamiennych bloków.

Mamy tu do czynienia z mieszaniną stylów – przyznał – kraty jak koronka z kutego żelaza, kolumny korynckie, doryckie i jońskie, i oczywiście drzwi w kształcie dziurki od klucza...

– Tak, dziurki od klucza. Opowiem ci o innym miejscu, gdzie widziałam takie drzwi. Otóż na grobowcu. Na samej górze grobowca Mayfairów.

– Na samej górze?

– Wykuto w kamieniu drzwi, identyczne jak w tym domu. Jestem pewna, tak właśnie wyglądają, ale czy naprawdę jest to dziurka od klucza? Pokażę ci. Możemy tam iść na spacer, dziś albo jutro. Stoi zaraz obok głównej alei.

Dlaczego opanował go taki niepokój? Drzwi wykute w grobowcu? Nienawidził cmentarzy, nie cierpiał grobów. Ale wcześniej czy później musiał zobaczyć miejsce spoczynku Mayfairów, prawda? Mówił dalej, tłumiąc w sobie lęk, pragnąc, aby stojący przed nim dom oświetlał wspaniały blask słońca.

– A tam z północnej strony zaokrąglone włoskie okna. To wpływ innego stylu w architekturze. Ale wszystko jest na miejscu. Zbudowano go z myślą o tutejszym klimacie. Jak pułapkę na chłodny wiatr i światło, ale to prawdziwa forteca. Upał się nie wedrze.

Wsunęła mu rękę pod ramię i weszli do środka, a potem w górę po schodach kryjących się w cieniu.

– Zobacz, tynk mocno się trzyma – wyjaśniał. – Z pewnością jest to pierwsza warstwa, ale kładli go prawdziwi mistrzowie. A gzymsy robili ręcznie. Nie ma najmniejszej rysy ani pęknięcia. Kiedy dostanę się na sam dół, na pewno stwierdzą, że ściany są mocne, a fundamenty rozległe. Muszą być takie. Wszystko jest solidne, równe.

– A ja myślałam, że to ruina nie do odratowania, kiedy zobaczyłam ten dom po raz pierwszy.

– Wyobraź sobie, że zerwałaś stare tapety. Pomalowałaś ściany na jasne, ciepłe kolory. Widzisz lśniące i czyste drewno?

– I to wszystko należy teraz do nas – wyszeptała. – Do ciebie i do mnie. Piszemy nowy raport.

– Raport o Rowan i Michaelu – powiedział z lekkim uśmiechem. Zatrzymał się u szczytu schodów. – Na pierwszym piętrze remont będzie prostszy. Sufit jest o jakieś pół metra niżej i nie ma ozdobnych gzymsów. Mniejsza skala.

Roześmiała się i pokręciła głową.

– Jak wysokie są te „malutkie pokoje?” Pięć metrów, co? Odwrócili się i poszli korytarzem. Zajrzeli do pierwszej sypialni.

Okna wychodziły na front i boczny ganek. Książeczka do nabożeństwa, własność Belle, leżała na komodzie. Na okładce wytłoczono złotymi literami jej imię. Na pociemniałych i zardzewiałych łańcuszkach wisiały osłonięte zakurzonymi szybkami fotografie w posrebrzanych ramkach.

– Znowu Julien. To musi być on – zauważył Michael. – A to Mary Beth, patrz, Rowan, jesteś podobna do tej kobiety.

– Tak mi powiedziano – odparła cicho.

Różaniec Belle, z jej imieniem wyrytym z tyłu krzyża, leżał na poduszce na łożu z baldachimem. Z piór wachlarza uniosła się chmura kurzu, gdy Michael go dotknął. Wieniec z róż spoglądał na niego z aksamitnego baldachimu.

Wszystko wydawało się ponure: ciężkie szafy pochylone do przodu, wytarty dywan, wyblakłe tapety w kwiatowe wzory i unoszący się kurz. Gałęzie dębu wyglądały jak duchy zaglądające zza dziurawych zasłon. Łazienka była czysta i zwyczajna. Kafelki z czasów Stelli, jak domyślił się Michael. Wielka stara wanna, jakie czasem można znaleźć w hotelach. Wysoki sedes i stos pokrytych kurzem ręczników ułożonych na wiklinowych półkach.

– Och, Michael, to najlepszy pokój! – zawołała za jego plecami Rowan. – Wychodzi na południe i na zachód. Pomóż mi otworzyć okno.

Z trudem odsunęli zardzewiały zamek.

– To jak mieszkanie na drzewie – powiedziała, gdy wyszła na szeroki krużganek. Położyła dłoń na wysmukłej kolumnie korynckiej i wychyliła się w



stronę poskręcanych konarów dębu. – Patrz, Michael, paprocie rosną na gałęziach, mnóstwo małych paproci. A tam, patrz, wiewiórka. Nie, są dwie. Wystraszyliśmy je. Jakie to dziwne. Jakbyśmy byli w lesie. Możemy wyskoczyć na zewnątrz i zacząć się wspinać. Po tym drzewie doszlibyśmy do nieba.

Michael sprawdzał belki.

– Mocne, jak wszędzie. Żelazo nie przerdzewiało, trzeba je tylko pomalować. Dach też nie cieknie.

Po prostu czekał, przez tyle lat czekał, żeby go odnowić. Zatrzymał się i ściągnął marynarkę. Upał zaczął mu się dawać we znaki, chociaż tutaj chłodziła ich bryza od rzeki.

Zarzucił marynarkę na ramię, przytrzymując na zagiętym palcu.

Rowan stała ze skrzyżowanymi ramionami. Opierała się na kutej poręczy. Patrzyła na spokojną okolicę.

Michael spojrzał na dół przez gęstwinę niskich drzewek oliwkowych na furtkę. Zobaczył siebie: stojącego przed furtką chłopca. Widział bardzo wyraźnie. Nagle Rowan klasnęła w dłonie i wciągnęła go do środka.

– Zobacz, te drzwi prowadzą do następnej sypialni. Z tego pokoju moglibyśmy zrobić salonik. Oba pomieszczenia wychodzą na ten krużganek.

Wpatrywał się w owalną fotografię. Stella? To musi być Stella.

– Czyż nie będzie cudownie? – mówiła dalej Rowan. – Musimy urządzić tu salonik.

Zerknął na białą skórzaną okładkę modlitewnika ze słowami „Belle Mayfair” wytłoczonymi złotymi literami.

„Dotknij”, pomyślał, „Belle była taka słodka, taka dobra”.

Jak Belle mogłaby cię skrzywdzić? Jesteś w tym domu i nie używasz swojej mocy.

– Michael?

Nie mógł tego zrobić. Gdyby zaczął, nie potrafiłby skończyć. Zabiłyby go elektryczne wstrząsy przechodzące przez jego ciało, ta kakofonia głosów i

ślepotą, nieuniknioną ślepotą, gdy do jego świadomości napływały obrazy jak ryby w ciemnej wodzie. Nie. Nie musisz. Nikt ci nie kazał.

Michaelowi przyszła do głowy myśl, że ktoś mógłby go zmusić, zerwać rękawiczkę i przyłożyć jego dłoń do przedmiotów w tym domu. Zadrżał. Bał się. Rowan wołała go. Spojrzał na modlitewnik i wyszedł.

– Michael, to chyba był pokój Millie. Jest tu kominek. – Rowan stała przed wysoką serwantką, trzymając w palcach chusteczkę z monogramem. – Te pokoje przypominają świątynie.

Przez długie okno zobaczyli, że bungenwilia tak się rozrosła na krużganku, że nie było widać poręczy. Ten krużganek znajdował się nad werandą Deirdre.

– We wszystkich pokojach są kominki – powiedział od niechcienia. Wzrok utkwił w jaskrawych purpurowych kwiatach bungenwili. – Muszę obejrzeć kominy. W takich płytkich paleniskach palono węglem, a nie drewnem.

Teraz w ich wnętrzu znajdowały się palniki gazowe. Wolał je, gdyż nigdy nie widział małego, gazowego palnika płonącego zimną w ciemności niewielkim niebiesko-złotym płomieniem.

Rowan stała przed drzwiami do szafy.

– Co to za zapach, Michael?

– Dobry Boże, Rowan, nigdy nie czułaś zapachu kamfory w starej szafie?

Roześmiała się cicho.

– Nigdy nie widziałam starej szafy, Michaelu Curry. Nigdy nie mieszkałam w starym domu, nigdy nie spałam w starym hotelu. Motto mojego przybranego ojca brzmiało: wszystko co najnowsze. Restauracja na dachu, stal i szkło. Nie możesz sobie nawet wyobrazić, do czego był zdolny, aby trzymać się swoich zasad. Nawet Ellie nie znosiła widoku rzeczy starych czy używanych. Wyrzucała ubrania po roku.

– Pewnie myślisz, że wylądowałaś na innej planecie.

– Nie, niezupełnie. To tylko inna interpretacja świata – sprostowała, wypowiadając słowa drżącym głosem. Zamyślona dotknęła ubrań wiszących w

szafie. Michael widział wyłącznie cienie.

– I pomyśleć – wyszeptała – że kończy się stulecie, a ona całe życie spędziła w tym pokoju. – Zrobiła krok do tyłu. – Boże, jaka okropna tapeta. Spójrz, tam cieknie.

– Nic poważnego, kochanie. Tylko mała dziurka. Z pewnością znajdziemy w tym domu jeszcze jeden czy dwa przecieki tej wielkości. To nic. Ale chyba tynk jest już do niczego?

– Do niczego?

– Za stary, żeby go zamalować. Cały popękał. Zrobimy nowy sufit – stwierdził wzruszając ramionami. – Dwa dni roboty.

– Jesteś genialny. Roześmiał się i pokręcił głową.

– Spójrz, tam jest łazienka. Każdy pokój ma własną łazienkę. Próbuję wyobrazić sobie wszystko czyste i naprawione...

– Ja już widzę – odparł. – Z każdą chwilą wyraźniej.

Pokój Carloty był ostatnim większym pomieszczeniem znajdującym się na końcu korytarza. Przypominał ogromną, ponurą jaskinię. Stało tam czarne łóżko z baldachimem przykryte kapą ze spłowiałej tafty oraz kilka krzeseł w ciemnych pokrowcach. Panowała woń stęchlizny. Na półkach stały książki prawnicze i leksykony. Książeczka do nabożeństwa i różaniec leżały tak, jakby je przed chwilą odłożyła. Rzucone białe rękawiczki, para kolczyków z kameą i sznurek koralu z agatów.

– Kiedyś nazywaliśmy je koralami babci – powiedział zaskoczony. – O wszystkim zapomniałem. – Wyciągnął rękę, chcąc ich dotknąć i gwałtownie cofnął, jakby się oparzył.

– Mnie się tu też nie podoba – wyszeptała Rowan. Skuliła ramiona bezradnie. Może się przestraszyła. – Nie chcę ruszać niczego, co do niej należało – powiedziała. Sprawiała wrażenie, jakby otoczenie, przedmioty na komodzie, stare meble, choć piękne, napełniały ją wstrętem.

– Ryan się tym zajmie – wymruczała czując narastający niepokój. –

Powiedział, że przyjdzie Gerald Mayfair i zabierze rzeczy Carlotty. Zapisala swoją własność babce Geralda. – Rowan odwróciła się raptownie, jakby coś ją wystraszyło. Spojrzała ze złością w lustro wiszące między oknami. – Tutaj znowu jest ten zapach, kamfora. I coś jeszcze.

– Werbena i woda różana – odparł. – Widzisz tę butelkę? Hodują takie małe roślinki w tych dziwacznych hotelach w północnej Kalifornii. Sam je sadziłem w szczelinach marmurowych blatów. Trzymają się. Prawdziwe zielsko, nie do pokonania.

– Zbyt prawdziwe – wyszeptała. – Takie ponure i nieszczęśliwe. Podeszli do drzwi w końcu pokoju. Prowadziły do krótkiego korytarzyka, kilku schodków i dwóch małych pomieszczeń.

– W dawnych czasach sypiały tu pokojówki – wyjaśnił Michael. – Tu mieszkała Eugenia. Zaglądamy do wnętrza skrzydła dla służby, która nie używała tych drzwi, bo ich nie było. Dopiero niedawno przebito otwór w ścianie. Kiedyś służba wchodziła do domu przez krużganek.

Na odległym końcu skrzydła zobaczyli przyćmione światło.

– Te schody prowadzą do kuchni. Stara łazienka na tyłach należała do Eugenii. Kiedyś południowcy zmuszali czarną służbę do używania oddzielnych łazienek. Słyszałaś chyba coś o tym, co?

Wrócili do większego pokoju. Rowan poruszała się ostrożnie po wyblakłym dywanie. Michael poszedł za nią do okna. Powoli odsunął cienką zasłonę. Mogli wyrzec na ceglane chodniki na Kasztanowej i wymyślną fasadę wielkiego domu naprzeciwko.

– Widzisz, wychodzi na rzekę – powiedział Michael wskazując na jakiś inny budynek. – Spójrz na dęby, powozownia jeszcze stoi. Stiuk odpada od cegieł. Też miał wyglądać jak z kamienia.

– Z każdego okna widzisz dęby – zauważyła Rowan cicho, jakby obawiała się wzbić tumany kurzu. – Niebo ma taki błękitny kolor. Nawet światło jest tu inne. Jak we Florencji lub Wenecji.

– O tak – potwierdził Michael.

Raz jeszcze poczuł niepokój, gdy patrzył na przedmioty należące do tamtej kobiety. Być może dotarł do niego lęk Rowan. Wyobraził sobie boleśnie i wyraźnie, jak zdejmuje rękawiczkę i kładzie dłoń na rzeczach Carlotty.

– Co ci jest, Michaelu?

– Chodźmy stąd – poprosił cicho, ścisnął ją za rękę i wyprowadził na główny korytarz.

Z niechęcią poszła za nim do pokoju Deirdre. Jej zmieszanie i poczucie obrzydzenia zdawały się pogłębiać. Jednak widział, że coś popycha dziewczynę do odbycia tej podróży. Dostrzegł jej oczy wpatrujące się z napięciem w fotografie, w niewielkie wiktoriańskie, plecione krzeselka. Michael przytulił Rowan mocno, gdy dostrzegł czarną plamę na materacu.

– To okropne. Muszę kogoś wezwać do sprzątnięcia.

– Nie, ja to zrobię – zaprotestowała.

– Nie, ja. Spytałaś mnie na dole, czy mogę się wszystkim zająć, wynająć ludzi potrzebnych do wyremontowania całego domu. Cóż, tym też się zajmę.

Patrzył na plamę, wielki owal lepkiego brązu. Czy krwawiła przed śmiercią? Czy leżała w nieczystościach ciekących w upale tego ohydneho starego pokoju?

– Nie wiem – wyszeptała Rowan, chociaż nie zadał pytania głośno. Westchnęła rozpaczliwie. – Już prosiłam o dokumenty. Ryan ściągnie wszystko drogą prawną. Dzisiaj z nim rozmawiałam. Zadzwoiłam do lekarza. Mówiłam także z pielęgniarką, Violą. Przemiła starsza pani. Prosto z Dickensa. Lekarz powiedział mi tylko, że nie było powodu zabierać Deirdre do szpitala. To jakieś wariactwo. Nie podobało mu się, że zadaję pytania. Sugerował, że popełniam błąd. Stwierdził, że był to postępek humanitarny: pozwolić jej umrzeć.

Michael przytulił Rowan do siebie mocniej, delikatnie pieścił jej policzki wargami.

– Co to za świece? – spytała, wpatrując się w ołtarzyk przy łóżku. – Jaka

okropna figura! Co to jest?

– To Błogosławiona Matka – powiedział. – Widzisz jej serce, nazywamy je Niepokalane Serce Marii. Nie pamiętam zbyt dokładnie. Te świece to gromnice, są poświęcone. Widziałem ich płomyki, kiedy dotarłem tu pierwszej nocy. Nie przyszło mi do głowy, że ona umiera. Gdybym wtedy... Nie wiem. Nie miałem pojęcia, kto tu mieszka.

– Po co palili te świece?

– Przynoszą ulgę umierającym. Przychodzi ksiądz. Udziela sakramentu: Ostatniego namaszczenia. Chodziłem z księdzem, kiedy byłem ministrantem.

– To dla niej zrobili, ale nie zawieźli do szpitala.

– Rowan, czy naprawdę myślisz, że gdybyś o tym wiedziała i przyjechała, to mogłabyś ją tam zawieźć? Nie sądzę, kochanie. Poza tym teraz to już nie ma znaczenia.

– Ryan mówi, że nie można jej było pomóc. Znajdowała się w beznadziejnym stanie. Twierdzi, że dziesięć lat temu Carlotta kazała odstawić leki. Nie było żadnej reakcji na bodźce. Ryan mówi, że zrobili wszystko, co mogli, ale to jego zdanie, prawda? Będę wiedziała, jak zobaczę dokumenty, wtedy poczuję się lepiej... albo gorzej.

Odeszła od łóżka, przesuwała po pokoju spokojniejsze spojrzenie. Widocznie zmuszała się do oceniania tego pomieszczenia w taki sposób, jak robili to w przypadku wcześniej zwiedzonych miejsc.

Michael od niechcienia pokazał jej, że tylko ten pokój ozdobiono podobnie jak parter. Zwrócił uwagę na woluty zwieńczające okna. Pokryty warstwą kurzu kryształowy żyrandol zwieszał się z wzorzystego stiukowego medalionu. Łóżko było ogromne i wyjątkowo brzydkie.

– Nie przypomina innych łóżek w tym domu – zauważyła.

– Jest nowsze, wyprodukowano je maszynowo – wyjaśnił. – Amerykańskie. Pod koniec zeszłego wieku sprzedawano je milionami. Prawdopodobnie ten mebel zakupiła Mary Beth.

– Zatrzymała czas, prawda?

– Mary Beth?

– Nie, ta okropna Carlotta. Zatrzymała tu czas. Sprawiała, że wszystko stało. Pomyśl o dziewczętach dorastających w takim domu. Nie ma nawet śladu dowodu, że same zrobiły coś pięknego, szczególnego czy wartego zachowania.

– Pluszowe misie – wyszeptał Michael. Czy to nie Deirdre w ogrodzie w Teksasie wspominała o pluszowych misiach?

Rowan go nie słyszała.

– Cóż, skończyło się jej panowanie – powiedziała, ale bez tonu triumfu czy zadowolenia.

Nagle podeszła szybko do stolika, pochwyciła gipsową figurę Dziewicy z odsłoniętym czerwonym sercem i rzuciła w poprzek pokoju. Figura wylądowała na marmurowej podłodze otwartej łazienki, pękła na trzy nierówne kawałki. Rowan patrzyła wstrząśnięta własnym postępkiem.

Michael stał zdumiony. Przeraziło go coś zupełnie irracjonalnego. Dziewica Maryja leżała na zimnej posadzce. Chciał coś powiedzieć, jakieś zaklęcie czy modlitwę, by odwrócić nieszczęście; zrobić coś, jak splunąć trzy razy przez ramię, czy stuknąć w niemalowane drewno. Wtem jego oko pochwyciło lśnienie w mroku. Kupka drobnych, błyszczących przedmiotów.

– Spójrz, Rowan – powiedział cicho, obejmując jej szyję ręką. – Na stoliku, po przeciwnej stronie.

Stała tam otwarta szkatułka, a obok leżała aksamitna sakiewka. Widzieli stosy złotych monet, sznurki pereł, drogich kamieni, setki małych, lśniących klejnotów.

– Dobry Boże – wyszeptała. Obeszła łóżko i patrzyła na kamienie, jakby były żywe.

– Nie wierzyłaś? – zapytał. Nie był pewny, czy sam wierzył. – Wydają się fałszywe, czyż nie? To jak skarb z filmu. Nie może być prawdziwy.

Popatrzyła na niego. Dzielili ich wielkie puste łóżko.

– Michael, czy mógłbyś ich dotknąć? Czy mógłbyś... położyć na nich ręce? – poprosiła cicho.

Pokręcił głową.

– Nie chcę, Rowan.

Stała w milczeniu, zamykając się w sobie. Umknęła spojrzeniem. Skuliła ramiona, jak zawsze, gdy ją coś martwiło, jakby troska powodowała, że robiło jej się zimno.

– Michael – zaczęła znowu cicho – a czy dotknąłbyś czegoś należącego do Deirdre? Koszuli nocnej. Albo łóżka.

– Nie chcę, Rowan. Powiedzieliśmy, że nie będziemy... Spuściła wzrok. Włosy zakryły jej twarz, tak że nie widział oczu.

– Rowan, nie potrafię wytłumaczyć tego, co widzę. Wszystko się miesza. Zobaczę pielęgniarkę, pomagającą twojej matce ubierać się, lekarza albo samochód, który przejechał, kiedy siedziała na werandzie. Nie wiem, jak używać mojej mocy. Aaron trochę mnie uczył. Ale wciąż nie jestem w tym dobry. Zobaczę coś strasznego i ogarnie mnie nienawiść. Przeraza mnie to, Rowan, że ona nie żyje. Na początku dotykałem dla ludzi różnych rzeczy. Ale teraz nie potrafię. Uwierz mi, ja... to znaczy, kiedy Aaron mnie nauczy...

– A jeśli zobaczysz szczęście, coś pięknego? Tak jak tamta kobieta z Londynu, która na prośbę Aarona dotknęła jej ubrania?

– Uwierzyłaś w to, Rowan? Ludzie z Talamaski nie są nieomylni. Są tylko ludźmi.

– Nie. Nie są tylko ludźmi – zaprzeczyła. – Są tacy jak ty i ja. Mają nadnaturalne moce.

Mówiła spokojnym, łagodnym tonem. Ale rozumiał, jak się czuła. Spojrzał na gromnice, na rozbitą figurę. Widział ją wciąż leżącą na podłodze w łazience. Nagle przypomniał sobie majowe procesje, olbrzymią postać Dziewicy kiwającą się lekko w rytm kroków mężczyzn trzymających ją na ramionach. Tysiące



kwiatów. Znowu pomyślał o Deirdre, młodej dziewczynie w ogrodzie botanicznym, mówiącą w mroku do Aarona:

– Pragnę normalnego życia.

Ominął łóżko i podszedł do staroświeckiej komody. Wysunął górną szufladę. Koszule nocne z miękkiej białej flaneli, szelest saszetki z ziołami o bardzo słodkim zapachu. Cieńsze koszulki z prawdziwego jedwabiu na lato.

Wyjął jedną z nich – delikatną, bez rękawów, wyszytą w pastelowe kwiaty. Zwinął w nieforemną kupkę, położył na komodzie i zdjął rękawiczki. Na chwilę splótł mocno dłonie, po czym pochwycił koszulę. Zamknął oczy.

– Deirdre – poprosił. – Tylko Deirdre.

Otworzyła się przed nim rozległa przestrzeń. Przez migocący trupią barwą blask zobaczył setki twarzy, usłyszał zawodzenie i krzyki setek głosów. Nie do zniesienia. Mężczyzna szedł do niego depcząc ciała innych.

– Nie! Dość! – upuścił koszulę. Stał próbując zapamiętać wszystko, co przed chwilą zobaczył, chociaż nie mógłby znieść ujrzenia tego znowu. Setki ludzi podnosiły się i odwracały ku niemu, ktoś do niego szybko mówił okropnym, kpiącym tonem.

– Chryste, co to było? – wpatrywał się w swoje ręce. Słyszał dudnienie bębnów, marszowy rytm, dźwięk, który znał.

Ostatki, całe lata temu. Biegł zimowymi ulicami z matką.

– Chcieliśmy zobaczyć Mistyczną Krużę Komusa.

Tak, to ten sam marsz. A ten trupi blask to płonące pochodnie.

– Nie rozumiem – powiedział.

– O czym mówisz? – zapytała Rowan.

– Nie widziałem niczego, co miałoby jakiś sens – spojrzał ze złością na koszulę nocną. Powoli wyciągnął do niej rękę. – Deirdre, ostatnie dni życia Deirdre – powiedział. – Tylko Deirdre. – Ostrożnie dotknął delikatnego, pogniecionego materiału. – Roztacza się przede mną widok z werandy. Widzę ogród – wyszeptał. Tak, powój, motyl usiadł na poręczy. Jego dłoń jest tuż obok

jej ręki. – Obok Deirdre stoi Lasher. Ona cieszy się z jego obecności. – Gdyby podniósł głowę i spojrzął nad oparciem fotela, zobaczyłby Lashera. Znowu odłożył koszulę. – Świeciło słońce, pachniały kwiaty, a z nią... wszystko było w porządku.

– Dziękuję, Michael.

– Nie chcę tego więcej robić, Rowan. Przykro mi, ale nie mogę. Nie chcę.

– Rozumiem – powiedziała. Podeszła do niego. – Przepraszam – mówiła cicho, szczerze i łagodnie, ale w jej wzroku zauważył oszołomienie. Chciała wiedzieć, co widział za pierwszym razem.

On też chciałby wiedzieć. Czy miał jakąś szansę zrozumieć sens tego koszmarnego obrazu?

Jednak był tutaj, wewnątrz domu i miał tę moc, którą prawdopodobnie oni mu dali! Okazał się tchórzem, on – Michael Curry, był tchórzem, powtarzał, że ma zrobić to, czego oni od niego chcieli.

Czy chcieli, żeby tu wracał? Czy chcieli, żeby czegoś dotykał? Rowan chciała. Czy mogło być inaczej?

Wyciągnął rękę i dotknął brzegu łóżka Deirdre. Przedpołudnie, pielęgniarki, sprzątaczką przesuwaną zmęczony odkurzacz, ktoś narzekający bez przerwy, jęk. Czyjaś postać pojawiła się na moment, zbyt szybko obraz się zmącił; Michael przesunął palcami po materacu – jej biała noga jak pecyna ciasta, Jerry Lonigan, podnosi ją, mówi cicho do swego pomocnika; obejrzyj sobie to miejsce; dotknął ściany – jej twarz, Deirdre, uśmiechnij się, idiotko, ma ślinę na podbródku. Dotknął drzwi prowadzących do łazienki – biała pielęgniarka ciągnęła ją, mówiąc, że ma natychmiast zacząć, poruszać nogami, wiedziała, że Deirdre może, ból w Deirdre; ból pożerał jej wnętrze, męski głos, sprzątaczką wchodziła i wychodziła, szum spuszczonej wody w toalecie, brzęczenie komarów, widok rany na jej plecach, dobry Boże, spójrzcie na to, otarła sobie plecy przez te wszystkie lata na bujanym fotelu, ropiejąca rana posypana zasypanką dla dzieci, czyście ludzie powariowali, pielęgniarka przytrzymuje ją w

toalecie. Nie mogę...

Odwrócił się i ominął Rowan, odepchnął jej rękę, gdy próbowała go zatrzymać. Dotknął poręczy schodów. Zobaczył bawełnianą sukienkę, usłyszał kroki na starym dywanie. Ktoś krzyczał, płakał.

– Michael!

Pobiegł po schodach. Dziecko płakało w kołysce. Niemowlęcy krzyk odbijał się echem na trzech piętrach.

Odór chemikaliów, rozkładające się plugastwo w słojach. Rzucił na nie okiem ostatniej nocy. Rowan opowiedziała mu o nich, ale teraz musiał je zobaczyć, prawda? Dotknąć ich. Dotknąć ohydnych słoików Marguerite. Poczł wczorajszy odór, kiedy wszedł na górę, aby zobaczyć ciało Townsenda, ale to nie zwłoki tak cuchnęły. Dotykał poręczy. Zobaczył Rowan z lampą w ręce. Rowan rozzłoszczona, Rowan rozzalona, Rowan próbująca uciec starej kobiecie, która biła ją słowami, złościwością; potem pokojówka ze ściereczką do kurzu, szklarz wstawiający szybę w oknie, które prowadziło na dach. Dobry Boże, jaki smród. Rób swoje. Sypialnia Deirdre, krzykliwy ton głosów wznoszących się do wrzasku, a potem znikających i powracających jak fala. A drzwi, drzwi stały otworem, ktoś się śmiał, mężczyzna mówił po francusku, co on mówi, pozwólcie mi usłyszeć choćby jedno wyraźne słowo, odór jest poza nimi.

Ale nie, najpierw pokój Juliana, jego łóżko. Śmiech stawał się coraz głośniejszy, ale mieszał się z nim płacz dziecka, ktoś biegł szybko po schodach tuż za nim. Otwarte drzwi ukazały znowu Eugenię, odkurzała, narzekała na odór, jednostajny głos Carlotty, nie dało się rozróżnić poszczególnych wyrazów, ta okropna plama w ciemności, w miejscu gdzie umarł Townsend, ostatni oddech przez dziurę w dywanie; gzyms, widział ciało Juliana! Ta sama postać, tak, ten sam mężczyzna, którego dostrzegł, kiedy trzymał koszulę nocną Deirdre; tak, to ty, Julienie, patrzę na ciebie, widzę cię, kroki, ktoś biegł, nie, nie chcę tego robić, ale wyciągnął ręce w stronę parapetu, chwycił sznur od zasłon, uniosły się w górę ukazując brudne szyby.

Minęła go Antha, uderzyła w szkło, sturlała się po daszku, przerażona. Włosy spadały na mokrą twarz młodej kobiety, jej oko, spójrz na jej oko, leży na policzku, dobry Boże! Łkała.

– Nie rób mi krzywdy! Nie rób mi krzywdy! Lasher, pomóż mi!

– Rowan!

A Julien, dlaczego nic nie zrobił, dlaczego stał i płakał w milczeniu, nawet nie drgnął.

– Możesz wzywać diabły w piekle i świętych w niebie, oni ci nie pomogą! – powiedziała Carlotta, jej ton przypominał warczenie. Antha wspięła się na parapet.

Bezradny Julien.

– Zabiję cię, suko, zabiję cię, nie zrobisz...

Zniknęła, spadła, jej krzyk rozniósł się po okolicy, rozwinął jak czerwona płachta na błękitnym niebie. Julien z twarzą ukrytą w dłoniach. Bezradny. Blask zmatowiał. Powrócił chaos. Carlotta zaczęła znikać. Michael zacisnął dłonie na żelaznym łóżku. Siedział tam Julien. Kontury były zatarte, ale cała postać wystarczająco wyraźna. Znam cię, ciemne oczy, uśmiechnięte usta, białe włosy, tak, to ty, nie zbliżaj się do mnie!

– *Eh bien*, Michaelu, nareszcie!

Dotknął pudeł leżących na łóżku, ale ich nie widział. Nie dostrzegał niczego, tylko migocące światło ukazujące zarys mężczyzny siedzącego pod prześcieradłami. Zniknął i znowu się pojawił. Julien próbował wstać z łóżka... Nie, zostaw mnie w spokoju.

– Michael!

Ściągnął pudła z łóżka. Natknął się na książki. Lalki, gdzie są lalki? W skrzyni. Julien to powiedział, prawda? Powiedział to po francusku. Śmiech, chóralny śmiech. Otoczył go szelest spódnic. Coś pękło. Uderzył się mocno w kolano, ale nie przestawał czołgać się w kierunku skrzyni. Zardzewiałe zamki, to nic, wystarczy podnieść wieko.

Migotanie. Znikanie. Stał tam Julien, kiwał głową, wskazywał skrzynię.

Pękły zardzewiałe zawiasy, gdy wieko uderzyło w tynk i odpadło. Co to za dźwięk, szelest tafty obok niego, stopy szurające po podłodze, pochylały się nad nim jakieś postaci, pojawiały się i znikaly jak światło przebijające się przez okiennice, pozwólcie mi oddychać, pozwólcie mi patrzeć. Szelest przypominał szum habitów zakonnic z czasów, gdy chodził do szkoły. Biegły korytarzem, aby uderzeniami zmusić chłopców do ponownego ustawienia się w szeregu, szeleściły halki, koszule, spódnice...

A oto lalki.

Spójrz, lalki! Nie niszczyć ich, są takie stare i kruche. Patrzą na ciebie ich bezmyślne, namalowane twarze. Spójrz, ta ma oczy z guzików, siwe włosy, ubrana w doskonale uszyte z tweedu męskie ubranie. Boże, w środku są kości!

Trzymał ją. Mary Beth! Szumiące szerokie spódnice otarły się o niego; gdyby podniósł oczy, zobaczyłby ją; przed jego wzrokiem nic nie mogło się ukryć, widział tyły głów tych, którzy się do niego zbliżali; wszystko drżało jak pajęczyna na wietrze – trwała widoczna w jednej chwili, a znikająca w następnej; pokój był pełen zakurzonej pustki, a zarazem zatłoczony. Rowan przedarła się jakby przez dziurę w materiale, chwyciła go za ramię, w migocącym blasku zobaczył Charlotte, wiedział, że to Charlotta. Czy dotknął lalki? Spojrzał na dół, były tak kruche i wymieszane na warstwie gazy.

Gdzie Debora? Deboro, musisz mi powiedzieć... Odciągnął gazę. Nowsze lalki zsunęły się na siebie. Czy płakały? Ktoś płakał. Nie, to dziecko krzyczało w kołysce albo Antha na dachu. Albo obie. Znowu Julien, mówił coś szybko po francusku, klęczał przed Michaeliem na jednym kolanie. Nie rozumiem cię. Zniknął. Doprowadzasz mnie do szaleństwa, na co ci się przydam, jeśli zwariuję?

Zabierzcie ode mnie te szeleszczące suknie! Tak bardzo przypominały zakonnice.

– Michael!

Po omacku sięgnął pod gazę, gdzie – jak łatwo było przewidzieć – leżała najstarsza; cienkie patyczki kości, a na nich jasne włosy Charlotty, a to oznaczało, że ta krucha, drobna lalka to musi być jego Debora. Gdy dotknął kukielki, ze środka uciekły zuczki. Jej włosy się rozkładały, och, Boże, rozpada się, nawet kości obracają się w proch. Przerażony cofnął rękę. Zostawił na kościanej twarzy odcisk palca. Michaela otoczył blask płomieni, jej ciało skurczyło się w ogniu, na szczycie stosu, jakby była z wosku, usłyszał głos, który coś mu rozkazywał po francusku, ale co?

– Deboro! – powiedział, dotykając małej podartej sukienki z aksamitu. – Deboro! – Lalka była tak stara, że mogła obrócić się w proch pod wpływem jego oddechu. Stella roześmiała się głośno. Stella ją trzymała. – Mów do mnie! – zawołała z zaciśniętymi oczami, młody mężczyzna stojący obok niej chichotał. – Chyba nie sądzisz, że to zadziała!

*Czego chcesz ode mnie?*

Spódnice coraz bardziej napierały. Mieszały się głosy mówiące po francusku i angielsku. Tym razem próbował złapać Julię. Przypominało to chwytanie myśli, wspomnienia, czegoś, co przemknęło przez głowę, gdy słuchałeś muzyki. Położył dłoń na małej lalce Debory. Wcisnął ją w dół skrzyni, jakaś inna jasnowłosa lalka spadła mu na rękę. Niszczę je.

– Deboro! Nic, nic.

*Co zrobiłem, że nie chcesz mówić?*

Rowan go wołała. Potrząsała nim. O mało jej nie uderzył.

– Przestań! – krzyczał. – Wszyscy tu są, w tym domu! Nie widzisz? Czekają, oni są... oni są... jest na to jakieś określenie, nie mogą odejść, są skazani na pobyt na ziemi...

Jaka była silna! Nie miała zamiaru odejść. Postawiła go na nogi.

– Puść mnie! – Widział ich wszędzie, gdzie spojrzął, jakby zaplątali się w cienką siatkę poruszającą się na wietrze.

– Michael, przestań! Wystarczy!

Muszę stąd wyjść. Pochwycił framugę drzwi. Kiedy obejrzał się na łóżko, zobaczył tylko pudła. Popatrzył na książki. Nie dotykał ich. Pot płynął mu po twarzy, ubraniu, spójrz na jego ubranie. Przesunął dłońmi po koszuli. Drżał. Zobaczył Rowan. Usłyszał szelest, otaczali go znowu, nie widział twarzy, męczyło go szukanie ich twarzy, do szaleństwa doprowadzały dręczące uczucia.

– Nie mogę tego zrobić, do diabła! – krzyknął. Nagle jakby znalazł się pod wodą; nawet głosy, które słyszał, chociaż zakrył uszy rękami, były jakies bulgoczące, głuche. I odór, nie mógł go nie czuć. Wydostawał się z szklanych pojemników, które czekały, słoje...

*Czy właśnie tego ode mnie chcieliście, abym wrócił i dotknął, dowiedział się i zrozumiał? Deboro, gdzie jesteś?*

Śmieli się z niego? Eugenia ze ściereczką do kurzu. Nie ty! Odejdź! Chcę widzieć umarłych, nie żywych! Czy to śmiech Juliana? Ktoś płakał, dziecko płakało w kołysce, niski, matowy głos przeklinający po angielsku, zabiję cię, zabiję cię, zabiję cię.

– Dość, przestań, nie...

– Nie, nie dość jeszcze. Pozostały słoje. Nie, jeszcze nie dość. Pozwól mi to zrobić, raz, ale do końca.

Odepchnął Rowan, zaskoczony siłą, z jaką próbowała go zatrzymać. Szarpnął drzwi do pokoju ze słojami. Gdyby tylko zamilkli, gdyby dziecko przestało płakać, a stara kobieta przeklinać i ten głos rozkazujący po francusku...

– Nie umiem... Słoje.

Od strony schodów nadpłynął podmuch powietrza, poruszył na ułamek sekundy zatęchły odór. Michael stał przyciskając dłonie do uszu. Patrzył na słoje. Wziął głęboki oddech, potworna woń wpełzła do płuc. Rowan obserwowała go. *Mam tego dotknąć? Czy o to wam chodzi?* Chcieli powrócić, znowu osaczała go oślizła sieć, ale ich nie dopuszczał. Skoncentrował się. Tylko słoje. Raz jeszcze wziął głęboki oddech.

Odór wystarczył, aby zabić, ale nie zabił. Tak naprawdę nie może ci nic

zrobić. Spójrz! W migotliwym, brzydkim świetle widać było, jak kładzie rękę na pociemniałym szkłe; przez rozstawione palce zobaczył wpatrzony w siebie oko.

– Chryste! – to ludzka głowa, ale co wydobywał ze słoja drżącymi palcami, nic, nic, tylko niewyraźne obrazy, rozkładające się jak to coś; otaczała go chmura, w której mieszały się wizerunki i głosy; znikwały, próbowały się utrwalić i znowu rozpadały. Tylko słój lśnił nieprzerwanie.

Jego palce drapały woskową pieczęć.

A ta piękna kobieta z krwi i kości stojąca w drzwiach to była Rowan.

Zerwał pieczęć, zanurzył dłoń w płynie. Opary ze słoja uniosły się do jego nozdrzy jak trujący gaz. Zakrztusił się, ale nie wyjął ręki. Pochwycił głowę za włosy, które wysliznęły się z jego palców jak wodorosty.

Głowa była galaretowata i rozpadła się na kawałki. Jedne przyłgnęły do szkła, inne oblepiały mu nadgarstek. Ale trzymał mocno, kciuk wbił w gnijący policzek. Wyciągnął szczątki, a słój zrzucił na podłogę, tak że cuchnący płyn go opryskał. Trzymał czaszkę z obłazącą skórą – niewyraźny obraz, głowa mówiła, śmiała się, drgały mięśnie, chociaż głowa była martwa, włosy rude, oczy zaczerwienione, ale brązowe, krew ciekła z ust, gdy głowa mówiła.

*Ech, Michael, ciało i krew, kiedy jesteś niczym, tylko kośćmi.*

Jakiś mężczyzna siedział na łóżku, nagi i umarły, choć żywy, bo był w nim Lasher, który poruszał jego ramionami i otwierał mu usta. A obok Marguerite o włosach więdźmy, jej ręce na ramionach mężczyzny, szerokie spódnice z tafty jak koło czerwonego światła, trzymała to martwe ciało, tak jak Rowan próbowała go teraz podtrzymać.

Głowa wysliznęła się z palców. Spadła w cuchnącą kałużę na podłodze. Michał opadł na kolana. Boże! Było mu niedobrze. Zaraz zwymiotuje. Poczł konwulsje, ból pod żebrami. Wymiotuj! Nie mogę się powstrzymać. Odwrócił się, próbował odpęznąć... Wylało się z niego.

Rowan podtrzymywała go za ramiona. Kiedy jesteś chory, wszystko ci jedno, kto cię dotyka, ale znowu zobaczył zwłoki siedzące na łóżku. Próbował



jej powiedzieć. Usta miał pełne kwaśnych wymiocin. Boże! Ręce Michaela pokrywała cuchnąca maź, której pełno było też na podłodze, jego ubraniu.

Wstał, palce pośliznęły się na klamce. Odepchnął Julię, potem Mary Beth i Rowan, sięgnął po leżącą głowę, zmiażdżony owoc, pęknięty jak melon.

– Lasher – powiedział do niej, ocierając usta. – Lasher, w tej głowie, w ciele tej głowy.

A inne naczynia? Spójrz na nie, tam również tkwią głowy. Spójrz na nie! Pochwycił słoje, rozbił o drewnianą półkę; zielonkawe szczątki spłynęły miękko na podłogę, jak gigantyczne białko wyciekające z czaszki, która ukazała się ciemna i skurczona. Ujął to plugastwo w rękę i przytrzymał, rysy już się rozpląwały.

*Ech, Michael, kiedy już nie jesteś niczym, tylko kośćmi, takimi jak te, które trzymasz w ręku.*

– Czy to ciało?! – krzyczał. – Czy to ciało?! – Rzucił rozpadającą się głowę na podłogę. Kopnął czaszkę. Jak guma. – Nie dostaniesz jej, za nic, za nic!

– Michael!

Znowu ogarnęły go mdłości, ale nie miał zamiaru się poddać. Pochwycił brzeg półki. Eugenia.

– Okropny smród na tym strychu, panno Carlo.

– Zostaw to, Eugenio.

Odwrócił się i zaczął energicznie wycierać ręce o koszulę. Powiedział Rowan:

– Wchodził w martwe ciała. Posiadał je. Patrzył ich oczami i mówił poruszając ich strunami głosowymi, ale nie mógł zmarłych przywrócić do życia, nie potrafił sprawić, żeby komórki znowu zaczęły się dzielić. Zachowywał głowy. Wchodził w nie, długo po śmierci ciał, patrzył ich oczami.

Michael odwrócił się i podnosił słoje po słoju. Rowan stała obok niego. Patrzyli przez szkło, jaskrawość obrazów prawie go oślepiła, ale chciał widzieć. Głowy o rudych włosach, spójrz, głowa blondyna, a na niej rude

pasemka włosów, a teraz twarz czarnego człowieka – czekoladowa skóra z białymi plamami, gdzieniegdzie jaśniejsze loki; a tutaj białe włosy z rudymi.

– Dobry Boże, nie widzisz? Nie tylko w nich wchodził, przekształcał tkanki, zmuszał komórki do reakcji, zmieniał je, ale nie potrafił podtrzymać w nich życia.

Głowy, głowy, głowy. Chciał rozbić wszystkie słoje.

– Widzisz? Powodował mutację, rozwój nowej komórki! Ale to nic, nic w porównaniu z życiem! Rozkładali się. Nie mógł tego powstrzymać! Nie powiedzą mi, czego ode mnie oczekują!

Śliskie palce zwinęły się w pięść. Uderzył w słój i zobaczył, jak szkło roztrzaskuje się na podłodze. Nie próbowała powstrzymać Michaela. Ale otoczyła go ramionami. Błagała, żeby wyszedł z nią z tego pokoju, ciągnęła go. Nie chciała patrzeć. Oboje zaraz zanurzą się w tym plugastwie, na pewno.

– Patrz! Widzisz? – powiedział, wskazując miejsce w dalekim tyle półki, za słojem, który właśnie zniszczył. Najlepszy preparat, płyn przejrzysty, gruba pokrywka bez nalotu, nietknięta. Przez migotanie niewyraźnych obrazów i dźwięków usłyszał głos:

– Otwórz, zniszcz!

Zrobił to. Szkło wpadło bezgłośnie w szarą chmurę szepczących głosów. Trzymał głowę, nie zwracał już uwagi na odór, na gąbczastą, miękką powierzchnię.

Znowu sypialnia. Marguerite przy toaletce, wąska w talii, szerokie spódnice, odwracała się do niego z uśmiechem, bezzębna, oczy czarne i bystre, włosy jak splątana kaskada hiszpańskiego mchu, Julien chudy jak szczapa, białowłosy i młody, skrzyżował ramiona, ty diable. Pozwól mi się zobaczyć, Lasher. Ciało na łóżku, zapraszające gestem, aby podeszła, leżała obok niego, sztywne, rozpadające się palce rozrywały koszulę kobiety, dotykały jej żywych piersi. Martwy członek unosił się między jego nogami.

– Spójrz na mnie, zmień mnie, patrz na mnie, zmień mnie. Czy Julien

odwrócił się? Nie, nic z tego. Michael stał u stóp łóżka. Oparł na nim ręce, twarz oświetlał słaby płomień świecy migocący na wietrze z otwartego okna. Zafascynowany, bez lęku.

Tak, spójrz na tę głowę w twoich dłoniach. Tak, teraz to jego twarz, bez wątplenia. Ta sama, którą widziałeś tyle razy: w ogrodzie, w kościele, w audytorium. Rude włosy, och tak, rude włosy.

Pozwolił opaść jej na podłogę do innych. Michael cofnął się, ale oczy wciąż na niego patrzyły, poruszały się wargi. Czy Rowan to zauważyła?

– Czy słyszysz, co mówi?

Otaczały go głosy, ale tylko jeden był wyraźny, suchy, bezdźwięczny:

*Nie możesz mnie powstrzymać. Nie możesz jej powstrzymać. Wypełnisz mój rozkaz. Moja cierpliwość jest jak cierpliwość Wszechmogącego. Zobaczę koniec dzieła. Zobaczę trzynastą. Będę ciałem, gdy ty będziesz martwy.*

– On mówi do mnie, ten diabeł mówi do mnie! Słyszysz? Znalazł się za drzwiami i zbiegał po schodach, zanim sobie uświadomił, co robi. Serce mu waliło, brakowało tchu. Nie mógł tego dłużej znieść, wiedział, że tak będzie, zanurzy się w koszmar. Czyż nie wystarczająco dużo zrobił dla nich, dla Rowan? To monstrum mówiło do niego! To coś, co widywał w ogrodzie, odezwało się do niego z gnijącej głowy! Nie był tchórzem, był człowiekiem! Ale nie zniósłby tego dłużej!

Zerwał koszulę i odrzucił daleko od siebie w kąt holu. Nie mógł wytrzeć brudu ze swoich palców.

Pokój Belle. Spokojny, cichy. Przepraszam za brud. Proszę, pozwól mi poleżeć na czystym łóżku. Pomagała mu, dzięki Bogu, nie próbowała go zatrzymać.

Narzuta czysta, biała i zakurzona, ale ten kurz też był czysty. Promienie słońca przenikały przez otwarte okno. Piękne i pełne drobniutkich pyłków. Belle. Dotykał teraz ducha Belle, łagodnej, słodkiej Belle.

Leżał na plecach. Rowan przyniosła mu rękawiczki. Wycierała jego dłonie

ciepłym, mokrym ręcznikiem. Robiła to z miłością i troską. Przycisnęła palce do jego przegubu.

– Leż spokojnie, Michaelu. Mam tu rękawice. Leż spokojnie.

Jakiś zimny, twardy przedmiot uwierał go w policzek. Sięgnął. Różaniec Belle. Zaplątał mu się we włosy, gdy próbował go wyciągnąć, ale wszystko było w porządku. Chciał tego.

Widział Belle. Jak cudownie.

Próbował powiedzieć Rowan, że obok stoi Belle. Rowan słuchała jego pulsu. Belle zniknęła. Trzymał różaniec w palcach; czuł twarde paciorki tuż przy twarzy. Belle stała przy nim, mówiła do niego.

Czuł jej słodką obecność.

– Odpocznij, Michaelu – powiedziała Belle. Ciepły, modulowany głos jak cioci Viv. Rozpływała się w powietrzu, ale wciąż ją widział. – Nie obawiaj się mnie, Michaelu. Nie jestem jedną z nich, nie dlatego tu przybyłam.

– Zmusz ich, aby rozmawiali ze mną, żeby powiedzieli, czego chcą ode mnie. Nie ci ze słoików, ale tamci, którzy przyszli do mnie. Czy to była Debora?

– Leż spokojnie, Michaelu, proszę.

Co powiedziałaś, Rowan? Jego wargi nie drgnęły.

– Nie powinniśmy posiadać tych mocy – stwierdził. – One niszczą w nas ludzi. Jesteś człowiekiem, kiedy pracujesz w szpitalu. Byłem człowiekiem, kiedy w dłoni trzymałem młotek i gwoździe.

Wszystko umykało. Jak miał wytłumaczyć Rowan, że przypominało to wspinaczkę na szczyty, fizyczną pracę, do której kiedyś przykładał ręce. Ale Rowan nie było. Pocałowała go, okryła pledem i odeszła, bo zasnął. Belle siedziała na komodzie, co za cudowny widok. Śpij, Michaelu.

– Czy będziesz tu, kiedy się obudzę?

– Nie, kochanie. Tak naprawdę mnie tu nie ma. Dom należy do nich, Michaelu. Nie jestem jedną z nich.

Śpij.

Zacisnął palce na paciorkach różańca. Millie Dear powiedziała, czas iść do kościoła. Pokoje takie czyste i spokojne. Kochają się. Perłowszara gabardyna. Ten dom musi należeć do nas. Dlatego go pokochałem, kiedy byłem dzieckiem. Kochałem go. Nasz dom. Nigdy Belle i Millie Dear nie pokłóciły się ze sobą. Takie miłe... Belle – zachwycająca stara kobieta o ładnej twarzy noszącej ślady dawnej urody. Przypominała kwiat zasuszony w książce, który zachował barwę i zapach.

Debora powiedziała... nieobliczalna *siła... moc aby zmienić...*

Zadrzał.

*...niełatwe, tak trudne, że prawie nie możesz sobie tego wyobrazić, być może najtrudniejsza rzecz, którą ty...*

*Mogę to zrobić!*

Śpij.

Przez sen usłyszał odgłos tłuczonego szkła. Uspokoił się.

\* \* \*

Kiedy się obudził, Lightner już był. Rowan przywiozła z hotelu ubranie na zmianę. Aaron pomógł mu w łazience, była rozległa i wygodna. Michael umył się i przebrał.

Bolały go wszystkie mięśnie. Plecy. Płonęły dłonie. Pojawilo się mrowienie, które odczuwał całymi tygodniami na ulicy Wolności, do chwili gdy włożył rękawiczki i pociągnął łyk piwa. Aaron przyniósł teraz jedno na jego prośbę. Ból mięśni był okropny, nawet oczy miał zmęczone, jakby przez wiele godzin czytał przy kiepskim świetle.

– Nie mam zamiaru się upić – zapewnił oboje.

Rowan wyjaśniła mu, że miał arytmie serca i bez względu na to, co się stało, było to nadzwyczaj wyczerpujące fizycznie. Miał taki puls, jak człowiek przebiegający tysiąc sześćset metrów w cztery minuty. Musi odpoczywać i nie

zdejmować rękawiczek.

W porządku, zastosuje się do zaleceń. Chociaż najchętniej zanurzyłby dłonie w cemencie.

\* \* \*

Pojechali razem do hotelu, zamówili kolację i usiedli w saloniku apartamentu. Przez dwie godziny opowiadał im, co zobaczył:

Powiedział o ułamkach obrazów, które widział, zanim zdjął rękawiczki; o pierwszej wizji, gdy trzymał koszulę nocną Deirdre; o Julenie w tamtym piekielnym miejscu i na górze.

Opowiadał i opowiadał. Opisywał i opisywał. Chciałby, żeby Aaron coś powiedział, ale rozumiał, dlaczego ten nie odzywał się ani słowem.

Wyjawił im okropną przepowiednię Lashera. Przyznał się do dziwnego uczucia bliskości z tą istotą, chociaż jej bezpośrednio nie dotknął, trzymał tylko rozpadającą się śmierdzącą głowę.

W końcu opowiedział im o Belle. Wyczerpany mówieniem usiadł, chciał wypić następne piwo, ale bał się, iż pomyślał, że zaraz będzie pijany. Ale potem poddał się, wstał i wyjął puszkę z lodówki, nie dbał o ich zdanie.

– Nie mam pojęcia, dlaczego zostałem w to wplątany, rozumiem tyle, co i przedtem. Ale wiem, że są w domu przy ulicy Pierwszej. Pamiętacie, Cortland powiedział, że do nich nie należy. Belle mówiła mi, że nie jest jedną z nich... Nie mógłbym sobie tego wyobrazić... Ci pozostali, którzy należą, są tutaj! A ta istota zmieniała materię, w niewielkim stopniu, ale robiła to, posiadała martwe ciała i oddziaływała na komórki!

Pragnie Rowan, wiem, że tak. Chce, aby wykorzystwała swe nadprzyrodzone zdolności do zmiany materii! Rowan ma większą moc, niż którakolwiek z poprzednich. Do diabła, ona wie, czym jest komórka, jak funkcjonuje, jaką ma budowę.

Rowan zaskoczyły te słowa. Aaron wyjaśnił Michaelowi, że gdy zasnął i puls mu się wyrównał, Rowan zadzwoniła i poprosiła o przyjazd do domu. Przywiózł kilka pojemników lodu. Wspólnie otworzyli każdy słoje, sfotografowali zawartość i włożyli z powrotem.

Przewieźli je na wieś, zamrozili. Rano miały zostać wysłane do Amsterdamu. Tak chciała Rowan. Aaron usunął również zapiski Julienu, skrzynię z lalkami. Przeznaczyci je dla konwentu w Londynie. Ale Aaron najpierw chciał sfotografować lalki i przejrzeć zapiski Julienu. Rowan, naturalnie, wyraziła zgodę.

Notatki okazały się tylko rejestrami, z różnymi tajemniczymi odnośnikami po francusku. Jeśli Julien napisał autobiografię, jak sugerował Richard Llewellyn, to nie było jej na strychu.

Michael z ulgą przyjął wiadomość, że te okropne rzeczy nie znajdowały się już w domu. Wypił czwarte piwo. Siedzieli na pluszowej kanapie. Nie obchodziło go, co Rowan i Aaron sobie myślą. Jeszcze jedna spokojna noc, na miłość Boską. Jego mózg musiał zwolnić tempo, żeby mógł wszystko przemyśleć. Poza tym nie miał zamiaru się upić. Nie chciał.

Zostało jeszcze jedno piwo. I byli tu bezpieczni.

W końcu ucichli. Rowan patrzyła na Michaela, który nagle zawstydził się, wiedząc że poniósł porażkę.

– Jak się czujesz, kochanie, po tym wariactwie? – zapytał. – Nie jestem bardzo pomocny, prawda? Musiałem cię śmiertelnie wystraszyć. Pewnie wolałabyś, żebym posłuchał rady twojej przybranej matki i został w Kalifornii?

– Nie przestraszyłeś mnie – zaprzeczyła zapalczywie. – Opieka nad tobą przypadła mi do gustu. Już ci to kiedyś powiedziałam. Teraz myślę. Pracuję wszystkie trybiki w mojej głowie. To najdziwniejsze poplątanie różnych elementów, ta cała sprawa.

– Wyjaśnij.

– Chcę mieć rodzinę. Chcę mieć kuzynów, wszystkich dziewięciuset, czy ilu

tam ich jest. Pragnę mieć swój dom i historię, tę, którą dał nam Aaron. Ale nie chcę tego cholernego czegoś, tej tajemniczej złej istoty. Nie chcę jej, a jednak... jest taka pociągająca.

Michael pokręcił głową.

– Powiedziałem ci wczoraj w nocy. Nie można mu się oprzeć.

– Ależ można – zaprzeczyła. – Jednak kusi, choć...

– Grozi niebezpieczeństwem? – podsunął Aaron. – Myślę, że wreszcie w pełni to sobie uświadamiamy. Sądzę, że wiemy, o kim mowa – o istocie, która potrafi zmienić materię.

– Nie jestem tego pewna – odparła Rowan. – Zbadałam spreparowane głowy, jak najlepiej umiałam. Zmiany zaszły jedynie na powierzchni tkanki. Oczywiście, próbki były beznadziejnie stare i zniszczone...

– A co z głową o rysach Lashera? – spytał Michael. – Duplikat? Pokręciła głową.

– Nie ma dowodu na to, że ta twarz inaczej wyglądała za życia – stwierdziła. – Julien przypominał Lashera. Niezwykle podobieństwo. Zmiany mogły być tylko naskórkowe. Nie można stwierdzić jednoznacznie.

– W porządku, naskórkowe, ale co z tego? – naciskał Michael. – Czy kiedykolwiek spotkałaś się z czymś, co potrafiło dokonać czegoś takiego? Nie mówimy o rumieńcu, ale o trwałej zmianie, która została po upływie stulecia!

– Wiem, do czego zdolny jest umysł – odparła Rowan. – Nie muszę ci chyba mówić, że istnieją ludzie, którzy są w stanie w zadziwiający sposób kontrolować swoje ciało. Potrafią nakazać mu umrzeć, jeśli zechcą. Wiadomo, że mogą też lewitować, jeśli wierzyć anegdotom. Zwalniać bicie serca, podnosić temperaturę. Wszystko zostało udokumentowane. Święci w czasie transu potrafili sprawić, że otwierały się im rany, które potem w podobny sposób zamykali. Materia ulega umysłowi. A my dopiero zaczynamy poznawać rozmiary tego zjawiska. Poza tym wiemy, że gdy ta istota materializuje się, ma prawdziwe ciało. Przynajmniej takie sprawia wrażenie. Ów byt zmienił



podskórną tkankę zwłok. Co z tego? Nie było to żywe ciało, przynajmniej tak mówiłeś. A zresztą nie mamy żadnych dokładnych i pewnych danych.

– Zdziwiasz mnie – stwierdził Michael chłodno.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Przepraszam, ale mam takie okropne przeczucie, że wszystko zostało zaplanowane, ponieważ jesteś, kim jesteś – wybitną lekarką! Wszystko jest zaplanowane!

– Uspokój się, Michael. W tej całej historii jest za dużo słabych punktów, żeby mogła być zaplanowana. Niczego nie zaplanowano. Weź pod uwagę jej dzieje.

– Ta istota chce być człowiekiem, Rowan – powiedział Michael. – Takie jest znaczenie słów wygłoszonych do Petyra van Abła i do mnie. Chce być człowiekiem, a ty masz jej w tym pomóc. Co powiedział ci duch Stuarta Townsenda, Aaronie? „Wszystko zostało zaplanowane”.

– Tak – przytaknął Aaron, zamyślając się. – Ale tłumacząc sen łatwo o pomyłkę. Sądzę, że Rowan ma rację. Nie możesz zakładać, że wiesz, co zostało zaplanowane. I nie wydaje mi się, żeby celem tej istoty było stanie się człowiekiem. Być może pragnie mieć ciało, ale chyba nigdy nie chciałaby zostać zwykłym śmiertelnikiem.

– Pięknie – mruknął Michael. – Po prostu pięknie. A ja sądzą, że wszystko zaplanowano. Zaplanowano, że zabiorą Deirdre Rowan. Dlatego ta istota zabiła Cortlanda. Zaplanowała, że Rowan będzie trzymana z daleka tak długo, dopóki nie stanie się nie tylko dojrzałą czarownicą, ale i doskonałą lekarką. Zaplanowała dokładnie moment jej powrotu.

– W takim razie dlaczego pokazała się tobie? Jeśli masz przeszkodzić w planach, dlaczego ci się ukazała?

Westchnął. Z drżeniem serca przypomniał sobie prośby, jakie kierował do Debory, dotyk starej lalki, jej podobizny. Nic nie zobaczył i nie usłyszał. Wróciło do niego cierpienie, odór tamtego pokoju, ohyda gnijących głów.

Pomyślał o tajemniczych drzwiach, o dziwnych słowach ducha. *Zobaczę trzynastą.*

– Mam zamiar realizować *mój* własny plan – powiedziała Rowan spokojnie.  
– Przyjmę dom i dziedzictwo, tak jak ci już mówiłam. Nadal chcę wyremontować posiadłość i zamieszkać w niej. Nic mnie od tego nie odwiedzie.  
– Spojrzała na Michaela, jakby spodziewała się, że coś powie. – A ta istota, bez względu na to, jak bardzo jest tajemnicza, lepiej niech nie wchodzi mi w drogę. Powiedziałam ci, popełniła błąd.

Patrzyła na Michaela ze złością.

– Jesteś ze mną? – spytała.

– Tak, Rowan. Kocham cię! Chyba masz rację, że nie zwracasz na nic uwagi i idziesz do przodu. W każdej chwili możemy zacząć remontować dom, jeśli chcesz. Bo ja bardzo.

Była zadowolona, ogromnie zadowolona, ale niepokoiło go jej opanowanie. Spojrzał na Aarona.

– A co ty o tym sądzisz, przyjacielu? – zapytał. – Jak interpretujesz słowa tej istoty, mówiące o mojej roli? Masz pewnie swoje zdanie.

– Michaelu, naprawdę ważne jest *tylko* twoje zdanie. Abyś zaczął rozumieć, co ci się zdarzyło. Nie oczekuj więc ode mnie odpowiedzi.

Może to zabrzmie dziwnie, ale jako członek Talamaski, brat Petyra, Arthura i Stuarta, już osiągnąłem mój najważniejszy cel. Udało mi się nawiązać kontakt z wami. Historia rodziny Mayfairów została przekazana. Macie pewną wiedzę, być może fragmentaryczną, subiektywną, która jednak was wesprze.

– Wy, bracia, jesteście zgrają mnichów – stwierdził Michael zrzędlwym tonem. Uniósł puszkę piwa w niedbałym toście. – Obserwujemy. Zawsze jesteśmy w pobliżu. Aaron, dlaczego tak się stało?

Lightner roześmiał się pogodnie, ale pokręcił głową.

– Michael, katolicy zawsze żądają od nas pociechy, jaką niesie kościół. A my nie możemy ich pocieszyć. Nie wiem, dlaczego tak się dzieje. Jednak jedno

jest pewne – mogę nauczyć cię opanować moc w twoich rękach, tak abyś ją wyłączał, gdy cię dręczy.

– Niewykluczone – powiedział Michael ze znużeniem. – Jednak w tej chwili nie zdjąłbym rękawiczek nawet, aby uścisnąć rękę prezydentowi Stanów Zjednoczonych.

– Kiedy będziesz chciał popracować nad tym, daj mi znać. Jestem tutaj, aby wam pomóc. Obojgu. – Patrzył na Rowan długą chwilę, a potem wrócił spojrzeniem do Michaela. – Nie muszę wam chyba przypominać, żebyście byli ostrożni, prawda?

– Nie – powiedziała Rowan. – A co z tobą? Czy coś jeszcze wydarzyło się od wypadku na drodze?

– Drobiazgi – wyznał Aaron. – Nic poważnego. Być może to jedynie moja wyobraźnia. Jestem zwykłym człowiekiem. Odnoszę wrażenie, że ktoś mnie cały czas obserwuje. Wyczuwam zagrożenie.

Rowan chciała mu przerwać, ale uciszył ją gestem.

– Strzegę się. Bywałem już przedtem w takich sytuacjach, ale zaskakuje mnie pewien dziwny aspekt – kiedy jestem z wami, z jednym z was, nie czuję tej... tej obecności w pobliżu. Mam absolutną pewność, że nic złego mi nie grozi.

– Jeśli cię skrzywdzi – powiedziała Rowan – popełni swój ostatni fatalny błąd. Bo wtedy nigdy się do niego nie zwrócę. Spróbuję go zabić, kiedy tylko zobaczę. Wszystkie plany okażą się bezwartościowe.

Aaron zamyślił się na chwilę.

– Jak sądzisz, wie o tym? – zapytała Rowan.

– Być może – odparł Aaron. – Ale jest zagadką. Pogmatwanym wzorem. Może stworzyć wielki i splątany wzór, a być labiryntem. Szczerze mówiąc, nie wiem, co wie. Wierzę, że to Michael ma rację. Pożąda ludzkiego ciała. Co do tego chyba nie ma wątpliwości. Ale co wie, a czego nie... trudno powiedzieć. Nikomu nie wiadomo, czym jest.

Upił łyk kawy i odstawił filiżankę. Spojrzał na Rowan.

– Niewątpliwie zbliży się do ciebie. Jesteś tego świadoma, prawda? Twoja niechęć nie powstrzyma go. Wątpię, czy coś go powstrzyma teraz. Sądzę, że czeka na okazję.

– Boże – wyszeptał Michael. Jakby słyszał, że zbrodniarz zaatakuje niedługo osobę, którą kocha. Poczł paraliżującą zazdrość i gniew.

Rowan patrzyła na Aarona.

– Co byś zrobił na moim miejscu?

– Nie jestem pewien – odpowiedział Aaron. – Ale muszę podkreślić, że to wyjątkowo niebezpieczna istota.

– Wywnioskowałam to z raportu.

– I zdrażliwa.

– O tym też czytałam. Myślisz, że powinnam nawiązać z nim kontakt?

– Nie, nie sądzę. Uważam, że postąpisz najmądrzej pozwalając mu przyjść. Ale na miłość boską, spróbuj zachować pełną kontrolę.

– Wyjazd nie ma sensu, prawda?

– Chyba nie. Mogę natomiast odgadnąć, co ta istota zrobi, kiedy się do ciebie zbliży.

– Co?

– Zażąda zachowania tajemnicy i twojej pomocy. Ale odmówi wyjaśnienia swoich planów.

– Odgrodzi cię od nas – dodał Michael.

– Dokładnie – przytaknął Aaron.

– Dlaczego uważacie, że tak postąpi?

Aaron wzruszył ramionami

– Gdybym był tą istotą, działałbym w ten sposób.

– Jakie istnieją szanse odpędzenia go? Egzorcyzmy?

– Nie wiem. Niektóre rytuały sprawdzają się, ale sam nie wiem, jak to zrobić; poza tym nie wiadomo, jaki miałyby wpływ na byt tak potężny.

Widzicie, to niezwykła istota. Coś w rodzaju króla.

Rowan roześmiała się cicho.

– Jest sprytna i nie można przewidzieć jej postępowania – stwierdził Aaron.

– Już byłbym martwy, gdyby tylko zechciała. A jednak mnie nie zabija.

– Na miłość boską, Aaronie, nie prowokuj jej! – zawołał Michael.

– Wie, że go znienawidzę, jeśli cię skrzywdzi – stwierdziła Rowan.

– Być może, właśnie dlatego nie posuwa się dalej. Ale znowu znaleźliśmy się w punkcie wyjścia. Cokolwiek zrobisz, Rowan, nigdy nie zapominaj o historii. Pamiętaj o losie Zuzanny, Debory, Stelli, Anthy i Deirdre. Być może, gdybyśmy dokładnie poznali życie Marguerite, Katherine, Marie Claudette czy innych kobiet z Santo Domingo, okazałoby się ono równie tragiczne. A jeśli jedna postać w dramacie może być odpowiedzialna za tyle cierpień i śmierci, to jest nią Lasher.

Rowan sprawiała wrażenie zatopionej w myślach.

– Boże, chciałabym, żeby zniknął – wymruczała.

– Chyba prosisz o zbyt wiele – stwierdził Aaron. Westchnął, wyjął zegarek z kieszonki i wstał z kanapy. – Zostawię was samych. Jestem u siebie na górze, gdybym był potrzebny.

– Dzięki Bogu, że zostajesz z nami – powiedziała Rowan. – Bałam się, że pojedziesz na wieś.

– Nie, mam na górze zapiski Julienu, chciałbym teraz pobyc trochę w mieście. Oczywiście, jeśli się wam nie narzucam.

– Ależ nic podobnego – zapewniła go Rowan.

– Pozwól, że cię jeszcze o coś zapytani – powiedział Michael. – Kiedy byłeś w rezydencji Mayfairów, jak się czułeś?

Aaron roześmiał się krótko i pokręcił głową. Myślał przez chwilę.

– Chyba możesz sobie wyobrazić – zaczął łagodnie. – Jedna rzecz rzeczywiście mnie zdziwiła – był taki piękny, wspaniały, zapraszał do wnętrza. Otwarte okna i oświetlające go słońce. Chyba spodziewałem się, że będzie

odpychający. Zobaczyłem zupełnie przeciwieństwo.

Michael miał nadzieję usłyszeć taką odpowiedź, ale nie potrafił pozbyć się lęku, który go ogarnął po południu. Słowa Aarona nie pocieszyły go.

– To cudowny dom – przyznała Rowan. – Zaczął się zmieniać. Staje się nasz. Jak długo, Michaelu, potrwa przywrócenie go do pierwotnego stanu?

– Dwa, trzy miesiące, może krócej. Do świąt Bożego Narodzenia powinniśmy skończyć. Chciałbym to zrobić jak najszybciej. Gdybym mógł się tylko pozbyć tego przeczucia...

– Jakiego?

– Że wszystko zostało zaplanowane.

– Zapomnij o tym – zażądała Rowan ze złością.

– Pozwólcie, że coś wam zaproponuję – wtrącił się Aaron. – Prześpijcie się, a potem zacznijcie robić to, czego pragniecie najbardziej – tyle wspaniałych przedsięwzięć do zrealizowania, tyle dobrych spraw do załatwienia. Ale strzeżcie się na każdym kroku. Kiedy zbliży się nasz tajemniczy przyjaciel, ustalcie własne warunki.

Michael siedział naburmuszony wpatrując się w piwo. Rowan tymczasem odprowadziła Aarona do drzwi. Wróciła, usiadła obok niego i objęła ramionami.

– Boję się, Rowan, i nienawidzę tego „tajemniczego przyjaciela”. Naprawdę nienawidzę.

– Wiem, Michaelu, ale wygramy.

Tej nocy, gdy Rowan zasnęła, Michael wstał, poszedł do saloniku i wyciągnął z walizki notatnik. Dał mu go Aaron. Czuł się wreszcie normalnie. Wszystkie koszmarnie przejścia dnia zdawały się odległe. Chociaż nadal bolało go całe ciało, odpoczął. Pocieszała go świadomość, że Rowan jest tylko o kilka metrów od niego, a Aaron śpi piętro wyżej.

Michael zapisał całą opowieść. Słowo za słowem, wolno, z zastanowieniem, gdyż spierał się ze sobą pisząc. Notatnik stał się dziennikiem.

Odtworzył drobne fragmenty wizji, które miał, zanim zdjął rękawiczki. Nie

zdziwił go fakt, że prawie nic nie zapamiętał. Początek katastrofy, gdy wziął koszulę Deirdre.

Takie same bębny jak na paradzie Komusa. Podobna parada, przerażający dźwięk, dźwięk zniszczenia i ciemnej energii.

Zatrzymał się. Potem zaczął pisać dalej.

Pamiętam coś jeszcze. Willa Rowan w Tiburon. Jak się kochaliśmy. Obudziłem się myśląc, że dom się pali, a w środku jest mnóstwo ludzi. Teraz pamiętam. Te same postacie, ten sam trupi kolor światła, przerażenie.

A to tylko Rowan siedziała na dole przy ogniu, który rozpałała w kominku.

Uczucie było identyczne. Ogień i ludzie, dużo ludzi, zbitych razem, ruch w migocącym świetle.

Nie rozpoznawałem nikogo, kiedy zobaczyłem Julię na górze, Charlotte czy Mary Beth, Anthę, biedną Anthę staczającą się z dachu. Widzieć nie oznacza czuć; ten widok cię pożera. Już nic w tobie nie zostaje. Ale oni nie pochodzili z mojej wizji. Nikt z nich. Debora była ciałem spalonym na stosie. Nie stała przy nich. Z pewnością to ma jakieś znaczenie.

Przeczytał swoje zapiski. Pragnął dodać coś jeszcze, ale obawiał się upiększania. Nie chciał wprowadzać logiki. Debora nie należała do nich? Czy dlatego tam jej nie było?

Zaczął pisać dalszy ciąg.

Antha miała na sobie bawełnianą sukienkę. Widziałem pasek ze skóry. Kiedy pełzła po dachu, podarła pończochy. Jej kolana krwawiły. Nie mogę zapomnieć tej twarzy. Oko wyrwane z oczodołu. Przerażający ton głosu. Będę pamiętał do śmierci. Julien. Julien wydawał się tak cielesny jak Antha, gdy się jej przyglądał. Julien ubrany na czarno. Julien był młody, nie jak chłopiec, w żadnym razie. Krzepki mężczyzna, ale nie starzec. Nawet w łóżku nie był stary.

Znowu przerwał.

Co jeszcze powiedział Lasher? Coś o cierpliwości, o czekaniu... wspomniał trzynastą.

Trzynastą? Jaką trzynastą? Nie jest to liczba na drzwiach, nie widziałem jej. Głowa? Nie było trzynastu głów. Ponad dwadzieścia, ale spytam Rowan.

Znowu zatrzymał się, pomyślał o dodatkowych szczegółach, ale ich nie dopisał.

Tego wesołego monstrum nic nie obchodzi drzwi. Nie, tylko to przekleństwo, że on będzie z krwi i kości, gdy ja będę martwy.

Umarli. Groby. Coś mówiła o tym Rowan, zanim dzień pękł jak szkło, jak szklany słój. Coś o drzwiach w kształcie dziurki od klucza wykutych na grobowcu Mayfairów.

Pójdę tam jutro i sam sprawdzę. Jeśli numer trzynaście jest gdzieś wryty na drzwiach, być może Bóg mnie oświeci i zrozumiem, co się dzisiaj stało.

Cokolwiek się zdarzy, bez względu na to, co zobaczę lub będę uważał, że widzę, jutro zaczynam poważną robotę. Tak jak Rowan. Jedzie rano do śródmieścia na spotkanie z Ryanem i Piercem, aby rozmawiać o spadku. Ja poszukam wykonawców w mieście. Zaczynam prawdziwą, uczciwą robotę w domu.

Działanie to jakby droga do zbawienia.

Ciekawe, czy Lasherowi to się spodoba. Zobaczymy, co zrobi.

Michael zostawił notes na biurku i wrócił do łóżka.

Pogrążona we śnie Rowan była taka gładka i nieruchoma pod prześcieradłami jak idealna figura z wosku. Zaskoczyło go ciepło ciała dziewczyny, kiedy ją pocałował. Przeciągnęła się powoli, odwróciła i otoczyła Michaela ramionami. Przytuliła się do jego barku.

– Michael – wyszeptała zaspanym głosem. – Święty Michał, archanioł – dotknęła palcami jego warg, jakby sprawdzała w ciemności, czy to na pewno on.  
– Kocham cię...

– Ja też cię kocham, najdroższa – wymruczał. – Jesteś moja, Rowan.

Poczuł ciepło jej nagich piersi, przyciągnął ją mocno do siebie. Miękkie włosy jej łona otarły się o jego udo. Zasnęła z powrotem.





## DZIEDZICTWO

Przypomniała sobie o nim w pewnej chwili nocą; śniła o szpitalach, klinikach, wspaniałych laboratoriach, gdzie zatrudniała wybitnych naukowców...

*Wszystko możesz zrobić.*

Aaron i Michael rozumieją, ale pozostali niestety nie, gdyż nie czytali raportu. Nie mają pojęcia, co było w słojach.

Wiedzieli o pewnych sprawach, ale nie znali całej historii biegnącej przez stulecia od Zuzanny Mayfair, uzdrowicielki i akuszerki z brudnej wioski w Szkocji; nic nie słyszeli o Janie van Ablu, który przy biurku w Lejdzie rysował atramentem rozcięty tułów odsłaniający warstwy mięśni i żyły. Nie wiedzieli o Marguerite i ciele podskakującym na łóżku, dudniącym głósie ducha ani o patrzącym Julenie, który wstawił słoje na strych, chociaż już dawno temu powinny zostać zniszczone.

Aaron wiedział, Michael wiedział. Zrozumieją marzenie o szpitalach, klinikach i laboratoriach, o uzdrawiających dłoniach położonych na rannych, obolałych ciałach tysięcy ludzi.

Co za żart, prawda, Lasher?

Pieniądze nie stanowiły dla niej tajemnicy; nie była przerażona faktem, że zostanie główną spadkobierczynią. Już teraz potrafiła sobie wyobrazić wszystkie ograniczenia. Nigdy pieniądze nie miały dla niej uroku takiego jak anatomia czy mikrochirurgia, biofizyka i neurochemia. Pieniądze nie były tajemnicze. Z

majątku Mayfairów korzystała już wcześniej. Zrobi to i teraz. Spadek mogła obrócić na szpitale, kliniki, laboratoria... ocalenie życia.

Gdyby tylko mogła usunąć z domu wspomnienie starej martwej kobiety. To dla niej był prawdziwy duch, a nie postaci, które widział Michael, chociaż gdy myślała o jego cierpieniu, nie mogła tego znieść. Jakby widziała, że obumiera w nim wszystko, co najbardziej kocha. Odpędziłaby wszystkie demony świata jak najdalej od niego, gdyby wiedziała, jak to zrobić.

Ale pozostawała stara kobieta. Stara kobieta leżąca nieruchomo w bujanym fotelu, jakby miała go nigdy nie opuścić. A odór jej ciała był gorszy niż cuchnące słoje, gdyż umarła na skutek morderstwa popełnionego przez Rowan. Zbrodnia doskonała.

Odór niszczył dom, historię. Niweczył marzenie o szpitalach. Rowan czekała u drzwi.

*Chcę wejść, stara kobieto. Chcę mój dom i moją rodzinę. Słoje zostały stłuczone, a ich zawartość usunięta. Mam historię w ręku, lśniąca jak drogocenny klejnot. Odpokutuję za wszystko. Pozwól mi odpokutować, żebym wygrała.*

Dlaczego nie zostały przyjaciółkami, stara kobieta i Rowan? Rowan nienawidziła zła, ohydnych dręczących głosów, którymi przemawiały do Michaela głowy z potłuczonych słoików.

Duch wiedział, że Rowan nim gardzi. Kiedy przypomniła sobie to dotknięcie z samolotu, ogarniał ją wstręt.

Wczoraj, samotnie, przez wiele godzin przed przyjściem Michaela, siedziała, czekała na Lashera, nasłuchiwała każdego dźwięku, trzasku, szelestu, szeptu w starych ścianach.

*Jeśli myślisz, że mnie przestraszysz, to się głęboko mylisz. Nie czuję lęku ani miłości. Jesteś tajemnicą. Tak. Zaciekawiasz mnie. Ale mam ścisły umysł.*

Powinna była wtedy zniszczyć słoje. Źle się stało, że namówiła Michaela do ściągnięcia rękawiczek. Nigdy więcej już go o to nie poprosi, na pewno.

Michael nie wytrzyma mocy swoich dłoni. Nie uniesie ciężaru wspomnień wizji. Cierpi przez nie. Przerazał ją strach Michaela.

Połączyło ich jego utonięcie, a nie ciemne siły kryjące się w mroku domu, głosy mówiące ustami gnijących głów w słojach, duchy ubrane w taftę. Jego moc i jej moc, taki był początek ich miłości. Przyszłość to ten dom, rodzina, spadek, który przyniesie cuda medycyny tysiącom, może milionom chorych.

Czym są wszystkie ciemne duchy i legendy ziemi w porównaniu z tą prawdziwą rzeczywistością? We śnie widziała powstające budynki, przestrzeń. Słowa opowieści Michaela przemykały przez jej sen. Nie, nigdy nie chciała zabić starej kobiety, taki okropny błąd. Zabić. Zrobić coś tak strasznego...

\* \* \*

O szóstej rano wraz ze śniadaniem przyniesiono gazetę.

SZKIELET ZNALEZIONY W ZNANYM DOMU W DZIELNICY  
OGRODÓW

Cóż, nie można było tego uniknąć, prawda? Zdaje się, że Ryan ją ostrzegał, że nikt nie powstrzyma dziennikarzy. Obojętnie przeczytała kilka akapitów, rozbawiona gotyckim stylem opowieści.

Czy ktoś może zaprzeczyć, że dom Mayfairów zawsze łączył się z tragedią? Albo temu, że jedyną osobą, która mogła rzucić światło na sprawę tajemniczego zniknięcia teksańczyka Stuarta Townsenda, była Carlotta Mayfair, która zmarła tej samej nocy, kiedy odkryto szczątki? Odeszła po długiej chwalebnej pracy jako prawnik?

Reszta to elegia na cześć Carlotty. Tekst wywołał u Rowan poczucie winy.

Z pewnością ktoś z Talamaski już wycinał artykuł z gazety. Być może Aaron czyta go teraz u siebie na górze. Co o nim napisze? Pocieszyła ją myśl o raporcie.

W rzeczywistości czuła się teraz lepiej niż jakakolwiek inna osoba

psychicznie zdrowa. Bez względu na to, co się stanie, należała do rodu, znalazła się między Mayfairami, a jej ukryte smutki łączyły się z innymi, starszymi troskami.

Nawet wczoraj, gdy Michael tłukł słoje i walczył ze swoją mocą, nie nadeszły dla niej najgorsze chwile. Miała Michaela, Aarona, kuzynów. Nie czuła się osamotniona. Nawet po zamordowaniu starej kobiety nie była sama.

Dłuższy czas siedziała nieruchomo, czytała artykuł. Dłonie zaciskała na złożonej wpół gazecie. Za oknem zaczął padać deszcz, śniadanie na stole wystygło.

Nie miało znaczenia, co czuła, powinna w milczeniu żałować śmierci starej kobiety. Powinna pozwolić, aby żal zebrał się w jej duszy. Stara kobieta nie ożyje, jest martwa na wieki, prawda?

Od momentu przybycia do Nowego Orleanu tak wiele się jej przydarzyło, tak szybko wszystko następowało po sobie, że nie umiała już odpowiednio reagować, nie potrafiła w ogóle reagować. Postępowała bez emocji. Wczoraj, kiedy Michael leżał z zaczerwienioną twarzą na łóżku, a puls walił mu jak oszalały, ogarnęła ją rozpacz. Pomyślała: „Jeśli go stracę, umrę. Przysięgam”. Godzinę później rozbijała słoje za słojem, wylewała zawartość do wielkiego białego rondla, obracała nożem, oglądała, następnie podawała Aaronowi, aby przełożył do lodu. Rutyna. Postępowała jak lekarz. Żadnej różnicy.

Między chwilami kryzysu patrzyła uważnie, zapamiętywała, dlatego że wszystko było takie inne, niezwykle. W końcu nie mogła dłużej.

Obudziła się o czwartej rano i nie wiedziała, gdzie jest. Nagle wszystko do niej wróciło, zalało splątanymi klątwami i błogosławieństwami, marzeniami o szpitalach, pożądaniem Michaela jak narkotyku.

To nie była jego wina, że każdy jego gest, nawet pojedyncze słowa, najmniejszy ruch, najdrobniejsza zmiana wyrazu twarzy, wszystko tak bardzo ją podniecało. Bez względu na okoliczności. Był pociągający i nie miał o tym pojęcia, gdyż w swej niewinności nie rozumiał głębi jej pragnienia.

Usiadła w łóżku, otoczyła kolana ramionami. Zastanawiała się, czy kobiety nie odczuwają erotyzmu doskonalej niż mężczyźni, bo kobieta potrafi znaleźć najmniejszy drobiazg w mężczyźnie, który ją rozpala, włosy układające się na czole, opadające na kark.

Czy mężczyźni nie są bardziej powierzchowni? Czy wariowali z powodu kobiecej kostki? Zdaje się, że Dostojewski tak twierdził. Wątpiła w to. Spojrzenie na czarne włoski porastające nadgarstek Michaela powodowało udrękę. Podobnie działał na nią widok złotej bransoletki zegarka wrzynającej się w skórę. Wyobrażała sobie nagie ramię, widoczne dzięki podwiniętym rękawom i wydawało jej się ono jeszcze bardziej podniecające. Palce, gdy zapalał papierosa. Wszystko cudownie erotyczne. Każdy ostry gest. Jego niski, lekko ochryply głos, pełen czułości, gdy rozmawiał przez telefon z ciotką Viv.

Kiedy klęczał w tamtym ohydny pokoju, walczył, uderzał. Nawet na zakurzonym łóżku stanowił dla niej pokusę nie do oparcia, był ekscytujący w swym wyczerpaniu, drżała na widok jego dużych, silnych rąk zaciśniętych na prześcieradle. Odpinała skórzany pasek, rozsuwała rozporek dżinsów. Podniecenie. Nagle to mocne ciało stało się jej uległe. Ale wtedy panował nad nią strach, gdy szukała jego pulsu.

Siedziała z nim długo, godziny pełne napięcia, w oczekiwaniu aż puls wróci do normy, opadnie temperatura, oddech stanie się miarowy. Taki był piękny. Białe podkoszulek opinał tors, prawdziwy mężczyzna, a przecież stanowił dla niej tajemnicę. Ciemne włosy porastały pierś i ramiona. Miał ręce o wiele większe od niej.

Tylko jego strach osłabiał palące Rowan pożądanie, ale jego lęki nigdy nie trwały długo.

Tego ranka chciała go obudzić, biorąc jego członka w usta. Ale potrzebował snu, po tym co się wydarzyło. Modliła się o spokój snu Michaela. Poza tym chciała wyjść za niego z mężem, tak szybko jak tylko wyrazi zgodę. Mieli przecież przed sobą całe życie w domu przy ulicy Pierwszej, aby się kochać, prawda?

Poza tym jakoś wydawało jej się nie w porządku powtarzanie z Michaeliem tego, co kiedyś robiła parę razy z Chasem, rudym gliną z hrabstwa Main. Biodra opierała o jego pachwinę, twarz kryła pod opalonym ramieniem. Zaciskała mocno nogi, aż przeszył ją orgazm jak oślepiające światło.

Nie było to takie zabawne, nic zresztą nie równało się przyciśnięciu do materaca przez słodkiego brutala, z którego szyi zwisał na łańcuszku złoty krzyżyk.

Michael nawet się nie poruszył, chociaż za oknem uderzył nagle piorun, tak głośny jak strzał z armaty prosto w dach.

Minęły dwie godziny. Deszcz ciągle padał, śniadanie już całkiem wystygło, a ona siedziała rozmarzona, wspominając przeszłość i myśląc o wszystkich nowych możliwościach i o tym decydującym spotkaniu, które wkrótce miało się zacząć.

Przestraszył ją dzwonek telefonu. Ryan i Pierce czekali w holu, aby zabrać kuzynkę do śródmieścia.

Napisała kartkę do Michaela z wiadomością, że spotkała się z Mayfairami w sprawie spadku i wróci na obiad, nie później niż o szóstej. „Proszę, nie rozstawaj się z Aaronem i nie chodź do domu sam”. Podpisała „kochająca”.

– Chcę za ciebie wyjść za mąż – powiedziała głośno, kładąc kartkę na stoliku obok łóżka. – Czarownica i archanioł – stwierdziła jeszcze głośniej. Michael cicho chrapał w poduszkę. Pocałowała go w nagie ramie, dotknęła delikatnie mięśni. Jeszcze trochę a wróciłyby do łóżka. Wyszła i zamknęła za sobą drzwi.

Ignorując fantazyjnie ozdobioną windę, zeszła po wyłożonych dywanem schodach. Patrzyła przez chwilę na Ryana o gładkiej twarzy i jego przystojnego syna, jakby byli kimś z innego wszechświata w swych przewiewnych garniturach, z łagodnymi głosami; pozaziemskimi istotami, które mają ją zaprowadzić do statku kosmicznego kryjącego się w wielkiej limuzynie.

\* \* \*

Niskie, dziwaczne budynki z cegły przy ulicy Carondelet mignęły im w zaciekawionym milczeniu. Chociaż padał deszcz, niebo przypominało wypolerowany kamień, w którym błyskawice otwierały szczeliny. Grom grzmiał groźnie i cichł.

W końcu dotarli do okolicy drapaczy chmur, dwóch przecznic lśniącej Ameryki, wyposażonych w podziemny garaż. Całość tworzyła widok, jaki można by zaobserwować gdziekolwiek na świecie.

Żadnych niespodzianek w obszernym biurze firmy Mayfair & Mayfair znajdującym się na trzydziestym piętrze. Tradycyjne umeblowanie, grube dywany. Nic dziwnego w tym, że troje prawników – dwie kobiety i stary mężczyzna – nosiło nazwisko Mayfair. Za wysoką ścianą ze szkła rozciągał się widok na rzekę szarą jak niebo, pływały na niej holowniki i barki, pod srebrną pajęczyną deszczu.

Kawa i rozmowa jak najzupełniej zwyczajna. Mówił białowłosy Ryan o jasnoniebieskich oczach przypominających szklane kulki. „Istotne inwestycje”, „długoterminowe zastawy”, „posiadłości ziemskie – własność od stulecia”, „płatności w twardej walucie większe, niż możesz sobie wyobrazić”.

Czekała, musieli dać jej coś więcej. Musieli. Jak komputer analizowała cenne nazwy i szczegóły, które w końcu zaczęli wymieniać.

Widziała już szpitale i kliniki błyszczące za horyzontem marzeń, chociaż siedziała nieporuszona, obojętna, pozwalając Ryanowi mówić.

Nieruchomości w centrum Manhattanu i Los Angeles? Większość udziałów w sieci hoteli Markham Harris? Domy towarowe w Beverly Hills, Coconut Grove, Boca Raton i Palm Beach?

Kondominium w Miami i Honolulu? Wspomniane płatności w twardej walucie to franki szwajcarskie i złoto.

Momentami pozwalała sobie na chwilową nieuwagę. Tak, Aaron opisał w



raporcie wszystko dość dokładnie. Dał jej możliwość oceny i wiedzę, o której ci adwokaci o czystych twarzach, w lśniących garniturkach nie mieli pojęcia.

Znowu uderzyła ją myśl, że Aaron i Michael lękali się, iż będzie niezadowolona mając takie narzędzie w ręku. Nie rozumieli mocy, na tym polegał ich problem. Nigdy nie kroili mózgu.

A dziedzictwo to mózg, prawda?

Wypiła kawę w milczeniu. Przyglądała się innym Mayfairom, którzy siedzieli i słuchali, jak Ryan opowiadał o dzierżawach terenów roponośnych, ostrożnym finansowaniu przemysłu rozrywkowego i roztropnym inwestowaniu w technikę komputerową. Od czasu do czasu kiwała głową i zapisywała kilka słów srebrnym piórem.

Oczywiście, rozumiała, że firma zarządzała finansami przez prawie sto lat. Zasługiwała na pełne uznania kiwnięcie głową i serdeczne mruknięcie. Julien założył tę firmę, aby prowadziła interesy Mayfairów. Oczywiście, Rowan potrafiła sobie wyobrazić, jak dziedzictwo łączyło się z pieniędzmi całej rodziny, gdyż „wszystko dla dziedzictwa, naturalnie. Ono jest najważniejsze, ale nigdy nie miał miejsca żaden konflikt, mówić o konflikcie to nie zrozumieć zakresu...”

– Rozumiem.

– Zawsze prowadziliśmy konserwatywną politykę finansową, ale aby w pełni pojąć, o czym mówię, trzeba uświadomić sobie, co oznacza takie podejście, kiedy w grę wchodzi fortuna podobnej wielkości. Mogłabyś, dajmy na to, wziąć jako przykład mały kraj żyjący ze złóż naftowych, nie przesadzam, i politykę tego państewka polegającą bardziej na zachowywaniu i chronieniu niż na rozwoju, ponieważ tak ogromny kapitał musi być odpowiednio zabezpieczony przed inflacją czy innym zagrożeniem, stąd nie można powstrzymać rozwoju, rozwoju w niezliczonych kierunkach i na co dzień stajesz przed koniecznością inwestowania wpływów tak wielkich, że...

– Mówisz o miliardach – powiedziała spokojnie.

Zebrani zadrżeli. Trafiła? Nie pochwyciła nieuczciwości, tylko zmieszanie, lęk przed nią i tym, co mogłaby zrobić. W końcu wszyscy byli Mayfairami? Oceniali Rowan, tak jak ona ich.

Pierce – największy ze wszystkich idealista – zerknął na ojca. Ryan popatrzył na pozostałych. Rozumiał, jaka była stawka, być może lepiej niż inni.

Nikt nie odezwał się ani słowem.

– Miliardy – powtórzyła. – W samych nieruchomościach.

– Tak, prawdę mówiąc, tak. Muszę przyznać ci rację, miliardy w samych nieruchomościach.

Jacy wydawali się zażenowani i niespokojni, jakby odkryto ich najważniejszą tajemnicę.

Nagle wyczuła strach i niechęć Lauren Mayfair, starszej, około siedemdziesięcioletniej prawniczki o jasnych włosach i delikatnej, pomarszczonej skórze. Wpatrywała się w Rowan z drugiego końca stołu. Wyobrażała sobie, że dziewczyna jest płytka, zepsuta i całkowicie nie czuje wdzięczności dla firmy, która tyle zrobiła. Była tam też Annę Marie Mayfair, siedziała z prawej strony. Ciemnowłosa, ładna, lat czterdzieści, może więcej. Umiejętnie umalowana. Dobrze ubrana w szary jedwabny kostium i jasnożółtą bluzkę. Wydawała się szczerze zaciekawiona, zerkała na Rowan spod okularów w rogowej oprawie. Z jej twarzy było przekonanie, że czeka ich jakieś niepowodzenie.

Randall Mayfair, wnuk Garlanda, smukły, z gęstą grzywą siwych włosów, miękko opadających na kołnierzyk. Oczy zaspane pod szerokimi brwiami i zaróżowionymi, spuszczone powiekami. Siedział bez lęku, ostrożny i zrezygnowany.

Wtedy spotkały się ich oczy. Spojrzenie Randalla mówiło:

*Oczywiście, że nie rozumiesz. Jakżeby inaczej? Ilu ludzi potrafi zrozumieć? Chcesz mieć kontrolę i dlatego jesteś głupia.*

Odchrząknęła, ignorując sposób, w jaki Ryan złożył ręce pod brodą i patrzył

na nią twardo szklanymi oczami.

– Nie doceniacie mnie – powiedziała spokojnie. Przesunęła wzrokiem po zebranych. – Bądźcie pewni, że ja was doceniam. Po prostu chcę wiedzieć, o co chodzi. Nie mogę pozostać bierna. Byłby to z mojej strony brak odpowiedzialności.

Cisza. Pierce podniósł filiżankę i bezgłośnie wypił kawę.

– Cały czas staramy się wytłumaczyć ci wszystko – odparł Ryan z wdziękiem, odsuwając ręce od brody. – Od strony praktycznej wygląda to w następujący sposób: możesz żyć jak królowa wykorzystując tylko ułamek z odsetek zarabianych na ponownym inwestowaniu ułamka odsetek zarabianych przez ponowne inwestowanie... i tak dalej, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi, gdy tymczasem kapitał pozostaje nietknięty z jakiegokolwiek przyczyny...

– Powtarzam, nie chce pozostać bierna ani popaść w samozadowolenie. Żądam szczegółowych informacji. Nie sądzę, abym mogła się zgodzić na rolę bezmyślnej użytkownicy majątku.

Zapadła cisza i to znowu Ryan znowu ją przerwał. Łagodnie, pojednawczo.

– Co chciałabyś wiedzieć?

– Wszystko. Poznać każdą śrubkę mechanizmu. Chociaż powinnam powiedzieć anatomię. Chcę zobaczyć ciało rozciągnięte na stole, chcę zbadać organizm jako całość.

Szybka wymiana spojrzeń między Randallem i Ryanem. Ryan zaczął mówić dalej:

– Jest to absolutnie zrozumiałe i rozsądne, ale to nie takie proste, jak sobie wyobrażasz...

– Gdzieś musi być początek i w jakimś miejscu koniec.

– Tak, bez wątplenia, ale sądzę, że wyobrażasz sobie wszystko w błędny sposób.

– Jedna rzecz mnie szczególnie interesuje. Ile z tych pieniędzy jest inwestowanych w medycynę? Czy powstały jakieś organizacje?

Całkowite zaskoczenie. Słowa Rowan odebrano jak wypowiedzenie wojny, tak przynajmniej wskazywała twarz Annę Marie Mayfair, zerkającej na Lauren i Randalla. Był to pierwszy nie ukrywany objaw wrogości, jaki Rowan dostrzegła, odkąd przyjechała do tego miasta. Lauren zagiętym palcem podpierała dolną wargę, zmrużyła oczy. Dziwne, była zbyt dobrze ułożona, aby tak okazywać swoje uczucia. Przez krótką chwilę spojrzała uważniej na Rowan i przesunęła wzrok na Ryana, który zaczął od nowa.

– Nasze działania charytatywne nie obejmowały w przeszłości medycyny jako takiej. Fundacja Mayfairów bardziej jest zaangażowana w popieranie sztuki i nauki, szczególnie programów edukacyjnych, ufundowaliśmy wiele stypendiów uniwersyteckich, oczywiście ofiarowujemy ogromne sumy organizacjom dobroczynnym, które nie są związane z fundacją, ale zrozumi, wszystko jest dokładnie przygotowane i nie zmniejsza kontroli nad pieniędzmi, tak jak zrzekanie się zysków...

– Wiem, jak to funkcjonuje – odparła cicho. – Ale mówimy o miliardach, a szpitale, kliniki i laboratoria są opłacalne. Nie chodziło mi o działalność charytatywną. Myślałam raczej o zaangażowaniu, które miałyby dobroczynny wpływ na życie człowieka.

Zadziwiająco zimny, podniecający moment. Czowała się jak za pierwszym razem, gdy podeszła do stołu operacyjnego i wzięła do rąk narzędzia chirurgiczne.

– Nie zamierzaliśmy zwrócić się w stronę medycyny – powiedział Ryan takim tonem, jakby to stwierdzenie kończyło dyskusję. – Wymagałoby to rozległych analiz, zmiany struktury finansowania... Rowan, czy uświadamiasz sobie, że ta sieć inwestycji powstawała prawie przez sto lat? To nie majątek, który można stracić po krachu na rynku srebra czy potopie darmowej ropy z Arabii Saudyjskiej. Mówimy o lokowaniu pieniędzy, nieporównywalnym do niczego. Dzięki starannie planowanym działaniom przynosiło zyski pomimo dwóch wojen światowych i niezliczonych mniejszych problemów.

– Rozumiem – stwierdziła. – Naprawdę rozumiem. Ale muszę mieć dostęp do każdej informacji. Chcę wiedzieć wszystko. Mogę zacząć od przeglądania formularzy, jakie wypełniacie dla Urzędu Skarbowego. Niewykluczone, że potrzebuję nauki, kilkunastu spotkań, na których przedyskutujemy różne obszary finansowego zaangażowania. Przede wszystkim proszę o dane statystyczne, bo one stanowią jedyną rzeczywistość...

Cisza. Zmieszanie. Spojrzenia. Nagle pokój wydał się mały i zatłoczony.

– Chcesz mojej rady? – spytał Randall. Miał głos niższy i bardziej chropawy od Ryana, ale z taką samą, łagodną intonacją Południa. – Płacisz, wymagasz, dostajesz.

Rozłożyła szeroko ręce.

– Proszę.

– Wróć do pracy neurochirurga; bierz pieniądze na wszystko, czego potrzebujesz, ale zapomnij o chęci zrozumienia, skąd one pochodzą. Chyba że porzucisz zawód lekarza i staniesz się jedną nas. Spędzamy życie na spotkaniach rad nadzorczych i zarządów, na rozmowach z doradcami inwestycyjnymi, maklerami, księgowymi i innymi prawnikami, gdyż za to nam płacisz.

Patrzyła na niego. Ciemne, nie uczesane włosy, podkrążone oczy, duże pomarszczone ręce zaciśnięte na brzegu stołu. Miły człowiek. Tak, miły. Nie kłamie. Nikt z nich nie kłamał. Nikt z nich nie był złodziejem. Inteligentne zarządzanie takimi pieniędzmi wymaga wiedzy i umiejętności, a daje im zarobki znacznie powyżej marzeń tych, co lubią kraść.

Ale wszyscy byli prawnikami, nawet śliczny Pierce o nieskazitelnej cerze, a ludzie w tym fachu stosują szczególną definicję prawdy, która różni się od tej, jaką uznają pozostali.

Mieli etykę. Randall też ją miał, ale był konserwatystą. A ci, co są takimi zajadłymi konserwatystami jak on, nie lubią działania, nie są chirurgami.

Nigdy nie myślą kategoriami dobra, nie biorą pod uwagę ocalenia tysięcy, być może milionów istnień. Nie potrafią odgadnąć, co by to oznaczało, gdyby ta

nieopisana fortuna wróciła do szkockiej akuszerki i holenderskiego lekarza, w momencie gdy podchodzili do łóżka chorego, wyciągając ręce uzdrowiciela.

Odwróciła wzrok ku rzece. Przez chwilę oślepiło ją jej podniecenie. Chciała, by ostygły rozplomienione policzki. Zbawienie, wyszeptala w duchu. Nie miało znaczenia, czy oni to rozumieją. Ważne, aby ona zrozumiała, aby niczego przed nią nie ukryli, a wtedy gdy sprawy wymkną się im spod kontroli, by nie stała się im krzywda, gdyż i oni powinni zostać zbawieni.

– Na ile szacuje się całość majątku? – zapytała z oczami utkwionymi w rzekę, w długą ciemną barcę popychaną w górę przez zaniedbany holownik.

Cisza.

– Błędnie to sobie wyobrażasz – powiedział Randall. – To jest wielka sieć, składa się z drobnych kawałków...

– Rozumiem. Ale chcę wiedzieć i nie możesz mieć do mnie o to żalu. Ile jestem warta?

Brak odpowiedzi.

– Z pewnością możecie określić przybliżoną sumę.

– No tak, ale nie chciałbym tego robić, to może być całkowicie nierealne z punktu widzenia...

– Siedem i pół miliarda – stwierdziła.

Cisza wypełniona przerażeniem. Wstrząs. Nieźle, co? Trafiła blisko liczby podawanej Urzędowi Skarbowemu. Wymieniona przez Rowan suma pojawiła się na moment w jednym z tych wrogich i na pół zamkniętych przed nią umysłów.

To Lauren odpowiedziała, Lauren, której zmienił się lekko wyraz twarzy. Przysunęła się do stołu i sięgnęła po ołówek.

– Masz prawo uzyskać te informacje – odezwała się delikatnym, kobiecym głosem, który pasował do jej starannie uczesanych jasnych włosów i kolczyków z pereł. – Masz prawo wiedzieć, co do ciebie należy. Nie mówię tylko za siebie, kiedy obiecuję, że będziemy z tobą współpracować, gdyż do tego zobowiązuje

nas wszystkich etyka zawodowa. Ale muszę przyznać, że osobiście uważam, iż twoje podejście jest interesujące moralnie. Cieszę się, że będę miała możliwość przedyskutowania z tobą każdego aspektu dziedzictwa aż do najdrobniejszego szczegółu. Obawiam się jedynie, że znudzi cię ta gra, zanim jeszcze wszystkie karty znajdą się na stole. Ale z całego serca pragnę zacząć.

Czy ta kobieta uświadomiła sobie, jak protekcyjnie ją potraktowała? Rowan? Wątpliwe. W końcu ci ludzie zarządzali pieniędzmi przez ponad pięćdziesiąt lat. Zaslugiwali na wyrozumiałość. Jednak nie potrafiła im dać tego, na co zasłużyli.

– Nie ma po prostu dla was innej drogi – stwierdziła. – To nie jest interesujące moralnie, co chcę wiedzieć, ale to moralny imperatyw, abym się dowiedziała.

Kobieta postanowiła nie odpowiadać. Jej drobna twarz pozostała spokojna. Małe, blade oczy rozszerzyły się trochę, wąskie dłonie drżały. Pozostali przy stole patrzyli na nią, chociaż próbowali to ukryć.

Wtedy Rowan uświadomiła sobie, że to właśnie Lauren jest mózgiem tej firmy. A przez cały czas Rowan myślała, że to Ryan. Milcząco przyznała się do pomyłki zastanawiając się jednocześnie. Czy ta kobieta może odczytać jej myśli? *Myliliśmy się co do siebie...*

– Czy mogę zadać ci pytanie? – odezwała się kobieta, patrząc Rowan prosto w oczy. – Zrozum, to nic osobistego.

– Oczywiście.

– Czy poradzisz sobie z bogactwem? Prawdziwym bogactwem?

Rowan miała ochotę się uśmiechnąć. Co za odmiana! Jednak pytanie było obraźliwe i protekcyjne. Przyszło jej na myśl kilka niestosownych odpowiedzi. Ale wybrała najprostszą.

– Tak. Chcę budować szpitale.

Cisza.

Lauren skinęła głową. Złożyła ręce na stole. Przesunęła spojrzeniem po

zgrupowanych.

– Nie ma problemu. To interesujący pomysł. Oczywiście jesteśmy tu po to, aby zrobić wszystko to, czego ty chcesz.

Tak, Lauren to mózg firmy. Pozwalała mówić Ryanowi i Randallowi. Ale to ona będzie nauczycielką i przeszkodą.

Bez znaczenia.

Rowan dostała to, czego chciała. Dziedzictwo było rzeczywiste jak dom, jak rodzina. Spełni się marzenie. Teraz już wie.

– Uważam, że moglibyśmy zacząć rozmawiać o pewnych kwestiach od zaraz, dobrze? – powiedziała Rowan. – Będzie trzeba sporządzić spis ruchomości w domu. Chyba ktoś o tym wspominał. Aha, rzeczy Carlotty. Czy ktoś je zabierze?

– A propos domu – zaczął Ryan. – Czy podjęłaś już jakąś decyzję?

– Chcę go wyremontować. Zamieszkam tam. Wkrótce wychodzę za mąż za Michaela Curry'ego. Prawdopodobnie jeszcze przed końcem roku. Będziemy tam mieszkali razem.

Jakby nagle zapłonęło jasne światło, zalewając ich ciepłem i blaskiem.

– Och, to wspaniale – powiedział Ryan.

– Co za cudowna nowina – to Anne Marie.

– Nie wiesz, ile ten dom dla nas znaczy – Pierce.

– Zastanawiam się, czy zdajesz sobie sprawę, jak wszyscy będą szczęśliwi, gdy to usłyszą – zauważyła Lauren.

Tylko Randall zachował milczenie. Mężczyzna o podkrążonych oczach i wielkich dłoniach. W końcu i on odezwał się, ale w jego głosie brzmiał smutek.

– To byłoby po prostu cudowne.

– Ale czy ktoś może przyjść i wziąć rzeczy starej kobiety? – spytała Rowan.

– Nie wejdę tam, dopóki nie zostaną zabrane.

– Naturalnie – powiedział Ryan. – Jutro zaczynamy spis. A Gerald Mayfair natychmiast zgłosi się po rzeczy Carlotty.



– Potrzebuję sprzątaczek, profesjonalną ekipę do wyszorowania pokoju na drugim piętrze i usunięcia wszystkich materacy.

– Te słoje – powiedział Ryan z miną pełną obrzydzenia. – Te ohydne słoje.

– Opróżniłam je.

– Co w nich było? – dopytywał się Pierce.

Randall patrzył na nią badawczo spod na pół przymkniętych powiek.

– Zgnilizna. Jeśli uda im się usunąć odór i zabrać materace, będziemy mogli zacząć remont. Myślę, że wszystkie materace...

– Tak, zacznij od początku. Zrobię z nimi porządek. Pierce może iść tam nawet teraz.

– Nie, sama pójdę – zaprotestowała Rowan.

– Nonsens, Rowan, pozwól mi zająć się wszystkim! – zawołał Pierce. Zerwał się na równe nogi. – Potrzebne będą nowe materace. Te stare łóżka są podwójne, prawda? Policzmy, ile ich jest. Cztery. Dziś po południu będą dostarczone i wstawione.

– Fantastycznie – powiedziała Rowan. – Nic nie trzeba robić w pomieszczeniu dla pokojówki. A stare łóżko Juliana trzeba rozmontować i schować.

– Będzie zrobione. W czym jeszcze mogę ci pomóc?

– I tak proszę już o zbyt wiele. Michael zajmie się resztą. Sam przeprowadzi remont.

– To chyba jego dziedzina, prawda? – spytała Lauren spokojnie. Natychmiast uświadomiła sobie popełniony błąd, spojrzała szybko na Rowan, próbując zamaskować zmieszanie.

Już przeprowadzili śledztwo. Czy dowiedzieli się czegoś o jego rękach?

– Z przyjemnością porozmawialibyśmy z tobą dłużej – wtrącił szybko Ryan.

– Ale mamy ci do pokazania kilka dokumentów dotyczących posiadłości, parę podstawowych sprawozdań z inwestycji...

– Oczywiście, wracajmy do pracy. Z największą ochotą przyjrzę się

wszystkiemu

– Zatem ustalone. Chcielibyśmy potem zabrać cię na lunch, do Galatoire's, jeśli nie masz innych planów.

– Brzmi cudownie.

Tak się zaczęło.

O trzeciej po południu dotarła do domu, upał wydawał się nie do zniesienia, chociaż niebo nadal było zamglone po deszczu. Ciepło zbierało się i zamierało pod dębami. Wsiadła z taksówki i spojrzawszy w dół zobaczyła drobne owady kryjące się w cieniu.

Dom ją znowu zachwyił. Sama. Dzięki Bogu, nie ma już słoików, lalek i wkrótce nie będzie rzeczy Carlotty. Nie będzie.

Trzymała klucze w ręku. Pokazali jej najstarsze dokumenty dotyczące domu, który to został włączony do dziedzictwa w 1888 przez Katherine. Teraz należy tylko do niej. Tak jak miliardy, o których nie chcieli mówić głośno. *Wszystko moje.*

Gerald Mayfair, przystojny młody człowiek z gładką twarzą o nieokreślonych rysach, pokazał się we frontowych drzwiach. Wyjaśnił szybko, że właśnie wychodzi. Wstawił do bagażnika ostatnie pudło z rzeczami Carlotty.

Sprzątaczkę skończyły jakieś pół godziny temu.

Patrzył na Rowan trochę nerwowo, gdy podała mu rękę. Nie mógł mieć więcej jak dwadzieścia pięć lat i w niczym nie przypominał rodziny Ryana. Brakowało mu zrównoważenia, które zauważyła u innych, ale wydawał się miły.

Głos też miał sympatyczny.

Carlotta chciała, żeby jego babcia otrzymała te rzeczy, wyjaśnił.

Oczywiście, meble zostaną. Należały do Rowan. Wszystkie były raczej stare, pochodziły z czasów babki Carlotty, Katherine, to ona zapełniła wnętrze domu.

Rowan podziękowała mu, że zajął się tą sprawą tak szybko. Zapewniła go, że przyjdzie na mszę żałobną za Carlottę.

– Powiedz, czy została... pogrzebana? – czy to odpowiednie określenie na

wsunięcie do kamiennej szuflady?

Tak, pochowano ją dziś rano. Był z matką. Po powrocie do domu otrzymał wiadomość, że ma przyjść na ulicę Pierwszą po rzeczy nieboszczki.

Rowan raz jeszcze podziękowała Geraldowi. Przyznała, że chciałaby spotkać całą rodzinę. Kiwał głową.

– To miłe, że dwóch twoich przyjaciół przyszło.

– Moich przyjaciół? Przyszło? Dokąd?

– Dziś rano, na cmentarz. Pan Lightner i pan Curry.

– Och, oczywiście... Ja powinnam... powinnam przyjść...

– Nie przejmuj się. Nie chciała zamieszania, a prawdę mówiąc... Stał przez chwilę w milczeniu na kamiennym chodniku, patrzył na dom, chciał coś powiedzieć, ale najwyraźniej nie mógł wydobyć głosu.

– O co chodzi? – spytała Rowan.

Być może przed przybyciem sprzątaczek zawędrował na górę i zobaczył potłuczone słoje. Z pewnością chciał ujrzeć to miejsce, gdzie leżał „szkielet”, jeśli przeczytał o nim w gazetach albo powiedzieli mu inni Mayfairowie.

– Masz zamiar tu zamieszkać? – spytał nagle.

– Najpierw wyremontować, przywrócić dawną chwałę. Mój mąż... ktoś, za kogo wychodzę za mąż, jest ekspertem od starych domów, mówi, że posiadłość bez trudu można odratować. Nie może doczekać się rozpoczęcia robót.

Stał nieruchomo, brzęczenie owadów wypełniało powietrze. Twarz Geralda lekko błyszczała od potu. Wahał się. W końcu powiedział:

– Wiesz, że dom był świadkiem wielu tragedii. Tak zawsze mówiła ciocia Carla.

– Tak napisano w porannej gazecie – odparła z uśmiechem. – Ale widział też wiele radości. W dawnych czasach. Chcę, aby zobaczył szczęście.

Przez chwilę stali w milczeniu. Czekala cierpliwie, aż Gerald pierwszy się odezwie, ale w końcu sama musiała zapytać:

– Co naprawdę chciałeś mi powiedzieć?

Oderwał wzrok od jej twarzy, wzruszył lekko ramionami, z westchnieniem spojrzał na dom.

– Chyba powinienem ci powiedzieć, że Carlotta... Carlotta chciała, żebym spalił dom po jej śmierci.

– Mówisz poważnie?

– Nigdy nie miałem zamiaru tego zrobić. Powiedziałem Ryanowi i Lauren. Moim rodzicom. Ale myślałem, że ty także powinnaś o tym wiedzieć. Była zdecydowana. Wydała mi instrukcje, jak mam to zrobić. Najpierw rozpalić ogień na strychu tą lampą naftową, która tam zawsze stoi, zejść na drugie piętro i podpalić zasłony, a potem zająć się dołem. Zmusiła mnie, żebym jej to obiecał. Dała mi klucz.

Podał go Rowan.

– Nie będzie ci potrzebny – stwierdził. – Drzwi frontowych nie zamykano od pięćdziesięciu lat, ale Carlotta bała się, że ktoś mógłby je zamknąć. Wiedziała, że nie umrze, dopóki żyje Deirdre. Takie były jej polecenia.

– Kiedy ci to powiedziała?

– Powtarzała wiele razy. Ostatni raz z tydzień temu. Tuż przed śmiercią Deirdre... kiedy już było wiadomo, że umiera. Wezwała mnie tu późnym wieczorem i przypomniała o obietnicy. „Spal go”.

– Stałaby się wszystkim duża krzywda, gdybyś dotrzymał słowa! – wyszeptała Rowan.

– Wiem. Moi rodzice byli oburzeni. Obawiali się, że Carlotta sama podpali dom. Ryan stwierdził, że tego nie zrobi. Bo nie prosiłaby mnie, gdyby była w stanie zrobić to sama. Kazał mi spełniać jej zachcianki. Powiedz Carlocie, że to zrobisz, ale tak żeby była pewna i nie wykonała jakiegoś nieprzewidzianego ruchu.

– Rozsądna rada.

Gerald skinął lekko głową, potem oderwał spojrzenie od Rowan i utkwiał w domu.

– Chciałem, żebyś wiedziała – wyszeptał. – Uważałem, że powinnaś wiedzieć.

– Co jeszcze?

– Co jeszcze? – Wzruszył ramionami. Popatrzył na nią, jakby chciał się odwrócić i odejść, ale nie zrobił tego. Zdecydował się.

– Uważaj na siebie. Bądź bardzo ostrożna. Jest stary, posępny i... być może zupełnie inny niż ci się wydaje.

– Co masz na myśli?

– To nie jest wspaniały dom. To kryjówka czegoś. Zbudowany jest według dziwaczkich wzorów. Przypomina pułapkę. – Pokręcił głową. – Nie wiem, co mam powiedzieć. Mówię bez sensu. Wiesz, że wszyscy z nas mają talent do wyczuwania różnych rzeczy...

– Wiem.

– Chyba chciałem cię ostrzec. Nie wiesz o nas wszystkiego.

– Czy to Carlotta mówiła ci o wzorach, o pułapce?

– Nie, to moje zdanie. Zaglądałem tutaj częściej od innych. Tylko ja odwiedzałem Carlottę w ostatnich latach. Lubiła mnie. Nie wiem dlaczego. Czasami przychodziłem z ciekawości, chociaż chciałem być wobec niej lojalny. Naprawdę. Jednak to wisiało jak chmura nad moim życiem.

– Cieszysz się, że już po wszystkim?

– Tak. To okropne, co powiem, ale Carlotta nie chciała już żyć dłużej. Powiedziała mi to. Była już zmęczona. Chciała umrzeć. Pewnego popołudnia, kiedy byłem tu sam, czekałem na nią, przyszło mi do głowy, że ten dom to pułapka. Wielka pułapka. Nie wiem dokładnie, skąd to przypuszczenie. Mówią, że jeśli coś czujesz, nie rozważasz...

– Czy kiedykolwiek zauważyłeś coś tajemniczego?

Myślał przez chwilę, najwyraźniej rozumiejąc bez trudu, o co jej chodzi.

– Raz? – odparł z namysłem. – W holu. Ale mogłem to sobie wyobrazić.

Zamilkł. Nadszedł koniec i chciał odejść.

– Miło mi się z tobą rozmawiało, Rowan – powiedział ze słabym uśmiechem. – Zadzwoń do mnie, kiedy zechcesz.

Przestąpiła próg furtki. Patrzyła, jak odjeżdża jego srebrny mercedes.

Pusto. Cicho.

Czuła zapach żywicy. Weszła po schodach. Przechodziła szybko z pokoju do pokoju. Nowe materace jeszcze owinięte lśniącem plastikiem leżały na wszystkich łózkach. Prześcieradła i poszwy poskładane starannie w kupki leżały z jednej strony. Podłogi odkurzone.

Z trzeciego piętra dochodziła woń środka dezynfekującego.

Weszła na drugie piętro, wprost w bryzę wiejącą przez szeroko otwarte okno. Podłoga w małym pokoiku wyszorowana. Została tylko jedna czarna plama, której pewnie nigdy nie da się usunąć. Ani śladu szkła.

Odkurzono pokój Julienu. Uporządkowano. Ustawiono pudła. Ułożono książki. Łóżko rozmontowano i umieszczono pod oknem. Stara ciemna plama zniknęła z miejsca, w którym zmarł Townsend.

Reszty nie tknięto.

Wróciła do pokoju Carlotty. Zobaczyła swoje odbicie w długim lustrze toaletki. Przestraszyła się. Serce biło głośno. Ale nikogo poza nią nie było. Puste szuflady. W szafie zostały tylko drewniane wieszaki i zapach kamfory.

Wszystko nieruchome.

Zeszła schodami na pierwsze piętro, potem do holu i do kuchni. Umyli tam podłogi, oczyścili szklane drzwiczki szafek. Poczła dobry zapach wosku, żywicy, drewna. Cudowną woń.

Stary czarny telefon stał na drewnianym blacie w kredensie.

Wykręciła numer hotelu.

– Co robisz? – zapytała usłyszawszy głos po drugiej stronie słuchawki.

– Leżę w łóżku sam i uzalam się nad sobą. Poszedłem dzisiaj rano na cmentarz z Aaronem. Czuję się wykończony. Wszystko mnie boli, jakbym się z kimś bił. Gdzie jesteś? Chyba nie przy ulicy Pierwszej?

– Dokładnie tam. Zabrano rzeczy starej kobiety, materace, a pokój na strychu wyszorowano.

– Jesteś sama?

– Tak – odparła. – Ciepło tu i pusto, pięknie. Świeci słońce. – Rozglądała się wokół siebie, światło wlewało się do środka przez okna w kuchni, w jadalni padało na drewnianą podłogę. – Wszystko wskazuje na to, że rzeczywiście jestem sama.

– Chcę przyjechać – powiedział.

– Nie, już wychodzę. Wracam na piechotę do hotelu. Masz odpoczywać. Pójdiesz na badania.

– Bądź poważna!

– Czy robiono ci kiedykolwiek elektrokardiogram?

– Nie strasz mnie, bo dostanę zawału. Robiono, po utonięciu. Moje serce jest w jak najlepszym porządku. Potrzebuję ćwiczeń seksualnych w dużych dawkach podawanych przez długi, długi czas.

– Wszystko zależy od tego, jaki będziesz miał puls, gdy wrócę.

– Daj spokój, Rowan. Nie idę na żadne badania. Jak nie zjawisz się tutaj za dziesięć minut, przyjadę po ciebie.

– Będę wcześniej. Odłożyła słuchawkę.

Przez chwilę próbowała sobie przypomnieć o czymś, co przeczytała w raporcie. Arthur Langtry napisał o swoich doświadczeniach z Lasherem. Kiedy go widział, serce waliło mu jak oszalałe i miał zawroty głowy. Tak, ale Arthur Langtry był starym człowiekiem.

Wokół nic, tylko spokój. Śpiew ptaków w ogrodzie.

Przeszła przez jadalnię i ogromną dziurkę od klucza do holu. Rzuciła spojrzenie za siebie, zachwycając się jej wielkością. Promienie słońca odbijały się od podłogi.

Opanowało ją uczucie zadowolenia. Wszystko moje.

Stała nieruchomo kilka sekund, nasłuchując. Próbowwała zawładnąć do końca

tą chwilą, zapamiętać wczorajszy lęk i porównać z dzisiejszym szczęściem. Znowu grzeszna historia jej rodziny niosła pocieszenie. Odnalazła swoje miejsce. Należało do niej, choć skrywało ciemne sekrety. Odpokutuje wszystko. To było najważniejsze.

Odwróciła się, żeby wyjść z domu i po raz pierwszy dostrzegła wielki wazon róż na stoliku w holu. Czy to Gerald je przyniósł? Zapomniał o nich wspomnieć.

Zatrzymała się, spojrzała na piękne, wilgotne płatki w kolorze krwi. „Pasowały raczej do umarłych”, pomyślała, „jakby zerwano je z nagrobnych wieńców”.

Zadrzała. Przyszedł jej na myśl Lasher. Rzucił kwiaty do stóp Deirdre. Kładł kwiaty na grobie. Była taka przestraszona, że słyszała głośnie bicie swego serca. Co za absurdalny pomysł. Pewnie to Gerald postawił albo Pierce, gdy przyjechał zobaczyć, co z materacami. Poza tym to był zwykły wazon, do połowy napełniony świeżą wodą.

A jednak kwiaty wydawały jej się odrażające. Serce uspokoiło się. Uświadomiła sobie, że w bukiecie jest coś dziwnego. Nie znała się na różach, ale czy zazwyczaj nie są mniejsze? Te wydawały się ogromne i wiotkie. Ciemny kolor krwi. Spójrz na łodygi, liście, które nie mają typowego kształtu migdała i pokryte są kolcami. Dziwne. Jakaś dzika odmiana, mutacja.

Poruszały się? Drżały. Nie, tylko rozwijały. Często tak się dzieje z różami, aż opadną płatki. Pokręciła głową. Czowała lekkie zawroty.

Prawdopodobnie kwiaty przyniósł Pierce. Zresztą jakie to ma znaczenie. Zadzwoni do niego z hotelu, żeby się upewnić, podziękować.

Podeszła do drzwi, próbując przypomnieć sobie wcześniejsze uczucie zadowolenia, odetchnąć ciepłym powietrzem. Ten dom przypomina świątynię. Spojrzała na schody. Na ich szczycie Arthur zobaczył Stuarta Townsenda.

Teraz nie było tam nikogo.

Nikogo. Nikogo w salonie. Nikogo na werandzie osłoniętej bluszczem.

Nikogo.



– Boisz, się mnie? – zapytała głośno. Dźwięk wymówionych przez siebie słów napełnił ją dziwnym drżeniem. – Spodziewałeś się, że będę się ciebie bała i jesteś zły, że nic z tego? Prawda?

Odpowiedziała jej cisza. Cichy szelest opadających na marmurowy stolik płatków róży.

Z uśmiechem podeszła z powrotem do bukietu. Wyjęła z wazonu jedną różę i uniosła do ust. Dotknęła wargami jedwabistych płatków. Wyszła.

Naprawdę niezwykła, wielka róża. Ile ma płatków! Jak dziwnie wydają się pomieszane. Już zaczynała więdnąć.

Na brzegach płatki zbrązowiały i zawijały się do środka. Rowan wdychała słodki zapach jeszcze przez chwilę. Wychodząc przez furtkę, rzuciła kwiat daleko do ogrodu.